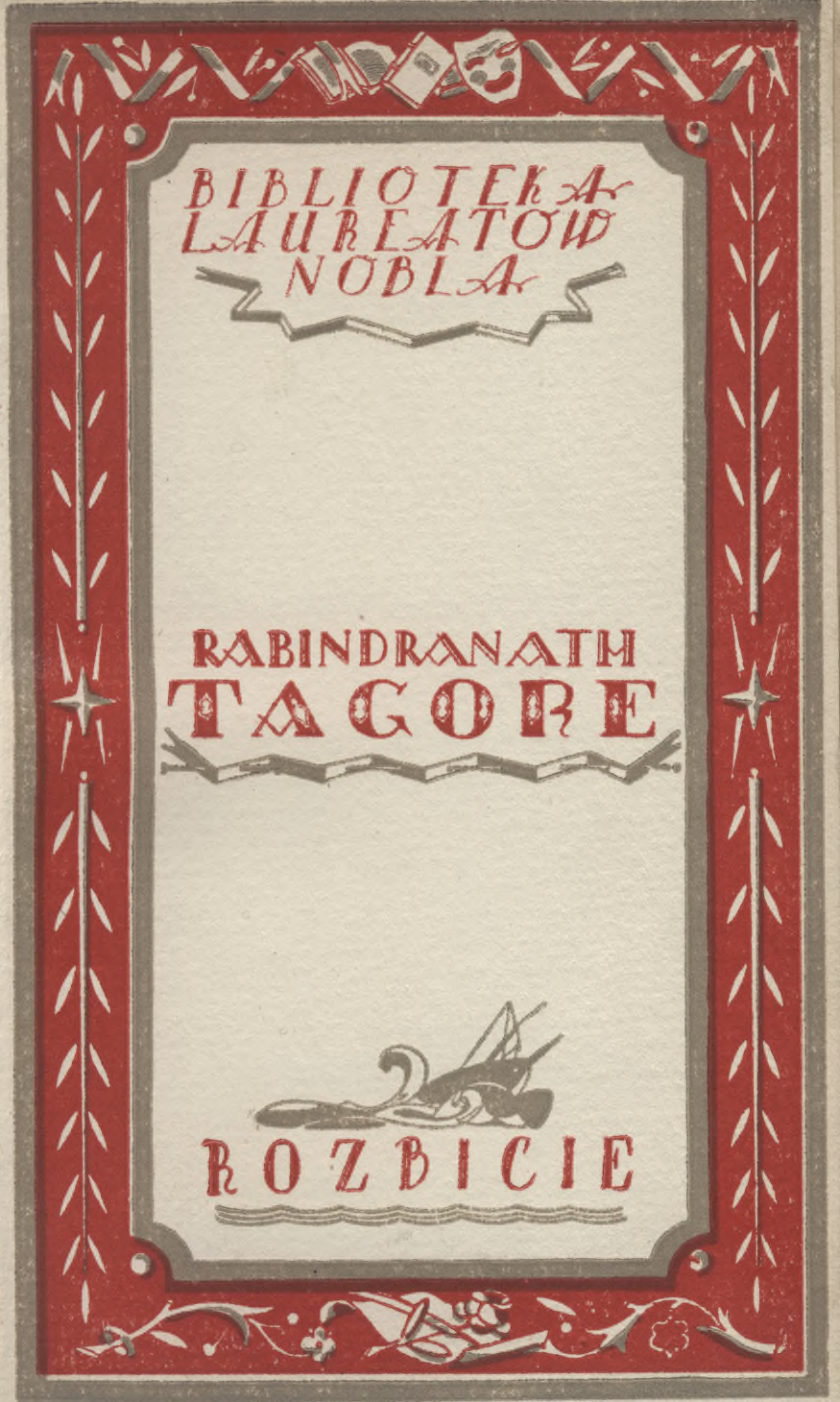


Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231568

4977 Alloway
12/124)



BIBLIOTEKA
LAUREATOW
NOBLA

RABINDRANATH
TAGORE



ROZBICIE



BIBLIOTEKA
KURATOW NOLIA
POD REDAKCJA
DR. STANISLAWA...

TOM 4
KURATOW NOLIA
KURATOW NOLIA



WYDANIE WYDZIAŁA...
WARSZAWA 1911

*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

TOM 6.

*RABINDRANATH TAGORE
ROZBICIE*



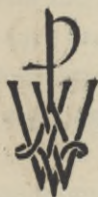
*LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

RABINDRANATH TAGORE

R O Z B I C I E

POWIEŚĆ

*PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
JERZY BANDROWSKI*

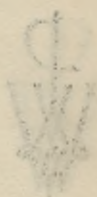


*LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

I 29.530



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



~~~~~ ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM ~~~~~  
POZNAŃSKA Drukarnia i Zakład Nakładowy T. A. POZNAŃ

Akc. Nr. K-1835 / 58

## PRZEDMOWA.

Mówiąc o przekładzie jakiegoś dzieła Rabindranatha Tagorego z oryginału, rozumiemy pod tem oczywiście przekład z angielskiego, na który to język Tagore sam lub przy pomocy któregoś z przyjaciół, tłumaczy swe dzieła, napisane w oryginale po bengalsku. Takich oryginałów jest zaledwie kilka, zaś inne tłumaczenia nie są oryginałami lecz zwykłemi przekładami na język angielski. Czy angielski przekład „Rozbicia“ jest takim oryginałem, czy też zwykłym tłumaczeniem, za które cała odpowiedzialność spada na tłumacza, tego nie wiem, ponieważ angielskie wydanie Tauchnitzza nic o tem nie mówi, niektóre jednak zwroty w tekście, nieliczne, przeznaczone dla czytelnika europejskiego komentarze pozwalają się domyślać, iż tłumaczenia tego dokonano przynajmniej pod redakcją autora.

Dla informacji zaznaczamy, że Tagore napisał pięć powieści, z których w Europie znane są tylko dwie: „Dom i Świat“, oraz „Rozbicie“. „Dom i Świat“ przetłumaczono już dawniej, „Rozbicie“ ukazało się w języku angielskim dopiero 1921 roku. Nie jest to

jednak bynajmniej najnowsza powieść Tagorego, przeciwnie, w języku bengalskim została wydana w roku 1901-ym i uchodzi za pierwszą powieść tego pisarza.

Nie mam zamiaru nudzić Czytelnika opowiadaniem o książce, którą ma przeczytać i o której sam urobi sobie zdanie. Zastanawiałem się wogóle nad koniecznością przedmowy i przez długi czas wahałem się, mimo że w powieści tej wiele rzeczy domaga się wyjaśnienia i pewne komentarze wydały mi się nieodzowne. Wahałem się dlatego, iż po przeczytaniu książki Czytelnik nie domaga się już wyjaśnienia niezrozumiałych sobie rzeczy, nie aby one zostały wyjaśnione, ale ponieważ odpadają jako nieistotne. Podczas czytania jednakże niezrozumiałość ich drażni, a niecierpliwego może zrazić, przeto w interesie książki będzie przeszkody, o ile możności, usunąć.

Dzieła Tagorego roją się od mnóstwa niezrozumiałych szczegółów, obrazów czy porównań, zaczerpniętych z życia i wierzeń bengalskich. Tagore, który zna Europę, zna też dobrze różnicę, jaka zachodzi między jego światem a światem Europejczyka i wie, że Europejczyk niejednego nie będzie mógł zrozumieć — a jednak nie dba o to, nie ułatwia i sam komentarza żadnego nie podaje. Robi to rozmyślnie, najpierw dlatego, że szczegóły te uważa za nieistotne, powtóre, ponieważ koncentrując uwagę czytelnika głównie na zagadnieniach psychicznych i moralnych, nie chce jej dygresjami ani zbytecznymi ornamentami rozpraszać. Jego ilu-

stracje, zaczerpnięte z natury, obrazeczki, jakby paru tylko kreskami zaznaczone na marginesie, przedziwne w swych genialnych skrótach, są tylko dekoracjami, mającemi uwydatnić i akcentować momenty psychologiczne, z którymi są w ścisłym związku. Tagore zupełnie nie opisuje Indyj, powiedziałbym, z podziwu godnym zaparciem się siebie unika nawet obrazów uzasadnionych artystyczną koniecznością — na przykład opis słynnych gathów w Benares, miast i różnych świątyń, które po imieniu wylicza, a więc, które wchodzi w jego dzieło do tego stopnia, że może należałoby je pokazać. Ten pisarz Wschodu, posądzanego zwykle o rozrzutne szafowanie jaskrawymi barwami, jest właśnie nadzwyczaj wstrzemięźliwy, skromny a subtelny w swych środkach artystycznych i najwspanialszy nawet obraz nie skusi go, jeśli nie stoi w bezpośrednim, głębokim, celowym związku z akcją psychologiczną. Ta jego niemal ascetyczna wstrzemięźliwość ma za to właściwą sobie zdolność niesłychanej koncentracji, dzięki której czytelnik, nie zasypywany bynajmniej opisami, mimo wszystko w jego książkach Indjami żyje na każdej stronie. Wżywając się wraz z autorem w ten świat, ocierając się o rzeczy niezrozumiałe, czasem odgadując je, a najczęściej bezskutecznie łamiąc sobie nad nimi głowę, zwolna jednak oswajamy się z nimi; niezrozumiałość ich przestaje być drażniącą i obcą i pociąga swą nieodgadnioną a przecie żywą tajemni-

czością, nie mniejszą ani nie większą od tej, która nas w naszym codziennem życiu otacza. To już nie wystawna panorama, jaką z przepychem swych reali, stycznych barw maluje Kipling, lecz Indje prawdziwe w których i my żyjemy, coś niecoś wiedząc, wielu rzeczy nie rozumiejąc, jak wszędzie, i tu i tam, na ludzkim świecie.

Niektóre rzeczy jednak wiedzieć trzeba.

Więc trzeba wiedzieć, co to jest **Brahmo Samadź**.

**Brahmo Samadź**, czyli „Gmina Wierzących w Brahme” powstała w Indjach w wieku 19-tym pod wpływem Chrześcijaństwa i jest religijną sektą postępową hinduskiego, ściślej mówiąc, bengalskiego świata inteligencji. Zaznajomienie się w krótkości z historją tej sekty jest niezbędnie potrzebne tak dla zrozumienia samej powieści, jak też i z tego powodu, że jednym z jej przywódców był przez pewien czas ojciec Rabindranatha Tagorego, Debendranath, przewany swego czasu przez lud **Maharszi**, czyli „Wielki Wieszcz”.

„Brahmo Samadź” dąży do gruntownego zreformowania i odnowienia religji hinduskiej, nie zrywając jednakże zupełnie z tradycją ojczystą. Głównemi jego wytycznemi są: Kult Boga, nie ukrywającego się jednakże pod żadną postacią ani żadnym obrazem, i braterska miłość bliźniego. Jest to wyznanie ściśle monoteistyczne i zwalcza przedewszystkiem kult bogów

i bożków, w całej swej sile panujący wciąż jeszcze w ludzie hinduskim i do tego stopnia zrośnięty z życiem, że bez wielkiego rytuału polyteistycznego nie może się odbyć ani ślub ani pogrzeb. Walka ta stanowiła treść pierwszych lat istnienia nowej wiary i ściągnęła na jej wyznawców srogie prześladowania. Dla Debendranatha Tagorego najcięższą próbą pod tym względem było postanowienie, wbrew woli całej rodziny i wszystkich krewnych, pogrzebania zwłok ojca według odzębego, oczyszczonego z pierwiastków pogańskich, rytuału. Z tem łączyła się też walka z różnemi społecznemi przesądami i obyczajami, które w Indjach straszliwie ciążyły na losie kobiety, zaś w pierwszym rzędzie był to zwyczaj całopalenia wdów. Zniesienie zapomocą ustawy (1832) tego zwyczaju było przedewszystkiem zasługą Ram Mohuna Roya, założyciela *Brahmo Samadź*, który pierwszy wypowiedział mu walkę i którego ważkie słowo spowodowało w Londynie ostateczną decyzję. Ram Mohun Roy od młodości poświęcał się tej działalności reformatorskiej i badaniu różnych religij oraz źródeł ich powstania. Miał za sobą już długie, obfite w boje i przygody życie, kiedy w listopadzie 1828 r. zaczął w domu swym co tydzień zgromadzać na nabożeństwa swych współwyznawców. W styczniu 1830 r. można już było poświęcić w Kalkucie osobny kościół — członkowie *Brahmo Samadź* tak nazywają swe domy modlitwy — i ta data stanowi właściwą datę założenia *Brahmo Samadź*. Ale już

w tym samym roku opuścił Ram Mohun Roy swą gminę. Powziął mianowicie śmiały plan udania się, jako pierwszy Brahmin w podróż do Anglii, co się sprzeciwiało wszystkim tradycjom narodowym, a przede wszystkim tradycjom jego kasty. (Brahmin opuszczający swą ojczyznę, staje się skalany i wyklęty, m l e k k a h). Piętnastego listopada puścił się w tę podróż, z której nigdy już nie miał powrócić. Przyjmowany wszędzie, tak w Anglii jak i w Paryżu, niby księżę udzielny, i rozwinięty żywą działalność, umarł 27go września 1833 r. w Bristolu, gdzie później Dwarkanath Tagore postawił mu pomnik. Mała, tak wcześnie osierocona gromadka byłaby zniknęła bez śladu, gdyby nie znalazła swego przywódcy i organizatora w Debendranacie Tagorem (1817—1905), ojcu Rabindranatha. On to obumierającej już gminie dodał nowych sił, a prócz tego ujął ją w mocną, trwałą organizację. Założywszy już sam wcześniej podobny związek, dał się 20 grudnia 1843 r. publicznie wraz z 19 towarzyszami wyświęcić na kapłana, przyczem na znak przynależności do nowej gminy wyznaniowej składano ślub wyrzeczenia się wiary w bożki i oddawania codziennej czci Brahmie. Nastąpiły lata bujnej, w różnych kierunkach krzewiącej się i płodnej działalności, wskutek której już w r. 1847-ym liczba wyznawców wzrosła z 20 do 767. (W r. 1911 wynosiła już 5504— liczba znikoma w stosunku do dwustu miljonowego narodu, ale znaczenie sekty przerasta znacznie liczbą jej wy-



znawców). Jeszcze silniejszego rozpędu nabral ten ruch przez przystąpienie do niego pewnego młodego człowieka, pełnego energji i chęci czynu, nazwiskiem Keszab Czandra Sen (1838—84) w roku 1859-ym. Ale bardzo serdeczny z początku stosunek obu tych mężów w sprzeczności ich charakterów nosił już zarodki konfliktu, do którego też doszło w r. 1865-ym, a co w roku następnym doprowadziło w łonie Brahmo Samadź do rozłamu, zresztą bez zerwania przyjaznych stosunków. Debendranath Tagore, przy całym swym zapale reformatorskim i stanowczości w sprawach zasadniczych, miał jednak mimo wszystko skłonności konserwatywne, starał się oszczędzać uczucia swych rodaków, o ile to tylko było możliwe, i wzrokiem poza Indje nie sięgał, podczas gdy Sen był reformatorem radykalnym i chciał z zasad ogólnych wyciągnąć wnioski praktyczne, Zarazem, a w tem zbliżał się do założyciela sekty, posiadał rozleglejszy horyzont; był w wysokim stopniu przesiąknięty wykształceniem angielskiem i miał wyraźną skłonność do Chrześcijaństwa, nadał też Brahmo Samadź ten kosmopolityczny charakter tego wolnego i rozległego ducha, który na całej linji zwyciężył i który korzystnie wyróżnia ją ze wszystkich innych gmin religijnych. Wychodząc z przekonania, że w gruncie rzeczy wszystkie religje właściwie są jednym i tem samym, używa w obrzędach tekstów chrześcijańskich obok hinduskich, mahometańskich, perskich i chińskich. Ta nieograniczona wolność łączy się

jednak w Brahmo Samadź z taką siłą natchnienia i takim żarem zupełnie osobistej miłości Boga, jakich się w naszym klimacie prawie nie znajduje". (H. Meyer-Benfey).

W jakim stosunku do tej sekty stoi Rabindranath Tagore? Jest m l e k k a h , to znaczy, skalany kilkakrotną podróżą do Europy, choć mięsa nie używa, nie przestrzega rytualnej czystości swej kasty. Wiadomo, iż w kościołach Brahmo Samadź pełni funkcje kapłańskie i odprawia nabożeństwa, ale mimo to stosunek jego nie jest ściśle określony. W „Rozbiciu“ do B r a h m o S a m a d ź należą główne osoby działające: Hemnalini, jej ojciec i Ramesz. Prawowierni Hindu (Czakrabartti, Kamala, Kszemankari) uważają ją za kalającą czystość kastową, gdy młodzież postępową, materialistyczną, (Dzogendra, Akszaj) mówi o niej jako o związku świętoszków, udających postęp a w rzeczywistości reakcyjnych. Te trzy światy pojęć ścierają się ze sobą w naszej powieści, przyczem Czytelnik zauważy bez trudu, iż rozbiciu ulegają kompromisowi etycznie ludzie z Brahmo Samadź, a triumfuje niezłomna wiara i niezdolna do kompromisów, heroiczna etyka prawowiernych.

Niepodobna też nie wspomnieć o hinduskich zwyczajach i obrzędach małżeńskich. Otóż dziewczęta wychodzą tam zamąż bardzo młodo, jako nieletnie jeszcze dzieci, które u stóp teściowej, a nieraz nawet w szkole wychowują się i kształcą aż do odpowiedniego wieku. Dlatego o dziewczynie, która ma lat kilkanaście — ile. tego

dokładnie nie wiem — mówi się, iż przekroczyła już wiek małżeński, mimo, że dopiero wchodzi w lata panięskie. Mąż z żoną widzą się często po raz pierwszy dopiero podczas ślubu, pod zasłoną, po wymówieniu sakramentalnej formuły w tak zwanym „momencie szczęśliwym“. Taka młodzianka dziewczynka, wychowywana na żonę przez teściową, wzrasta w tradycjach rodzinnych, poznaje najdokładniej zwyczaje i charakterystyczne cechy swej nowej rodziny i staje się najzupełniej oddanym jej członkiem.

Wielki nacisk, jaki Tagore kładzie na wychowanie praktyczne kobiety, pochodzi stąd:

W Indjach kwestja gotowania jest niezmiernie trudna i skomplikowana ze względu na mnóstwo rytualnych przepisów. I tak mężczyzna jada osobno, kobiety osobno i nieraz co innego, bo nie wszystko jeść im wolno, osobno jada też w swoim czasie służba i to znów stosownie do przepisów danej kasty. Człowiek z niższej kasty nie może gotować dla członka kasty wyższej, bo jedzenie byłoby skalane, prawie dla każdego człowieka trzeba gotować osobno, przyczem każdy kiedyindziej je, tak, że nieraz w większych domach trzeba trzymać aż kilku kucharzy; tylko członek kasty brahmińskiej lub „kajasta“, tj. „kasty pisarzy“, może gotować dla wszystkich kast. Łatwo tedy zrozumieć, iż w takich warunkach sztuka gotowania jest bardzo cenną.

W drobniejsze szczegóły wchodzić nie mogę — jest ich zbyt dużo, ale nie są istotne.

J. B.



*CZĘŚĆ PIERWSZA.*



## ROZDZIAŁ I.

Nikt ani na chwilę nie wątpił, że Ramesz zda egzamin prawniczy. Czuwająca nad uniwersytetami Bogini Nauki zawsze obsypywała go płatkami swego złotego lotosu, szczerze darząc go medalami i stypendjami.

Ramesz miał zaraz po egzaminie wyjechać do domu, ale jakoś niezbyt spieszyło się mu do pakowania podróźnej walizy. Pisał do niego ojciec, polecając mu wracać natychmiast. Ramesz odpisał, że wróci, jak tylko wynik egzaminów zostanie ogłoszony.

Kolegą i najbliższym sąsiadem Ramesza był Dżogendra, syn Annady Babu. Annada Babu należał do kasty Brahma Samadź, zaś jego córka, Hemnalini, przygotowywała się właśnie do egzaminu na pierwszy rok filozofji. Ramesz był stałym gościem w ich domu. Przychodził regularnie popołudniu na herbatę, która jednak prawdopodobnie nie była atrakcją jedyną, ponieważ widywano go i w innych porach dnia.

Hemnalini miała zwyczaj przechadzać się po kąpieli na płaskim dachu, susząc włosy i czytając przytem. Podobnie i Ramesz siadywał z książką w ręku przy wieżyczce na dachu domu, w którym mieszkał, pogrążony w samotnem studjum. Zapewne, w miejscach takich czyta się bardzo spokojnie, po najmniejszym namyśle jednak każdy przyzna, iż nie brak im też poważnych przyczyn do dystrakcji.

W każdym razie z żadnej strony nie wspomiano o małżeństwie. Annada Babu, nie bez pewnej przyczyny zresztą, wolał narazie nie poruszać tego tematu; pewien młody jego przyjaciel wyjechał do Anglii, aby przygotować się do adwokatury, a tego młodego człowieka starszy pan miał na oku, jako swego ewentualnego zięcia.

Pewnego popołudnia wywiązała się podczas herbaty żywa dyskusja. Młody Akszaj nie mógł się wprawdzie pochwalić zbyt wielkimi sukcesami w egzaminach, jednakże nie mniej od bardziej uczonej młodzieży lubił herbatę i inne niewinne rozrywki, skutkiem czego też często zjawiał się u stołu Hemnalini. Pewnego razu oświadczył, iż umysł mężczyzny podobny jest do miecza i że nawet tępy miecz może być jeszcze dla swej ciężkości bronią straszliwą, podczas gdy inteligencja kobiety jest jak scyzoryk — można go ostrzyć jak się chce, nie będzie zdolny do niczego poważniejszego. I tak dalej.

Hemnalini z lekceważącym milczeniem słuchała niesmacznych wywodów Akszaja, ale jej brat, Dżogendra, również przytaczał argumenty, mające dowodzić niższości inteligencji kobiecej. To zmusiło Ramesza do wstąpienia w szranki, ocknął się tedy ze swego zamyślenia i zaczął pisać hymny na cześć kobiety.

W tym porywie feministycznym wypił już o dwie filiżanki herbaty więcej niż zwykle, gdy nagle wszedł służący i wręczył mu list, zaadresowany ręką jego ojca. Rzuciwszy okiem na list, Ramesz zrozumiał, że będzie musiał opuścić plac boju, mimo iż dowodzenie jego nie straciło nic na swej sile; wobec tego wstał pospiesznie, chcąc odejść. Ponieważ zerwał się przeciw temu chóralny protest, zmuszony był powiedzieć, iż właśnie ojciec jego przyjechał i czeka na niego.



— Poproś ojca Ramesza Babu do nas, rzekła Hemnalini do Dżogendry — Poczęstujemy go filiżanką herbaty.

— Proszę, nie róbcie sobie, z łaski swojej, kłopotu! — przerwał Ramesz pospiesznie — Najlepiej będzie, jeśli ja sam zaraz do ojca pójde.

Akszaj zatriumfował w duchu.

— Starszy pan prawdopodobnie niczego by tu nie przyjął! — rzekł, czyniąc aluzję do tego, że Annada Babu był Brahmo, zaś ojciec Ramesza Hindu prawowierny, przestrzegający ściśle wszystkich przepisów.

Bradża Mohan Babu, ojciec Ramesza, powitał syna oświadczeniem:

— Musisz jechać ze mną jutro rannym pociągiem. Ramesz poskrobał się w głowę.

— Jakiż powód tego niezwykłego pośpiechu? — zapytał.

— Nic nadzwyczajnego! — odpowiedział Bradża Mohan.

Ramesz pytającym wzrokiem spojrział na ojca, nie rozumiejąc, skąd wobec tego ten pośpiech, ale Bradża Mohan nie uważał za potrzebne zaspokoić ciekawości syna.

Wieczorem, kiedy ojciec poszedł odwiedzić swych kalkuckich przyjaciół, Ramesz zasiadł do napisania listu do niego, napisawszy jednak tradycyjną formułę, za pomocą której syn zwraca się do czczonego ojca. mianowicie: — Do twej czcigodnej stopy lotusowej! — rzucił pióro, mimo iż niejednokrotnie powtarzał sobie, że związany jest z Hemnalini ślubem bez słów i że byłoby rzeczą niewłaściwą zatajać tę cichą umowę przed ojcem. Napisał kilka bruljonów w różnym stylu, ale ostatecznie wszystkie podarł.

Bradża Mohan przyszedł po kolacji i spokojnie położył się spać. Zaś Ramesz wyszedł na dach i krążył po nim smutno, niby jaki duch nocny, z oczami utkwionemi w dom sąsiada. O dziewiątej godzinie nareszcie wyszedł Akszaj, a o pół do dziesiątej zaryglowano bramę. O dziesiątej zgasło światło w pokoju Annady Babu, zaś o pół do jedenastej cały dom pogrążony był we śnie.

Ramesz istotnie opuścił Kalkutę na drugi dzień rano. Bradża Mohan Babu sam uważał, aby nie dać mu sposobności spóźnienia się na pociąg.

## ROZDZIAŁ II.

Kiedy Ramesz przyjechał do domu, dowiedział się, że ma narzeczoną i że termin jego ślubu już jest ustanowiony. Bradża Mohan w młodości swej miał ciężkie czasy, a późniejszą zamożność swą zawdzięczał adwokatowi, imieniem Iszan, przyjacielowi z lat dziecińczych. Iszan umarł przedwcześnie i wówczas pokazało się, że nie zostawił nic, prócz długów. Wdowa po nim i jedyne dziecko — dziewczyna — pozostały nagle bez środków do życia. Ta córka, obecnie w wieku dojrzałym do małżeństwa, była narzeczoną, którą Bradża Mohan przeznaczył dla swego syna. Ludzie, życzliwi młodemu człowiekowi, zwracali uwagę, że, o ile wiedzą, dziewczyna jest brzydka. Krytykę tę Bradża Mohan zbijał stale jednym i tem samym:

— Nie uznaję waszego stanowiska — mówił — Kwiat lub motyla możecie sądzić według jego wyglądu zewnętrznego, nie człowieka. Jeśli dziewczyna ta będzie tak dobrą żoną, jak jej matka, Ramesz będzie mógł uważać się za szczęśliwego człowieka.

Ramesz, usłyszawszy pogłoski, dotyczące jego małżeństwa, zupełnie upadł na duchu i zaczął wałęsać się po okolicy, rozmyślając nad sposobami wyzwolenia się, ale żaden nie przychodził mu na myśl. Wreszcie zdobył się na odwagę powiedzenia ojcu:

— Ojcze! Ja bezwarunkowo nie mogę ożenić się z tą dziewczyną. Mam zobowiązania wobec kogoś innego.

Bradża Mohan: — Co ty mówisz! Czy oświadczyłeś się formalnie?

Ramesz: — Nie, nie formalnie, ale zawsze . . .

Bradża Mohan: — Czy mówiłeś może z rodzicami tej panny? Czy wszystko już ułożone?

Ramesz: — Prawdę mówiąc, nie mówiłem o tem wcale, ale . . .

Bradża Mohan: — O, nie mówiłeś? No, skoro milczałeś dotychczas, potrafisz milczeć i dalej.

Po krótkiej pauzie Ramesz wypuścił swój ostatni pocisk:

— Zrobiłbym jej krzywdę, gdybym się ożenił z kim innym.

— Zrobiłbyś znacznie większą krzywdę — odpowiedział Bradża Mohan — gdybyś nie chciał ożenić się z tą panną, którą ja dla ciebie za żonę wybrałem.

Na to Ramesz nie mógł już nic odpowiedzieć. Jedyna nadzieja w tem — myślał — że jakiś wypadek może małżeństwo uniemożliwić.

Stosownie do horoskopów astrologów, cały następny rok, poczynając od dnia, w którym miał się odbyć ślub, uznany był za niepomyślny. Wobec tego Rameszowi przeleciało przez myśl, iż od chwili, kiedy minie fatalny dzień, będzie miał przed sobą cały rok zwłoki.

Narzeczona mieszkała w odległej miejscowości, do której można się było dostać tylko wodną drogą. Najkrótsza, prowadząca tam droga, wiodąca większemi dopływami i łączącemi je kanałami, wymagała trzech do czterech dni podróży. Bradża Mohan, licząc się z ewentualnemi przeszkodami, wyruszył wraz z całym orszakiem w dniu, urzędowo oznaczonym jako pomyslny, na tydzień przed terminem ślubu. Wiatr sprzyjał im przez cały czas, tak, iż w Simulgath'ie stanęli po niecałych trzech dniach podróży, to znaczy, na cztery dni przed ślubem. Starszy pan miał też swe przyczyny, dla których starał się przybyć jak najwcześniej. Oto matka panny młodej nie była zdrowa i on oddawna już myślał o tem, aby umożliwić jej przeniesienie się na wieś, gdzie mogłaby żyć wygodnie, zaś on w ten sposób spłaciłby dług, zaciągnięty w młodości. Jak długo między nimi nie było żadnych węzłów pokrewieństwa, delikatność zabraniała mu uczynić damie tę propozycję, teraz jednak, wobec ułożonego małżeństwa, mógł prosić o jej zgodę i otrzymać ją. Ponieważ całą jej rodzinę stanowiła jej jedyna córka, chętnie zgodziła się na propozycję, aby parze młodej zastąpić matkę, której pan młody już nie miał. Rozstrzygnęła tę kwestję powiedzeniem:

— Niech sobie plotkarze mówią, co chcą, moje miejsce jest u boku córki i jej małżonka.

Tak tedy Bradża Mohan spędził swój wolny czas przed ślubem syna na przygotowaniach do przeprowadzki czcigodnej damy do nowej jej siedziby. A ponieważ pragnął, aby teściowa towarzyszyła młodej parze w jej poślubnej podróży do domu, przywiózł też parę sług, które miały być na jej rozkazy.

Ślub odbył się według wszelkich przepisów, z wyjątkiem, że Ramesz nie wygłosił poprawnie uświęconej rotę przysięgi, zamknął oczy, kiedy nadeszła chwila „pomyślnego spojrzenia“ (uprzywilejowany moment, w którym narzeczony i narzeczona widzą się po raz pierwszy), miał posępną minę, ani razu nie odezwał się podczas pokładzinowych żartów w sypialni nowożeńców, w nocy tyłem obrócił się do swej żony, a jak tylko ranek zaświtał, opuścił pokój.

Kiedy wszystkim obrzędom stało się zadość, cały orszak umieścił się na łodziach. Do jednej wsiadły kobiety, do drugiej starsi panowie, do trzeciej pan młody z drużbami. Muzykanci, którzy przygrywali na weselu, zostali umieszczeni w czwartej łodzi i urozmaicali czas wygrywaniem najróżniejszych melodji.

Przez cały dzień było strasznie gorąco. Na niebie nie widziało się ani jednej chmurki, ale horyzont przesłaniały posępne opary. Drzewa na brzegu rzeki były czarne i żółte, dziwne, a ani jeden liść nie drgnął. Wioślarze złani byli potem. Jeszcze kiedy słońce świeciło na horyzoncie, uprzedzali Bradzę Mohana:

— Czy nie lepiej byłoby przywiązać łodzie tu, panie? Milami trzeba jechać, aby dalej znaleźć jakąś przystań.

Ale Bradża Mohan chciał być jak najprędzej w domu.

— Tu czekać nie możemy! — odpowiedział — Tu księżyc mamy przez całe pół nocy. Lepiej jechać do Baluhaty i tam wylądować. Zapłacę wam za to, co chcecie.

Wobec tego ludzie wzięli się znowu do wiosel.

Po jednej stronie widać było ławice piaskowe, lśniące w upale, po drugiej wysokie urwisko. Księżyc

wschodził nad mgłą, ale świecił błędnym blaskiem, jak oko pijaka. Niebo było wciąż bez chmur, gdy naraz, bez najmniejszego ostrzeżenia, ciszę zmącił odgłos, podobny do głuchego loskotu grzmotu. Podróźni, obejrawszy się, ujrzeni za sobą słup ze złamanych konarów i gałęzi, snopów siana i słomy i chmury kurzawy i piasku, wszystko podniesione, jak gdyby przez olbrzymią miotłę, i pędzące prosto na nich.

Odezwały się przerażone okrzyki:

— Trzymaj się! Trzymaj! Trzymaj! Ratunku! Ratunku!

Co się potem stało — nikt nie wie.

Trąba powietrzna, idąc, jak zwykle, wąską ścieżką zniszczenia, zstąpiła na czołna, przewracając, wyrывая z korzeniem wszystko, co spotkała na swej drodze.

W jednej chwili nieszczęsna flotylla przestała istnieć.

### ROZDZIAŁ III.

Mgła opadła, a jasne światło księżyca okryło szeroką ławicę piasku lśniącą, białą szatą, jakie u nas noszą wdowy. Na rzece nie widać było ani łódki, ani nawet zmarszczki najmniejszej, i cisza, podobna do niczem niezmaconego pokoju, jakim śmierć wieńczy umęczoną ofiarę, spowiła wodę i brzegi.

Kiedy Ramesz odzyskał przytomność, spostrzegł, że leży na brzegu piaszczystej wyspy. Jakiś czas minął, zanim zdołał sobie przypomnieć, co się stało, a potem cała katastrofa, niby sen gorączkowy, naraz tak żywo stanęła mu w oczach, że zerwał się na równe nogi. Pierwszą jego myślą było dowiedzieć się, co się stało

z ojcem i jego przyjaciółmi. Rozglądał się dokoła, ale nigdzie nie było żywej duszy. Chodził nad wodą, szukając napróżno. Śnieżno-biała wyspa leżała, jak dziecko w ramionach, między dwoma ramionami wielkiej rzeki Padmy — dopływu Gangesu. Ramesz obszedł wyspę z jednej strony i już chciał rozpocząć poszukiwania po drugiej, gdy nagle dostrzegł coś podobnego do czerwonej sukni. Przyspieszył kroku i znalazł leżące bez życia na piasku młode dziewczę w karmazynowej sukni panny młodej.

Ramesz wiedział, co czynić w takich wypadkach. Przez dłuższy czas robił sztuczne oddychanie, podnosząc ramiona omdlałe nad głowę, a potem wciskając je w boki, aż wreszcie dziewczyna odetchnęła i otwarła oczy.

Tymczasem Ramesz sam był już do tego stopnia wyczerpany, że przez kilka minut brakowało mu tchu, aby móc zadać dziewczęciu jakieś pytanie. Dziewczyna również niezupełnie jeszcze, zdawało się, odzyskała przytomność, bo zaledwie podniosła powieki, znowu je ciężko opuściła. Ramesz przekonał się jednak, że oddech ma już równy. Przez dłuższy czas siedział, przyglądając się jej w bladym świetle księżyca. W dziwnym otoczeniu spotykali się po raz pierwszy, na tej opuszczonej wysepce, między ziemią a wodą, jak między życiem a śmiercią.

Kto powiedział, że Susila nie jest ładna? Księżyc zalewał krajobraz świetną promienistością, sklepienie niebios wydawało się wielkiem nieskończeniem, ale cała wspaniałość Przyrody w oczach Ramesza była niczem w porównaniu z twarzą tej małej dziewczynki.

Zapomniał o wszystkim.

— Szczęśliwy jestem teraz — rozmyślał — że nie spojrzałem na nią w gwarze i zamieszaniu ślubu. Nigdy nie miałbym sposobności widzieć jej taką, jaką widzę teraz. Przez to, że przywróciłem jej życie, uczyniłem ją swoją znacznie prawdziwiej, niż przez powtarzanie rytualnych formuł podczas ślubu. Wygłoszeniem formuł uczyniłem ją moją tylko w oczach ludzkich, podczas gdy teraz otrzymałem ją jako szczególny dar łaskawej Opatrzności.

Dziewczę odzyskało przytomność i usiadło.

— Czy panienka wie, co się stało z innymi z waszej łodzi?

W milczeniu potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mógłbym może odejść na parę minut i poszukać ich? — mówił dalej Ramesz.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale drgnięcie jej ciała wymowniejsze było niż gdyby rzekła:

— Proszę nie zostawiać mnie tu samej!

Ramesz zrozumiał tę niemą prośbę. Wstał i rozglądał się, lecz na migotliwej, piaszczystej pustyni nigdzie nie było ani śladu życia. Wołał przyjaciół swych jednego po drugim po imieniu, krzycząc z całych sił. Nikt nie odpowiadał.

Widząc, że usiłowania jego są daremne, Ramesz znowu usiadł. Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach, starając się powstrzymać łzy, ale pierś jej falowała silnie. Instynktownie zrozumiał, że słowa pociechy na nic się nie zdadzą, więc przysiadł się tylko do niej bliżej i bardzo delikatnie zaczął ją głaskać po pochylonej głowie i karku. Nie mogła dłużej powstrzymać łez i ból jej wybuchnął naraz łkaniem i strumieniem nieartykułowanych skarg. Z współczucia i Rameszowi łzy z oczu pociekły.



Kiedy tak z całego serca płakali, księżyc zaszedł. Okropne pustkowie podobne było w ciemnościach do posepnego snu, a biała, piaszczysta pustynia miała w zmroku wygląd upiorny. Tu i owdzie w słabem świetle gwiazd lśniła rzeka, jak połyskujące ciemne zwoje wielkiego węża.

Ramesz wziął w swoje dłonie ręce dziewczyny — delikatne, małe rączki, zimne ze strachu — i pociągnął ją zlekka ku sobie. Nie opierała się. Trwoga zagłuszyła w niej wszystkie instynkty, wyjąwszy pragnienia towarzystwa ludzkiego. Schronienie, którego tak pragnęła w ciemnościach, znalazła na ciepłej piersi, na mocno bijącym sercu Ramesza. Nie w porę była tu wstydlivość, więc pełna ufności spoczęła w uścisku jego ramion.

Gwiazda poranna zgasła, nad szarem przestworzem rzeki niebo na wschodzie zbladło, potem zarumienilo się. Ramesz leżał na piasku, pogrążony w głębokim śnie, a młoda oblubienica spała tuż przy nim, z głową na jego ramieniu. Promienie wschodzącego słońca musnęły zlekka ich oczy i oboje zbudzili się. Przez chwilę zdumieni rozglądali się, a nagle zrozumieli, iż są rozbitkami i znajdują się daleko od swych domów.

#### ROZDZIAŁ IV.

Wkrótce potem rzeka upstrzona była białymi żaglami łodzi rybackich. Ramesz przywołał jedną taką łódź i z pomocą rybaków najął wielkie czółno, które miało zawieźć go z powrotem do domu. Przed odjazdem dał policji wszystkie wskazówki, potrzebne do poszukiwań jego nieszczęsnych towarzyszków.

Kiedy łódź zawinęła do przystani we wsi Ramesza, pokazało się, iż policja odnalazła zwłoki ojca Ramesza jego teściowej i kilku jego krewnych, prawdopodobnie uratowało się też kilku wioślarzy, zresztą wszyscy zginęli.

W domu pozostała tylko stara babka Ramesza. Przybycie wnuka i jego oblubienicy powitała głośnym lamentem i płacz rozległ się we wszystkich rodzinach, które były reprezentowane na ślubie. Nie dęto w konchy, nie witano panny młodej zwykłemi okrzykami radości. Nikt nie myślał zajmować się nią, ludzie unikali wprost jej widoku.

Ramesz postanowił opuścić wraz z żoną swą wieś rodzinną natychmiast po pogrzebie, nie mógł się jednak ruszyć, nie uporządkowawszy wpierw interesów zmarłego ojca. Pograżone w żałobie panie z jego rodziny prosiły go o pozwolenie udania się w pielgrzymkę do świętych miejsc, co też nie mogło się obejść bez przygotowań.

W chwilach wolnych od tych przykrych zajęć, myślał czasami o miłości. Oblubienica jego nie była takim dzieckiem, jak mu opowiadano — kobiety ze wsi wyśmiewały ją nawet, twierdząc, iż przekroczyła już wiek stosowny do małżeństwa — ale kiedy trzeba było zabrać się do dzieła, młody doktor praw nie wiedział od czego zacząć. Trzeźwy rozsądek mówił mu, że właściwie nie może tego zrobić i nie powinien. A mimo to, rzecz ciekawa, choć jego książkowa uczoność bynajmniej mu nie pomagała, czuł jakiś dziwny pociąg do tej małej dziewczynki i nawet jego tak wykształcony umysł nie mógł się oprzeć jej urokowi.

W wyobraźni widział ją już jako swą przyszłą towarzyszkę. W marzeniach zjawiała mu się w naj-

rozmaitszych postaciach, to jako dziewczyna oblubienica, jego ubóstwiana pani, to jako czysta matka jego dzieci. Jak malarz w sercu swem w miejscu najświętszem ustawia obraz doskonały, zaś poeta doskonały poemat, a potem całą swą duszę składa u stóp jego, tak Ramesz ten cień dziewczęcia umieścił w kaplicy swej wyobraźni ku rozkoszy swego serca i jako dawczynię radości i pomyślności jego domowi.

## ROZDZIAŁ V.

Uporządkowanie interesów i przygotowania do pielgrzymki, planowanej przez starsze damy, zajęły Rameszowi trzy miesiące. Niektóre sąsiadki zaczęły się zbliżać do młodej jego żony. W miarę jak czas mijał, zacieśniał się też luźny węzeł uczucia, jakie łączyło ją z Rameszem.

Młoda para miała zwyczaj spędzania swych wieczorów pod gołym niebem, na matach, rozesłanych na dachu. Ramesz pozwalał sobie już na pewne poufałości. Chwytał dziewczkę nagle z tyłu, zasłaniał jej oczy dłońmi i przyciągał jej głowę ku swej piersi. Kiedy wczesnym wieczorem zasnęła czasem przed kolacją, budził ją nagle, za co odplącała mu łajaniem.

Pewnego wieczoru z żartów wziął ją za gładko zaczesane włosy, zlekka potargał i rzekł:

— Susila, nie lubię takiego uczesania, jak dzisiejsze. Dziewczyna usiadła.

— Przepraszam bardzo, dlaczego wy wszyscy nazywacie mnie Susilą? — zapytała.

Ramesz spojrział na nią zdziwiony, nie rozumiejąc, co to pytanie ma oznaczać?

— Zmiana mego imienia nie zmieni mego losu — mówiła dalej — Od dzieciństwa szczęścia nie miałam i nigdy go mieć nie będę.

Serce Ramesza drgnęło z trwogi, twarz pobladła. Ogarnęło go nagle przeczucie, że w tem wszystkim musi tkwić gdzieś jakieś straszne nieporozumienie.

— Dlaczego mówisz, że przez całe życie nie miałaś szczęścia?

— Mój ojciec umarł, zanim przyszedłam na świat, a nie miałam jeszcze pół roku, gdy umarła mi matka. W domu wuja było mi bardzo źle. A naraz dowiedziałam się, że pan się niespodziewanie zjawił i że się panu spodobałam. W dwa dni później pobraliśmy się, a co się potem stało — pan sam wie.

Ramesz bezsilnie opadł na poduszki. Księżyc wzeszedł, ale zdawało się, jak gdyby w promieniach jego nie było blasku. Chciał zadać inne pytanie, próbując równocześnie to, co usłyszał, odsunąć od siebie jak marę, jak złudzenie. Ciepły, południowy wiatr zaczął zcicha skomleć, podobny do westchnień człowieka, budzącego się ze snu, a czujna kukulka wywoływała wciąż do księżyca swą monotonną nutę. W powietrze wznosił się śpiew wioślarzy z łodzi, przymocowanych do palów w niedalekiej przystani.

Dziewczyna, sądząc prawdopodobnie, iż Ramesz zapomniał o jej obecności, trąciła go zlekka.

— Pan śpi? — spytała.

— Nie! — rzekł Ramesz, ponieważ jednak milczał w dalszym ciągu, dziewczyna spokojnie zasnęła.

Ramesz usiadł i zaczął się jej przyglądać, ale na czole jej nie było niczego, coby mogło pozwolić odgadnąć tajemnicę, jaką los tu napisał. Czyż możliwe, aby tyle wdzięków maskowało los tak straszny?

## ROZDZIAŁ VI.

Ramesz wiedział teraz, że dziewczyna nie była jego żoną, niełatwo jednak mógł dojść, czyją żoną była. Pewnego dnia zapytał jej przebiegle:

— Co Susila myślała, kiedy mnie pierwszy raz zobaczyła podczas ślubu?

— Wcale pana nie widziałam! — odpowiedziała — Przez cały czas nie podnosiłam oczu.

— Ale imię i nazwisko moje Susila słyszała?

D z i e w c z ę. Dzień przed ślubem wogóle pierwszy raz w życiu o panu słyszałam. Ciotka tak chciała się mnie pozbyć, że mi nie powiedziała nawet, jak się pan nazywa.

R a m e s z. Ale, ale! Mówiono mi, że Susila umie czytać i pisać! Ano, czy się potrafi podpisać.

To rzekłszy, podał jej arkusz papieru i ołówek.

— Jaby się nie potrafiła podpisać! — wykrzyknęła pogardliwie — Jak gdyby to była taka wielka sztuka!

To mówiąc, napisała wielkimi literami:

Srimati Kamala Debi.

R a m e s z. A teraz proszę napisać, jak się wuj nazywał.

Kamala napisała:

Sridżukta Tarini Czarani Czattopadhjaj.

— Zrobiłam jakiś błąd? — zapytała.

— Nie — odpowiedział Ramesz — No, a teraz nazwa wsi.

Napisała:

Dhobapukur.

W ten sposób powoli Ramesz zebrał pewną ilość faktów z życia dziewczyny, ale kiedy wszystko wyczerpał, okazało się, że stoi tam, gdzie stał.

Zaczął się zastanawiać nad tem, co ma począć. Jej mąż prawdopodobnie utonął. Nawet gdyby Ramesz zdołał odszukać jego rodzinę i gdyby odesłał do niej Kamalę, bardzo było wątpliwem, żeby ją przyjęli, a odsyłać ją do domu wuja nie byłoby pięknie ze względu na nią. Jakiegoż przyjęcia mogła się spodziewać, gdyby się dowiedziano, że przez cały ten czas jak żona żyła z człowiekiem, który nie był jej mężem? Gdzież znajdzie schronienie? Nawet gdyby jej mąż żył, czyż było prawdopodobnem, że chciałby ją teraz zabrać do siebie, żeby się na to odważył! Cokolwiekby Ramesz zrobił, jakkolwiekby z nią postąpił — wszystko byłoby wpędzeniem jej w sytuację bez wyjścia. Nie było innej rady, jak tylko żyć z nią jak mąż z żoną, bo mowy o tem być nie mogło, aby ją komuś oddać; a mimo to nie mógł z nią żyć, jak mąż z żoną. Należało jak najprędzej wymazać z pamięci uroczy obraz dziewczęcia jako przyszłej towarzyszki życia, choć malował go sobie tak płomiennie barwami, które miłość mieszała!

Stały pobyt w jego rodzinnej wsi byłby nie do zniesienia, ale w gęsto zaludnionej Kalkucie Ramesz był przecież niczem, mógł tam łatwo zniknąć i znaleźć jakieś rozwiązanie swego problemu. To też wziął ze sobą do Kalkuty Kamalę i zamieszkał w dzielnicy dalekiej od swego dawnego mieszkania.

Kamalę podróż nadzwyczaj podnieciła. Zaraz pierwszego dnia, jak tylko się rozgościli w mieszkaniu, usadowiła się w oknie. Widok niewstrzymanej rzeki ludzkiej wzbudził w niej ciekawość, której nic nie było w stanie zaspokoić. Usługująca im posługaczka, dawno przywykła do ulic Kalkuty, nie mogła pojąć jej zdumienia i patrzyła na dziewczynę, jak na warjatkę.

— I na co się tu tak gapić? Możeby pani kąpiel wreszcie wzięła! Już późno! — wykrzykiwała zgryźliwie.

Była to posługaczka przychodnia, która przychodziła rano, a odchodziła wieczorem. W żaden sposób nie można była znaleźć nikogo, ktoby zgodził się nocować.

— Ja z Kamalą już spać nie mogę! — myślał Ramesz — Ale jakże to dziecko będzie spało samo w cudzym domu?

Po kolacji służąca odeszła. Ramesz pokazał Kamali, gdzie ma spać, a potem powiedział:

— Proszę się teraz położyć. Ja przyjdę później, jak skończę czytać.

Wziął książkę i udawał, że czyta. Kamala była zmęczona i wkrótce zasnęła.

Udało się tak pierwszej nocy. Na drugi dzień także w jakiś sposób poszczęściło mu się wyprawić ją spać samą. Dzień był bardzo gorący. Ramesz rozesłał kocyk na balkonie sypialni i tam ułożył się na noc. Leżał długo, rozmyślając i wachlując się, póki wreszcie około północy nie zasnął.

Coś między drugą a trzecią nad ranem zbudziło go uczucie, że nie jest sam; ktoś wachlował go delikatnie. Napół przytomny pociągnął dziewczę ku sobie, mrużąc przez sen:

— Niech Susila idzie spać, nie trzeba mnie wachlować!

Strach przed ciemnością wpędził Kamalę w ramiona Ramesza, w których zasnęła spokojnie.

Ramesz zbudził się wreszcie i dźwignął się skonsternowany. Kamala wciąż jeszcze spała z prawem ramieniem dokoła jego szyi. Z ujmującą ufnością,

nie pytając go wcale o pozwolenie, zrobiła sobie z jego piersi poduszkę. Kiedy się przyglądał śpiącemu dziewczęciu, oczy jego napelniły się łzami. Jak mógł tak brutalnie rozerwać splot ufających ramion dziewczęcych! Przypomniawszy sobie teraz, że w nocy zakradła się do niego, aby go wachlować.

Z głębokim westchnieniem wyzwolił się z delikatnego uścisku i wstał.

Po wielu rozmyślaniach przyjął, jako tymczasowe rozwiązanie problemu, myśl umieszczenia Kamali na pensji dla panien. Natychmiast przystąpił do rzeczy:

— Czy Kamala nie chciałaby się uczyć?

Spojrzała nań z wyrazem, wymowniejszym od słów.

— Co pan może przez to rozumieć? — mówiły jej oczy.

Ramesz zaczął się szeroko rozwódzić nad dobrodziejstwem wykształcenia i rozkoszą, jaką daje nauka, ale mógł sobie oszczędzić fatygi, bo Kamala powiedziała tylko:

— Dobrze, więc niech mnie pan uczy!

— Kamala musi chodzić do szkoły!

— Do szkoły! — wykrzyknęła Kamala — Taka duża dziewczyna, jak ja, do szkoły!

Ramesz uśmiechnął się, słysząc, że Kamala uważa się już za dorosłą.

— Znacznie starsze panienki od Kamali chodzą do szkoły! — rzekł.

Kamala nie wiedziała już, co odpowiedzieć i pewnego poranku Ramesz zawiózł ją do szkoły. Był to wielki dom, a zdawało się, że wprost niezliczone mieszka w nim mnóstwo dziewcząt, starszych i młodszych od Kamali.



Ramesz polecił ją opiece przełożonej i już miał odejść, gdy zauważył, że Kamala zrobiła ruch, jakby mu chciała towarzyszyć.

— Dokądże to? — spytał — Kamala zostanie tu.

— A pan tu nie zostanie? — zapytała Kamala drżącym głosem.

— Ja nie mogę! — odpowiedział Ramesz.

— Wobec tego i ja tu mieszkać nie mogę! — rzekła Kamala, chwytając go za rękę. — Proszę mnie wziąć ze sobą.

— Niechże Kamala nie będzie szaloną! — powiedział Ramesz, wyzwalając swą rękę.

Ta nagana zmusiła Kamalę do milczenia. Dziewczyna stanęła jak wryta, a twarz jej zdawała się kurczyć, maleć i chudnąć w oczach. Z bólem serca Ramesz odszedł spiesźnie, lecz napróżno się spieszył — nigdy już w życiu nie zapomniął wyrazu bezsilności i przerażenia na tej miłej twarzyczce.

## ROZDZIAŁ VII.

Ramesz zamierzał teraz zgłosić się jako adwokat do sądu w Alipore w Kalkucie, zdawało się jednak, jak gdyby zupełnie stracił siłę woli. Brakowało mu energii, stanowczości niezbędnej do urzeczywistnienia zamiaru i przewyciężenia wszystkich trudności, jakimi najeżona jest ścieżka początkującego prawnika. Chętniej puszczał się na bezcelowe wędrówki przez most Howrah lub dokoła College Square i właśnie układał sobie w duchu małą wycieczkę na północny-zachód,

gdy pewnego dnia otrzymał list od Annady Babu. Czcigodny „gentleman“ pisał:

*Czytałem w „Gazecie“, że pan egzamin zdał, załuję jednak bardzo, że nie dowiedziałem się o tem od Pana samego. Dawno już nie słyszeliśmy nic o Panu. Proszę uwzględnić niepokój starych przyjaciół i dać nam znać, jak się Panu powodzi i kiedy Pan przyjedzie do Kalkutty.*

Nie od rzeczy będzie napomknąć w tem miejscu, iż młody człowiek w Anglii, którego Annada Babu miał na oku jako swego ewentualnego zięcia, został już adwokatem, powrócił do Indji i zdażył się zaręczyć z młodą, posażną damą.

Ramesz miał grube wątpliwości, czy po tem wszystkim, co zaszło, wypada mu odnowić swój stosunek z Hemnalini na dawnej stopie. W tej chwili pod żadnym warunkiem nikomu nie mógł zdradzić tajemnicy swego związku z Kamalą, ponieważ to hańbą mogłoby okryć niewinne dziewczę, zaś chcąc powrócić do dawnej zażyłości z Hemnalini, pragnął mieć sumienie zupełnie czyste.

W żadnym wypadku jednak, nie chcąc być niegrzecznym, nie mógł zwlekać z odpowiedzią na list Annady Babu. Wobec tego odpisał:

*Proszę mi wybaczyć, że nie złożyłem Państwu swego uszanowania; przeszkodziły mi w tem okoliczności, odemnie niezależne.*

Jednakże swego nowego adresu nie podał.

Na drugi dzień po wysłaniu tej odpowiedzi pierwszy raz stanął przed trybunałem Alipore w tradycyjnej peruce obrońcy.

W parę dni później, wracając z sądu i zrobiwszy część drogi pieszo, właśnie wsiadał do dorożki, aby się udać do domu, gdy wtem usłyszał dobrze znany sobie głos:

— Ojczy, to Ramesz Babu!

— Stój! Stój! — zawołał na wóźnicę męski głos i dorożka jakaś podjechała tuż do dorożki, przy której stał Ramesz. Annada Babu i jego córka wracali z wycieczki do Ogrodu Zoologicznego w Alipore, — stąd to niespodziewane spotkanie.

Jak tylko Ramesz ujrzał oczy Hemnalini w dorożce — Hemnalini z jej słodką, pogodną twarzą, z jej strojem i fryzurą tak charakterystyczną a tak dobrze mu znaną, ze skromnemi kolczykami i złotemi, rżniętymi w fasety bransoletami na rękach — taka fala wzruszenia wezbrała mu piersi, że stracił mowę.

— A więc to jednak istotnie Ramesz! — wykrzyknął Annada Babu — Co za szczęśliwy traf, żeśmy pana spotkali tak na ulicy! Przestał pan do nas pisywać, a zresztą nie podaje pan swego adresu. Co pan tu robi? Ma pan może jaki interes?

— Nie, wracam właśnie z sądu — odpowiedział Ramesz.

— To chodź pan do nas na herbatę.

Serce Ramesza tak wezbrało uczuciem, że nie było w niem miejsca na wahanie. Wsiadł do dorożki i, przewyciężywszy z ogromnym wysiłkiem wzruszenie, zwrócił się do Hemnalini z zapytaniem, jak się jej powodzi.

— Dlaczego pan nie doniósł mi, że pan zdał egzamin? — spytała zamiast odpowiedzi.

Ramesz nie był w tej chwili zdolny do zastanawiania się nad odpowiedzią, dlatego rzekł tylko:

— A ja wiem, że pani też zdała.

Hemnalini roześmiała się.

— O, więc jednak pan niezupełnie o nas zapomniał! I to coś znaczy!

— Gdzie pan teraz mieszka? — zapytał Annada Babu.

— W Darddżiparze. — odpowiedział Ramesz.

— Dlaczego? Przecie mieszkanie w Kalutoli było bardzo miłe! — zauważył starszy pan.

Hemnalini spojrzała na Ramesza, jakby ciekawa, co odpowie. Ramesz zauważył to spojrzenie i wyczytał w niem wyrzut.

— Ależ i owszem! Sam myślałem, żeby się sprowadzić znowu do mego dawnego mieszkania! — wyjąkał.

Rozumiał dobrze, iż Hemnalini wzięła mu bardzo za złe, że się wyprowadził i że potępiła go za to. Myśl ta zrobiła mu wielką przykrość i nie był w stanie natychmiast obmyślić planu obrony. Na razie jednak krzyżowy ogień pytań ustał na chwilę, a Hemnalini ostentacyjnie przyglądała się ulicy.

Kiedy milczenie stało się już nieznośne, Ramesz dobrowolnie zaryzykował wyjaśnienie:

— W pobliżu Heduy mieszka jeden z moich krewnych. Zamieszkałem w Darddżiparze, aby móc z nim utrzymywać kontakt.

Kłamstwem to niby nie było, ale jako wyjaśnienie brzmiało nieudolnie i niezręcznie. Jak gdyby Kalutola była zbyt odległa od Heduy, aby móżd od czasu do czasu odwiedzać dalekiego krewnego!

Hemnalini wciąż jeszcze przyglądała się ulicy, a biedny Ramesz napróżno silił się na jakiś nowy pomysł. Po dłuższym dopiero czasie zapytał:

— A co słyhać z Dżogendrą?

Odpowiedział mu Annada Babu:

— Nie zdał egzaminu i wyjechał na północ na świeże powietrze.

Nareszcie dorożka stanęła przed domem.

Znane pokoje i sprzęty nie straciły dla Ramesza nic ze swego dawnego uroku. Z westchnieniem, w którym ulga i żal dziwnie się mieszały, usiadł bez słowa.

— Prawdopodobnie interes jakiś zatrzymywał pana tak długo na wsi? — odezwał się nagle Annada Babu.

— Ojciec mój umarł — — zaczął Ramesz.

— Co pan mówi! Biedaku! Biedaku! I jakże się to stało?

— Wraciał łodzią do domu — Padmą. Naraz zerwała się burza, przewróciła łódź i ojciec utonął.

Jak nagle tchnienie wiatru rozprasza chmury i oczyszcza z nich niebo, tak ta wieść o nieszczęściu Ramesza usunęła wszystkie nieporozumienia między nim a Hemnalini.

Hemnalini myślała ze skruczą:

— Krzywdziłam Ramesza Babu. Zajęty był swem nieszczęściem i kłopotami, jakie z niego wynikły. Może być, że dotychczas jeszcze rozpacza. Potępiliśmy go, nie spytawszy się nawet, czy nie ma jakich przykrości rodzinnych lub innych trosk.

Stała się naraz bardzo czułą dla osierociałego młodzieńca.

Ramesz nie miał apetytu, więc Hemnalini zachęcała go do jedzenia.

— Pan nie jest zupełnie zdrow! — mówiła — Musi pan więcej uważać na swe zdrowie.

A naraz zwróciła się do Annady Babu:

— Tatusiu, Ramesz Babu musi dziś u nas zostać na kolacji.

— Rozumie się, — rzekł starszy pan.

W tej chwili na scenie zjawił się Akszaj. Przez jakiś czas na „five-o-clockach“ Annady Babu nie miał rywala, stąd nieoczekiwane zjawienie się Ramesza było dla niego przykrą niespodzianką. Mimo to zapanował nad sobą i wykrzyknął wesolo:

— A to co? Pan tu, Ramesz Babu? Myślałem już, że pan zupełnie o nas zapomniał!

Ramesz uśmiechnął się tylko niewyraźnie, zaś Akszaj mówił dalej:

— Kiedy zobaczyłem, jak ojciec pański się do pana zabrał, byłem pewny, że nie wypuści pana z rąk, dopóki pana nie ożeni. I cóż? Udało się panu ostatecznie tej klęski uniknąć?

Pełne oburzenia spojrzenie Hemnalini zamknęło Akszajowi usta.

— Akszaj, Ramesz stracił ojca — rzekł Annada Babu.

Ramesz spuścił głowę, aby ukryć nagłą bladość.

Obrażona na Akszaja za to, że śmiał dotknąć jego bolączki, Hemnalini wmieszała się do rozmowy:

— Ramesz Babu, pan nie widział jeszcze mego nowego albumu?

A przyniósłszy album, rozłożyła go przed Rameszem i, pokazując mu zdjęcia, znalazła sposobność zapytania szeptem:

— O ile wiem, pan w swem mieszkaniu jest zupełnie sam, Ramesz Babu?

— Tak! — odpowiedział Ramesz — Zupełnie sam.

— W takim razie musi pan czempredzej wrócić do dawnego mieszkania w naszym sąsiedztwie.

— I owszem! Przeprowadzę się bezwarunkowo następnego poniedziałku.

— Widzi pan, chciałabym bardzo, aby pan od czasu do czasu pomógł mi w mych studjach filozoficznych! — dodała przemyślnie.

Ramesz był zachwycony tą perspektywą.

## ROZDZIAŁ VIII.

Ramesz nie zwlekał długo z powrotem do dawnego mieszkania. Z nieporozumienia, jakie swego czasu rzuciło cień na jego stosunki z Hemnalini, nie pozostało już ani śladu. Traktowano go jak syna, dopuszczano do zabaw w ścisłym kółku rodzinnem, nie brakowało go przy żadnej uroczystości.

Długie godziny, jakie Hemnalini poświęcała ścisłemu studjum, uczyniły ją wątłą do tego stopnia, iż, patrząc na smukłe jej kształty, można było obawiać się, że silniejszy powiew złamie ją jak trzcinę. Była skryta i milcząca, a przyjaciółki jej czasem nie śmiały się nawet do niej odzywać, jakby obawiając się, że się obrazi.

A naraz po kilku dniach zdumiewająca zmiana zaszła w jej wyglądzie i sposobie zachowania się. Delikatny rumieniec ożywił jej blade policzki, a za każdym słowem oczy jej tańczyły wesoło. Był czas, kiedy zwracanie większej uwagi na strój uważała za dowód powierzchowności, jeśli nie za zbrodnię. Co wpłynęło na to, że obecnie pod tym względem zapatrywania jej zmieniły się, nikt się nigdy nie dowie, ponieważ nikomu się z tego nie zwierzyła.

Ramesz ze swej strony był nie mniej, niż dawniej, poważny i zrównoważony. Świadomość odpowiedzial-

ności zdawała się górować tak nad jego umysłem jak i nad ciałem. Gwiazdy swobodnie krążą w swych orbitach, ale obserwatorjum astronoma ze wszystkimi aparatami musi mieć pozycję stałą, opartą na pewnych i trwałych fundamentach. Tak też i Ramesz trwał wśród swych ksiąg i ich filozofji, obojętny na pusty gwar otaczającego go świata zewnętrznego. Ale przecie pewne nowe i niebywałe dotąd ożywienie wniosło blask swój i w jego surowy tryb życia. Prawda, że zaczepiony, nigdy nie umiał się odciąć, ale potrafił nieraz dać wyraz swemu przekonaniu za pomocą szczerego śmiechu. Jeśli pomada nie pokalała nigdy jego włosów, był przynajmniej staranny w ubraniu. Umysłowo i fizycznie stał się jakby żywszym i łatwiej udzielającym się.

## ROZDZIAŁ IX.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Kalkutta zupełnie pozbawiona jest tego, co, zdaniem poetów, stanowi niezbędne dla młodych kochanków tło. Niema tu bynajmniej kwitnących gajów „asoku“ i „bakulu“, liściastych altan jaśminowych, ani śpiewu kukułki o czarno-żółtem podgardlu; wszystko to świeci swą nieobecnością. A mimo to Miłość-czarodziejka nie odchodzi z pustemi rękami z trzeźwego i pozbawionego wszelkiego wdzięku miasta nowoczesnego. Któż może zbadać wszystkie drogi najstarszego i najmłodszego z bogów, który z łukiem swym uwija się wśród gęstego tłumu ulicznego, drwi sobie z opancerzonych stałą tramwajów i w pole wyprowadza „policemenów“ w czerwonych turbanach!

Ramesz i Hemnalini mieszkali wśród gęstwy domów dzielnicy Kalutola, naprzeciw szewca, w są-



siedztwie handlu korzennego, a jednak miłość ich toczyła się torem tak gładkim, jak gdyby mieszkali w romantycznych zamkach. Okoliczność, że miejscem ich schadzek był pokój Annady Babu, ze starym, małym stolikiem, nakrytym obrusem, poplamionym herbatą, a nie zakątek jakiś nad jeziorem, porośniętym lotusami, zupełnie nie przeszkadzała Rameszowi. Nigdy żaden legendarny pasterz z sielanki nie pieścił oswojonej sarenki swej pani z tak gorącym uczuciem, z jakim Ramesz drapał w szyję ulubionego kota Hemnalini. A kiedy „kicia“ wygięła swój grzbiet i wstawiała, aby przystąpić do swej obrzędowej toalety, rozkochanemu młodzieńcowi wydawała się najpiękniejszym zwierzęciem na świecie.

Hemnalini, w czasie, kiedy wszystkie jej myśli zajęte były egzaminem, zaniedbała trochę roboty ręczne, skutkiem czego teraz brała lekcje szycia od przyjaciółki. Ramesz uważał tę pracę za zajęcie zupełnie niepotrzebne, nie zasługujące nawet na uwagę. Wspólnym ich terenem była literatura i na tem polu rozumiał się z Hemnalini dobrze, ale gdy szło o robótki ręczne, schodził na drugi plan.

— Dlaczego pani od jakiegoś czasu z takim zapamiętaniem zajmuje się robótkami? — wykrzyknął nie bez irytacji — To dobre dla ludzi, którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Hemnalini uśmiechnęła się tylko i nawlokła nitkę.

Akszaj zrobił raz sarkastyczną uwagę:

— Ramesz Babu pogardza wszystkiem, co jest na świecie użytecznego. Jego Wielmożność może być wielkim filozofem i poetą, ale samem lekceważeniem daleko nie zajędzie.

To podrażniło Ramesza, który już chciał wystąpić do boju, gdy naraz wnięszala się Hemnalini:

— Ramesz Babu, czy pan zawsze na wszystko musi odpowiedzieć? I tak już dość niepotrzebnej gadaniny na świecie.

To rzekłszy, pochyliła się i zaczęła liczyć ściegi a potem uważnie wbiła igłę w jedwab.

Pewnego poranku Ramesz, wszedłszy do swej pracowni, znalazł w niej na stole blok do pisania w oprawie z jedwabiu haftowanego w kwiaty. W jednym rogu widniała litera „R“, w drugim kwiat lotusu, wyszyty złotą nicią. Ramesz nie potrzebował długo zastanawiać się nad pytaniem, od kogo dar ten pochodzi i co ma oznaczać. Serce jego biło mocno. W jednej chwili zniknęła cała jego pogarda dla igły, której odtąd gotów był bronić przeciw wszystkim. Kiedy tak przyciskał blok do serca, nawet Akszaj musiałby być przyznać, że gotów jest do uznania swego błędu.

Otworzył blok, położył na nim arkusik papieru i napisał:

*Gdybym był poetą, postalbym Pani tom swych wierszy, ponieważ nie jestem nim, nie Pani w zamian dać nie mogę. Moc dawania nie została mi dana, ale istnieje jeszcze coś, co się nazywa sztuką przyjmowania. Co ten dar znaczy dla mnie, jest tajemnicą między Wszechwiedzzącym a mną. Dar można widzieć, można go dotknąć, lecz moja wdzięczność jest rzeczą nienamacalną, w którą Pani musi uwierzyć tylko na me słowo. Wieczny Pani dłużnik* R a m e s z.

Hemnalini oczywiście otrzymała ten list, ale ani ona ani Ramesz nigdy o nim nie wspominali.

Zbliżała się pora deszczowa.

Błogosławieństwa pory deszczowej w całej pełni spadają na wieś, za to mieszkańców miast ona zgola nie uszczęśliwia. Wszystkie usiłowania ogniskują

się wtedy wyłącznie na obronie przeciw wilgoci i w tym celu właściciele domów zamykają okna i latają dachy, ludzie na ulicach rozpinają parasole, tramwaje podnoszą okna, ale niemniej w krótkim czasie wszystko wędruje po błocie i w mgle. Tylko rzeki, góry, lasy i pola witają deszcz głośnym okrzykiem radości, jak przyjaciela. W przyrodzie widzimy deszcz w całej jego prawdziwej wspaniałości i ani jedna nuta niechęci nie odezwie się w tej uroczystej chwili, gdy niebo i ziemia łączą swe głosy, aby powitać przybycie chmur deszczowych.

Młodzi kochankowie są jak góry. Nieustająca ulewa u Annady Babu przyczyniła się do powiększenia niestrawności, ale nie zdołała przytłumić uczuć Ramesza i Hemnalini. Za to zdarzało się dość często, że Ramesz z powodu deszczu nie szedł do sądu. Ulewa tak się wzmagала, iż Hemnalini wykrzykiwała z trwogą:

— Ramesz Babu, jakże się pan w taki czas dostanie do domu?

— To nic! — odpowiadał Ramesz zmieszany. — Jakoś sobie poradzę!

— Czy jest sens wychodzić na takie powietrze, żeby się przemoczyć i zaziębić? — nalegała Hemnalini — Lepiej niech pan już zostanie w domu i zje z nami.

Ramesz nie miał przyczyn do obaw o swoje zdrowie. Ani jego przyjaciele ani krewni nie zauważyli nigdy, aby miał skłonność do łatwego zaziębiania się, mimo to w dni deszczowe ze zdumiewającą gotowością poddawał się dyktaturze Hemnalini i uznano, że byłoby z jego strony grzesznym brakiem rozwagi, gdyby zrobił nawet tych parę kroków, jakie go dzieliły od jego mieszkania. Kiedy niebo wyglądało groźniej niż zwykle stosownie do pory dnia, zapraszano Ramesza do pokoju

Hemnalini na obiad z „keddżeri“ lub smaczną kolację z mnóstwem smażonych łakoci. Troskliwość o jego płuca widocznie nie brała w rachubę niestrawności.

W ten sposób młodzi ludzie, pogrążeni w swych uczuciach, spędzali dzień za dniem. Jak się to mogło skończyć? Ramesz nie łamał sobie głowy nad tem pytaniem, ale Annadzie Babu często ono przychodziło na myśl, zaś jego krewni i przyjaciele żywo się niem zajmowali. Doświadczenie życiowe Ramesza było znacznie mniejsze, niż jego wykształcenie i erudycja, a oszołomienie uczuciem sprawiało, że jego rozumienie spraw i rzeczy tego świata stawało się jeszcze bardziej mgliste. Annada Babu nieraz badawczo i wyczekująco patrzył mu w twarz, ale nie znajdował w niej odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ X.

Akszaj miał głos nie nadzwyczajny, kiedy jednak śpiewał, akompanijując sobie na skrzypcach, tylko bardzo surowy krytyk mógł mu odmówić swego oklasku. Annada Babu niezbyt lubił muzykę. Nie przyznawał się wprawdzie do tego, jednakże miał pewne metody samoobrony, które stosował, gdy sądził, że miłośnicy muzyki mieli jej już dość.

Gdy Akszaja proszono, żeby jeszcze zaśpiewał, Annada Babu wtrącał:

— Niech się pan nie przymusza! Dlaczego mężczyście biedaka za to, że umie śpiewać?

Akszaj odpowiadał dobrodusznie:

— Nie szkodzi, Annaða Babu, niech się pan nie niepokoi. Pytanie tylko, kto kogo męczy?

— Odpowiemy na to — wołał ktoś — jeśli nam pan jeszcze coś zaśpiewa.

Pewnego popołudnia niebo było posępnie zachmurzone. Wieczór zapadał, a deszcz lał wciąż bezustanku. Burza zatrzymała Akszaja, więc Hemnalini poprosiła go, aby coś zaśpiewał i zaczęła przygrywać na harmonji (małej, ręcznej harmonji, jakiej używamy w Bengalu).

Akszaj chwycił swoje skrzypce i zaśpiewał hindostańską balladę:

*Baju bahin pur bajnà*

*Nida nahin bin sajnà*

Język pieśni był dla słuchaczy niezrozumiały, ale niewiele zależało na słowach, bo kiedy natężenie uczucia jest wysokie, najmniejsza wskazówka wystarcza. Treść ogólna była jasna: Płakały chmury deszczowe, wołały pawie, a kochanek tęsknił do swej ukochanej.

Akszaj chciał balladą tą dać wyraz swym własnym niewypowiedzianym myślom, wyraził jednak uczucia dwóch innych osób. Dwa serca były zgodnie, pograżając się w falach melodji. Nic już nie było dla nich niskiego i nieczystego, cały świat rozplynał się w różowej mgle. Zdawało się, jak gdyby cała namiętność, która kiedykolwiek wstrząsała sercami ludzkiemi, spłynęła na tych dwoje kochanków i teraz oto faluje w nich z całym swym nadmiarem rozkoszy i niepokoju, pożądania i męki.

Deszcz padał wciąż, śpiew nie milknął ani na chwilę. Wystarczyło, aby Hemnalini powiedziała tylko: — Dalej, Akszaj Babu, niech nam pan jeszcze coś zaśpiewa! — a natychmiast z całą chęcią rozpoczął nową pieśń, nową balladę. I popłynęła znów melodja, przywodząca na myśl skłębione masy czarnych chmur

z wypadającymi z nich czerwonymi błyskawicami, ale i w tem krył się niepokój serca ludzkiego.

Tego wieczoru Akszaj poszedł do domu późno. Kiedy Ramesz, żegnając się, spojrział na Hemnalini, widział ją jakby przez mgłę muzyki. Odpowiedziała mu zamglonem spojrzeniem, bo i ona była pod urokiem pieśni.

Deszcz na krótką chwilę przestał padać, ale jak tylko Ramesz dopadł swego domu, lunął znowu. Tej nocy nie mógł zasnąć. Hemnalini również przez długi czas siedziała w ciemnościach, rozmarzona, zasłuchana w nieustający szum deszczu. Ją także prześladował refren:

*Baju bahin pur bajná  
Nida nahin bin sajná.*

Następnego poranku rzekł Ramesz do siebie:

— Ach, żebym to ja umiał śpiewać! Nie zamieniłbym tej sztuki na żadną inną.

Niestety, wiedział dobrze, że najpilniejsze nawet ćwiczenie nie byłoby w stanie zrobić z niego muzykanta. Postanowił jednak nauczyć się grać bodaj na jednym instrumencie. Raz, znalazłszy się sam w mieszkaniu Annady Babu, pociągnął smyczkiem po strunach skrzypiec; tego jednego pociągnięcia miał dość. Tak dotkliwie ukarała go Muza, iż w jednej chwili zrozumiał, że poświęcenie się kultowi skrzypiec byłoby męką nieznośną. Wobec tego spuścił nieco z tonu i kupił ręczną harmonję. Zaniósł instrument do swego pokoju, zamknął drzwi i zaczął bardzo ostrożnie przebierać palcami po klapach. W krótkim czasie przekonał się, iż harmonja jest instrumentem znacznie mniej wymagającym od skrzypiec.

Kiedy się następnie zjawił w domu Annady Babu, Hemnalini przywitała go uwagą:

— Słyszeliśmy wczoraj kogoś, grającego w pańskim mieszkaniu na harmonji!

Ramesz przypuszczał, że, zamknawszy drzwi od pokoju, uniknie uwagi, pokazało się jednak, iż był ktoś, kto miał słuch dość dobry, aby słyszeć nawet przez zamknięte drzwi. Nieco zawstydzony musiał się przyznać.

— Nie trzeba się zamykać i robić bezcelowych wysiłków uczenia się samemu! — rzekła Hemnalini — Lepiej niech pan tu przyjdzie uczyć się. Trochę się na tem rozumiem, będę mogła pomóc panu.

— Jestem taki niezdarny! — mówił Ramesz — Namęczy się pani tylko.

— Potrafię nauczyć pana wszystkiego, co sama umiem, nawet jeśli pan nie jest pojętny! — odpowiedziała Hemnalini.

Pokazało się wkrótce, iż, nazwawszy się niezdarnym, Ramesz nie przesadził w skromności. Nawet takiej nauczycielce, jak Hemnalini, trudno było wpoić mu jakie takie wyobrażenie o muzyce. Widzieliście może, jak człowiek nie umiejący pływać, wpadłszy w wodę, rozpaczliwie wywija rękami i nogami? To mogłoby wam dać jakieś pojęcie o wysiłkach Ramesza, mimo iż w tym wypadku woda sięgała zaledwie kolan. Nie wiedział, co począć z palcami, bez najmniejszego wahania brał każdy fałszywy ton, nie odróżniał harmonji od dysharmonji i gwałcił wszelkie zasady z zachwycającą nieświadomością. Kiedy Hemnalini wołała: — Co pan robi, to zupełnie fałszywie! — z pośpiechem jeden błąd „naprawiał“ drugim. Ale nasz poważny, wytrwały Ramesz nie należał do ludzi, zniechęcających

się z byle powodu! Jak statek niewstrzymanie wciąż biegnie naprzód, nie dbając o to, co miażdży i rozbija, tak przez klapy i klawisze nieszczęsnej harmonji wciąż naprzód rwał Ramesz, niepohamowany i ślepy w swym zapędzie.

Hemnalini śmiała się z jego błędów, on śmiał się do niej. Jego wyjątkowa zdolność robienia właśnie tego, czego robić nie należało, wydała się jej niesłychanie śmieszną. Miłość umie dopatrzeć się wdzięku nawet w błędach, dysonansach i niepojętności. Serce matki rośnie na widok niezdolnych kroczków dziecka, które uczy chodzić, zaś Ramesza zupełny brak zdolności do muzyki stanowił ukrytą rozkosz dla Hemnalini.

Ramesz rzekł parę razy:

— Bardzo to pięknie, że pani się ze mnie tak wyśmiewa, ale czy pani sama nie robiła błędów, kiedy się pani uczyła grać?

— Naturalnie! — odpowiedziała Hemnalini — Zapewniam pana jednak, że niema najmniejszego porównania.

Nic nie było w stanie poskromić zapału Ramesza. Uśmiechnął się tylko i zaczął znowu od początku. Annada Babu, jak już zauważyliśmy, nie znał się na muzyce, mimo to od czasu do czasu robił poważną minę, nadstawiał ucha i mówił:

— Mów sobie co chcesz, Ramesz nie jest bez zdolności!

Hemnalini: Ma zdolności — ale do fałszowania!

Annada Babu: Nie, nie, znacznie postąpił od czasu, kiedy go pierwszy raz słyszałem. Możesz być pewna, że Ramesz, jeśli porządnie zacznie się ćwiczyć, będzie wcale dobrym wykonawcą. Tu trzeba jednej



tylko rzeczy: Ćwiczenia! Jak się pan tylko nut nauczy, wszystko pójdzie gładko.

Takiemu wyrokowi sprzeciwić się nie można. Kiedy czcigodny starzec wydawał takie werdykty, rodzina jego musiała słuchać w pełnym szacunku milczeniu.

ROZDZIAŁ XI.

Święta „Pudża“ w Bengalu odpowiadają mniej więcej europejskim świętom Bożego Narodzenia. Na jakich dziesięć dni przerywa się pracę, członkowie rodzin zjeżdżają się.

Co jesień Annada Babu i Hemnalini, korzystając ze świątecznej zniżki biletów kolejowych, wyjeżdżali na jakiś czas do Dżabbalpore. Mieszkali tam w domu szwagra Annady Babu; szwagier ten był tam urzędnikiem państwowym. Doroczną tę wycieczkę uważał Annada Babu za środek do wzmocnienia swego trawienia.

Był właśnie początek września, święta zbliżały się i Annada Babu pochłonięty był przygotowaniem do podróży. Ponieważ z powodu wyjazdu Hemnalini, musiała nastąpić przerwa w lekcjach gry na harmonji, Ramesz starał się jak najintensywniej wykorzystać czas, który mu jeszcze pozostawał.

Jednego razu Hemnalini zarządziła w rozmowie:  
— Zdaje mi się, Ramesz Babu, że pan właściwie powinienby wyjechać na świeże powietrze. Nawet krótka rozłąka z Kalkuttą dobrzeby panu zrobiła. Co tatuś na to?

Annada Babu najzupełniej podzielał zdanie córki. Ramesz poniósł ciężką stratę i wyjazd przyczyniłby się z pewnością do wyleczenia go z przygnębienia.

— Z całą pewnością — mówił — twierdzą, że parę dni na świeżem powietrzu to wyśmienita rzecz. Czy pan wie, Ramesz, zauważyłem, iż dokądkolwiek się wyjeżdża, w góry czy gdzieindziej, zbawienne działanie tej odmiany trwa tylko kilka pierwszych dni. Przez jakiś tydzień apetyt rośnie z dnia na dzień i je się z całą przyjemnością, ale potem niema już różnicy, uczucie dziwnego gniewienia w żołądku wraca, przyłącza się do niego zgaga i cokolwiek się je...

Hemnalini: — Ramesz Babu, czy pan był w dolinie Nerbudy?

Ramesz: — Nie, nie byłem jeszcze.

Hemnalini: — Powinien pan ją zobaczyć, nieprawda, tatusiu?

Annada Babu: — Słuchajcie-no! A dlaczego Ramesz nie miałby pojechać razem z nami? Miałby świeże powietrze, a przytem zobaczyłby Skały Marmurowe.

Ponieważ uznano, że dwa te punkty są zasadnicze w jego kuracji Ramesz nie protestował przeciw recepcie.

Tego dnia zdawało mu się, że ma skrzydła u ramion. Chcąc uciszyć zgiełk w swem sercu, zamknął się w swoim pokoju i rzucił się na harmonję. Ale dusza jego była wyższa ponad pedantyczną dokładność, a palce tańczyły jak szalone po klawiszach i klapach, w chaosie harmonji i fałszów. Perspektywa rychłej rozłąki z Hemnalini wtrąciła go w otchłanie przygnębienia. Teraz, w wybuchu radości, na cztery wiatry rozpędził swą tak ciężko zdobytą wiedzę muzyczną.

Przerwało mu pukanie do drzwi i głos, wołający:

— Na miłość boską, dość, Ramesz Babu, co pan wyrabia?

Ramesz poczerwieniał ze wstydu i otworzył drzwi. Wszedł Akszaj, mówiąc:

— Ramesz Babu, czy nie sądzi pan, że, prawdę mówiąc, powinien pan stanąć jako oskarżony przed tym samym sądem, w którym pan pracuje, za oddawanie się temu swemu tajnemu występкови?

Ramesz roześmiał się:

— Głosuję — „winien!“ — rzekł.

— Jeśli pan pozwoli, chciałbym w pewnej kwestji porozmawiać z panem — rzekł Akszaj.

Ramesz, zdziwiony tym wstępem, czekał w milczeniu, co Akszaj powie.

A k s z a j : — Prawdopodobnie wiadomo już panu, że szczęście Hemnalini nie jest dla mnie rzeczą obojętną?

Ramesz nie odpowiedział ani „tak“, ani „nie“, lecz czekał, co dalej nastąpi.

A k s z a j : — Jako przyjaciel Annady Babu mam prawo spytać pana, jakie są pańskie zamiary względem Hemnalini.

Ramesza nieprzyjemnie uderzyły i słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane, jednakże odpowiedzieć ostro ani chciał, ani byłby potrafił. Odrzekł przeto spokojnie.

— Czy ma pan podstawy do przypuszczenia, że żywię złe zamiary?

A k s z a j : — Proszę posłuchać. Pan należy do rodziny hinduskiej i ojciec pański był prawowiernym Hindusem. Ponieważ obawiał się, że pan przez swe małżeństwo tutaj gotów wejść do rodziny Brahmy Samadz, zabrał pana ze sobą do domu — o tem wiem.

Akszaj istotnie mógł wiedzieć, bo on to właśnie był, który swego czasu dał o wszystkim znać ojcu Ramesza.

Przez krótką chwilę Ramesz nie mógł spojrzeć Akszajowi w twarz.

— Czy pan sądzi — streszczał się Akszaj — że nagła śmierć pańskiego ojca przywróciła panu swobodę działania? Jeśli życzeniem jego było. — ...

— Uważaj pan, Akszaj Babu! — przerwał Ramesz, którego cierpliwość zaczynała się wyczerpywać — Jeśli pan ma inną jaką sprawę, w której byłby pan upoważniony dawać mi wskazówki, może mi je pan dać i ja pana wysłucham, ale moje stosunki z moim ojcem nie pana nie obchodzą.

— Bardzo słusznie! — odrzekł Akszaj — Zostawmy to. Ale oto, co chciałbym wiedzieć: Czy pan zamierza ożenić się z Hemnalini i czy pan może to uczynić?

Tych dwóch pchnięć było za dużo nawet dla spokojnego temperamentu Ramesza.

— Słuchaj-no pan, Akszaj Babu! — odezwał się — Pan może być przyjacielem Annady Babu, ale ja nie byłem z panem nigdy w tak poufanych stosunkach, aby pan miał prawo odzywać się do mnie w ten sposób. Proszę, zechciej pan uprzejmie porzucić ten temat.

A k s z a j : — Gdyby porzucenie przezemnie tego tematu miało oznaczać, że wogóle cała kwestja upada i że pan ma nieograniczoną wolność używania życia, jak się panu żywnie podoba, bez względu na konsekwencje, nie byłoby o czem mówić; ale społeczeństwo jest nietylko łatwym terenem polowania dla ludzi panu podobnych, a którzy nigdy nie troszczą się o następstwa. Motywy pańskie mogą być jak najszlachetniejszej natury i może pan najzupełniej nie

dbać o to, co świat o panu mówi. Prosiłbym pana jednak, aby pan zechciał zrozumieć, iż za lekkomyślne igranie z panienką, zajmującą taką pozycję, jak Hemnalini, może pan być pociągnięty do odpowiedzialności. Są tu tacy, którzy w danym razie poproszą pana o pewne wyjaśnienia, a jeśli pan istotnie zamierza podać w publiczną niesławę ludzi, których pan szanuje, jest pan do tego na jak najlepszej drodze.

R a m e s z : — Jestem panu wielce obowiązany za pańskie wskazówki. W stosownym czasie postanowię, jak mam postąpić i od swego postanowienia nie odstąpię. O to niech się pan nie troszczy. W tym przedmiocie dalsza dyskusja jest zbyteczna.

A k s z a j : — Miło mi słyszeć to, Ramesz Babu. I niemalą zarazem ulgą jest dla mnie świadomość, że po wszystkim, co zaszło, zamierza pan postawić na swoim i że pan zgadza się z naszym zdaniem. Mógł pan załatwić to trochę prędzej. Jakkolwiekby było, nie pragnę dalszej dyskusji z panem w tej kwestji. Raczy pan wybaczyć, że przeszkodziłem panu w pańskich studjach muzycznych. Zechce pan do nich powrócić, nie będę panu dłużej przeszkadzał,

To rzekłszy, Akszaj wyszedł spiesźnie.

Ale Ramesza tego dnia opuścił już wszelki zapal do muzyki — nawet nieharmonijnej.

Podparłszy ręką głowę, leżał na swem posłaniu. Godziny mijały. Naraz zegar wydzwonił piątą i Ramesz zerwał się. Bóg jeden wie, jakie powziął postanowienie, jednakże, że jego bezpośrednim obowiązkiem było udać się do domu swego sąsiada i wypić tam dwie filiżanki herbaty, to nie ulegało żadnej wątpliwości.

— Czy pan chory, Ramesz Babu? — wykrzyknęła na jego widok Hemnalini.

— Nic nadzwyczajnego! — odpowiedział Ramesz.

— Rozumie się, źle pan trawisz! — odezwał się Annada Babu — To nic innego, tylko żółć. Spróbowałby pan pigulek, które ja zażywam.

Hemnalini uśmiechnęła się i rzekła:

— Tatuśby chciał, żeby wszyscy jego przyjaciele zażywali te pigułki, ale ja nie widziałam jeszcze ani jednego, któremuby pomogły.

Annada: — W każdym razie nikomu nie zaszkodziły. Z doświadczenia wiem, że nie pomagają mi żadne pigułki, prócz tych, które zażywam...

Hemnalini: — Ile razy tatuś zaczyna zażywać jakiś nowy rodzaj pigulek, przez pierwszych kilka dni te właśnie są cudownym lekarstwem na wszystko.

Annada: Nie chcecie mi wierzyć? Dobrze. Zapytajcie Akszaja, czy moje lekarstwa mu nie pomogły.

Hemnalini zmieniła temat rozmowy, obawiając się, aby Akszaja w nią nie wciągnięto. Mimo wszystko niepożądany świadek zjawił się w tej właśnie chwili a pierwsze zdanie, z jakim zwrócił się do Annady, brzmiało:

— Da mi pan jeszcze jedną taką pigułkę? Doskonale mi robią. Świetnie się dziś czuję.

Annada Babu spojrzał na córkę triumfująco.

## ROZDZIAŁ XII.

Annada Babu był zbyt gościnny, aby pozwolić Akszajowi odejść zaraz po zażyciu pigułki, zaś Akszaj ze swej strony nie okazywał zbytniego pośpiechu. Od czasu do czasu z wyrzutem zezował w stronę Ramesza. Ramesz nie zbyt zajmował się tem, co się dookoła niego działo, ale nie mógł tych spojrzeń nie zauważyć i to go trochę mieszało.

Hemnalini zachwycona była perspektywą wy-  
cieczki do Dżabbalpore, której termin zbliżał się  
z dniem każdym i postanowiła skorzystać z najbliższej  
bytności Ramesza, aby z nim omówić program świąt;  
zamierzali razem ułożyć spis książek, jakie miały sta-  
nowić ich lekturę w chwilach wolnych od zajęć. Po-  
stanowiono, iż Ramesz przyjdzie wcześniej, niż zwykle,  
aby Akszaj lub jakiś przypadkowy gość nie przeszkod-  
ził im w ich „tête-à-tête.“

Stało się jednak, iż Ramesz przyszedł później, niż  
zwykle, a przytem był bardzo roztargniony. Rozumie  
się też, że Hemnalini nie była w bardzo dobrym hu-  
morze. Znalazła sposobność szepnięcia mu:

— Bardzo się pan dziś spóźnił, nieprawdaż?

Ramesz jak gdyby nie słyszał.

— Tak, obawiam się, że przyszedłem trochę późno!  
— odpowiedział po chwili.

Tymczasem Hemnalini starała się być gotową  
w porę. Wczesnie popołudniu ufryzowała się, prze-  
brała i siedziała, czekając z oczami utkwionymi w zegar.

Przez długi czas pocieszała się myślą, że zegarek  
Ramesza opóźnia się i że Ramesz lada chwila nadejdzie.  
Kiedy tej teorii dłużej już nie dało się utrzymać,  
usiadła z robótką przy oknie, starając się wszelkimi  
siłami zapanować nad swą niecierpliwością. Na do-  
miar złego Ramesz, przyszedłszy wreszcie, był roztar-  
gniony i nie próbował nawet usprawiedliwić swego  
spóźnienia się. Zdawało się, jak gdyby zupełnie za-  
pomniał, że obiecał przyjść wcześniej, aby jej pomóc  
wybrać książki.

Podwieczorek był tego dnia istną próbą ogniową  
dla Hemnalini. Pod koniec zrobiła specjalny wysiłek,  
aby roztargnienie Ramesza przezwyciężyć. Pod

ścianą na stoliku leżał stos książek. Hemnalini wzięła je, jak gdyby chciała wynieść je z pokoju. Jej ruch wyrwał Ramesza z odrętwienia. W jednej chwili znalazł się przy niej.

— Dlaczego je pani bierze? — zapytał — Czy nie dziś mieliśmy się naradzić, które książki wziąć ze sobą?

Wargi Hemnalini drżały. Z trudnością powstrzymała łzy, cisnące się jej do oczu.

— Nic nie szkodzi! — odpowiedziała drżącym głosem — Teraz niema na to czasu.

Pobiegła na górę i rozrzuciła książki w swej sypialni.

Jej ucieczka powiększyła tylko przygnębienie Ramesza.

— Zdaje mi się, że pan jest trochę niezdrów dzisiaj, Ramesz Babu! — rzekł Akszaj, śmiejąc się w kulkę.

Ramesz mruknął coś, czego nikt nie mógł zrozumieć. Za to Annada Babu bacznie podchwycił uwagę Akszaja, dotyczącą złego stanu zdrowia Ramesza.

— To samo pomyślałem, kiedy go zobaczyłem! — zauważył.

— Tacy ludzie, jak Ramesz Babu — rzekł Akszaj, cedząc słowa — uważają swe zdrowie za rzecz „intra dignitatem“. Żyją w sferach intelektu, a jeśli cierpią na niestrawność, sądzą, że zbadanie jej przyczyn byłoby rzeczą za trywjalną dla nich.

Annada Babu z zapalem wygłosił wykład na temat, iż dobre trawienie jest rzeczą zasadniczą tak dla filozofa, jak i dla każdego innego człowieka. Ramesz siedział między nimi w milczeniu, znosząc tortury.



— Moja rada, Ramesz Babu, byłaby — zakonkludował Akszaj — zażyć pigułkę Annady Babu i wcześniej położyć się do łóżka.

— Mam coś do powiedzenia Annadzie Babu — odezwał się Ramesz — i czekam tylko na sposobność.

Akszaj wstał ze swego krzesła.

— A bodaj-że pana lichy! Czy nie mógł mi pan powiedzieć tego wcześniej? Ramesz Babu godzinami medytuje nad jednym słowem, a potem rzuca je człowiekowi na głowę, kiedy już jest zapóźno.

To rzekłszy, pożegnał się z gospodarzem i wyszedł.

Patrząc na końce swych trzewików, Ramesz zaczął:

— Annada Babu, uważam sobie za szczególniejszy zaszczyt, że wolno mi bywać w domu pańskim i że traktuje się mnie, jak członka rodziny; nie jestem w stanie powiedzieć panu, jak wysoko to sobie cenię.

— To się przecie samo przez się rozumie! — odpowiedział Annada Babu — Jest pan przyjacielem naszego Dżogendry, nie można się tedy dziwić, że traktujemy pana, jak jego brata.

Rozpęd Ramesza został zahamowany.

Aby mu utorować drogę, Annada Babu zaczął:

— Właściwie to my jesteśmy szczęśliwi, że takiego młodego człowieka, jak pan, możemy uważać niemal za syna.

Ale nawet to nie dodało bodźca Rameszowi.

— Bo widzi pan — mówił dalej Annada Babu — plotkarze zaczęły nazwisko pańskie łączyć z Hemnalini. Trzeba rozumieć, że kiedy dziewczyna jest w wieku, w którym ma wyjść za mąż, musi być nadzwyczaj ostrożna w doborze przyjaciół. Ale ja zawsze mówiłem: Rameszowi wierzę bezwarunkowo. To nie jest człowiek, któryby chciał prowadzić z nami nieczystą grę.

R a m e s z: — Annada Babu, pan mnie przecie zna doskonale. Gdyby pan sądził, że mógłbym być odpowiednim mężem dla Hemnalini, to ...

A n n a d a: — Dość, rozumiem! Właściwie to ja sam w tej sprawie powziąłem już swoje postanowienie ale ze względu na pańską żalobę nie chciałem tego tematu poruszać. Teraz niema przyczyny dłużej z tem zwłóczyć, mój chłopcze! Plotek coraz więcej, musimy jak najprędzej położyć temu koniec, nieprawdaż?

R a m e s z: — Ja też tak myślę. Rozumie się, decydujący głos w tej sprawie ma pańska córka.

A n n a d a: — Nic słusniejszego! Zdaje mi się jednak, że mogę domyślić się, co odpowie. W każdym razie jutro rano pomówimy o tem i stosownie do tego poczynimy ostateczne kroki.

R a m e s z: — Obawiam się, że zbyt długo już pana zatrzymuję. Powinienbym raczej iść do domu.

A n n a d a: — Jeszcze chwilkę. Wie pan, sądzę, że byłoby najlepiej, gdyby ślub odbył się jeszcze przed naszym wyjazdem do Dżabbalpore.

R a m e s z: — Ależ to już bardzo prędko!

A n n a d a: — Tak, za dziesięć dni. Ślub możecie wziąć w następną niedzielę. W ten sposób zostałyby nam jeszcze dwa czy trzy dni na przygotowania do podróży. Widzi pan, Ramesz, ja nie chcę zmuszać do pośpiechu, ale nie wolno mi zapominać o swem zdrowiu.

Ramesz zgodził się. Zażył jedną pigułkę Annady Babu i wyszedł.

### ROZDZIAŁ XIII.

Nauka na pensji, w której umieszczona była Kamala, miała się skończyć przed świętami, ale Ramesz

ułożył to z przełożoną tak, iż Kamala miała podczas świąt pozostać na pensji.

Na drugi dzień rano po rozmowie z Annadą Babu, wstał wcześniej i wyszedł na przechadzkę, wybierając mało uczęszczane ścieżki Majdanu, największego parku w Kalkucie. Postanowił przed ślubem powiedzieć Hemnalini wszystko o Kamali. Później poinformował by Kamalę, jak się rzeczy właściwie mają. W ten sposób zostałyby usunięte wszystkie możliwości jakichś nieporozumień. Kamala znajdzie w Hemnalini przyjaciółkę i chętnie zgodzi się zamieszkać w jej domu przy młodem małżeństwie. Zaś ze względu na plotki, jakie mogłyby powstać, gdyby pozostali w tem samem otoczeniu, postanowił przenieść się do Hazirabaghu i tam poświęcić się swemu zawodowi.

Wracając z przechadzki, wstąpił Ramesz do Annady Babu i przypadkiem spotkał na schodach Hemnalini. W zwykłych warunkach spotkanie takie zamieniłoby się w przyjacielską pogawędkę, dziś jednak Hemnalini splonęła rumieńcem — twarz jej rozjaśnił blask uśmiechu do zorzy porannej podobny — i odeszła pośpiesznie ze spuszczonei oczami.

Ramesz wrócił do siebie i zaczął wygrywać na harmonji jedyną melodję, jakiej go Hemnalini nauczyła — ale nie można przecie przez cały dzień grać jednej i tej samej piosenki. Sięgnął po tom poezji — napróżno. Czuł, że żadna poezja nie osiągnie tych wyżyn, na jakie wzniosła się dziś jego miłość.

Hemnalini również wyszła tego poranku przejść się. Do południa załatwiła się z gospodarstwem a potem zamknęła się w swym pokoju i zajęła się robótką. Jej spokojna twarz promieniała blaskiem najwyższej szczę-

śliwości a całą jej istotę przenikała świadomość, iż nareszcie znalazła w życiu swe przeznaczenie.

Trochę wcześniej, niż zwykle, Ramesz rzucił książkę i harmonję i pobiegł na drugą stronę ulicy do Annady Babu. Hemnalini zwykle o tej porze oczekiwała go już, dziś jednak pokój był pusty i nawet w salonie na górze nikogo nie było. Hemnalini nie wyszła jeszcze ze swego pokoju. Annada Babu zjawił się, jak zawsze, punktualnie i usiadł za stołem, gdy Ramesz nerwowo spoglądał wciąż ku drzwiom.

Rozległy się czyjeś kroki, ale był to tylko Akszaj. Przywitał się z Rameszem nadzwyczaj serdecznie.

— Hallo, Ramesz Babu, właśnie byłem w pańskim mieszkaniu!

Ramesz, słysząc to, zrobił trochę niewyraźną minę. Akszaj roześmiał się i rzekł:

— Niech się pan nie obawia, Ramesz Babu, przyszedłem w jak najlepszych zamiarach. Niema przecie nic złego w tem, że przyjaciele składają panu życzenia z powodu dobrej nowiny. To był jedyny cel mej wizyty.

Słowa te zwróciły uwagę Annady Babu na nieobecność Hemnalini. Zawołał raz i drugi, ponieważ jednak nie odpowiadała, poszedł po nią sam.

— Co to znaczy, Hem? — wołał na schodach — Jeszcze szyjesz? Herbata gotowa, jest Ramesz i Akszaj.

— Niech tatuś pije herbatę bezemnie! — odpowiedziała Hemnalini, rumieniąc się zlekka — Muszę koniecznie skończyć robótkę.

— To zupełnie do ciebie podobne! Jak się do czego przyczepisz, o całym świecie zapominasz. Kiedyś się uczyła do egzaminu, nosa od książki nie odrywałaś. To samo zaczyna się teraz z tem szyciem. Nie, nie, nie

pozwolę na to. Wstawaj, musisz zejść na dół i napić się herbaty.

Przemocą dopiero udało mu się pociągnąć ją za sobą.

Podeszła prosto ku stolikowi z przyborami do herbaty i tak się przejęła jej nalewaniem, że nawet oczu na powitanie gości nie podniosła.

— Co robisz, Hem? — wykrzyknął Annada Babu — Dlaczego dajesz mi cukier? Przecie wiesz, że herbaty z cukrem nie pijam!

Akszaj parsknął śmiechem.

— Hemnalini nie może pohamować dziś swej szczodrośliwości — rzekł —. Każdego obsypałaby słodyczami.

Ramesz nie cierpiał tego dowcipkowania kosztem Hemnalini i w tej chwili postanowił sobie w duchu, że jak tylko ożeni się z Hemnalini, wykreśli Akszaja z listy swych znajomych...

W parę dni później to samo towarzystwo siedziało za stołem przy herbacie.

— Ramesz Babu! — odezwał się nagle Akszaj — Zrobiłbyś pan najlepiej, gdybyś pan jak najprędzej zmienił nazwisko.

Akszaja usiłowania, być wesołym, aby powiększały tylko niechęć Ramesza do niego.

— Dlaczego? — zapytał Ramesz.

— Masz pan! — rzekł Akszaj, wyjmując jakąś gazetę — Pewien student, nazwiskiem Ramesz, namówił swego kolegę, aby zdał zamiast niego egzamin. Tak pozdawał wszystkie egzaminy, póki go wreszcie nie złapano na tem.

Hemnalini wiedziała, że Ramesz nie umie się odcinać, to też, ile razy Akszaj zaczął go, ona odbijała.

ciosy. I otóż znowu nadeszła chwila, wymagająca jej pomocy. Pohamowawszy swe szczere oburzenie, odpowiedziała grzecznie:

— Jeśliby szło o to, więzienia powinnyby być pełne Akszajów.

— Patrzcie państwo! — wykrzyknął Akszaj — Ja staram się po przyjacielsku ostrzec, a wy się obrażacie? Wobec tego muszę opowiedzieć całą historję. Wiecie państwo, że moja siostrzyczka Sarat chodzi na pensję. Otóż, wróciwszy wczoraj wieczorem do domu, powiada: — Czy wiesz, żona twego Ramesza Babu chodzi razem ze mną do szkoły? — Cóż ty myślisz, sroko jedna — odpowiedziałem — że nasz Ramesz Babu to jedyny Ramesz Babu na świecie? — Kimkolwiek jest — odpowiedziała Sarat — bardzo nieładnie postępuje ze swoją żoną. Wszystkie panienki jadą na święta do domu, a on kazał swej żonie zostać na pensji. Biedactwo mało sobie oczu nie wyplacze! — Pomyślałem zaraz, że to jednak niedobrze, bo i inni ludzie mogliby popełnić ten sam błąd co mała Sarat.

Annada Babu wybuchnął śmiechem.

— Czyś pan zwarzjował, Akszaj! — zawołał — Dlatego, że ten czy inny Ramesz zostawił swoją żonę, płaczącą na jakiejś pensji, nasz Ramesz ma zmieniać nazwisko?

Ale Ramesz nagle zbladł i wyszedł z pokoju.

— Co się panu stało, Ramesz Babu? — wołał Akszaj — Dokąd pan idzie? Czy pana obraziłem? Przecież ja pana nie podejrzewam!

To mówiąc, wybiegł za Rameszem.

— Co to wszystko ma znaczyć? — wykrzyknął Annada Babu.

Ku jego zdziwieniu Hemnalini wybuchnęła płaczem.

— Co to znaczy, Hem? Dlaczego ty płaczesz?

— Akszaj Babu zawiele sobie pozwala! — Ikała —  
Jakiem prawem obraża gościa w naszym domu?

— Akszaj żartował tylko! Po co to zaraz brać do serca?

— Nie mogę znosić takich żartów! — odpowiedziała Hemnalini i pobiegła do siebie na górę.

Od czasu powrotu do Kalkutty, Ramesz robił wszystko, co mógł, aby znaleźć jakiś ślad męża Kamali. Po wielu trudnościach udało mu się dowiedzieć, gdzie leży Dhubapukur, nie zwłócząc tedy napisał list do wuja Kamali, Tarini Czarana.

Odpowiedź nadeszła na drugi dzień po wypadku przez nas opisanym. Tarini Czarani pisał, że od czasu katastrofy nie słyszał o Nalinakszy, małżonku jego siostrzenicy. Nalinaksza jest lekarzem i mieszkał swego czasu w Rangpurre. Tarini Czarani zwracał się i do Rangpuru, ale Nalinakszy tam już niema i nikt nie wie, co się z nim stało, zaś o jego miejscu urodzenia dowiedzieć się nie mógł.

Wobec tego Ramesz ostatecznie już przyszedł do przekonania, że mąż Kamali nie żyje.

Równocześnie jednak przyszły i inne listy. Znajomi, usłyszawszy o jego niedalekiem małżeństwie, składali mu gratulacje. Niektórzy z nich dopraszali się teraz zaproszenia na obiad, inni żartobliwie wyrzucali mu, że tak długo ukrywał przed nimi swą tajemnicę. Kiedy czytał te listy, wszedł służący Annady Babu i wręczył mu list.

Serce zabiło mu żywo; poznał pismo.

List był od Hemnalini.

— Po tem, co Akszaj powiedział — myślał Ramesz — nie może mnie nie podejrzewać. Teraz pisze do

mnie, chcąc się dowiedzieć, ile właściwie jest w tem prawdy...

Rozerwał kopertę.

Liścik był bardzo krótki.

— Akszaj Babu — pisała Hemnalini — postąpił wczoraj wobec Pana bardzo brutalnie. Dlaczego ominął Pan nasz dom dziś rano? Wyglądałam Pana. Czemu się Pan gryzie tem, co mówi Akszaj? Pan przecie wie, że na jego niedorzeczne głupstwa nie zwracam najmniejszej uwagi. Niech Pan dziś przyjdzie wcześniej, koniecznie. Nie będę szyla.

Ramesz wyczytał między wierszami całą mękę pełnego współczucia, dobrego serduszka Hemnalini i lzy stanęły mu w oczach. Od wieczora myślała tylko o tem, aby mu przyłożyć balsam do rany, pragnienie to nie osłabło przez całą noc a rano, niemożliwe już do pohamowania, znalazło swój wyraz w tym oto liściku. Widział wszystko jasno.

Już od dawna rozumiał, że musi przedstawić Hemnalini swą prawdziwą sytuację, lecz wczorajsze zajście znacznie utrudniło mu to zadanie. Nie tylko nie chciał wyglądać na zbrodniarza, złapanego na gorącym uczynku i próbującego się uniewinnić, ale z nadto upokarzała go też myśl, iż jego wyznanie mogłoby uchodzić za triumf Akszaja.

Przyszedł do przekonania, iż Akszaj musiał chyba przypuszczać, że mężem Kamali jest istotnie jakiś jego imiennik, inaczej bowiem nie zachowywałby się tak spokojnie, poprzestając tylko na skrytych aluzjach, ale odkrycie swe trąbiłby z pewnością na cały świat. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Ramesz postanowił nie doprowadzać jeszcze rzeczy do ostateczności, lecz



raczej wymyślić coś, co by mu narazie pomogło do wybrnięcia z kłopotów.

W tej chwili przyniesiono mu jeszcze jeden list. Otworzył go, Ramesz spostrzegł, że jest to list od przełożonej pensji, która donosiła, iż Kamala tak bardzo wzięła sobie do serca to, iż ma święta spędzić na pensji, że kierownictwo uchyla się od odpowiedzialności za nią, a ponieważ pensja w sobotę zostanie zamknięta, Ramesz musi być przygotowany do umieszczenia jej już tego dnia w swym domu.

Kamala miała opuścić pensję w sobotę, a jego ślub z Hemnalini wyznaczony był na niedzielę!

— Ramesz Babu, musi mi pan wybaczyć!

W tym zamęcie i przełomowym punkcie spraw Ramesza wpadł do niego Akszaj.

— Gdyby mi na myśl przyszło — usprawiedliwiał się — że pan może obrazić się o takie głupstwo, byłbym raczej siedział cicho. Ludzie odczuwają przykro żarty, w których jest jakaś część prawdy, ponieważ jednak w tym wypadku mowy o tem niema, więc nie rozumiem, co pana wytrąciło z równowagi. Annada Babu robił mi wyrzuty, Hemnalini nawet mówić ze mną nie chce. Wpadłem tam do nich rano, a ona wyszła z pokoju, gdy mnie zobaczyła. O co wy się na mnie gniewacie?

— W tej chwili nie mogę tego panu powiedzieć. Zmuszony jestem przeprosić pana, ale — tyle zajęcia!

— Oh, przygotowania do wesela! Oczywiście, trzeba już zamówić muzykantów! Ma pan tyle spraw do załatwienia — rozumie się! Nie będę panu dłużej przeszkadzał. Dowidzenia.

Jak tylko Akszaj wyszedł, Ramesz natychmiast udał się do Annady Babu. Hemnalini spodziewała się

wcześniejszej, niż zwykle, wizyty i, oczekując go, siedziała w salonie; robótkę złożoną i zawiniętą w chusteczkę, położyła na stole, zaś obok niej stała fisharmonja. Prawda, miała zamiar pograć sobie trochę, ale oprócz zwykłej muzyki istnieje jeszcze inna, którą dusza tylko słyszeć może — i tej muzyki spodziewała się Hemnalini.

Lekki uśmiech okraślił jej usta, gdy Ramesz wszedł do pokoju, zniknął jednak natychmiast, bo Ramesz zapytał tylko:

— Gdzie ojciec pani?

— W swoim pokoju. Chce się pan z nim widzieć? Zaraz zejdzie na herbatę.

R a m e s z : — Muszę go widzieć natychmiast, sprawa jest bardzo pilna.

H e m n a l i n i : — A więc dobrze; znajdzie go pan w jego pokoju.

Ramesz wyszedł.

Pilna sprawa? Cóż to może być? Wszystko musi wobec niej zejść na drugi plan! Nawet Miłość musi czekać u drzwi, aż jej kolej nadejdzie!

Zdawało się, że jasny, jesienny dzień westchnął, gdy zatrzasnęły się złote drzwi skarbcza jej szczęścia.

Hemnalini odsunęła krzesło od fisharmonji i, usiadłszy przy stole, powróciła do swej robótki.

Szyła, lecz równocześnie niewidzialna igła klęła jej serce, bo ważna sprawa Ramesza trwała jakoś długo, a Miłość powoli schodziła na dziady.

#### ROZDZIAŁ XIV.

Ramesz, wszedłszy do pokoju Annady Babu, zastał go drzemiącego w fotelu, z twarzą zasłoniętą rozpostartym dziennikiem. Kiedy Ramesz zakaszlał,

Annada Babu ocknął się nagle i, rozkładając gazetę, zwrócił uwagę gościa na liczne wypadki śmierci, spowodowane przez szerzącą się w mieście cholere.

Ale Ramesz tym razem zmierzał wprost do celu.

— Przyszedłem prosić pana o odłożenie ślubu na parę dni — rzekł — Muszę załatwić pewną bardzo ważną sprawę.

Ta niespodziewana wiadomość wybiła Annadzie Babu z głowy wzrastającą śmiertelność Kalkuty.

Wpatrzył się w Ramesza.

— Jak pan to sobie wyobraża, Ramesz? Zaproszenia już rozesłane.

— Może pan dziś jeszcze rozesłać zawiadomienia, że ślub został odłożony do następnej niedzieli.

— A to dopiero historia! Ramesz, czy pan sobie wyobraża, że to rozprawa sądowa, którą można odroczyć na każde żądanie a wyznaczyć nowy termin, kiedy człowiekowi najdogodniej? I cóż to za ważna sprawa?

R a m e s z: — Sprawa nie cierpiąca zwłoki; nie mogę jej odkładać na później.

Annada Babu opadł na swym fotelu, podobny do drzewa, zwałonego przez huragan.

A n n a d a: — Nie możemy ślubu odkładać. Na pyszny pomysł pan wpadłeś, ani słowa, znakomity pomysł! Dobrze, rób pan sobie, co się panu podoba. Ale wobec tego też pozostawiam panu zawiadomienie zaproszonych i podanie im przyczyn odroczenia ślubu. Jeśli mnie kto będzie pytał, powiem: Ja o niczem nie wiem, pan młody sam najlepiej wie, co robi i on tylko może wam powiedzieć, kiedy mu będzie najdogodniej ożenić się.

Ramesz siedział z wzrokiem utkwionym w podłogę.

— Czy mówiłeś pan już o tem z Hemnalini? — spytał Annada Babu.

R a m e s z: — Nie. Hemnalini nie wie jeszcze o niczem.

A n n a d a: — Trzeba jej natychmiast powiedzieć. Jest to tak samo dobrze jej ślub jak i pański.

R a m e s z: — Sądziłem, że lepiej naprzód powiedzieć panu.

— Hem! Hem! — zawołał Annada Babu.

Hemnalini weszła.

— Co, tatusiu?

A n n a d a: — Ramesz mówi, że musi załatwić bardzo pilny interes i z tego powodu nie ma teraz czasu na ślub.

Hemnalini zbladła i poszukała wzrokiem twarzy Ramesza. Zbrodniarz, schwytyany z niezaschłą jeszcze krwią na rękach, nie mógł mieć bardziej przygnębionej miny.

Ramesz nie spodziewał się, że wiadomość zostanie zakomunikowana Hemnalini w tak szorstki sposób i wrażenie, jakiego sam doznał, pokazało mu, jak bolesnym ciosem musiała być dla niej ta wiadomość, tak bezceremonjalnie podana. Ale strzała, raz wypuszczona z łuku, nie wraca nigdy, zaś Ramesz wiedział, że ta strzała przebiła serce Hemnalini.

Lecz nie było możliwości złagodzenia tej brutalnej prawdy, bo fakty pozostawały niezmienione — ślub trzeba było odłożyć, Ramesz miał pilną sprawę i nie chciał powiedzieć, co to za sprawa. Cóż mógł dodać?

— Ciebie to przedewszystkiem dotyczy! — rzekł Annada Babu, zwracając się do Hemnalini. — We dwoje musicie zdecydować, co będzie.

— Cóż ja wiem, tatusiu!

Podniósłszy oczy, których spojrzenie było niby blady pęk promieni zachodzącego słońca na chmurnem niebie, Hemnalini wyszła z pokoju.

Annada Babu wziął gazetę i udawał, że czyta, myśl jego pracowała jednak usilnie. Ramesz siedział jeszcze jakiś czas, poczem wstał nagle i wyszedł.

W obszernym salonie zastał Hemnalini.

Stała przy oknie, patrząc w milczeniu na ulicę. Strumienie człowieczeństwa płynęły ulicami i przecznicami, podobne do wezbranej rzeki, a każda twarz rozjaśniona była radością z powodu nadchodzących świąt.

Ramesz zawahał się, nie wiedząc, czy podejść ku niej, czy nie, i zatrzymał się w progu, z oczami utkwionymi w jej nieruchomej postaci. Ujęta w łagodny, jesienny blask słoneczny otwartego okna, przedstawiała widok, który na zawsze utkwiał w jego pamięci. W jego cierpiącym mózgu na wieki odbił się każdy szczegół — słodki ował jej twarzy, jej starannie utrefione włosy, delikatne loki na policzkach, pod brodą błysk złotego naszyjnika i pełen wdzięku fałd sarji, przerzuconej przez lewe ramię.

Zbliżył się do niej powoli.

Nie zwracała na niego uwagi, przeciwnie, jeszcze pilniej wpatrywała się w panoramę ulic.

Głos mu drżał, kiedy wreszcie przerwał milczenie.

— Mam panią o coś poprosić.

Hemnalini zauważyła mękę w jego głosie i zwróciła się ku niemu.

— Nie trać nigdy we mnie wiary! — wykrzyknął — Przyrzeknij mi, że nigdy o mnie nie zwątpisz! Niebo wzywam na świadka, że zawsze godnym będę twej wiary!

Pierwszy raz w życiu, mówiąc do Hemnalini, użył poufałego wyrażenia „ty“.

Słowa więcej powiedzieć nie mógł, a z oczu trysnęły mu łzy.

Hemnalini spojrzała nań z politowaniem i przez chwilę w milczeniu patrzyła mu w twarz; a potem naraz zmiękła i łzy pociekły jej po policzkach. A gdy tak kochankowie stali przy sobie w zamknięciu wnęki okiennej, oczy ich spotkały się. Nie padło ani jedno słowo, ale błogi spokój zstąpił na nich nagle i w zachwyceniu, jakie przyniósł, odczuli smak nieba.

Z głębokiem westchnieniem ulgi Ramesz znów przerwał milczenie.

— Czy wiesz, dlaczego postanowiłem odłożyć nasz ślub o tydzień? — rzekł.

Hemnalini potrząsnęła głową. Już nie pragnęła dowiedzieć się.

— Zamierzałem powiedzieć ci wszystko po naszym ślubie — mówił Ramesz dalej.

Wzmianka o ich ślubie wywołała lekki rumieniec na twarzy dziewczęcia.

Kiedy wcześniej popołudniu Hemnalini przygotowywała się na przyjęcie Ramesza, oczekiwała, nie spodziewając się niczego złego — ożywionej rozmowy, poufnej pogawędki o przyszłych planach i lekko naszkicowanych miniatur szczęścia, jakie miało przypaść im w udziale. Na myśl jej nawet nie przychodziło, że oto w parę minut później będą wymieniali śluby stałości, że poleją się łzy i że, zamiast rozmawiać, będą tak w milczeniu stali przy sobie i nie przypuszczała nawet, jaki spokój niczem nie zmacony i jak głęboka ufność będą tego wszystkiego następstwem.

— Niech pan zaraz idzie do ojca — rzekła Hemnalini — On się bardzo zmartwił.

Ramesz odszedł pełen wiary w siebie, gotów nadstawić pierś wszystkim pchnięciom, jakie tylko świat chciałby mu wymierzyć.

## ROZDZIAŁ XV.

Annada Babu spojrział niespokojnie, widząc Ramesza znów wchodzącego do jego pokoju.

— Jeśli mi pan da listę gości — rzekł Ramesz — napiszę do nich dzisiaj z zawiadomieniem o odroczeniu terminu ślubu.

— Więc jednak postanowiliście odłożyć go?

— Tak jest, niema innej rady.

— Uważajże pan, młody człowieku — odezwał się Annada Babu — Niech pan pamięta, że ja od tego ręce umyвам. Niech się pan teraz już sam wszystkim zajmie. Nie myślę robić z siebie pośmiewiska. Jeśli pan z tak świętej rzeczy, jak ślub, robi sobie poprostu zabawkę, to człowiek w moim wieku nie może mieć z tem nic wspólnego. Oto żądana lista gości. Wydałem już sporo pieniędzy, a większa ich część pójdzie na marne. Nie mogę sobie pozwalać na takie wyrzucanie pieniędzy.

Ramesz oświadczył, iż gotów jest ponieść wszelkie wydatki i wziąć wszystkie przygotowania na siebie.

Już wstawał i chciał odejść, gdy Annada Babu rzekł:

— Gdzie pan zdecydował się prowadzić kancelarję po ślubie? Przypuszczam, że nie w Kalkucie chyba?

— Nie, pragnąłbym znaleźć jakąś odpowiednią miejscowość na północy.

**A n n a d a B a b u:** — Na północy? To zdrowa myśl. Niegorsza byłaby może dla pana Etawah. Tamtejszy klimat bardzo sprzyja trawieniu. Spędziłem tam onego czasu jeden miesiąc i wie pan co: jadłem dwa razy tyle, co tu. Bo widzisz pan, młody człowieku, to moja jedyna córka i nie chciałbym się z nią rozłączać. Dlatego pragnąłbym, abyś pan wybrał jakąś zdrową miejscowość.

Korzystając z tego, że Ramesz go uraził, Annada Babu wysuwał teraz własne, poniekąd wygórowane żądania. W tym stanie umysłu, w jakim się Ramesz znajdował, gotów był zgodzić się, gdyby Annada Babu tego zażądał, na wywędrowanie nie tylko do Etawah, lecz na Czerra Pundri, na góry Garo czy na pierwszy lepszy, tonący w mgłach, szczyt górski.

— Bardzo chętnie! — odpowiedział — Otworzę kancelarję w Etawah.

Wyszedł, chcąc czempredzej zabrać się do napisania zawiadomień o zmianie terminu ślubu.

Ledwo Ramesz wyszedł, zjawił się Akszaj.

Dowiedziawszy się od Annady Babu, że Ramesz odłożył ślub na tydzień, zdumiał się.

**A k s z a j:** — Czy być może? Niepodobieństwem! Przecież ślub miał się odbyć już pojutrze!

**A n n a d a:** — Nie powinien go być odkładać i zwykły człowiek za nic na świecie czegoś podobnego-by nie zrobił, ale dla dzisiejszej „nowocześnie“ wychowanej młodzieży niema nic niemożliwego.

Akszaj przybrał poważną minę, a myśl jego pracowała szybko. Wreszcie rzekł:

— Kiedy pan myślał, że pan znalazł męża odpowiedniego dla Hemnalini, zamknął pan już oczy na wszystkie ewentualności, gdy tymczasem o człowieku,



któremu na całe życie ma się powierzyć córkę, trzeba się wszystkiego bardzo dokładnie dowiedzieć. Nawet gdyby był aniołem, nie wolno zaniedbywać żadnej ostrożności.

Annada : — Gdyby trzeba było podejrzewać takich ludzi, jak Ramesz, nikomu nie możnaby wierzyć.

Akszaj : — Czy podał panu jaki powód odroczenia ślubu?

— Nie, nie podał żadnego! — rzekł Annada Babu, trąc czoło. — Kiedy go pytałem o przyczynę, powiedział, że ma jakiś bardzo ważny interes.

Akszaj odwrócił głowę, aby ukryć uśmiech.

— Ale chyba córce pańskiej podał jakiś powód? — spytał.

Annada : — Przypuszczam, że tak.

Akszaj : — Czy nie byłoby dobrze poprosić jej tu i upewnić się co do tego?

— Oczywiście.

Annada Babu zawołał Hemnalini.

Wszedłszy i zobaczywszy, kto jest obecny, usiadła za ojcem tak, że Akszaj nie mógł widzieć jej twarzy.

— Czy Ramesz podał ci jakiś powód odroczenia ślubu? — zwrócił się do niej z zapytaniem Annada Babu.

Hemnalini potrząsnęła przecząco głową.

— Nie!

Annada Babu : — Czyś go pytała?

Hemnalini : — Nie pytałam.

Annada Babu : — Co za nadzwyczajna historia! Doprawdy — dobrana para! Ten przychodzi i powiada: — Nie mam czasu teraz żenić się z panią! — a ona mu na to: — Doskonale! Weźmiemy ślub kiedy indziej — i dalej nie mówią już nawet o tem.

Teraz Akszaj stanął po stronie Hemnalini:

— Ostatecznie — rzekł — jeśli ktoś wyraźnie zaznacza, że nie życzy sobie podać żadnych powodów, trudno nastawać. Rzecz jasna, iż gdyby to było coś takiego, coby można powiedzieć, Ramesz sam, z własnego popędu, powiedziałby z pewnością.

Hemnalini poczerwieniała z gniewu.

— Nie pragnę bynajmniej słyszeć zdania postronnych osób w tej kwestji. Co się mnie tyczy, jestem zupełnie zadowolona z obecnego stanu rzeczy.

To rzekłszy, wyszła szybko z pokoju.

Akszaj pozieleniał, ale mimo to ułożył twarz do uśmiechu.

— Taki świat! — wyrzekł — Spróbujcie oddać przyjacielowi usługę, zapłaci wam za to łajaniem. Jeszcze jeden dowód na to, jak bezcenną rzeczą jest przyjaźń. Jako przyjaciel, uważam sobie za obowiązek wyrazić podejrzenie, jakie mam przeciw Rameszowi, jakkolwiek mogłoby się to wam nie podobać i mimo, iż potępiacie mnie za to. Nie mogę siedzieć spokojnie, widząc zagrażające wam przykrości. Jest to z mej strony słabość, na to zgoda. Ale jutro przyjeżdża Dżogendra. Jeśli on, usłyszawszy tę całą historję, nie zaniepokoi się o los swej siostry, nie powiem ani słowa więcej.

Annada Babu spostrzegł, iż nadszedł właściwy moment psychologiczny, w którym możnaby zapytać, co właściwie postępowanie Ramesza mogłoby oznaczać. Ale — „kto wiatr sieje, burzę zbiera“, zaś Annada Babu był zbyt poważnym człowiekiem, aby się bawić w intrygi.

Wyjawił swe uczucia gościowi:

— Jest pan doprawdy zanadto podejrzliwy, Akszaj! Jeśli pan nie ma dowodów, jak pan może...

Akszaj był nadzwyczajnie opanowany, ale te bezustanne zarzuty i jego wreszcie wyprowadziły z równowagi.

— Słuchajże pan, Annada Babu! — wybuchnął — Podsuwacie mi wciąż najrozmaitsze niskie motywy. Wmawia pan w siebie, że kopię dołki pod przyszłym pańskim zięciem i że rzucam podejrzenia na niewinnego człowieka. Nie jestem tak wykształcony, abym mógł damy uczyć filozofji, ani tak odcytany, abym mógł rozprawiać z niemi o poezji. Przyznaję, jestem zupełnie zwykłym człowiekiem, ale zawsze szczerze oddany byłem panu i pańskiej rodzinie. Mimo, że pod żadnym względem Rameszowi Babu nie dorównywan, dumny jestem z tego, iż nigdy niczego nie potrzebowałem przed panem ukrywać. Zdolny byłbym w danym razie do odkrycia przed panem swoich łachmanów i żebrania u pana miedziaka, lecz nie do włamania się do pańskiego domu. Jutro się pan dowie, co przez to rozumiem.

## ROZDZIAŁ XVI.

Noc zapadła, kiedy korespondencja została załatwiona.

Ramesz położył się, ale nie mógł zasnąć.

Myśli jego płynęły dwoma strumieniami, jednym jasnym a jednym ciemnym, jak Ganges w miejscu, w którym Dżumna uchodzi do niego. Strumienie mieszały się i to odbierało mu sen. Przez jakiś czas przewracał się z boku na bok, wreszcie odrzucił przykrycie i wstał.

Podszedł ku oknu i wyjrzał przez nie.

Domy po jednej stronie ulicy pogrążone były w głębokim cieniu, gdy po drugiej stronie kontury ich rysowały się ostro w jasnym świetle księżyca.

Ramesz stał spowity w cichą myśl.

Jego najwewnętrzniejsza jaźń, wyzwalając się ze splotu swego otoczenia materialnego wraz ze wszystkimi jego sprzecznościami i niepewnościami, zdawała się być w odlocie ku nieskończonemu kosmosowi, gdzie wszystko jest wieczne, spokojne, powszechne.

W wizji swej widział narodziny i śmierć, trud i odpoczynek, początek i koniec, powracające wiecznie do taktu nieopisanej muzyki nadziemskiej, z ciszy i nieskończoności, panującej za kulisami, na scenę skończoności. I z tej nieskończoności, w której niema ani światła, ani cienia, Ramesz ujrzał wynurzającą się w gwiaździste światła tego świata bliźniaczą miłość mężczyzny i kobiety.

Powoli wyszedł na dach. Oczy jego zwróciły się ku domowi Annady Babu. Ani jeden dźwięk nie mącił ciszy. Światło księżyca i cień splotły się na ścianie domu w dziwną wiązanekę — wzdłuż rynien, w zagłębieniach drzwi i okien, pod wystającym dachem. Jaka przedziwna rzecz! Tu, w tym zwykłym domu, w samym sercu olbrzymiego miasta mieszkała w postaci skromnej studentki podziwu godna istota.

Miasto roilo się przecie od ludzi, podobnych do Ramesza — od adwokatów, studentów, cudzoziemców, krajowców. Dlaczegoż właśnie on miał być odznaczony tym szczególnym dowodem łaskawości nieba, który odmówiczy został wszystkim innym? Dlaczegoż to on a nie kto inny stał w oknie z tem dziewczęciem ramie przy ramieniu w miękkim blasku jesiennego światła

słonecznego i mógł mieć wizję, w której cały wszechświat rozplynął się w nieskończone morze radosnej tajemnicy! Co to za cud! Cud, który przemienił jego najwewnętrzniejszą istotę, przemienił świat dokoła niego.

Do późnej nocy przechadzał się tam i napowrót po dachu. Zachodzący księżyc skrył się za przeciwległym domem i ciemności nocne opadły na ziemię, gdy niebo lśniło jeszcze pożegnalnym uściskiem jej jasności.

Dreszcz wstrząsała nagle znużonemi członkami Ramesza, naraz ogarnął go lęk, który serce jego chwycił w swe szpony. Jutro na arenie życia trzeba będzie znów stanąć do walki. Twarzy niebios nie przecinała ani jedna zmarszczka troski, pogody księżyc nie maciła nie znająca spoczynku działalność. Cisza nocy była niezamącona i cały wszechświat ze swemi niezliczonymi gwiazdami, mimo swego nieprzerwanego ruchu, pogrążony był w wiecznym spoczynku; tylko człowiek, przeciwnościami miotany, spokoju zaznać nie może. W szczęściu czy w nieszczęściu życie ludzkie jest jedną nieustającą walką z potężnymi mocami.

Po jednej stronie wieczny spokój Nieskończoności, po drugiej wieczny konflikt świata. Jak te dwie rzeczy mogą równocześnie istnieć koło siebie? Pochłonięty zupełnie własnymi troskami, Ramesz przestał rozmyślać nad tem niemożliwem do rozwiązania zagadnieniem.

Dana mu była wizja Miłości, spowita w wieczny i nieskończony spokój, tryskający z łona stworzenia. Teraz widział Miłość w zetknięciu się ze światem, deptaną i potrącaną w ciżbie życia. Któraż wizja była prawdziwą, a która tylko złudzeniem?

## ROZDZIAŁ XVII.

Dżogendra powrócił ze wsi na drugi dzień rannym pociągiem.

Była sobota, w niedzielę miał się odbyć ślub Hemnalini a jednak, zbliżając się do domu, nie dostrzegł wcale znaków nadchodzącej uroczystości, jakie spodziewał się być zobaczyć. Weranda nie była przybrana girlandami z liści deodaru. Dom na zewnątrz nie różnił się niczem od swych zasmolonych, brzydkich sąsiadów.

Dżogendrze przyszło na myśl, że może kto nagle zachorował, ale, wszedłszy do domu, nie zauważył żadnego zamieszania. Śniadanie dla niego było gotowe, a Annada Babu siedział za stołem przed niedopitą filiżanką herbaty i czytał gazetę.

— Czy Hem zdrowa? — wykrzyknął Dżogendra, wchodząc do pokoju.

Annada Babu: — Najzupełniej.

Dżogendra: — Co słyhać ze ślubem?

Annada Babu: — Odłożony do przyszłej niedzieli.

Dżogendra: — Dlaczego odłożony?

Annada Babu: — Zapytaj o to raczej swego przyjaciela. Ramesz powiedział nam tylko tyle, że musi załatwić jakiś bardzo pilny interes i że ślub nie będzie się mógł odbyć w tę niedzielę.

Dżogendra klął w duchu tę obojętność ojca.

— Co z was za ludzie! — rzekł — Jak tylko mnie niema, zawsze musicie narobić okropnego jakiegoś zamieszania. Jaki niby pilny interes on mógł mieć? Jest przecie panem swej woli. Nie ma krewnych, którzyby mogli wchodzić w rachubę. Jeśli już mówił coś o jakimś

interesie, nie widzę racji, dlaczegoby nie miał ojcu powiedzieć, co to takiego? Czemu ojciec na to pozwolił?

— Ostatecznie, nie uciekł. Najlepiej idź i sam go zapytaj.

Dżogendra duszkiem wypił filiżankę herbaty i zerwał się.

— Stój, Dżogen! — zawołał za nim Annada Babu — Czego się tak spieszysz? Nic nie jadłeś!

Ale Dżogendra już go nie słyszał.

Wpadł do sąsiedniego domu i, biegnąc na górę po schodach, wołał:

— Ramesz! Ramesz!

Śladu po Rameszu nie było, mimo że szukał go w sypialni, w salonie, na dachu i w pokoju na dole. Przeszukawszy cały dom od góry do dołu, znalazł wreszcie służącego, którego zapytał, gdzie jego pan.

— Wyszedł wczesnym rankiem! — brzmiała odpowiedź.

— Kiedy wróci?

Służący poinformował go, iż Ramesz wziął trochę ubrania i bielizny i zapowiedział, że wróci za cztery do pięciu dni. Dokąd się udaje — nie mówił.

Powróciwszy do domu, Dżogendra z zawiedzioną miną usiadł za stołem.

— Cóż? Udało ci się? — spytał Annada Babu.

— Czegóż się można spodziewać? — odpowiedział syn niechętnie — Ma ojciec pod nosem człowieka, za którego chce ojciec wydać córkę, a nie interesuje się ojciec zupełnie tem, co on robi i dokąd chodzi — mimo że mieszka w sąsiednim domu.

— Jakże? Przecie wczoraj jeszcze tu był! — rzekł Annada Babu.

— Ale ojciec nie wiedział, że Ramesz zamierza wyjechać — zawołał Dżogendra — a jego służący nie wie nawet, dokąd pojechał. Coś tu jest bardzo podejrzanego. Nie podoba mi się to wszystko, wie ojciec? Czemu ojciec tak spokojnie to przyjmuje?

Wobec takiej tyrady Annada Babu musiał się poddać sytuacji.

— Zatem — cóż to wszystko ma znaczyć? — rzekł, przybierając wyraz powagi, jakiej sytuacja zdawała się wymagać.

Ramesz istotnie niczem zbył Annadę Babu zeszłego wieczora, ale młody ten człowiek zamało miał doświadczenia życiowego, aby to zrozumieć. Wyobrażał sobie, iż, oświadczywszy, że ma coś bardzo ważnego do załatwienia, powiedział wszystko, co należało, wobec czego zupełnie zajął się swą sprawą, pewien, że dane przez niego tłumaczenie pozostawia mu zupełną swobodę działania.

D ż o g e n d r a: — Gdzie Hemnalini?

A n n a d a B a b u: — Zjadła dziś trochę wcześniej śniadanie i poszła do siebie na górę.

— Biedna dziewczyna! — wykrzyknął Dżogendra. — Mam wrażenie, że wstyd ją dziwnego postępowania Ramesza i dlatego nie chce mi się pokazać.

To mówiąc, wstał i poszedł na górę pocieszyć siostrę w jej smutku i upokorzeniu.

Hemnalini siedziała sama w dużym salonie. Kiedy usłyszała kroki Dżogendry, pospiesznie wzięła jakąś książkę i zaczęła udawać, że czyta. Gdy wszedł, położyła książkę i powitała go wesoło:

— Jak się masz? Kiedy przyjechałeś? Ale nie wyglądasz tak dobrze, jakbyś powinien.



— Jakże mam dobrze wyglądać? — odpowiedział Dżogendra, rzucając się na krzesło — Wiem już wszystko, Hem. Ale nie martw się, to wszystko się stało tylko dlatego, że mnie tu nie było. Ja to znowu doprowadzę do porządku. A propos, Hem, czy Ramesz nie podał ci żadnych powodów?

Hemnalini znalazła się w trudnem położeniu. Drażniła ją podejrzliwość, z jaką Akszaj i Dżogendra odnosili się do Ramesza i przykro jej było przyznać się przed Dżogendrą, że Ramesz nie wtajemniczył jej w przyczyny, dla których ślub odłożył. Z drugiej strony nie chciała skłamać.

— Gotów był mi powiedzieć, ale nie uważałam tego za potrzebne — odpowiedziała.

— Zwykła duma! — pomyślał — Charakterystyczne!

A głośno dodał:

— Bardzo dobrze, nie miej żadnej obawy. Dziś jeszcze zmuszę go do podania mi owych przyczyn.

— Ależ ja nie miałam i nie mam najmniejszej obawy — rzekła Hemnalini, bezcelowo wertując kartki swej książki — i nie pragnę bynajmniej, abyś go z tego powodu nagabywał.

— Znowu duma! — pomyślał Dżogendra.

— Dobrze! — zgodził się — Możesz być o to spokojna.

To mówiąc, zrcbił ruch, jak gdyby chciał wyjść. Hemnalini wstała z krzesła:

— Słuchaj mnie! Nie mów z nim o tem zupełnie! Możecie sobie wszyscy myśleć, co się wam podoba! Ja go zupełnie nie podejrzewam.

Dżogendra zastanowił się.

To na dumę nie wyglądało.

Jego miłość i współczucie dla siostry wzięło w nim górę, więc pomyślał, uśmiechając się w duchu:

— Te uczone panienki nie mają najmniejszego wyobrażenia o świecie; wiedzą tylko to, czego się nauczyły z książek, a kiedy nadchodzi chwila, w której trzeba się mieć na ostrożności, są naiwne jak małe dzieci.

Zaś gdy porównał tę prostą wiarę z fałszem Ramesza, złość go na niego porwała i jego postanowienie zażądania od niego podania „powodów“ stało się silniejsze niż przedtem. Znowu powstał, chcąc odejść, lecz Hemnalini żywo chwyciła go za ramię:

— Przyrzeknij mi, że ani słowa nie wspomnisz o tem wszystkim Rameszowi! — rzekła.

— Zobaczę! — odpowiedział Dżogendra.

— Tu niema żadnego „zobaczę!“ Przyrzeknij mi, zanim stąd wyjdiesz. Zapewniam cię, że w tem wszystkim niema nic takiego, czembyś się mógł martwić. Jest to drobnostka, ale proszę cię, zrób to dla mnie!

Nalegania Hemnalini przekonały Dżogendrę, że Ramesz zupełnie wyjaśnił jej przyczyny swego postępowania. Z tego jednak nie musiało zaraz wynikać, że to wyjaśnienie jest prawdziwe. Nie było przecie bynajmniej trudną rzeczą wywieść ją w pole zapomocą pierwszej lepszej zmyślonej historyjki. Wobec tego rzekł:

— Posłuchaj, Hem. Nie mam zamiaru nikogo podejrzewać, ale kiedy się dziewczynę wydaje zamaż, opiekunowie jej nie powinni zapominać o swych obowiązkach. Ramesz mógł podać ci jakieś powody, które uważasz za stosowne zachować dla siebie; tego trochę zamało; i my musimy jeszcze z nim pogadać. A, prawdę

mówiąc, Hem, tak, jak obecnie sytuacja się przedstawia, to tłumaczenie należy się raczej nam, niż tobie. Kiedy wyjdiesz zamaż, nie będziemy mieli już nic do powiedzenia.

To rzekłszy, wyszedł pospiesznie.

Ani strzęp nie pozostał z zaslony, którą kochankowie pragnęli osłonić swe kroki! Węzeł, zadzierżgnięty między Rameszem i Hemnalini, związek, który, jak sobie to lekkomyślnie wyobrażali, z czasem miał wzrastać, póki by wreszcie nie stworzył im własnego, odrębnego świata — stał się tarczą dla pocisków osób postronnych a pozbawionych współczucia.

Ten nagły wybuch burzy tak wstrząsnął Hemnalini, że wprost unikała nawet wzroku swych przyjaciółek i rodziny. Po odejściu Dżogendry osunęła się na fotel i resztę dnia spędziła w samotności swego pokoju.

Dżogendra, wyszedłszy z domu, spotkał Akszaja, który powitał go okrzykiem:

— Halo, Dżogen! Już wróciłeś? Słyszałeś już? I cóż ty o tem wszystkim myślisz?

Dżogendra: Dosyć się już zastanawiałem. Nie mam zamiaru gadać tylko i gadać i gubić się w przypuszczeniach, które w dodatku do niczego nie prowadzą. Nie czas na siedzenie za stołem i rozcinanie na dwoje włosów psychologicznych.

Akszaj: Rozcinanie włosów, jak wiesz, nie leży też bynajmniej i w moim charakterze, podobnie jak psychologja, filozofja lub poezja. Jestem człowiekiem czynu — i to właśnie chciałem ci powiedzieć.

— Bardzo słusznie, to też i ja pragnę czynu — rzekł porywczy Dżogendra — Czy możesz mnie objaśnić, gdzie się podział Ramesz?

— Mogę.

— Więc gdzie?

— W tej chwili nie mogę ci tego powiedzieć — odpowiedział Akszaj — Skonfrontuję cię z nim dziś popołudniu.

— Dlaczego nie chcesz mi zaraz wszystkiego powiedzieć? — wykrzyknął Dżogendra — Co za przekłeta tajemniczość opadła was wszystkich! Wyjeżdżam na parę dni, żeby sobie odpocząć, a ledwo się plecami odwróciłem, już na każdym kroku wyrastają straszliwe tajemnice. Dość, Akszaj, nie baw się ze mną w chowanego! Człowieku, mów co wiesz!

A k s z a j: — Dobrze mówisz i bardzo się z tego cieszę. Ale właśnie dlatego, że się nie bawilem w chowanego, wlażem w tę całą kabałę. Twoja siostra nawet patrzeć na mnie nie chce, ojciec zarzuca mi, że jestem podejrzliwy, a nie powiem, żeby Ramesz Babu skakał na mój widok z radości. Ty jeden jeszcze mi pozostałeś, a ciebie się poprostu boję. Nie jesteś człowiekiem subtelnego rozumowania, lecz prostolinijnego czynu. Ja jestem cherlak fizyczny i nie dałbym ci rady.

D ż o g e n d r a: Słuchaj, Akszaj, nie lubię takiego kręcenia. Widzę, że coś wiesz. Czemu to dusisz w sobie, czemu się ze mną targujesz? Powiedz mi zaraz całą prawdę. Jazda!

A k s z a j: A więc dobrze, opowiem ci całą historję od początku; większość szczegółów nie jest ci jeszcze znana.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Mimo, że termin wyprowadzenia się z mieszkania w Darddżiparze był jeszcze daleki, Rameszowi na myśl nawet nie przyszło, aby je komuś wynająć. Od

kilku miesięcy żył w świecie, w którym względy finansowe nie wchodziły najzupełniej w rachubę, prócz tego Kamala musiała mieć przecie dach na głowę, gdyby opuściła szkołę. Wobec tego, wstawszy o świcie, udał się do swego drugiego mieszkania, zamiótł pokoje, postarał się o niezbędne maty i pościel i zaopatrzył w prowianty pustą spiżarnię.

Po poczynieniu tych przygotowań, do przybycia Kamali pozostało mu jeszcze kilka godzin wolnego czasu. Usiadłszy na drewnianej ławeczce, Ramesz spędzał czas na rozmyślaniach, co przyszłość jeszcze kryje dla niego. Nigdy nie był w Etahwah, ale północno-zachodni krajobraz jest bardzo podobny do krajobrazu innych stron, wobec czego nie trudno mu było wyobrazić sobie swój przyszły dom — podmiejską willę, zwróconą ku szerokiemu, wysadzanemu drzewami, gościńcowi; po drugiej stronie gościńca szeroki szmat ornej ziemi, upstrzony studniami i wysokimi platformami, na których siedzą stróże, odganiający ptaki i zwierzęta od dojrzewających zbóż; nieustanne skrzyżowanie kieratów, w których cały dzień trudzą się cierpliwe woły, dobywające ze studzien wodę, potrzebną do zwilżania pól, a czasem pędząca gościńcem w chmurach kurzawy jednokonna „ekka“, chrzęstem swej uprzęży mącąca ciszę przesyconego żarem powietrza. Niepokój ogarniał go na myśl o monotonnych popołudniach, jakie w samotności willi będzie musiała spędzać Hemnalini — ze wszystkich stron zamknięta i zabarykadowana, aby nie wpuścić do domu rozgrzanego upałem powietrza — tęsknie wspominająca dom ojcowski. Na takie życie będzie mógł skazać Hemnalini tylko, jeśli na zawsze zatrzyma Kamalę u jej boku.

Ramesz postanowił nie mówić Kamali o niczem aż do ślubu. Wówczas Hemnalini, wyczekawszy odpowiednią sposobność, tuląc ją do serca swego, z pełną miłości tkliwością, rozwinęłaby przed nią prawdziwą historję jej życia, rozplątując tak bezboleśnie, jak tylko można, węzły splątanej sieci, w której ją los uwikłał. A wtedy, daleka od domu, odcięta od wszystkich swych znajomych, Kamala bez najmniejszego wstrząśnienia zajęłaby należne sobie miejsce w ich małym gospodarstwie.

Cisza południa spowiała ulicę. Robotnicy zeszli ze sceny swej pracy, ludzie, zwolnieni od zajęć, zaczęli przygotowywać się do „siesty“. Chłód nadchodzącej zimy zdawał się osłabiać upał, a w powietrzu wisiały już święta. Nic nie przeszkadzało Rameszowi w malowaniu sobie szczęścia, jakie go oczekiwało, to też hojną dłonią nakładał barwy.

Z marzeń tych naraz zbudził go turkot kół.

Wielki wóz zajechał przed drzwi jego domu i zatrzymał się u nich. Ramesz wiedział, że to omnibus szkołiny, przywożący Kamalę i serce jego zabiło żywiej. Jak ma ją przywitać? O czem-że będą ze sobą rozmawiali? Jak ona się wobec niego zachowa? Były to pytania niepokojące, perspektywa, o której nie mógł myśleć bez zakłopotania. Dwuch jego służących czekało na dole. Pokazali się teraz pierwsi, niosąc kufarki Kamali, które złożyli na werandzie. Kamala szła za nimi aż do drzwi, u których się zatrzymała.

— Proszę wejść, Kamalo! — rzekł Ramesz.

Przezwyciężywszy swe chwilowe instynktowne zaważanie się, Kamala weszła do pokoju. Ramesz pragnął zatrzymać ją na święta na pensji i to rzekome jego zaniedbywanie jej kosztowało ją niemało lez.

Myśl o tem, jako też dłuższa rozłąka sprawiły, że Kamala czuła się tu poniekąd obco. To też, wszedłszy do pokoju, unikała wzroku Ramesza, uparcie patrząc wciąż w otwarte drzwi.

Wygląd Kamali był dla Ramesza niespodzianką; patrzył na nią, jak gdyby ją pierwszy raz widział. Przez tych kilka miesięcy zaszła w niej zdumiewająca zmiana. Rozwinęła się jak młoda latorośl. Zniknął kwiat zdrowia, który opromieniał niezgrabne członki wiejskiej dziewczyny. Jej twarz straciła swą młodzieńczą okrągłość, rysy stały się wyrazistsze i szlachetniejsze. Ciemny połysk policzków ustąpił miejsca delikatnej błości, a jej chód i ruchy były swobodne i niewymuszone.

Wszedłszy do pokoju, stanęła wyprostowana, z napół odwróconą głową, naprzeciw wielkiego okna i na twarz jej padło światło jesiennego popołudnia. Była z gołą głową, zaplecione jej warkocze, przetykane czerwoną wstążeczką, zwisały jej na plecy, zaś wełniana, szafranowego koloru suknia, mocno ściśnięta w pasie, przylegała do jej młodocianych kształtów.

Ramesz przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

Piękność Kamali w ostatnich kilku miesiącach rzadko kiedy przychodziła mu na myśl. Teraz, w swej powiększonej jeszcze świetności, wywarła na nim głębokie wrażenie i zaskoczyła go nieprzygotowanego do stawienia oporu jej urokowi.

— Kamala! Proszę usiąść! — poprosił ją.

Kamala usiadła bez słowa.

— Cóż słyhać w szkole? — zapytał.

— Wszystko dobrze — odpowiedziała krótko.

Ramesz wysilał przez chwilę swój mózg nad tem, co by tu jeszcze powiedzieć, gdy naraz wpadł na szczęśliwy pomysł.

— Zapominam — rzekł — że Kamali może jeść się chce, może głodna. Przygotowałem posiłek — mam przynieść tu?

— Nie, dziękuję — odpowiedziała Kamala — Jadłam przed wyjazdem z pensji.

— Kamala zupełnie nic jeść nie będzie? — zdziwił się — Może coś słodkiego, a jeśli nie — są jabłka, granaty, mangusty...

Ale Kamala potrząsnęła tylko przecząco głową. Ramesz znowu spojrzał dziewczęciu w twarz.

Kamala oglądała obrazki w swej czytance angielskiej, z głową, lekko naprzód pochyloną. Piękna twarz jest jak różdżka czarodzieja — przyciąga do siebie wszystko, co jest pięknego w jej otoczeniu. Miękkie światło słoneczne zdawało się być w tej chwili żywą, czującą istotą; jesienny dzień przybrał kształt i formę. Jak słońce rządzi swemi planetami, tak dziewczyna wciągała w swą orbitę wszystko — niebo, powietrze, światło — gdy ona sama, milcząca i nieświadoma swego uroku, siedziała, oglądając obrazki w książce szkolnej.

Ramesz wybiegł i przyniósł talerz, pełen jabłek, gruszek i granatów.

— Kamala może nie jeść, jeśli nie chce — rzekł — ale ja jestem głodny i nie mogę już dłużej wytrzymać.

Kamala uśmiechnęła się i światło jej niespodziewanego uśmiechu rozproszyło chmury, jakie się między niemi nagromadziły. Ramesz wziął nóż i zaczął obierać jabłko, był jednak istotnie najzupełniej niezdarny. Patrząc na jego pośpiech i nieudolne usiłowania spre-



parowania sobie owocu, Kamala nie mogła wytrzymać i wybuchnęła śmiechem.

Jej niepohamowana wesołość uradowała Ramesza.

— Kamala się śmieje — odezwał się — dlatego, że nie umiem obrać jabłka jak należy. Najśluszej w świecie; proszę mi przeto pokazać, jak się to ma robić.

— Mogłabym, gdybym miała odpowiedni nóż — odrzekła Kamala — Tym nożem zrobić tego nie mogę.

— Jak mi się zdaje, Kamala myśli, że my tu nie mamy noża do owoców — mówił Ramesz. — Zaraz się przekonamy.

Zawołał służącego i spytał go.

— Ależ oczywiście, proszę pana! Wczoraj jeszcze przynieśliśmy wszystko, czego potrzeba w kuchni! — brzmiała odpowiedź.

— Zatem proszę nóż starannie wyczyścić i przynieść — polecił Ramesz.

Kiedy nóż podano, Kamala zdjęła trzewiki, otworzyła ostrze, usiadła na ziemi i zręcznie obrała jabłko, a następnie zaczęła je krajać w plasterki. Ramesz usiadł naprzeciw niej i chwycił plasterki na talerz.

— Ale Kamala też zje kawaleczek? — zapytał.

— Nie, dziękuję! — odpowiedziała Kamala.

— Wobec tego i ja jeść nie będę.

Kamala spojrzała na niego.

— Więc dobrze. Naprzód pan zje, a potem ja.

— Ale napewno, nieprawda? Kamala mnie nie zwodzi?

— Nie, z całą pewnością, nie zwodzę! — odpowiedziała Kamala, z zapalem potrząsając głową.

Uspokojony tą odpowiedzią, Ramesz wziął kawalek jabłka z talerza i podniósł go do ust.

W tej chwili jednak spostrzegł coś, co sparaliżowało jego szczęki. Naprzeciw niego stał w otwartych drzwiach Dżogendra i Akszaj.

Pierwszy odezwał się Akszaj:

— Bardzo pana przepraszam, Ramesz Babu, sądziłem, że zastaniemy pana samego. Widzisz, Dżogen, nie trzeba było spadać nań tak nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Wyjdźmy! Zejdziemy nadół i tam zaczekamy.

Kamala wypuściła nóż z ręki i zerwała się na równe nogi.

Obaj mężczyźni zatarasowali sobą wyjście z pokoju. Dżogendra usunął się trochę z jednej strony i zostawił wyjście wolne, ale ani na chwilę nie odwracał wzroku od twarzy Kamali, przeciwnie, wpatrywał się w nią uparcie.

Kamala, zmieszana, wybiegła do sąsiedniego pokoju.

## ROZDZIAŁ XIX.

— Ramesz, co to za dziewczyna? — spytał natarczywie Dżogendra.

— Moja krewna! — odpowiedział Ramesz.

— I cóż to za pokrewieństwo? — pytał dalej Dżogendra — Nie jest twoją siostrą, a przypuszczam, że pokrewieństwa tego nie stworzyło uczucie. Oповідаłaś mi nieraz o wszystkich swoich krewnych, o tej nie wspomniałaś nigdy ani słowem.

— Śmiało naprzód, Dżogen! — wybuchnął Akszaj — Tu są z pewnością sprawy, które zwykle lubi się trzymać w tajemnicy przed przyjaciółmi.

— A więc, Ramesz, — mówił dalej Dżogendra — czy to jest ten wielki sekret?

Ramesz poczerwieniał.

— Tak jest, to tajemnica! — odpowiedział —  
Wolałbym, żebyście mnie o tę dziewczynę nie pytali.

— Na nieszczęście — odrzekł Dżogendra —  
właśnie specjalnie zależy nam na tem, aby o niej z tobą  
porozmawiać. Gdybyś nie był narzeczonym Hemnalini,  
nie potrzebowalibyśmy zupełnie zajmować się intere-  
sującymi rozgałęzieniami twego drzewa genealogicznego.  
Miałbyś wtenczas prawo do trzymania swych sekretów  
w najściślejszej tajemnicy.

— Tyle tylko mogę powiedzieć, — zaznaczył  
Ramesz — iż na świecie całym niema nikogo, z kim  
zawarłbym związek, który mógłby stanowić dla mnie  
przeszkodę w ożenieniu się z Hemnalini z czystym  
sumieniem.

Dżogendra: — Może nie być żadnej prze-  
szkody, jeśli się na rzecz patrzy z twego stanowiska,  
ale rodzina Hemnalini ze swego punktu widzenia może  
widzieć ich niemało— Ja chcę zapytać się tylko o jedno,  
bez względu na to, czy ona jest twoją krewną, czy nie  
— dlaczego trzymasz ją tu, w tem ukryciu?

Ramesz: — Gdybym ci to powiedział, zdra-  
dziłbym swą tajemnicę. Czy nie możesz wierzyć mi  
na słowo, bez podania przyczyn.

Dżogendra: — Czy ta dziewczyna nazywa  
się Kamala czy nie?

Ramesz: — Tak jest.

Dżogendra: — Podałeś ją za swoją żonę czy nie?

Ramesz: — Podałem.

Dżogendra: — Wobec tego jak możesz  
przypuszczać, że ci uwierzę? Nie zaprzeczysz chyba,  
że to jest twoja żona. Mówiłeś wszystkim, że jest nią.  
Nie jesteś zbyt dobrym przykładem prawdomówności.

A k s z a j : — Rozumiesz przez to oczywiście, iż nie tak niby wygląda prawdomówność głoszona z katedry uniwersyteckiej. Ale wkońcu, mój drogi Dżogen, może być, iż w praktyce, o ile okoliczności są naprawdę wyjątkowe i wymagają tego, należy opowiadać dwie różne historyjki dwom interesowanym stronom. Prawdopodobnie jedna z nich odpowiada rzeczywistości. To też może być, że prawdą jest to, co Ramesz Babu opowiadał tobie.

R a m e s z : — Ależ, ludzie, ja wogóle nie mam nawet zamiaru opowiadać wam cokolwiek! Mówię tylko, iż, żeniąc się z Hemnalini, nie robię nic złego. Mam aż zanadto wystarczające przyczyny, aby wam odmówić prawa do rozstrząsania spraw Kamali. Bez względu na podejrzenie, z jakim przysłiście do mnie, zrobiłbym jej wielką krzywdę, gdybym do tego dopuścił. Gdyby w grę wchodziło tylko moje szczęście i moja dobra sława, nie ukrywałbym przed wami niczego. Muszę jednak odmówić wszelkich tłumaczeń, jeśli one mogą ujemnie odbić się na szczęściu kogoś drugiego.

D ż o g e n d r a : — Czy powiedziałaś co Hemnalini?

R a m e s z : — Nie. Miałem zamiar wtajemniczyć ją w tę sprawę po ślubie. Jeśli sobie tego życzy, mogę jej powiedzieć choćby dziś.

D ż o g e n d r a : — A więc: czy mogę zadać parę pytań Kamali?

R a m e s z : — Stanowczo nie! Jeżeli sądzisz, że jestem winien, możesz na mnie wydać wyrok, jaki ci się żywnie podoba. Kamala jest bezwarunkowo niewinna i nie mam zamiaru wystawiać jej na krzyżowy ogień waszych pytań.

Dżogendra: — Po co mi tu wogóle badać jeszcze kogokolwiek! W tym domu dowiedziałem się wszystkiego, co mi było potrzebne. Pan sam dostarczyłeś mi dowodów — wobec czego oświadczam panu jak najdobitniej, że w chwili, kiedybyś pan ośmielił się przekroczyć próg naszego domu, spotka pana zniewaga.

Ramesz zbladł, ale nie odpowiedział ani słowa.

Dżogendra mówił dalej:

— Powiem więcej. Nie wolno panu pisać do Hemnalini, ani porozumiewać się z nią w jakibądź inny sposób — jawny czy tajny. Jeśli pan poważy się do niej napisać, opublikuję sekret, który pan starasz się utrzymać w tajemnicy i dostarczę potrzebnych dowodów. Jeśli ktokolwiek spyta, dlaczego Hemnalini zerwała z panem, powiem, że ja na jej małżeństwo z panem nie zgodziłem się, nie podając prawdziwego powodu, jeśli jednak pan nie zastosuje się do tego, cała historia się wyda. Dziwi pana zapewne, że, mimo okazanego przez pana braku serca, traktuję pana tak pobłażliwie. Niech pan nie sądzi, że powodem tego jest jakakolwiek życzliwość dla pana. Gdyby nie to, że w całą tę sprawę wmieszana jest moja siostra, Hemnalini, nie uszłoby to panu na sucho. Ostatnie moje słowo jest: w żaden sposób, ani mową ani uczynkiem nie wolno panu wydać się z tem, żeś pan kiedy miał cokolwiek do czynienia z Hemnalini. Na pańskich obietnicach polegać nie można. Po tylu zawodach trudno wierzyć w pańską szczerłość. Ale jeśli w panu tli jeszcze choćby iskierka wstydu, jeśli się pan nie chce narazić na skandal, zastosuje się pan do tej przestrogi — z własnej woli, lub też i inaczej.

A k s z a j : — Doprawdy, Dżogen, doprawdy! I nie żał ci Ramesza Babu? Patrz, jak spokojnie tego wszystkiego słucha! Powinnibyśmy już wynieść się stąd. Bez urazy, Rameszu Babu, idziemy już!

Dżogendra i Akszaj wyszli. Ramesz tak zdrętwiał, że wprost ruszyć się nie mógł. Kiedy, niby po jakimś oszołomieniu, z wolna zaczął przychodzić do siebie i właśnie zamierzał przejść się, aby, maszerując żywo, poddać tę całą sprawę należytej rewizji na świeżem powietrzu, przypomniał sobie, że nie może zostawić Kamali samej w tym obcym dla niej domu.

Znalazł dziewczynę w sąsiednim pokoju przy wielkiem oknie, wychodzącem na ulicę. Usłyszawszy kroki Ramesza, przymknęła okiennicę i zwróciła się ku niemu; Ramesz usiadł na ziemi.

— Co to za ludzie? — zapytała — Oni byli dziś rano u nas na pensji.

— Doprawdy, byli na pensji? — wykrzyknął Ramesz.

— Tak jest! — powiedziała Kamala — Czego oni od pana chcieli?

— Pytali mnie, jakie jest między nami pokrewieństwo.

Kamala nigdy nie siedziała u stóp teściowej i nigdy nie słyszała wykładów o tem, kiedy młoda żona powinna się zawstydić. Mimo to jej własny instynkt podyktował jej rumieniec przy tych słowach Ramesza.

— Zaś ja powiedziałem im — mówił dalej — że między nami pokrewieństwa żadnego niema.

Kamala uznała to za bardzo liche dowcip i, odwróciwszy się od niego, wykrzyknęła gniewnie:

— Jakże można tak było mówić!

Ramesz zamyślił się nad pytaniem, czy kiedykolwiek będzie mógł wyjawić Kamali całą prawdę.

Naraz dziewczyna zerwała się z okrzykiem:

— Patrzcie, wrona porwała pańskie jabłko!

To mówiąc, wybiegła do drugiego pokoju i, wróciwszy z talerzem owoców, który postawiła przed nim, rzekła:

— Może pan przecie co zje?

Ramesz zupełnie już stracił apetyt, ale wzruszyła go troskliwość dziewczyny.

— A Kamala też zje co? — zapytał.

— Pan musi zjeść naprzód! — odpowiedziała, nie wychodząc z roli żony, której nie wolno jeść, dopóki głód jej małżonka nie jest zaspokojony.

Był to drobiazg, ale Ramesz był nerwowo tak wyczerpany, że niewinna aluzja dziewczęcia doprowadziła go prawie do łez. Nie mógł słowa jednego wyrzec, opanował się jednak i zaczął jeść. Kiedy skończył, rzekł:

— Kamalo! \* Jeszcze dziś w nocy musimy jechać do domu, na wieś.

Na tę wiadomość twarz Kamali przeciągnęła się.

— Ja nie chcę na wieś! — bąknęła.

R a m e s z : — Woli Kamala wrócić na pensję?

K a m a l a : — Nie, niech mnie pan już na pensję nie posyła; dziewczęta wypytuja mnie wciąż o pana, ja się ich boję.

R a m e s z : — Co im Kamala mówiła?

K a m a l a : — Wogóle nie mówiłam z niemi. Naumyślnie pytały mnie wciąż, dlaczego pan nie chce mnie wziąć na święta do domu. Ja ...

Kamala nie mogła dokończyć zdania. Bolesne wspomnienie znów otwarło ranę w jej sercu.

R a m e s z : — Dlaczego Kamala im nie powiedziała, że ja dla Kamali jestem niczem?

Kamala niecierpliwie spojrzała na niego z pod oka.

— Jakże można tak mówić! — powtórzyła.

— I co ja z nią pocznę? — zadał sobie Ramesz w duchu pytanie.

Tajemnica jego, niby robak w wnętrznościach, przegryzała się na światło dzienne i proces ten był bardzo bolesny. Umysł jego zaprzętały niepokojące pytania. Dżogendra już się z pewnością widział z Hemnalini. Co jej powiedział? Jak to Hemnalini przyjęła? W jaki sposób mógłby powiadomić ją o prawdziwym stanie rzeczy? Jak będzie mógł znieść wieczystą rozłąkę z Hemnalini? Był jednak zbyt roztargniony, aby móc znaleźć odpowiedź na te pytania.

Jednego tylko był pewny, a mianowicie, że jego stosunki z Kamalą stały się nadzwyczaj zajmującym tematem tak dla jego przyjaciół jak i nieprzyjaciół w Kalkucie. Fałszywy krok, jaki popełnił, podając Kamalę za swą żonę, stanie się z pewnością powodem do najpotworniejszych plotek. Ani jednego dnia dłużej nie mógł z nią pozostać w tem mieście.

Jego zamyślenie nie uszło uwagi Kamali.

Spojrzała w jego stronę.

— Czem się pan tak martwi? — spytała — Jeśli pan chce jechać do domu i mieszkać na wsi, pojedę z panem.

To, że dziewczyna podporządkowuje swoje pragnienia jego życzeniom, było dla Ramesza nowym ciosem. Zaczął się znowu zastanawiać nad tem, jaki obrać sposób postępowania. Nie odpowiedziawszy na ostatnią uwagę Kamali, zapatrzony w nią, pogrążył się w głębokiem zamyśleniu.



Kamala wyczuła, że chwila wymaga powagi.

— A może pan — odezwała się — zły jest na mnie za to, że nie chciałam na święta zostać na pensji. Niech mi pan powie prawdę.

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Ramesz — na siebie jestem zły, nie na Kamalę.

Potężnym wysiłkiem wyzwolił się z pogmatwanej sieci swych myśli i rozpoczął rozmowę z Kamalą.

— A teraz, Kamalo! — rzekł nagle — proszę mi powiedzieć, czego się Kamala przez ten czas nauczyła w szkole.

Kamala wcale chętnie zaczęła popisywać się nowonabytą wiedzą. Przedewszystkiem próbowała wprawić Ramesza w zdumienie wiadomością, iż ziemia jest okrągła. Ramesz oczywiście zachował się sceptycznie i zapytał, czy to jest możliwe. Kamala szeroko otworzyła oczy.

— Jakże? Tak jest przecie w naszej książce. Wszystkiegośmy się o tem uczyły.

— Co Kamala mówi! — wykrzyknął Ramesz, udając zdziwienie — To wszystko jest w książce? Nie może być. A wielka to książka?

To pytanie podrażniło Kamalę.

— Nie jest znowu taka wielka, ale za to jest drukowana i w dodatku jest w niej dużo obrazków.

Wobec tak niezbitego dowodu Ramesz musiał ustąpić.

Kiedy Kamala skończyła szczegółowe opowiadanie o wszystkim, czego się uczyła, przystąpiła do charakterystyki swych koleżanek, nauczycielek, wreszcie życia szkolnego. Ramesz znowu pogrążył się w zamyślenie, od czasu do czasu wtrącając jakieś słówko.

Czasem podchwytywał koniec zdania i przyczepiał do niego pytanie.

Nagle Kamala wykrzyknęła:

— Ależ pan mnie zupełnie nie słucha!

I, rozgniewana, zerwała się.

— No, no, Kamalo! — rzekł Ramesz pośpiesznie.  
— Proszę się nie gniewać. Jestem dziś trochę nieswój.

— Czy pan chory? Co panu brakuje? — zapytała, zwracając się znów do niego.

— Nie mogę powiedzieć, żebym był chory; właściwie nic mi nie jest. Tak mnie coś czasem napada. Proszę, niech Kamala mówi dalej.

— Pokazać panu obrazki w mojej geografji? — pytała Kamala, pragnąc pochwalić się przed nim wszystkim, czego się nauczyła.

Ramesz z udaniem zaciekawieniem poprosił o ich pokazanie.

Kamala przyniosła książkę i, otwartą ją, trzymała ją przed nim.

— Te dwie półkule, które pan tu widzi — pouczała go — stanowią w rzeczywistości jedną kulę. Pan wie — nigdy nie można widzieć równocześnie obu stron okrągłego przedmiotu.

Ramesz udawał, że się nad tem zastanawia.

— Tak samo, kiedy przedmiot jest płaski! — zauważył.

— Otóż dlatego właśnie na tym obrazku obie półkule przedstawione są osobno — rzekła Kamala.

W ten sposób spędzili pierwszy świąteczny wieczór.

## ROZDZIAŁ XX.

Annada Babu gorąco modlił się w duchu, aby Dżogendra przyniósł dobre nowiny i aby całe to nieporozumienie zostało zupełnie wyjaśnione. Dlatego spojrział z trwogą, kiedy Dżogendra wszedł z Akszajem do jego pokoju.

— Wie ojciec! — zaczął syn — Nie byłbym nawet przypuszczał, że pozwolicie Rameszowi posunąć się tak daleko. Gdybym był przewidział, co się stanie, nigdy nie byłbym go ojcu przedstawił.

Annada Babu: — Sam nieraz mi mówiłeś, jakbyś się cieszył, gdyby Ramesz ożenił się z Hemnalini. Jeśli chciałeś przeszkodzić temu, dlaczegoż ...

Dżogendra: — Oczywiście, na myśl nawet nie przychodziło mi przeszkadzać, ale ...

Annada Babu: — Nie wiem, jakieby tu mogło być jeszcze „ale“. W takich wypadkach albo się pozwala, albo się nie pozwala — innej drogi niema.

Dżogendra: — Żeby jednak do czegoś podobnego dopuścić!

Akszaj uśmiechnął się i wmieszał się do rozmowy.

— Daj spokój! Takie rzeczy idą naprzód własnym rozpędem i nie potrzeba ich bynajmniej popychać. Nabrzmiwają, nabrzmiwają, póki wreszcie nie pękną. Ale — stało się, próżny płacz po szkodzie. Trzeba się raczej zastanowić nad tem, jak z tego wybrnąć.

Widzieliście się z Rameszem? — zapytał Annada Babu niespokojnie.

Dżogendra: — W całym znaczeniu słowa. Widzieliśmy go na łonie rodziny i mieliśmy przyjemność nawet poznać jego żonę.

W Annadę Babu jakgdyby grom uderzył.

— Poznaliście jego żonę? — powtórzył, kiedy wreszcie odzyskał mowę.

D ż o g e n d r a : — Tak jest, żonę Ramesza.

A n n a d a B a b u : — Zupełnie nie rozumiem. Jaką żonę?

D ż o g e n d r a : — Żonę naszego Ramesza. On przyjechał ze wsi żonaty.

A n n a d a B a b u : — Byłem pewny, że skutkiem śmierci ojca to małżeństwo rozchwiało się.

D ż o g e n d r a : — Ożenił się jeszcze przed śmiercią ojca.

Oniemiały, zdruzgotany siedział Annada Babu w swym fotelu, kiwając głową.

— Wobec tego ani mowy oczywiście, żeby się mógł żenić z naszą Hem! — odezwał się po jakimś czasie.

D ż o g e n d r a : — Przyszliśmy właśnie powiedzieć ...

A n n a d a B a b u : — Gadajcie sobie, co chcecie. Fakt jest, że wszystkie przygotowania do ślubu i do wesela już zrobione. Zaproszonych gości zawiadomiliśmy, iż ślub został odłożony do następnej niedzieli. Mamy teraz znów pisać, że się wogóle nie odbędzie?

— Nie potrzeba ślubu bynajmniej odkładać — wtrącił Dżogendra. — Należy tylko zrobić pewną małą zmianę, a wszystko pozostanie, jak zostało ułożone i zapowiedziane.

— Cóż ty za zmianę możesz zrobić? — zawołał Annada Babu zdumiony.

D ż o g e n d r a : — To przecie zupełnie jasne! Zamiast Ramesza musimy znaleźć innego pana młodego, który weźmie z Hemnalini ślub w przyszłą niedzielę, jak było zapowiedziane. Inaczej nie będziemy się mogli między ludźmi pokazać.

Tu Dżogendra spojrział w stronę Akszaja.

Akszaj skromnie patrzył w ziemię.

Annada Babu: — I jakże ty znajdziesz w przeciągu tygodnia męża dla Hemnalini?

Dżogendra: — O to niech się ojciec już nie obawia! Znajdę!

Annada Babu: — Zapominasz, że Hemnalini musi się na to zgodzić.

Dżogendra: — Zgodzi się z pewnością, gdy się dowie o postępowaniu Ramesza.

Annada Babu: — Doskonale, róbże, jak uważasz najlepiej, ale mnie to wszystko jest bardzo przykre. Szkoda mi Ramesza. To człowiek zdolny, wykształcony i nie bez środków. Nie dawniej niż wczoraj ułożyliśmy między sobą, że po ślubie przenieśmy się do Etawah, gdzie zamierzał otworzyć kancelarję, a dziś — taka historia!

Dżogendra: — Niema już o czem myśleć, drogi ojcze. Niech się Ramesz przenosi do Etawah i niech sobie tam otwiera kancelarję, jeśli mu się podoba. Sądzę, że najlepiej będzie natychmiast zawołać Hemnalini. Nie mamy czasu do stracenia.

Wyszedł i po chwili wrócił, prowadząc Hemnalini.

Akszaj ukrył się w kącie za szafą z książkami.

— Usiądź, Hem — rzekł Dżogendra — Mamy ci coś ważnego do zakomunikowania.

Hem bez słowa usiadła, z rezygnacją poddając się inkwizycji.

— Czy nie zauważyłaś czego podejrzanego w zachowaniu się Ramesza? — zaczął Dżogendra, przygotowując ją delikatnie do przykrej nowiny.

Potrząsnęła tylko przecząco głową.

— Odłożył do następnej niedzieli ślub. Jakież mogłyby być te powody, że nawet nam podać ich nie mógł?

— Musiał mieć po temu swe racje! — odpowiedziała Hemnalini, nie podnosząc oczu.

— Masz zupełną słuszność, on miał swe racje, ale czy już to samo nie wydaje ci się dostatecznie podejrzanę?

Hemnalini ruchem głowy dała do zrozumienia, że nie.

Dżogendrę zirytowało to ślepe zaufanie, jakie rodzina jego miała dla Ramesza. Dlatego teraz postanowił nie oszczędzać go już dłużej i odezwał się szorstko:

— Pamiętasz, jak Ramesz wyjechał z ojcem do domu na wieś? Przez dłuższy czas potem nic o nim nie słyszeliśmy i zupełnie słusznie uważaliśmy to jego zachowanie się za dziwne. Pamiętasz także, że dawniej, kiedy mieszkał koło nas, wpadał co najmniej dwa razy dziennie, a po powrocie do Kalkuty zamieszkał w dzielnicy odległej o kilka mil od nas i nie złożył nam nawet wizyty. Mimo to ojciec i ty wierzyliście mu w dalszym ciągu i zachęciliście go do życia z nami na dawnej stopie. Nigdyby się coś podobnego nie zdarzyło, gdybym ja tu był.

Hemnalini milczała.

Dżogendra: — Czy ojciec lub ty staraliście się kiedy zbadać przyczyny tego jego dziwnego zachowania się? Choćby z prostej ciekawości? Mielście do niego nadzwyczajne zaufanie.

Hemnalini wciąż jeszcze nie wyrzekła ani słowa.

Dżogendra: — Wybornie. Widzi się z tego, że żywiłowo wierzysz ludziom. Wobec tego mam nadzieję, iż uwierzysz teraz i temu, co ja ci powiem.

Osobiście byłem na pensji i przekonałem się, że Ramesz ma żonę, która mieszka tam jako pensjonarka i której kazał podczas świąt pozostać na pensji. Przed dwoma czy trzema dniami z jasnego nieba spadł nagle grom w postaci listu przełożonej, która donosiła, iż nie może trzymać Kamali — to jest właśnie żona Ramesza — na pensji podczas feryj świątecznych. Szkołę tegoż dnia zamknięto, a Kamalę omnibusem szkolnym odstawiono do jej dawnego mieszkania w Darddżiparze. Ja sam tam byłem i zastałem Kamalę, obierającą i krajającą jabłko, podczas gdy Ramesz, siedząc naprzeciw niej na ziemi, brał od niej plasterki jabłka i wkładał je sobie do ust. Zażądałem od Ramesza wyjaśnień, oświadczył, że ich nam nie da. Gdyby był starał się w jakiś sposób bodaj spróbować zaprzeczyć, że Kamala jest jego żoną, uwierzylibyśmy mu na słowo i staralibyśmy się usunąć podejrzenia, ale on nie chciał ani potwierdzić ani zaprzeczyć. Czy po tem wszyskciem możesz jeszcze Rameszowi wierzyć?

Wpatrując się w twarz siostry, Dżogendra czekał na odpowiedź.

Hemnalini zbieleła jak płótno i z całej siły chwyciła się poręczy krzesła. W chwilę później głowa opadła jej na piersi i Hemnalini nieprzytomna osunęła się na ziemię.

Annada Babu przeraził się. Uniósł głowę córki z podłogi i, przyciskając ją do piersi, wołał:

— Co ci to, kochanie, co ci? Nie wierz im ani słowa. To wszystko kłamstwo.

Dżogendra odsunął ojca, podniósł Hemnalini i zanosił ją na sofę. Dżbanek z wodą był na podorędziu. Dżogendra zwilżył jej twarz, podczas gdy Akszań wachlował ją gorliwie.

Hemnalini wkrótce otworzyła oczy, zdziwiona powiodła niemi dokoła, a potem z płaczem zwróciła się do ojca:

— Tatusiu, tatusiu, powiedz Akszajowi Babu, żeby sobie poszedł.

Akszaj natychmiast położył wachlarz i wyszedł na korytarz.

Annada Babu usiadł przy Hemnalini na sofie i zaczął ją łagodnie głaskać po głowie. Wzdychał tylko i szeptał:

— Moje kochanie! Moje złoto!

Nagle oczy jej napełniły się łzami i pierś zafalowała tak gwałtownie, że przycisnęła ją do kolana ojca, jakby starając się zdusić swój nieznośny ból.

— Nic sobie z tego nie rób, kochanie, nic a nic! — mówił zcicha Annada Babu urywanym głosem. — Znam ja dobrze Ramesza i wiem, że on nas nie oszuka. Dżogen musiał się pomylić.

Cierpliwość Dżogendry wyczerpała się.

— I po co ją łudzić fałszywymi nadziejami, ojczé! — wykrzyknął — Ojciec chce ją teraz oszczędzać a za to potem będzie jeszcze gorzej! Niech raczej czempredzej zapomni!

Hemnalini podniosła głowę z kolan ojca i spojrzała Dżogendrze prosto w oczy.

— Otóż oświadczam ci, że temu wszystkiemu nie wierzę i nie uwierzę, dopóki od niego samego nie usłyszę.

To rzekłszy, wstała z wysiłkiem, ale zachwiała się na nogach.

Annada Babu krzyknął i poskoczył jej na pomoc.

Hemnalini oparła się na jego ramieniu i tak zaprowadził ją do jej pokoju.



— Tatusiu, proszę zostawić mnie na chwilę samą. Może się zdrzemnę trochę.

Mówiąc tak, położyła się.

— Nie przysłać ci starej niani, żeby cię wachlowała?

— zapytał ojciec.

— Nie, dziękuję, wolę być sama.

Annada Babu wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Przyszła mu na myśl matka Hemnalini, która umarła, kiedy dziewczynka miała zaledwie trzy lata; przypomniał sobie jej oddanie się, cierpliwość, jej nigdy nie słabnącą energję. Serce jego pełne było lęku i niepokoju o córkę, której przez tyle lat starał się zastąpić matkę i która wyrosła na jej obraz i podobieństwo. Myślą przewyciężył przeszkodę fizyczną, jaka odgrażała go w tej chwili od niej i naraz spostrzegł, iż w duchu przemawia do swej leżącej córki:

— Najdroższa, błagam Niebo, aby raczyło z drogi twej usunąć wszystkie przeszkody i żebyś zawsze już była w życiu szczęśliwa. Błagam Boga, abym — zanim odejdę do twej matki — ujrzał cię szczęśliwą i zadowoloną, bezpiecznie usadowioną u boku człowieka, którego kochasz.

Przy tych słowach brzegiem sukni otarł łzy z powiek.

Dżogendra nigdy nie był wysokiego mniemania o inteligencji kobiet, zaś wypadki tego dnia utwierdziły go tylko w jego dotychczasowem przekonaniu. Jak można wogóle mówić z płcią, która przeczy nawet najzupełniej jasnej oczywistości? Kobieta gotowa zaprzeczyć choćby że dwa razy dwa jest cztery, jeśli szczęście jej od tego zależy. Jeżeli rozum jej powie, że czarne jest czarne, a miłość, że jest białe, nieszczęsny rozum zostanie naturalnie wzgardzony. I jak mimo tej ok-

biecej psychologii świat mógł jeszcze istnieć, tego Dżogendra absolutnie już nie pojmował.

Zawołał Akszaja.

Akszaj wśliznął się do pokoju.

— Słyszałeś wszystko. Cóż teraz poczniemy — spytał go Dżogendra.

— Po co mnie w to wciągasz, mój drogi! Co mnie to może obchodzić? Czy ja się do czego mieszałem? Wcale to niepięknie z twej strony, że wpłatałeś i mnie w tę kabałę.

Dżogendra: — Daj teraz spokój narzekaniom. Narazie nie widzę innego wyjścia, jak tylko nakłonienie Ramesza, aby sam wyznał wszystko Hemnalini.

Akszaj: — Oszalałeś chyba! Czy myślisz, że mężczyzna...

Dżogendra: — Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy go mogli namówić, żeby to zrobił piśmiennie. Oto zadanie dla ciebie. Ale musisz się zabrać do niego natychmiast.

Akszaj: — Zobaczę, co się da zrobić.

## ROZDZIAŁ XXI.

Tego samego dnia o godzinie dziewiątej wieczorem Ramesz zawiózł Kamalę na dworzec Sealdah. Dorożkarz, stosownie do jego wskazówek, jechał okrężną drogą przez ulice Kalutoli, a kiedy mijał pewien dom, Ramesz aż się z okna wychylił. W znanej sobie dobrze fizjognomji domu nie zauważył żadnej zmiany.

Westchnął tak głęboko, że Kamala ocknęła się z drzemki i zapytała, co mu się stało.

— Nic! — odpowiedział Ramesz i usiadł znowu na swoim miejscu, z którego się już do końca nie ruszał.

Kamala wcisnęła się w kąt karetki i wkrótce znowu zasnęła. Już sama jej obecność wzbudzała w Rameszu uczucie niechęci, której obronić się nie mógł.

Na dworzec przybyli w porę i wnet znaleźli się w przedziale klasy drugiej, o który się Ramesz wystarzał. Na jednej z dolnych kanap posłał Kamali, zasłonił światło, spuścił żaluzje i rzekł:

— Kamala dawno już powinna być w łóżku. Proszę się teraz położyć i spać.

— Nie mogłabym siedzieć tu i wyglądać oknem, dopóki pociąg nie ruszy? — zapytała — Potem zaraz się położę.

Ramesz pozwolił, wobec czego Kamala okryła twarz zasłoną i, usiadłszy na końcu kanapy przy oknie przyglądała się tłumom, podczas gdy Ramesz siedział w głębi przedziału, patrząc bezmyślnie przed siebie. Pociąg właśnie ruszał, gdy wzrok jego padł nagle na spóźnionego pasażera, pędzącego platformą peronu, a którego twarz zdawała mu się być znaną.

W tej chwili Kamala aż pisnęła z uciechy. Ramesz wychylił się z okna i przyglądał się zapóźnionemu pasażerowi, wrywającemu się urzędnikowi kolejowemu, który starał się oderwać go od pociągu, będącego już w ruchu. Pasażerowi jednak udało się postawić na swoim, mimo iż szal jego pozostał w rękach urzędnika. Kiedy wychylił się z okna wagonu, sięgając po swój szal, Ramesz poznał w nim — Akszaja.

Sporo czasu minęło, zanim Kamala przestała się śmiać z bójki, jakiej była świadkiem.

— Już pół do dziesiątej a Kamala jeszcze nie śpił, — zauważył Ramesz. — Czas już kłaść się spać.

Dziewczyna posłusznie położyła się, ale dopóki nie usnęła, wciąż jeszcze miała od czasu do czasu napady śmiechu.

Ramesz ze swej strony nie brał tego spotkania bynajmniej z humorystycznego punktu widzenia. O ile mu było wiadomo, Akszaj nie miał nikogo na wsi, jego rodzina już od wielu pokoleń mieszkała w Kalkucie. A prócz tego, czemuż tak strasznie spieszył się do tego właśnie pociągu?

Jedynym wytłomaczeniem tego wszystkiego mogło być, iż śledził Ramesza i Kamalę.

Myśl, że Akszaj mógłby chcieć zasięgać informacji w jego wsi rodzinnej, przeraziła go wprost. Jego dobre imię stałoby się celem szyderstw i naigrawań wiecznie kłócących się, rywalizujących ze sobą stronnictw i cała sprawa nabrałaby niewypowiedzianie brudnego wyglądu.

Łatwo mógł sobie wyobrazić, jakie plotki zaczęłyby trąbić po wsi. W mieście tak wielkiem, jak Kalkutta, zawsze bez trudu znajdzie się głębinę, w których można zanurzyć się z głową, ale płytkie wody małej wioski za najmniejszym poruszeniem pienią się z podniecenia. Im dłużej się Ramesz nad tem zastanawiał, tem gwałtowniej wzdrygał się na myśl o podobnej perspektywie.

Kiedy pociąg zatrzymał się w Barrackpore, Ramesz wychylił się z okna, nie zauważył jednak, aby Akszaj wysiadał. W Naihati wielu podróżnych wysiadło i wsiadło do pociągu. Akszaja między nimi nie było. W Boguli znowu wystawił głowę z okna i znowu bez żadnego rezultatu. Nie wydawało się, żeby Akszaj miał zamiar wysiadać na którejkolwiek z tych stacji.

Mimo zmęczenia Ramesz zasnął dopiero późno w nocy. Wczesnym rankiem pociąg stanął w Goalando

— w końcowym punkcie linji, gdzie podróżni, udający się do wschodniego Bengalu, przesiadają się na statki — i Rameszowi udało się tam ujrzeć z daleka Akszaja, pędzącego ku przystani parowców rzecznych, z walizką w ręce i z głową i twarzą zupełnie owiniętą szalem. Statek, który zawiózłby Ramesza do jego wsi, miał wyruszyć dopiero za kilka godzin, ale niedaleko niego był drugi, już pod parą i gwizdzący niecierpliwie.

— Dokąd idzie ten statek? — spytał Ramesz.

— Na zachód! — brzmiała odpowiedź.

— Jak daleko?

— Aż do Benares, jeśli w rzece będzie dość wody.

W mgnieniu oka Ramesz umieścił Kamalę w jednej kabinie, a sam pobiegł na brzeg zakupić potrzebny do podróży zapas ryżu, grochu, mleka i bananów. Tymczasem Akszaj, uprzedziwszy wszystkich innych, dopadł drugiego parowca i zajął na nim stanowisko, z którego mógł dokładnie widzieć cały tłum. Podróżni, zamierzający jechać tym statkiem, nie okazywali szczególniejszego pośpiechu; chwile oczekiwania skracali sobie myciem się lub kąpielą, a niektórzy gotowali nawet strawę i jedli ją na brzegu rzeki.

Nie widząc nigdzie Ramesza, Akszaj był pewien, że Ramesz zaprowadził Kamalę na śniadanie do którejś z niedalekich restauracji, ponieważ jednak sam Goaland nie znał, wolał nie ryzykować, lecz raczej pozostać na statku.

Rozległ się wreszcie świst gwizdka — ale Ramesza nigdzie nie było widać. Podróżni tłumnie przybywali na pokład, idąc po kołyszących się deskach, które służyły zamiast pomostu. Kiedy świst gwizdka stał się jeszcze niecierpliwszy, spóźnieni biegiem poskoczyli ku statkowi, lecz Ramesza nie było ani między tymi

nowoprzybyłymi, ani między podróżnymi, znajdującymi się już na pokładzie.

Wszyscy zdążyli dostać się na statek, wciągnięto na brzeg deski i kapitan dał znak podniesienia kotwicy, gdy naraz Akszaj zawołał, że chce wysiąść. Załoga nie zwróciła na niego uwagi, ponieważ jednak statek stał tuż przy brzegu, udało się Akszajowi wyskoczyć na ląd. Ale i tam nigdzie Ramesza nie było.

Właśnie odszedł był ranny pociąg do Kalkuty.

Teraz Akszaj przyszedł do przekonania, iż Ramesz musiał go zauważyć prawdopodobnie podczas wsiadania do pociągu, dalej, że, podejrzewając go o wrogie zamiary, porzucił plan podróży do wsi rodzinnej i wyjechał z powrotem rannym pociągiem do Kalkuty. Byłoby rzeczą niesłychanie trudną znaleźć kogoś w mieście tak wielkiem jak Kalkutta.

## ROZDZIAŁ XXII.

Akszaj spędził cały dzień na wałęsaniu się po Goalando, a wieczorem pocztowym pociągiem wyjechał do Kalkuty. Przybywszy tam wczesnym rankiem następnego dnia, pośpieszył natychmiast do mieszkania Ramesza w Darddżiparze, znalazł jednakże drzwi zamknięte i dowiedział się, że w domu nikogo niema.

Pojechał tedy do Kalutoli, a nie zastawszy i tam nikogo, udał się do znajdującego się w pobliżu domu Annady Babu i oznajmił Dżogendrze:

— Ramesz drapnął! Nie mogłem go złapać.

— Jakto? — wykrzyknął Dżogendra.

Akszaj szczegółowo zdał mu sprawę ze swej podróży.

Kiedy Dżogendra dowiedział się, iż Ramesz na sam widok Akszaja rzucił się do ucieczki, podejrzenia jego zamieniły się w pewność.

— Ale cóż mi z tego! — rzekł — Choć dla nas to najoczywistszy dowód jego winy, na nic się nam nie przyda. Nie idzie wyłącznie o Hemnalini, bo i ojciec bajdurzy wciąż o swem niezachwianem zaufaniu do Ramesza i że nie uwierzy, póki całej historji od niego samego nie usłyszy. Doszło do tego, że gdyby Ramesz dziś się tu zjawił i rzekł „nic wam jeszcze powiedzieć nie mogę“, ojciec — pewny jestem! — bez wahania pozwoliłby mu pobrać się z Hemnalini. Z takimi ludźmi nic nie poradzisz! Ojciec nie może patrzeć, jak Hemnalini się gryzie. Gdyby dziś do niego przyszła i gdyby mu tylko pisnęła, że chce wyjść za Ramesza, choćby nawet już miał jedną żonę, przekonany jestem, że i na toby się zgodził. Tak czy siak musimy uzyskać od Ramesza zupełne wyznanie, a im prędzej się to stanie, tem lepiej. Nie traćmy nadzieji. Chętnie zabrałbym się sam do tego, ale pojęcia nie mam, jakby to zrobić i prawdopodobnie skończyłoby się na tem, żebym się z Rameszem tylko pobił. Ale ty chciałbyś się może umyć i napić herbaty?

Umywszy się, Akszaj zasiadł do herbaty, rozmyślając uparcie nad sytuacją. Z rozmyślań tych wyrwało go wejście Annady Babu, który prowadził pod rękę swą córkę. Hemnalini, ujrawszy Akszaja, wykręciła się na pięcie i wyszła.

— Tego już zawiele, Hem! — wykrzyknął w gniewie Dżogendra — Ojciec nie powinien tolerować tych jej szorstkich wybryków, powinien ją ojciec zmusić, żeby wróciła.

Zawołał kilka razy „Hem! Hem!“, ale Hemnalini była już na górze.

Powstrzymał go Akszaj:

— Dżogen, mówię ci zupełnie poważnie, że tylko mi szkodzisz. Byłoby lepiej, gdybyś z nią wogóle o mnie nie mówił. Pozwól — niech czas zrobi swoje. Jeśli teraz będziesz wciąż na nią tak wpadał, doprowadzisz do czegoś, czego już się nie da naprawić.

To mówiąc, dopił herbatę i wyszedł.

Młody ten człowiek obdarzony był wprost niewyczerpanym zapasem cierpliwości. Wiedział dobrze, że kiedy wszystko sprzysięgnie się przeciw człowiekowi, pozostaje jedynie — usiąść i czekać. Temperament miał bardzo równy. Kiedy mu wymyślano, nie oburzał się i nie odchodził obrażony. Był tak gruboskórny, że nie wzruszało go ani łajanie ani nawet jawne okazywanie mu pogardy. Żeby go przyjaciele traktowali Bóg wie jak wyniośle, nic sobie z tego nie robił.

Jak tylko odszedł, Annada Babu ściągnął Hemnalini na herbatę. Twarz jej była blada, oczy podkrążone czarnymi obwódkami. Weszła do pokoju ze spuszczo-nymi powiekami, nie chcąc spojrzeć w twarz Dżogendrre. Wiedziała, że Ramesz i ona sama doprowadzili go do ostateczności i że wydał już na nich oboje w duchu surowy, potępiający wyrok; dlatego bała się spojrzeć mu w oczy.

Mimo, że miłość podsycala wiarę Hemnalini w Ramesza, nie mogła przecie zupełnie zagłuszyć w niej głosu rozsądku. Wychodząc z tego pokoju przed dwoma dniami, oświadczyła Dżogendrre, iż jest w swej wierze niezachwiana, w rzeczywistości jednak, w samotności bezsennych nocy, wiara ta osłabła.



Prawdę mówiąc, nie znajdowała żadnego rozumnego wytłumaczenia dziwnego postępowania Ramesza. Próbowwała zdala od twierdzy swej wiary trzymać podejrzenia, ale wątpliwości szturmowały nieprzerwanie do tylnych furtek. Jak matka, która, aby obronić swe dziecko, przyciska je do serca, tak ona, atakowana przez potępiającą Ramesza oczywistość, do serca swego tuliła wiarę w niego. Lecz, niestety! Czy siły dopiszą jej usiłowaniom?

Annada Babu, który i dziś jeszcze spał w pokoju obok Hemnalini, wiedział dobrze, jak bezsenłą noc spędziła. W nocy kilkakrotnie wchodził do jej pokoju i widział, że nie śpi. Na jego pełne niepokoju pytania odpowiadała:

— Czemu tatuś nie śpi? Ja jestem śpiąca; właśnie już zasypiałam.

Wstała wcześniej i przechadzała się po dachu.

Wszystkie drzwi w domu Ramesza były zamknięte okiennicami. Słońce powoli wysuwało się z gęstwy dachów na wschodzie, ale Hemnalini wydał się ten nowonarodzony dzień tak posępny, beznadziejny, smutny i żalospny, iż usiadła w kącie na dachu, zasłoniła twarz dłońmi i zalała się łzami. Dzień minie znów bez widzenia się z ukochanym, nie będzie mogła spodziewać się go choćby w uroczystej godzinie wieczornej i pozbawiono jej nawet marnej pociechy, świadomości, iż jest w pobliżu niej, w domu sąsiednim.

Ocknęła się, słysząc, że ojciec woła:

— Hem! Hem!

Szybko otarła łzy i odpowiedziała:

— Co, tatusiu?

— Późno dziś wstałem! — mówił Annada Babu, wynurzając się ze schodów, prowadzących na dach.

A stanąwszy przy niej, poklepał ją po ramieniu.

Niegokój o córkę nie dał mu spać, tak, że Annada Babu zasnął dopiero nad ranem. Zbudził się, kiedy słońce świeciło mu już dobrze w oczy. Zerwał się i, ubrawszy się czempredzej, zajrzał do pokoju córki. Pokój był pusty i myśl o tem, że córka wciąż jeszcze szuka samotności, sprawiła mu nowy ból.

— Chodź na herbatę, dziecko! — odezwał się.

Hemnalini bała się wprawdzie nieuniknionego spotkania z Dżogendrą, wiedziała jednak, iż przykrość robi ojcu uchylaniem się od zwykłego trybu życia; prócz tego niezmiennym jej zwyczajem było własnoręcznie nalewać ojcu herbatę i nie chciała tego drobnego obowiązku zaniedbywać.

Kiedy, stanąwszy pod drzwiami, usłyszała, że Dżogendra z kimś rozmawia, serce jej zabiło gwałtownie, bo myślała, że to Ramesz. Nikt inny nie mógł przyjść tak wcześnie. Drżąc na całym ciele, weszła do pokoju i ujrzała — Akszaja! To już był ostatni cios i dlatego odwróciła się i uciekła. Gdy ojciec mimo wszystko sprowadził ją na dół, przysunęła się jak najbliżej jego krzesła i skupiła całą uwagę na przyrządzanie mu herbaty.

Dżogendra czuł się naprawdę dotknięty jej postępowaniem. Że Hem tak niesłychanie brała do serca zdradę Ramesza, wydawało mu się rzeczą wprost nie do zniesienia. Jego podrażnienie wzrosło jeszcze, kiedy zauważył, iż Annada Babu współczuje jej zmarwieniu i że ona stara się tego jego uczucia używać jako tarczy między sobą a światem.

— Oczywiście, jesteśmy wszyscy zbrodniarzami! — myślał — Za to, że miłość dla niej zmusza nas do spełnienia naszego obowiązku i do starania się o jej

prawdziwe szczęście, nie tylko nie znajdzie słówka podziękowania, ale w duchu jest przekonana, że wyrażamy jej krzywdę. Ojciec nie ma najmniejszego pojęcia, jak się zachować w tej sytuacji; w tym stanie rzeczy, zamiast pocieszać ją, powinien raczej użyć noża. Nie chcąc zadać jej bólu, kryje przed nią tylko niepożądaną prawdę.

— Czy ojciec wie, co się stało? — rzekł głośno.

— Nie, cóż takiego? — spytał Annada Babu żywo.

— Przedwczoraj Ramesz, zabrawszy żonę ze sobą, wyjechał pocztowym pociągiem na Goalando do domu. Zobaczywszy, że i Akszaj wsiada do pociągu, zmienił plan i wrócił do Kalkutty.

Hemnalini ręce zadrżały tak, że rozlała herbatę, którą właśnie nalewała. Szybko usiadła na krześle.

Dżogendra spojrział na nią z pod oka.

— Nie rozumiem, jakie mógł mieć motyw, aby uciekać, wiedząc dobrze, iż Akszaj o wszystkim jest poinformowany. Już jego dawniejszy sposób postępowania był dostatecznie nikczemny, ale tak stchórzyć i uciec jak złodziej — to już szczyt wszystkiego. Moim zdaniem, to poprostu haniebnie! Nie wiem, co Hem o tem wszystkim myśli, jednakże ja uważam tę jego ucieczkę za najoczywistszy dowód winy.

Hemnalini zerwała się, trzęsąc się ze wzruszenia.

— Nie potrzebuję wcale twoich dowodów, — zawołała — dziękuję ci za nie. Możesz sobie potępić go, jak ci się podoba, ale ja nie jestem jego sędzią.

Dżogendra: — Czyż nas nic nie obchodzi człowiek, który miał zostać twym mężem?

Hemnalini: — Nie mówiłam nic o małżeństwie. Możesz je zerwać lub nie, jak chcesz, ale nie próbuj złamać mego postanowienia.

Łkanie nie pozwoliło jej mówić dalej.

Annada Babu wstał, wziął jej łzami zroszoną twarz w swoje dłonie i rzekł tylko:

— Chodź, dziecię, pójdziemy na górę!

## ROZDZIAŁ XXIII.

Parowiec, na którym znajdował się Ramesz z Kamalą, w oznaczonym czasie opuścił Goalando. Ponieważ zupełnie nie było na nim pasażerów pierwszej ani drugiej klasy, Ramesz anektował jedną kabinę i złożył w niej swoje pakunki.

Kamala napiła się na śniadanie mleka a potem, usiadłszy na ziemi, podziwiała przez otwarte drzwi kabiny wciąż zmieniającą się scenerję brzegów i rzeki.

— Czy Kamala wie, dokąd jedziemy? — spytał Ramesz.

— Na wieś, do domu! — odpowiedziała.

R a m e s z : Ponieważ Kamala nie chciała tam jechać, jedziemy gdzieindziej.

K a m a l a : Czy dla mnie zmienił pan swój plan?

R a m e s z : Tak jest, dla Kamali.

— I pocóż pan to zrobił? — rzekła Kamala, zachmurzywszy się — Nie trzeba tak poważnie brać lada uwagi, która mi się przypadkowo wyrwie. Pan się zbyt łatwo obraża.

Ramesz uśmiechnął się.

— Nie czułem się obrażony bynajmniej. Ja sam nie chciałem jechać do domu.

— Dokądże jedziemy? — wykrzyknęła Kamala ciekawie.

R a m e s z : Jedziemy na zachód.

Słyszając to Kamala, szeroko otwarła oczy. Dla kogoś, kto mało ruszał się z domu, w słowie „Zachód“ mieści się cały świat. — Słyszące z cudów kaplice, uzdrawiające powietrze, nowe widoki, miniona świetność królów i cesarzy, misternie dzierzgane w kamieniu świątynie, echa przeszłości i legendy z czasów bohaterskich.

— Do którejże miejscowości jedziemy? — pytała dalej, oszołomiona radością.

— Nie zdecydowałem się jeszcze. Jedziemy na Monghyr, Patnę, Dinapor, Buksar, Ghazipur do Benares i w którejś z tych miejscowości wysiądziemy.

Niektóre nazwy były Kamali znane ze słyszenia, inne nie, ale w miarę, jak je wyliczał, wyobraźnia jej rozogniała się.

— Ach, jakież to będzie śmieszne! — zawołała, klaszcząc w dłonie.

— „Śmieszne“ przyjdzie potem — rzekł Ramesz — teraz zaś musimy pomyśleć o tem, co będziemy jedli. Nie zdaje mi się, żeby Kamala chciała jeść z kotła żałogi statku.

— Niech Bóg broni! Myślę, że nie! — wykrzyknęła Kamala, krzywiąc się.

R a m e s z : Więc cóż pocniemy?

K a m a l a : Ja będę gotowała.

R a m e s z : Kamala umie gotować?

Kamala wybuchnęła śmiechem.

— Doprawdy, nie wiem już, za kogo pan mnie ma. Czy umiem gotować! Za jakiegoż głuptaka pan mnie uważa! Jakże, przecie u wuja gotowałam dla całego domu!

Ramesz zaczął przeproszać:

— Istotnie, jakże mogłem nawet pytać Kamalę o coś podobnego! A więc dobrze, trzeba się powoli zabrać do roboty.

Odszedł, a po chwili wrócił, niosąc żelazny piecyk do gotowania. Niedosć na tem. Na pokładzie znajdował się chłopak, imieniem Umesz, należący do kasty pisarzy czyli Kajasta, zatem co do przynależności kastowej niższy tylko od Brahminów bengalskich; za zwrotem kosztów podróży do Benares i dziennem wynagrodzeniem angażował go Ramesz jako pomocnika Kamali do gotowania.

— I cóż Kamala da nam na obiad? — zapytał następnie.

— Czego się pan może spodziewać, jeśli mi pan dał tylko ryż i groch! Zrobię „k e d d ż e r i“.

Stosownie do wskazówek Kamali Ramesz postarał się o trochę korzeni, których odstąpili mu majtkowie.

— I co ja z tem pocznę! — wołała, wzbита w dumę i ubawiona tą jego ignorancją w sprawach kulinarnych. — Niepodobieństwo przecie utłuc to bez moździerza i tłuczka, nie wie pan? Jak pan na niczem się nie zna!

Ramesz bez słowa przelknął tę wymówkę i pospieszył na poszukiwanie potrzebnych narzędzi. Nie znalazł wprawdzie tego, czego się spodziewał, ale przecie udało mu się pożyczyć od kogoś z załogi żelazny moździerz i tłuczek. Nie było to bynajmniej to, do czego Kamala przywykła, ale musiała się tem zadowolić. Ramesz ofiarował się znaleźć kogoś, ktoby korzenie utłukł, jednakże ona odrzuciła jego propozycję i czemprędzej sama zabrała się do dzieła. Zmaganie się z naczyniami, do których nie była przyzwyczajona, tak ją nadzwyczajnie bawiło, że śmiała się tylko, gdy korzenie

wyskakiwały z mózdzierza, rozpryskując się na wszystkie strony. Wesolość jej była tak zaraźliwa, że Ramesz nie mógł się jej oprzeć.

Kiedy epizod z tłuczeniem korzeni minął, Kamala zakasała suknię i ustawiła w jednym kącie swą kuchnię. Jako garnek służyła jej wielka, gliniana donica, zabrana jeszcze z Kalkutty, a w której przechowywała słodycze. Jak tylko w garnku zaczęło kipieć, Kamala poleciła Rameszowi zaraz iść się kąpać, mówiąc, że, zanim wróci, jedzenie będzie gotowe. Zastosował się do jej życzenia i, wróciwszy, przekonał się, iż mówiła prawdę. Obiad był gotów, ale pozostało nowe pytanie: Na czem go zjeść?

Ramesz napomknął niejasno, iż mógłby ostatecznie wypóczyć parę nakryć od mahometańskiej załogi statku, lecz Kamala ze zgrozą odrzuciła tę myśl, mimo, iż w zaufaniu zwierzył się jej, że nie byłoby to pierwsze jego wykroczenie przeciw rytualnej czystości hinduskiej.

— Tego już nie odrobie — brzmiała odpowiedź — ale na przyszłość niech się pan tego robić nie waży. Nie ścieriałabym czegoś podobnego.

Zdjęła płaską pokrywkę z garnka, wytarła ją starannie i położyła przed nim.

— Dziś musi pan poprzestać na tem; jak będzie można, postaramy się o coś lepszego.

Ramesz przyniósł wody, oplókał nią parę desek pokładu i zasiadł na ziemi do jedzenia, zadowolony, iż nie musi wykraczać przeciw rytualnym przepisom.

Ledwie parę łyżek przelknął, wykrzyknął:

— Ależ Kamala wspaniale gotuje!

— Niech pan sobie nie żartuje ze mnie! — zaprotestowała Kamala zmieszana.

— Wcale nie żartuję; Kamala przekona się, jakie to dobre, jak na Kamalę kolej przyjdzie.

W mgnieniu oka sprzątnął, co miał na talerzu i nadstawił go znowu, prosząc o „jeszcze“. Tym razem Kamala dała mu znacznie większą porcję.

— Co Kamala robi! — zawołał — Czy zostało tam dość dla Kamali?

— O, proszę się nie bać, zostało jeszcze bardzo dużo!

Zachwycona była, widząc, jak Rameszowi smakuje.

— A na czym Kamala będzie jadła? — zapytał po chwili.

— Jakto, na czym? Rozumie się, na pokrywce! — odpowiedziała, spokojna w swem sumieniu, iż jako jego żona może jeść z jego talerza.

— Och, nie, jakże można, nie trzeba! — wykrzyknął Ramesz ze zgrozą.

— Dlaczego nie? — spytała Kamala zdziwiona.

— Nie, to nie wypada!

— Najzupełniej wypada. Sama wiem, co można a co nie. A ty, Umesz, na czym będziesz jadł?

— Pod pokładem jest kramarz, sprzedający słodycze; poproszę go, aby mi dał parę liści „sal“ i z nich zrobię sobie talerz.

— Jeśli Kamala chce jeść z tej pokrywki — zaczął Ramesz — proszę mi ją dać, żebym ją mógł porządnie umyć.

— Tyle hałasu o nic! — odpowiedziała na te jego „ceregiele“.

A w kilka minut później wykrzyknęła:

— Nie przyniósł mi pan „pán“ (orzech betelu do żucia), a teraz nie mogę panu przygotować go do żucia.



— Pod pokładem jest człowiek, który „pán“ sprzedaje — uspokoił ją.

W ten sposób z łatwością uczynili zadość swym skromnym potrzebom.

— Na wszystko święte! — myślał Ramesz — Jak ja jej wybije z głowy przekonanie, że nie jesteśmy mężem i żoną!

Kamala, nie czekając pomocy z zewnątrz ani specjalnego polecenia, sama podjęła się obowiązku gospodyni; jej życie w domu wujostwa było przecie wiecznem, nieprzerwanem kołem, na które składało się gotowanie, nauczanie dzieci i uprzątanie domu. Schludność, zręczność, ochocza żwawość, z jaką pełniła swe obowiązki, zachwycała Ramesza, równocześnie jednak prześladowały go wciąż niepokojące pytania: Jak mają się między nimi ułożyć w przyszłości stosunki? Trzymać ją przy sobie było takim samem niepodobieństwem, jak odesłać ją. Jakżeż zachowywać się wobec niej w pożyciu codziennem? Gdyby tu była Hemnalini, jakże łatwo i poprostu ułożyłoby się to wszystko! To było niemożliwe, a inne rozwiązanie sytuacji w tej chwili nie przychodziło mu na myśl.

Wreszcie postanowił skończyć raz z tą tajemnicą.

Kamala musi poznać całą prawdę.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Zaraz popołudniu parowiec wjechał na mieliznę i osiadł na niej. Wszystkie wysiłki uruchomienia go zawiodły, wieczór nadszedł, a statek wciąż tkwił w piasku, nie mogąc się ruszyć. Z wysokiego wału, który stanowił granicę najwyższego stanu wody w rzece, szeroka łąka piaszczysta, pełna śladów stóp ptactwa wodnego. szła, zniżając się stopniowo, ku wodzie.

Dziewczęta wiejskie, które nad wieczorem gromadkami przyszły nad rzekę, aby ostatni raz przed zapadnięciem ciemności napełnić wodą swe wiadra, ciekawie przyglądały się statkowi, wstydlwsze z poza zasłon, śmielsze, nie ukrywając swej ciekawości.

Cała chmara małych urwiszów tańczyła na wysokim wale i wykrzykiwała coś, wyśmiewając się z żalosego stanu lewjatana, który zwykle, z nosem zadartym w górę, mijał ich pysznie.

Słońce skrywało się zwolna za piaszczystą pustynię. Ramesz, stojąc oparty o parapet statku, przyglądał się poprzez rzekę niebu, ubarwionemu ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, gdy Kamala wyszła ze swej improwizowanej kuchni i, stanawszy w drzwiach kabiny, zakaszła zlekka, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Widząc, że Ramesz nie słyszy, zaczęła dzwonić kluczami i uderzać niemi o drzwi kabiny. Musiała stukać długo i mocno, zanim wreszcie obrócił się i, ujrawszy ją, podszedł ku niej.

— To Kamala w taki sposób mnie woła! — odezwał się.

— Nie mogłam wpaść na żaden inny.

— Jakże! Na cóż rodzice dali mi imię, jeśli nie na to, aby go używać! Nie można to zawołać poprostu „Ramesz Babu!“ kiedy mnie Kamala potrzebuje?

— Znowu te niesmaczne żarty! Jak gdyby żona Hindu mogła wołać swego męża po imieniu!

Szkarłat na policzkach Kamali szedł w zawody z karmazynem zachodzącego słońca.

— Nie rozumiem pana! — mruknęła, odwracając głowę — Chciałam panu powiedzieć, że kolacja już gotowa. Niech pan zaraz siada do jedzenia, bo obiad nie był nadzwyczajny.

Lekki wietrzyk, dmący na rzece, zaostrzył apetyt Ramesza. Nie mówił o tem Kamali, obawiając się, aby nie przeceniła swych sił, przy tak ograniczonych wciąż jeszcze środkach. A przecie niewątpliwa przyjemność, jakiej doznał, kiedy Kamala — bez najmniejszego słówka z jego strony — oświadczyła mu, że kolacja jest gotowa, była dziwnie złożona. Oczywiście, jeden element tego uczucia stanowiło zadowolenie z powodu pewności, iż będzie mógł zaspokoić głód fizyczny; łączyła się z tem uczuciem miła świadomość, iż ktoś o nim myśli i że dla niego i z jego powodu rozwinięto życzliwą działalność. Nie mógł zataić przed sobą przyjemności, jaką mu to sprawiało, z drugiej strony jednak nie mógł też zapomnieć o przykrej prawdzie, iż ta troskliwość o jego wygodę właściwie nie należy mu się i że, mimo całej swej wielkiej wartości, opiera się na złudzeniu. Z westchnieniem i przygnębioną miną wszedł do kabiny.

Wyraz jego twarzy nie uszedł uwagi Kamali.

— Nie wygląda pan, jakby się pan bardzo cieszył z kolacji! — zawołała zdziwiona — Sądziłam, że pan głodny. Przykro mi, jeśli tu pana ściągnęłam wbrew woli.

Ramesz natychmiast przybrał wesoły wyraz twarzy.

— Nie Kamala mnie tu ściągnęła, ale mój własny apetyt. Jeśli Kamala, chcąc mnie zawołać, jeszcze raz będzie tak długo dzwoniła kluczami, z pewnością zjawi się jaka harpja, która jej porwie całą kolację. Ale cóż to znaczy? Nie widzę tu nic do jedzenia! — wykrzyknął, rozglądając się dokoła. — Jestem istotnie głodny nie na żarty, nie wyobrażam sobie jednak, abym mógł strawić takie rzeczy!

To mówiąc, wskazał pościel i sprzęty w kabinie.

— Nie karmiono mnie nigdy takimi przysmakami!

Kamala zanosila się od śmiechu a, przyszedłszy do siebie, zauważyła:

— Jak to może być, żeby pan już ani chwili nie mógł poczekać! Kiedy się pan przyglądał zachodowi słońca, nie znać było, żeby się panu chciało jeść lub pić. Zdaje mi się, że zgłodniał pan nagle, jak tylko pana zawołałam. Niechże pan chwilę poczeka, zaraz przyniosę kolację.

— Radzę Kamali nie guzdrać się zaudto! Sobie tylko będzie Kamala musiała przypisać winę, jeśli przez ten czas pozjadam derki z łózek.

Żart, jak widać, nie stracił nic na odegrzaniu, bo Kamala znów wila się ze śmiechu. Nawet gdy wreszcie poszła już po kolację, jej srebrzysty śmiech wciąż jeszcze dzwonił w kabinie. Ramesza wesolość zmieniła się w zaszepienie, jak tylko dziewczyna od niego się odwróciła.

Kamala powróciła wkrótce, niosąc półmisek, przykryty liśćmi „sal“. Postawiła półmisek na łóżku i ręką swej sukni wytarła do czysta podłogę.

— Co Kamala robi! — wykrzyknął Ramesz.

— Nic nie szkodzi. I tak muszę się przebrać.

I, zdjąwszy liście, postawiła przed nim półmisek, pełen „l u c z i s“ (grzanki) i jarzyn.

— Wielkie nieba! — zawołał Ramesz — Skąd Kamala wzięła „l u c z i s“?

Ale Kamala bynajmniej nie miała zamiaru tak łatwo wydać swej tajemnicy.

— Niech pan zgadnie! — odpowiedziała z tajemniczą miną.

Ramesz zaczął robić najróżniejsze, wprost nieprawdopodobne przypuszczenia co do pochodzenia „luczis“ — ku wielkiej irytacji Kamali. Kiedy wreszcie wyraził przekonanie, iż to „Aladyn, właściciel Cudownej Lampy, — ten młody człowiek z „Tysiąca i Jednej Nocy“, wysłał geniusza, który przyniósł je gorące z Beludżystanu“ — straciła cierpliwość i odwróciła się od niego, zaklinając się, że jeśli będzie gadał takie głupstwa, wogóle nic mu już nie powie.

— A więc poddaję się! — zrezygnował Ramesz — Niech mi Kamala powie. Naprawdę, nie mogę się domyślić, skąd Kamala wzięła „luczis“ na środku rzeki. Nie mniej — są doskonałe.

I czynem okazał jej, iż apetyt jego wyższy jest ponad chęć poznania.

Rzeczy miały się tak: Gdy parowiec osiadł na mieliźnie, Kamala wysłała Umesza do najbliższej wioski, aby uzupełnić spiżarnię. Z kieszonkowego, które Ramesz jej dał, kiedy ją umieszczał na pensji, pozostało jej jeszcze parę rupij i za te pieniądze kupiła teraz mąki i „g h i“ (topione masło, używane do smażenia).

— A co ty będziesz jadł? — spytała Umesza.

— Ja, matko, kupiłem dla siebie trochę twarogu w mleczarni wiejskiej. W kabinie mamy pełno bananów i gdybym mógł dostać bodaj za grosz mąki ryżowej, zrobiłbym sobie znakomity puding.

Kamali trafił do serca ten słodki gust chłopca.

— Zostało ci co pieniędzy, Umesz? — zapytała.

— Nic a nic, matko.

To był ciężki cios, bo Kamala bała się prosić Ramesza o pieniądze. Po krótkim namyśle rzekła:

— Jakoś to będzie. Jeśli nie uda ci się zrobić dziś pudingu, mamy przecież „luczis“, dam ci, ile zechcesz. Chodź teraz, pomóż mi miesić ciasto.

— A cóż pocznę z twarogiem, matko?

— Słuchaj, Umesz, zaczekaj dopóki pan nie zje obiadu, a potem poproś go o pieniądze.

Umesz zjawił się, kiedy Ramesz był w połowie obiadu, i czekał onieśmielony, drapiąc się w głowę. Gdy Ramesz spojrział na niego, mruknął:

— Jakże będzie z temi pieniędzmi na zakupy, matko?

Ramesz nagle uświadomił sobie, że kto nie płaci, ten nie je i że nie ma żadnej lampy Aladyna na swe rozkazy.

— Prawda, przecie Kamala nie ma pieniędzy!

Kamala, milcząc, przyznała się do tego swego błędu, a Ramesz wręczył jej po obiedzie małą skarbonkę z uwagą:

— Najlepiej, żeby Kamala obecnie trzymała swe pieniądze i kosztowności w tej skarbonce!

Zdawszy sobie sprawę z tego, iż sama logika okoliczności całe brzemie zawiadywania gospodarstwem włożyła na barki Kamali, wrócił do parapetu statku i, oparty o poręcz, przyglądał się ostatnim blaskom dnia, przygasającym na zachodzie.

Umesz ugotował sobie swój pudding z ryżu, twarogu i bananów i napychał się nim teraz, podczas gdy Kamala stała przy nim, wypytyując go o jego życie.

Jako dziecko, niechętnie widziane w domu macochy, uciekł z domu i jechał teraz do Benares, gdzie mieszkał ktoś z krewnych jego nieboszczki matki.

— Ale gdybyście mi pozwolili zostać z wami, matko, nie jechałbym już nigdzie! — dodał na zakończenie.

Jego naiwny sposób tytułowania jej matką rozbudził ukryty głęboko w sercu dziewczęcia instynkt macierzyński.

— Dobrze, Umesz, pojedziesz z nami! — uspokoiła go.

## ROZDZIAŁ XXV.

Zarośla, pokrywające brzeg rzeki, były niby czarne obramowanie szafranowej szaty zmierzchu wieczornego. Przez gęstniejący zmrok z całodziennego uganiania po żerowiskach kluczami, wracały cyranki na swe leża nocne w samotnych kałużach między ławicami piasku. Wrony powróciły do swych gniazd i nawoływały się z nich. Wszystkie łodzie przybiły do brzegu, wyjąwszy jedną wielką barcę, którą cicho holowano w górę rzeki, a za którą ciemnem zwierciadłem spokojnych, złotozielonych wód wlokła się czarna bruzda.

Ramesz zaciągnął wyplatane krzesło trzciniowe na tył statku i siedział tam w słabem świetle nowiu księżycowego. Na zachodzie niebo wchłonęło już ostatnie złote blaski zmierzchu i zdawało się, jak gdyby ziemia rozplynęła się w mgłę w tajemniczem świetle księżyca. Ramesz szepnął do siebie półgłosem „Hem! Hem!“ i to imię ukochane opłotło jego serce niewypowiedzianie słodkim uściskiem. Sam dźwięk jej imienia wywołał w nim wizję oczu straconej ukochanej, oczu zwilżonych rosą najwyższej tkliwości, patrzących jakby przez mgłę i bolesnych. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem, pod powiekami zakręciły się łzy.

Rozwinęło się prze d nim całe jego życie z ostatnich dwu lat. Przypomniął sobie pierwsze swoje spotkanie z Hemnalini; nie przypuszczał nawet, że dzień ten tak wielkie znaczenie będzie miał w jego życiu. Dżogendra wprowadził go do domu i nieśmiały młodzieniec zmieszał się niewymownie, ujrawszy Hemnalini, przewodniczącą za stołem przy podwieczorku. Długo trwało, zanim opuściła go nieśmiałość i Ramesz zaczął się czuć swobodnym w jej towarzystwie. W miarę, jak poufałość wzrastała, stawał się coraz bardziej lirycznym, aż wreszcie Hemnalini w jego oczach stała się bohaterką wszystkich poematów miłosnych, jakie kiedykolwiek czytał. W tajemnicy dumny był z tego, że się kocha i z litością myślał o kolegach, uczących się poezji erotycznych do egzaminów, gdy dla niego miłość była żywą rzeczywistością.

Dumając o tem wszystkim teraz, zrozumiał, iż wówczas stał tylko u zewnętrznych bram Miłości. Dopiero, w wirze przeciwnych prądów, kiedy na widowni zjawiła się Kamala, która uwikłała zagadkę jego życia w węzeł nie do rozwiązania, miłość jego dla Hemnalini przybrała prawdziwą postać i stała się żywą.

Rozmyślając, oparł głowę na rękach i ukrył twarz w dłoniach.

Jakież go teraz życie czekało? Życie głodu serca, który nigdy nie miał być zaspokojony, życiestworzenia, uwikłanego w sieci i napróżno wydzierającego się z niej na wolność.

Czy nie mógłby podrzeć tej sieci, zdobywszy się na potężny wysiłek?

Podniósł naraz głowę w porywie silnego postanowienia — i ujrzał Kamalę, stojącą tuż przy nim, z ręk-



kami, opartemi o poręcz drugiego krzesła trzciniowego. Jego nagły ruch przeraził ją.

— Pan pewnie spał, a ja pana zbudziłam! — wykrzyknęła.

Odwróciwszy się, w poczuciu swej winy, już chciała odejść, gdy nagle Ramesz przywołał ją:

— Nic nie szkodzi, Kamalo, ja nie spałem. Proszę, niech Kamala siada, opowiem Kamali powiastkę.

Wobec perspektywy powiastki Kamala aż zadrżała z rozkoszy. Przysunęła krzesło tuż do jego krzesła i umieściła się w niem wygodnie. Ramesz postanowił powiedzieć jej całą prawdę, jednakże czuł, iż cios, jakim musiało być jego wyznanie, byłby dla niej za silny, gdyby jej odpowiednio nie przygotował. Dlatego poprosił jej, aby usiadła i posłuchała powiastki.

— Onego czasu — zaczął swe opowiadanie — żyło sobie plemię Radżput i to plemię ...

— Kiedy to było? — zapytała Kamala. — Dawno? Bardzo dawno temu?

— Tak, bardzo dawno. Kamali nie było jeszcze na świecie.

— Ale pan już był! Pan musi być już bardzo stary, prawda? Ale niech pan opowiada dalej.

R a m e s z: — Otóż ci Radżputowie mieli bardzo dziwny zwyczaj. Gdy który z nich się żenił, nie szedł sam do domu panny młodej, lecz posyłał swój miecz. Podczas ślubu żeniono pannę młodą z mieczem, a dopiero gdy weszła w dom swego męża, brała z nim ślub jak należy.

K a m a l a: — Patrzcie państwo! Co za szczególny zwyczaj!

R a m e s z: — Mnie on się też nie podoba, ale nic na to nie poradzę. Tak jest w tej powiastce. Widzi

Kamala, ci Radżputowie uważali za rzecz poniżej swej godności iść do domu narzeczonej, żeby tam brać z nią ślub. Król, o którym ta powiastka opowiada, należał właśnie do tego plemienia. Pewnego dnia ...

**K a m a l a :** Ale pan mi nie powiedział, gdzie ten król panował!

**R a m e s z :** Królestwo jego nazywało się Madura. Otóż pewnego dnia ten król ...

— Musi mi pan naprzód powiedzieć, jak mu było na imię! — wtrąciła znów Kamala, która chciała wszystko wiedzieć jak najdokładniej i nie pozwalała na ominięcie żadnego szczegółu. Gdyby Ramesz był to przewidywał, przygotowałyby się niezawodnie lepiej do swego opowiadania. Teraz dopiero zauważył, iż, mimo wielkiej ciekawości, nie chciała mu najdrobniejszego szczegółu darować.

— Nazywał się on... Randžit Singh — rzekł po chwili wahania.

— Randžit Singh, król Madury — powtórzyła Kamala — Więc co dalej?

**R a m e s z :** — Pewnego dnia ten król dowiedział się od jakiegoś wędrownego śpiewaka, że inny król z tego samego rodu, co on, ma przepiękną córkę.

**K a m a l a :** — A gdzie panował ten król?

**R a m e s z :** — Przypuśćmy, że to był król Kondżeweramu.

**K a m a l a :** — Dlaczego mamy przypuszczać? Czy nie był naprawdę królem Kondżeweramu?

**R a m e s z :** — Był naprawdę. Kamala chce może wiedzieć, jak się nazywał? Otóż nazywał się Amar Singh.

**K a m a l a :** — Ale pan mi nie powiedział, jak się nazywała jego córka, ta przepiękna królewna?

R a m e s z : — Istotnie, bardzo mi przykro, ale doprawdy zapomniałem. Na imię jej było — jakże, na imię było jej Czandra.

K a m a l a : — Dziwne, jaką pan ma krótką pamięć! Prawda, pan zapomniał raz nawet, jak ja się nazywam!

R a m e s z : — Otóż, kiedy władca królestwa Udh usłyszał od tego wędrownego śpiewaka ...

K a m a l a : — Jakiego królestwa Udh? Przecie pan mówił, że on był królem Madury?

R a m e s z : — Kamala nie myśli chyba, że panował w jednym tylko królestwie! Był królem Udh a także i Madury.

K a m a l a : — Te królestwa leżały blisko siebie?

R a m e s z : — Bardzo blisko. Prostu przez próg.

W miarę, jak opowiadał, baczna Kamala odkrywała coraz to nowe sprzeczności, aż wreszcie udało mu się wszystko doprowadzić do porządku i pogodzić, poczem dopiero mógł przystąpić do właściwego opowiadania. Brzmiało ono, jak następuje:

Randžit Singh, król Madury, wysłał do króla Kondżeweramu herolda, za którego pośrednictwem prosił o rękę królowy. Amar Singh, król Kondżeweramu, chętnie zgodził się na to małżeństwo.

Wobec tego Indradžit Singh, młodszy brat Randžit Singha, wkroczył do królestwa Amar Singh'a na czele zbrojnych oddziałów z rozwianemi sztandarami oraz wielkim zgiełkiem bębnow i trąb i rozbił obóz w parku królewskim. Aby uczcić to szczęśliwe zdarzenie, w stolicy Kondżeweramu wydano wielki bankiet.

Astrologowie królewscy przeprowadzili swe kalkulacje i podali szczęśliwy dzień i godzinę ślubu. Termin

ten przypadał na dwunastą noc dwóch tygodni bez księżyca, na godzinę drugą po północy. Tej nocy wszystkie domy przystrojono girlandami a całe miasto tonęło w blaskach iluminacji z powodu zaślubin i ku czci księżniczki Czandry.

W oznaczonym czasie odbyła się ceremonia zaślubin księżniczki z mieczem. Stosownie do zwyczaju Indradžit Singh złożył w imieniu pana młodego dary, zaś ze swej strony hołd żonie swego brata. Indradžit tak był wierny swemu bratu, Randžitowi, jak Lakszman Ramie i dlatego nie spojrział nawet w twarz szlachetnej dziewczycy, rumieniącej się za swą zasłoną, lecz utkwiał wzrok w małej nóżce, ubarwionej laką poniżej kostek, dzwoniących bransoletkami.

Na drugi dzień po ślubie Indradžit usadowił królowną w skrzęcej od drogich kamieni, osłoniętej baldachimem lektyce i wyruszył w powrotną drogę do kraju. Król Kondżeweram, wspomniawszy wróżbę, która przepowiadała nieszczęście jego córce, z trwogą w sercu położył na jej głowie swą prawicę i dał jej na drogę swe błogosławieństwo. Królowa, całując usta swej córki, nie mogła powstrzymać łez. Tysiąc kapłanów powtarzało w świątyniach zaklęcia, mające moc przebłagania złego losu.

Kondżeweram jest daleko od Madury — z jednego państwa do drugiego jedzie się prawie miesiąc. Wieczorem drugiego dnia po wyruszeniu w podróż, Radżputowie rozbili namioty na brzegach rzeki Wecza i właśnie przygotowywali się do spoczynku, gdy naraz w sąsiednim gaju zauważono blask pochodni. Indradžit wysłał na wywiad jednego zbrojnego, który przyniósł następujący raport:

— Panie, te światła to pochodnie orszaku, wracającego podobnie jak i my, z wesela. Są to Radzputowie tej samej rasy co my, eskortujący z oddziałem zbrojnych pannę młodą, którą wiozą do pana młodego. Ponieważ droga ma być rzekomo niepewna, udają się pod opiekę Waszej Królewskiej Wysokości, prosząc, aby Wasza Królewska Wysokość raczył użyć im konwoju przez pewną część drogi.

— Świętym naszym obowiązkiem jest — odpowiedział książę — pomagać tym, którzy proszą nas o opiekę. Będziemy ich bronili ze wszystkich sił.

Następna noc była ostatnią nocą z wyznaczonych na ślub przez astrologów dwóch bezksiężycowych tygodni. Przed obozem ciągnął się łańcuch górski, za obozem był gęsty las. Pomęczeni żołnierze spoczywali w głębokim śnie, ukołysani ćwierkaniem koników polnych i szumem wodospadów.

A naraz podniosła się taka wrzawa, że wszyscy zerwali się ze snu. Ktoś poprzecinał pęta czki koniom, które teraz uganiały po obozie jak szalone. Namioty tu i owdzie stały w ogniu, a niebo było czerwone od blasku płomieni.

Żołnierze zorientowali się w mgnieniu oka, iż zostali zaatakowani przez zbójców. Nastąpiła rozpaczliwa walka. W ciemnościach trudno było odróżnić swego od nieprzyjaciela, skutkiem czego zapanowało beznadziejne zamieszanie. Korzystając z niego, zbójcy splądrowali obóz i zniknęli ze swą zdobyczą w górach.

Kiedy bitwa skończyła się, zauważono, iż księżniczka zniknęła. Przerażona, uciekła z obozu i przyłączyła się do jakiejś uciekającej gromady w przekonaniu, iż to są jej własni ludzie.

W rzeczywistości zbiegowie ci należeli do drugiego orszaku weselnego. W zamieszaniu zbójcy porwali oblubienicę, którą ci właśnie ludzie eskortowali, przekonani, iż to jest królowna Czandra. Z nią umykali teraz, co sił w nogach, do swego kraju.

Ci zaś ludzie należeli do nic nieznaczącego plemienia Radźputów, mieszkających na wybrzeżu Karnatiku. Królowna z należnym szacunkiem powitała wójta tego plemienia — nazywał się on Czet Singh — który w rzeczywistości miał być mężem drugiej panny młodej.

Matka Czet Singha serdecznie przywitała pannę młodą i odprowadziła ją aż do jej pokoju, podczas gdy zgromadzeni krewni szeptali między sobą:

— Nigdy nie widzieliśmy jeszcze takiej piękności.

Czet Singh był uszczęśliwiony, a ujęty czarem swej małżonki, uwielbiał ją w duchu. Z drugiej strony królowna wiedziała, co przystoi cnotliwej żonie. Uważając Czet Singha za swego prawowitego małżonka, jemu postanowiła życie swe poświęcić.

Po kilku dniach zniknęła nieśmiałość, jaka ich dotychczas krępowała i kiedy zaczęli rozmawiać szczerze, Czet Singh spostrzegł, iż panna młoda, która weszła w jego dom, jako jego żona, nie jest nikim innym, jak tylko królowną Czandrą.

## ROZDZIAŁ XXVI.

— I cóż dalej? — spytała zaciekawiona Kamala. Słuchała historii Ramesza z zapartym oddechem.

— Wiem tyle tylko — nic więcej. Niech Kamala sama mi powie, jak sobie Kamala wyobraża zakończenie tej historii.

K a m a l a : — Nie, nie, tak nie idzie! Musi mi pan powiedzieć, co dalej się stało.

— Widzi Kamala: opowiedziałem Kamali tyle, ile sam wiem. W pierwszym tomie tej historii, jedynym, jaki dotychczas wyszedł, więcej nie było, wobec czego sam nie mam najmniejszego wyobrażenia, co będzie dalej.

— Obrzydliwy pan jest! To bardzo nieładnie z pańskiej strony! — krzyczała w gniewie Kamala.

R a m e s z : — Niech się Kamala na autora gniewa, nie na mnie... Ja mogę tylko spytać: Co Czet Singh miał zrobić z Czandrą?

Kamala długo przemyśliwała nad tem pytaniem, zapatrzona w rzekę.

— Nie wiem, co powinien zrobić, nie mogę myśleć o tem — rzekła wreszcie.

Ramesz milczał chwilę, a potem odezwał się:

— Czy powinien był o wszystkim powiedzieć Czandrze?

— Śmieszne pytanie! Gdyby jej nic nie powiedział, wyniknęłyby z tego okropne powikłania. Toby było poprostu straszne. Znacznie lepiej powiedzieć prawdę.

— Znacznie lepiej — powtórzył Ramesz mimowoli.

A po krótkiej pauzie znowu zaczął:

— A więc dobrze. Przypuśćmy, Kamalo, że...

K a m a l a : Przypuśćmy, że co?

R a m e s z : Przypuśćmy, że ja jestem Czet Singh a Kamala jest Czandrą?

K a m a l a : Proszę pana, o takich rzeczach niech pan nawet ze mną nie mówi. Nie cierpię tego.

R a m e s z : Bardzo mi przykro, ale muszę. Proszę, niech mi Kamala powie, co w takim wypadku byłoby moim obowiązkiem, a co Kamali?

Kamala nie odpowiedziała na to pytanie, lecz wstawszy nagle z krzesła, odeszła. Spotkała Umesza, który siedział na progu jej kabiny, pogrążony w cichej kontemplacji rzeki.

— Umesz, widziałeś kiedy ducha? — zapytała go.

— I owszem, matko, widziałem.

— A co to był za duch? Opowiedz mi, jak to było.

Przysunąwszy sobie fotel trzciniowy, usiadła przy nim.

Pozostawiony samemu sobie, Ramesz nie wołał już Kamali. Widział, że jest głęboko wzburzona i zaniepokojona.

Mały sierp księżycyca w nowiu zniknął, ukrywszy się za grupą palm. Światła na pokładzie statku pogaszono i załoga udała się na spoczynek. Pasażerów pierwszej klasy więcej nie było, a pospólstwo z trzeciej klasy wyskakiwało ze statku i, brodząc w płytkiej wodzie, szło na brzeg, aby sobie tam ugotować kolację. W głębi łądu połyskiwały tu i owdzie wśród zarośli dalekie światelka wsi. Silny prąd na środku rzeki szarpał łańcuchami kotwicy, a od czasu do czasu mocniejsze uderzenia pulsu wielkiej rzeki wprawiały w drżenie cały statek.

W tem dziwnem otoczeniu, pod niezmiernem sklepieniem nieba nocnego, Ramesz łamał sobie głowę nad rozwiązaniem zawikłanego problemu, podsuniętego mu przez sumienie. Jasne dlań było, że musi albo wyrzec się Hemnalini, albo opuścić Kamalę a kompromis, pozwalający na zatrzymanie obu, był wyłączony. Nie miał też żadnych wątpliwości co do tego, jaką drogę dyktuje obowiązek. Przed Hemnalini były jeszcze różne możliwości; mogła wykreślić go ze swej pamięci



i oddać rękę innemu, ale porzucić Kamalę znaczyło nagą wyrzucić ją w świat. A jednak — do tego stopnia samolubną istotą jest człowiek! — na myśl o tem, że Hemnalini może go zapomnieć, że ma inne jeszcze wyjście i że zbawienie jej nie jest w nim jedynym, nie znajdował Ramesz bynajmniej pociechy, przeciwnie, tem bardziej właśnie jej pragnął! Widział ją przed sobą tak blisko, iż zdawało mu się, że, aby ją uchwycić, potrzebuje tylko ręce przed siebie wyciągnąć.

Rozmyślając, ukrył twarz w dłoniach.

W oddali zawył szakal, a wyciu jego natychmiast odpowiedziało ujadanie wioskowych psów.

Na głos ten Ramesz podniósł głowę i wzrok jego padł na Kamalę, stojącą niedaleko niego w ciemnościach przy parapecie.

Wstał.

— Kamala jeszcze nie w łóżku? Już bardzo późno.

— A pan się nie położy?

— Właśnie chciałem iść spać. Przeniosłem swoją pościel do drugiej kabiny. Niech Kamala na mnie nie czeka.

Kamala w milczeniu podreptała do wyznaczonej sobie kabiny. Nie śmiała przyznać się Rameszowi, że po wysłuchaniu historii o duchach bała się samotności. Rameszowi, który poznał to po jej ociągającym się chodzie, zrobiło się jej żal.

— Niech się Kamala nie boi! — zawołał za nią. — Moja kabina znajduje się zaraz obok, a na noc zostawię drzwi między kabinami otwarte.

Kamala potrząsnęła głową wyzywająco.

— Czego miałabym się bać!

Ramesz zgasił światło w swej kabinie i położył się.

— Kamali w żaden sposób opuścić nie mogę! — rzekł sobie w duchu — Zatem żegnaj mi, Hemnalini! Oto ostateczna decyzja, od której odstąpić mi nie wolno!

Kiedy jednak, leżąc w ciemnościach, dumał nad tem, co traci, wyrzekając się Hemnalini, zrobiło mu się tak przykro, że wyskoczył z łóżka i wyszedł z kabiny na pokład. Głęboka powaga sklepienia niebios przywiodła mu na myśl, że ostatecznie to jego poniżenie i ból serdeczny nie są wcale czemś nieskończonem, wypełniającem czas i przestrzeń. Wieczne są gwiazdy, świecące nad jego głową, a żalosa historyjka miłości Ramesza i Hemnalini nawet nie dojdzie do nich. Przez ileż jeszcze takich nocy jesiennych wielka rzeka płynąć będzie w świetle gwiazd piaszczystemi ławicami, kołysząc do snu szuwary i opasane drzewami i zaroślami wsie, gdy cielesna powłoka Ramesza, dawno już na popiół spalona na stosie, zmiesza się ze wszystko znośzącą ziemią, a umęczony duch jego uspokoi się na wieki!

## ROZDZIAŁ XXVII.

Ciemno jeszcze było, kiedy się Kamala zbudziła i rozglądając się, spostrzegła, że jest sama. Parę minut upłynęło, zanim sobie zdała sprawę, gdzie się znajduje. Wołała z łóżka, otworzyła drzwi i wyjrzała przez nie.

Cienki koc białej mgły leżał na cichej wodzie, szary zmierzch rozpraszał ciemności i świt było już widać na niebie za drzewami na wschodnim brzegu rzeki. Gdy tak patrzyła zamyślona, białe żagle łodzi rybackich zaczęły się zjawiać na stalowo połyskujących wodach.

Tępy jakiś ból zagnieździł się w sercu Kamali, ból, którego przyczyny nie mogła odgadnąć. Dlaczego widok tego mglistego, jesiennego poranka był taki smutny? Skąd łkania, które wzbierały w piersiach, dławily słowa i groziły, iż lzy napędzą jej do oczu? Skąd te myśli o jej przykrem położeniu? Dwadzieścia cztery godziny temu jasno zdała sobie naraz sprawę z faktu, iż tak ona jak i mąż jej są sierotami, że ona nie ma na świecie nikogo bliskiego ani swojego. I cóż się właściwie stało, co mogłoby wywołać w niej uczucie takiego osamotnienia? Czyż nie wystarczała opieka i towarzystwo samego Ramesza? Skąd wzięło się to przytłaczające ją poczucie ogromu świata i jej małości?

Kiedy tak stała, smutna i rozżalona w otwartych drzwiach kabiny, łono rzeki zaczęło gorzeć niby strumień lśniącegozłota. Załoga zabrała się do swej pracy i maszyny znów zaczęły szczekać. Zgrzyt łańcucha kotwicowego i skrzypienie żórawi zbudziło wczesnie urwipolciów wiejskich, którzy pędem przybiegli na brzeg.

Obudzony tym zgiełkiem Ramesz zerwał się i stanął w drzwiach kabiny, szukając Kamali. Kamala, ujrawszy go niespodziewanie, drgnęła i mimo, że była już dostatecznie owinięta zasłoną, starała się otulić twarz jeszcze szczelniej.

— Czy Kamala się już myła? — spytał Ramesz.

Zdawałoby się, że tak niewinne pytanie nie mogło dać powodu do stracenia cierpliwości, a jednak Kamala najwidoczniej obraziła się, bo odwróciła się od niego, potrząsnawszy tylko przecząco głową.

— Ludzie zaraz zaczną wstawać! — mówił dalej — Byłoby lepiej, gdyby się Kamala teraz z tem uporała.

Kamala nic nie odpowiedziała, porwała tylko rzeczy, leżące na krześle i poszła za nim do łazienki.

Że Ramesz wstał wcześniej, aby czuwać nad jej toaletą, wydało się jej nietylko zbyteczne, ale wprost niewłaściwe. Widziała dobrze, że w postępowaniu z nią trzyma ją trochę zdaleka od siebie i unika większej poufałości. Nigdy nie siedziała u stóp teściowej, któraby ją nauczała, gdzie i kiedy przyzwoitość nakazuje użyć zasłony. A mimo to tego poranka, choć nie mogłaby nawet powiedzieć dlaczego, obecność Ramesza była jej przykra.

Wróciwszy z kąpieli do kabiny, zabrała się jak zwykle do roboty. Od wolnego końca sarji, przrzuconego przez ramię; odpięła pęk kluczy, ale gdy otwierała kufer, zawierający jej garderobę, wpadła jej w oko skarbonka, dana jej dnia poprzedniego przez Ramesza. Jeszcze wczoraj tak się nią cieszyła, wyobrażała sobie, że jej posiadanie daje jej jakby jakąś władzę i samodzielność, uważała ją niemal za skarb — lecz dziś, patrząc na skarbonkę, nie doznawała już tego rozkosznego uczucia. Ostatecznie skarbonka ta należała nie do niej, lecz do Ramesza, nie była jej niepodzielną własnością i nie mogła dowolnie nią rozporządzać; musiała uważać ją tylko za depozyt, za który spadała na nią odpowiedzialność.

— Kamala tak cicho tu siedzi — odezwał się Ramesz, wchodząc do kabiny — A co? Czy może duch jaki wyskoczył z tego kufra, gdy go Kamala otwierała?

— To pańska własność! — rzekła Kamala, podając mu skarbonkę.

— I na cóż mi to? — zapytał.

— Jak tylko pan będzie czego potrzebował, niech mi pan powie, a zaraz każę przynieść...

— A Kamala niczego nie potrzebuje?

— Nie trzeba mi pieniędzy! — odpowiedziała, przecząc lekkim ruchem głowy.

Ramesz uśmiechnął się.

— Mało jest ludzi, którzyby to mogli o sobie powiedzieć. Jednakże, jeśli Kamala nie przywiązuje żadnej wartości do tej skarbonki, czemuż nie darować jej pierwszemu lepszemu? Dlaczegoż to mnie specjalnie Kamala robi z tego prezent?

Kamala bez słowa postawiła skarbonkę na ziemi.

— No, niech mi Kamala powie prawdę! — mówił dalej Ramesz — Czy Kamala gniewa się na mnie o to, że wczoraj nie opowiedziałem końca tej powiastki?

— Wcale się nie gniewam! — odpowiedziała Kamala z wzrokiem, wbitym w ziemię.

R a m e s z: Doskonale. Wobec tego niech Kamala bierze tę skarbonkę. Jeśli Kamala to zrobi, powiem Kamali prawdę.

K a m a l a: Nie widzę związku między jednym a drugim. Jest to pańska własność i pan powinien to sobie zabrać.

R a m e s z: Kiedy to bynajmniej nie jest moje! „Ten, kto daje a odbiera, po śmierci się poniewiera.“ Czy Kamala chce, żebym był duchem i straszył po śmierci?

Myśl, że Ramesz może być duchem i straszyć, tak połaskotała Kamalę, że dziewczyna nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Pewnie, że nie! Ale czy ludzie, którzy odbierają swoje podarunki, naprawdę poniewierają się po śmierci, jako duchy? Nigdy nie słyszałam o czemś podobnym.

Mimowolna wesołość Kamali położyła koniec krokom nieprzyjacielskim.

— Widzi Kamala — rzekł Ramesz — jedynym sposobem przekonania się o tem byłoby zapytać o to pierwszego ducha, jakiego Kamala zobaczy.

To podnieciło ciekawość Kamali.

— Niech pan powie prawdę! — odezwała się — Czy pan widział kiedy prawdziwego ducha?

— Prawdziwego? Nie. Mnóstwo imitacyj, tak. Oryginalny towar jest bardzo rzadki.

K a m a l a: A widzi pan! A Umesz mówi....

R a m e s z: Umesz! Co za Umesz?

K a m a l a: Ten chłopak, który z nami jedzie. On widział ducha...

R a m e s z: Ha, w takim razie muszę przyznać, że ma znaczną wyższość nademną.

Tymczasem po wielkich wysiłkach załodze udało się spuścić statek na wodę. Parowiec ledwo ruszył, gdy na brzegu zjawił się jakiś chłopiec. Z koszykiem na głowie, pędził co sił w nogach, wymachując rękami, jak gdyby za pomocą tych sygnałów chciał statek zatrzymać. Kapitan statku nie zwracał na niego, oczywiście, najmniejszej uwagi. Ujrawszy Ramesza, chłopak zaczął wołać:

— Babu! — Babu!

— Uważa mnie widać za kasjera! — rzekł Ramesz i na migi pokazał mu, że nie ma na statku nic do rozkazywania.

— Jakże! Przecie to Umesz! — wykrzyknęła Kamala — Nie możemy mu pozwolić tu zostać. Musimy go wziąć na pokład!

— Dla mnie statku nie zatrzymają! — wzruszył Ramesz ramionami.

— Ale pan musi kazać im przystanąć! — zawołała z całym przekonaniem Kamala — Niech im pan każe zaczekać! Jesteśmy przecie tuż przy brzegu!

Ramesz zwrócił się do kapitana z prośbą, aby statek zatrzymał.

— To się sprzeciwia przepisom, proszę pana! — brzmiała odpowiedź.

Kamala, która poszła do kapitana razem z Rameszem, przyłączyła się do jego prośby:

— Ależ kapitanie, nie możemy go tu zostawić! Niech pan choć na chwileczkę zatrzyma statek! Mój biedny Umesz!

Wobec tego Ramesz zastosował wobec kapitana najbardziej rozpowszechniony środek przewycięzania skrupułów i mąż ten, ujęty odpowiednią łapówką, zatrzymał statek i wziął chłopca na pokład. Naturalnie, Ramesz zabrał się, jak należy, do winowajcy, ale chłopak nie zwracał na niego uwagi, lecz, złożywszy swój koszyk u stóp Kamali, szczerzył do niej zęby w uśmiechu, jakby nigdy nic.

— Niema się z czego śmiać! — mówiła Kamala, która wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić — I co byś ty począł, gdyby się statek nie zatrzymał?

Umesz, zamiast odpowiedzi, przewrócił swój kosz dnem do góry i wysypał na pokład wiązki zielonych bananów, szpinaku, dyni i innych jarzyn.

— Skądś to wszystko dostał? — wykrzyknęła Kamala.

Odpowiedź, jaką dał Umesz w terminologii politycznej, nie zasługiwała na nazwę „dostatecznej“. Wysłany poprzedniego dnia na bazar do wsi po twaróg i inne wiktuały, zanotował sobie w pamięci, gdzie w których ogrodach i na czyich dachach rosną te ja-

rzyny a, wybiegłszy na brzeg przed świtem, zebrał swą doborową kolekcję, nikogo nie pytając o pozwolenie.

— Jak ty śmiesz kraść po ogrodach! — zagrmiał Ramesz.

— To nie jest żadna kradzież! Z każdego ogrodu wzięłem tylko po troszeczkę. Nikomu nie zrobiłem krzywdy.

— Sądziś, że jeśli weźmiesz „troszeczkę“ to to nie kradzież? Ty łajdaku! Wynoś mi się ztąd i zabieraj te zielska!

Umesz błagalnie spojrział na Kamalę.

— Matko! Ten gatunek szpinaku nazywają u nas „piring“, jest doskonały duszony. A to nazywa się u nas „beta“ i...

— Zabieraj mi się ze swoim szpinakiem! — krzyknął doprowadzony już do pasji Ramesz — Inaczej wszystko to wrzucę ci w wodę.

Przerażony Umesz spojrział na Kamalę, jakby prosząc jej o obronę; ruchem głowy dała mu znak, żeby jarzyny usunął. Umesz poznał po tem, że nie stracił jeszcze w zupełności jej serca, w milczeniu zgarnął jarzyny do kosza i zniknął.

— Bardzo brzydko sobie Umesz postąpił, takich rzeczy Kamala tolerować nie powinna — mówił Ramesz, wychodząc do swej kabiny, aby napisać list.

Kamala obejrzała się i po chwili poszukiwania ujrzała Umesza na przodzie statku, tuż za pokładem drugiej klasy, gdzie znajdowała się jej zaimprovizowana kuchnia.

Ponieważ nie było pasażerów klasy drugiej, Kamala, zasłoniwszy twarz szczelnie woalem, podeszła ku niemu.

— I cóż? Wyrzuciłeś te jarzyny? — zapytała go.



— O, nie! Schowałem wszystko pod pokładem.

— Widzisz, bardzo to było z twojej strony nieładnie — mówiła Kamala, starając się przybrać surowy wyraz twarzy — i nigdy więcej robić ci tego nie wolno. Pomyśl tylko, co by było, gdybyś został na brzegu!

Zeszła pod pokład i po chwili zawołała rozkazującym głosem:

— Przynieś mi tu nóż!

Umesz przyniósł jej nóż i Kamala energicznie zabrała się do obierania jarzyn.

— Doskonały jest szpinak z ubitą musztardą, matko! — zauważył Umesz.

— Masz słuszość, postaraj mi się o musztardę — rzekła Kamala.

Wszelkimi siłami starała się dać Umeszowi do zrozumienia, że nie pochwała jego sposobu postępowania, dlatego, obierając jarzyny, przybierała minę jak najsurowszą.

Ale czyż mogła odepchnąć od siebie tego bezdomnego sierotę? Kradzież jarzyn była niczem w porównaniu z ufnością, z jaką uciekał się pod jej opiekę. Cała ta historia nie była też pozbawiona pewnego rysu uczuciowego. Przecie to, aby jej się przypodobać, smarkacz uplanował sobie a potem wykonał ten „raid“ po ogrodach, omal nie przypłaciwszy go spóźnieniem się na statek.

— Od wczoraj zostało jeszcze trochę pudingu, Umesz — odezwała się — Jeśli chcesz, możesz go sobie wziąć, ale pamiętaj, żebyś mi już nigdy nie zrobił czegoś podobnego.

— To wyście, matko, wczoraj pudingu nie jedli? — spytał ze skruczą w głosie.

— Myślisz, że każdy tak przepada za pudingem, jak ty? Słuchaj, Umesz, mamy tu wszystko, ale wiesz, coby się nam przydało? Ryba! W jaki sposób mogliśmy dostać dla pana rybę na obiad?

— Jabym się mógł może o rybę wystarać, matko, ale tym razem będziecie musieli za nią zapłacić!

Kamala znowu musiała udzielić mu nagany.

— Nigdy jeszcze nie widziałam tak zwarjowanego chłopca jak ty, Umesz, — mówiła, próbując usilnie zmarszczyć swe piękne brwi — Czy kazałam ci kiedy brać co bez płacenia?

Wnioskując z wypadków dnia poprzedniego, Umesz odniósł wrażenie, iż wyciągnięcie pieniędzy od Ramesza Kamala uważa za zadanie niełatwe, i dlatego, jak i z innych jeszcze powodów, pracodawca nie cieszył się jego sympatją. W rachuby Umesza wchodziły tylko dwie osoby — on i Kamala — a układał swe plany tak, aby z Rameszem nie mieć nic wspólnego. Dla niego nie było w nich miejsca.

Zaopatrzenie się w jarzyny stosunkowo nie przedstawiało większych trudności, ale zdobyć rybę nie było już rzeczą tak łatwą. Świat, na którym bez pieniędzy nie można dla przedmiotu swych westchnień dostać ani kawałeczka ryby, ani odrobinki twarogu, wydał się młodocianemu wielbicielowi Kamali padolem ponurym i niegościnnym.

— Gdybysię wam, matko, udało wydostać od pana bodaj pięć annów! — mówił strapiony — Mógłbym przynieść za to dużego karpia.

— To niemożliwe! — rzekła Kamala z naganą w głosie — Nie mogę pozwolić, żebyś znowu wychodził na brzeg. Nie wezmą cię już drugi raz na pokład, jeśli się spóźnisz.

— Ależ nie, matko, ja wcale nie myślę wysiadać. Ludzie z załogi złapali dziś rano w sieci kilka wielkich ryb i z pewnością sprzedadzą nam jedną, albo jeśli nie, to przynajmniej parę dzwon.

Kamala natychmiast przyniosła rupję i dała mu ją.

— Zapłać z tego co trzeba i przynieś mi resztę.

Umesz rzetelnie rybę przyniósł, ale reszty nie było.

— Nie chcieli dać taniej, niż za rupję! — oświadczył.

Kamala była pewna, że to niezupełnie zgodne jest z prawdą, to też zauważyła z lekkim uśmiechem:

— Na przyszły raz, jak się parowiec zatrzyma, będziemy musieli rozmienić parę rupij na drobne.

— Oczywiście, trzeba będzie! rzekł Umesz z niezmaconą pogodą — Jak się im pokaże całą rupję, nigdy nie można dostać reszty.

— O jej, jakież to dobre! — mrucał Ramesz, jedząc z apetytem obiad — Skąd Kamala to wszystko wzięła? Patrzcie, nawet głowa karpia! — wykrzyknął, podnosząc ją z uroczystą miną w górę — I to nie sen, nie optyczne złudzenie, nie halucynacja bujnej wyobraźni, ale prawdziwa szlachetna głowa „Cyprini Rohitae“.

Obiad ten był wypadkiem dnia.

Kiedy Ramesz, wyciągnąwszy się na pokładzie na trzciniowym leżaku, oddał się trawieniu, przyszła kolej na Umesza. Chłopak delectował się potrawką z ryby do tego stopnia, że jadł i jadł, aż Kamala, którą to z początku bawiło, poważnie się zaniepokoiła:

— Dość już będzie na teraz, Umesz! — zawołała przerażona — Dostaniesz jeszcze trochę na kolację.

Rano różne zajęcia i wrodzony humor obroniły Kamalę przed przygnębieniem. Czas leciał, słońce, przechylające się na zachód, wciąż dalej i dalej posuwało

się po pokładzie, pod płóciennym namiotem. Nad huczącym parowcem lśniło rozgrzane powietrze upalnego popołudnia. Wąskimi ścieżkami, prowadzącymi wśród świeżej zieleni pól jesiennych, oparłszy stągwie o biodra, szły ku rzece matrony wiejskie nanieść wody na swe wieczorne ablucje. Całe popołudnie szło Kamali na przygotowywaniu „pan“ do żucia, trefieniu włosów, myciu i przebieraniu się, i gdy słońce skryło się za klombami bambusów otaczających niewidzialne wioski, nie spostrzegła nawet, iż to już wieczór.

Jak poprzednich dni tak i teraz parowiec przybił na noc do wyznaczonej sobie na postój nocny przystani. Kamala przyszła do przekonania, że na kolację dość będzie jarzyn, jakie zostały z obiadu i że nie potrzebuje dużo gotować. Wtem wszedł do kabiny Ramesz, oświadczając, iż po tak sutym obiedzie w południe nie czuje apetytu na kolację.

— Nie będzie pan nic a nic jadł? — pytała Kamala z wyrzutem. — Może przynajmniej jedną małą rybkę smażoną?

— Nie, dziękuję — odpowiedział krótko, odwracając się ku drzwiom.

Kamala całą smakowitą kolację wytrząsnęła na talerz Umesza.

— A dla siebie Kamala nic nie schowała? — spytał.

— Ja jestem już po kolacji — brzmiała odpowiedź.

I na tem skończyły się na dziś jej zajęcia w tem małym, na wodzie zrodzonym, gospodarstwie.

Rzeka i brzegi zalane były światłem księżyca w nowiu. W pobliżu przystani nie było wsi i ta cicha, promienna noc zdawała się czuwać wśród falującego łagodnie zielonego przestworza pól ryżowych, podobna do damy, której kochanek nie przyszedł na schadzkę.

Na wysokim taburecie, pod blaszanym dachem budynku stacyjnego, siedział mały, zawiędły urzędnik-czyna i sumował cyfry przy świetle lampki naftowej. Ramesz widział go dokładnie przez otwarte drzwi.

— Gdyby los — westchnął — raczył mnie posadzić, jak tego urzędniczynę, w takiej budzie małej, ale z dokładnie określonymi obowiązkami! Jakież nie-szczęścia mogą spotkać człowieka w takim życiu? Ot, pisz sobie przez cały dzień rachunki, wysłuchaj cierpliwie besztaniny swego przełożonego, jeśli zrobi gdzie jaki błąd, a wieczorem, po pracy dziennej spokojnie idzie sobie do domu.

Wreszcie światła na stacji pogasły. Obawiając się chłodu nocnego, urzędnik owinał głowę szalem i zniknął Rameszowi z oczu, idąc powoli przez samotne pola.

Przez chwilę Kamala stała obok Ramesza przy parapecie, ale on nie zauważył jej obecności. Była pewna, że po kolacji zawoła ją do siebie. Pokończyła wszystkie dzienne zajęcia, gdy jej jednak nie wołał, sama wyszła na pokład.

Zobaczywszy Ramesza, zatrzymała się nagle, jak gdyby nogi, odmówiwszy jej posłuszeństwa, nie chciały nieść jej dalej. Księżyc świecił mu prosto w twarz, a wraz jej wskazywał, że myślami był daleko, bardzo daleko od niej; nie było w nich dla niej miejsca. Zdawało się, jak gdyby między pogrążonym w swych myślach Rameszem a nią stanął duch Nocy, podobny do olbrzymiego strażnika, od stóp do głów odzianego szatą z światłości księżycowej, z palcem na ustach.

Kiedy Ramesz ukrył twarz w dłoniach i opuścił głowę na stół, Kamala, skradając się, odeszła do swej kabiny. Starła się iść jak najciszej, bez szmeru, bojąc się, iż mógłby usłyszeć i zauważyć, że go szukała.

Kabina wydała jej się ciemną i nieprzyjemną. Zadrżała, kiedy przekroczyła jej wysoki próg i naraz, jak fala, ogarnęła ją pełna świadomość jej opuszczenia i samotności. W ciemnościach zdawało się jej, jak gdyby wewnątrz tej małej, zniszczonej izdebki chciało ją pochłonąć, niby paszcza jakiegoś dziwnego potwora, lecz gdzież znajdzie inne schronienie? Na świecie całym nie było kąta, w którym biedactwo mogłoby lec i zamknąć oczy ze świadomością, iż ten kąt do niej należy.

Zajrzała do kabiny i przerażona cofnęła się, ale gdy z powrotem przechodziła przez próg, naraz na jej stalowe pudło z wielkim hałasem zleciał parasol Ramesza.

Ramesz, zbudzony tym hałasem ze swego zamyślenia, spojrział w jej stronę i wstał z krzesła.

— To Kamala! — wykrzyknął, ujrawszy ją stojącą w drzwiach kabiny — Byłem pewny, że Kamala dawno już śpi. Może Kamala trochę zdenerwowana? Widzi Kamala, ja już idę, nie będę dłużej siedział na pokładzie. Będę spał zaraz w drugiej kabinie obok Kamali, a drzwi między nami zostaną otwarte.

— Ja się wcale nie boję! — odpowiedziała Kamala wyniośle.

Pośpiesznie weszła do kabiny i z trzaskiem zasunęła drzwi, które Ramesz odsunął, a potem padła na łóżko i ukryła twarz w szalu. Zdjął ją przejmujący ból świadomości zupełnego osamotnienia, odsunięcia od towarzysztwa ludzkiego. Cała jej istota buntowała się przeciw temu. Jeśli nie znajdzie nigdzie opiekuna, a nie potrafi zapanować nad sobą, życie jej stanie się nie do zniesienia!

Godziny wlokły się; Ramesz spał mocno w sąsiedniej kabinie. Kamala nie mogła już dłużej wytrzymać, powoli wstała, wyszła na pokład i, oparłszy się o parapet, zapatrzyła się na brzeg.

Cisza była zupełna i nigdzie nie widać było śladu człowieka. Księżyc zachodził już, zniknęły w ciemnościach wąskie ścieżyny, prowadzące przez pola, ale Kamala wyteżała wzrok, żeby je zobaczyć.

— Ileż kobiet nosiło wodę temi ścieżkami, każda na całe życie przykuta do swego domu! — pomyślała.

Do domu! Serce jej żywiej zabiło na tę myśl. Gdybyż miała choćby najmniejszy, lecz własny dom! Ale skądże?

Brzegi rzeki zdawały się ciągnąć w nieskończoność — w górze ogromne sklepienie niebios od bieguna do bieguna; a mimo tej nieskończoności Kamala nie może zdobyć kącika dla siebie ani w niebie ani na ziemi. Cały nieskończony ogrom świata nie wystarczał temu pyłkowi ludzkiemu, który pragnął tylko swego małego kąta.

Naraz Kamala drgnęła, zauważywszy, że ktoś przy niej stoi.

— To tylko ja, matko, to tylko ja!

Poznała głos Umesza.

— Późno już bardzo. Czemu nie śpicie, matko? — zapytał.

A wtedy trysnęły z jej oczu rzęsiste łzy. Nie powstrzymywała ich — padały ciężkimi kroplami. Odwróciła się, aby ukryć twarz przed Umeszem.

Brzezienna deszczem chmura tak długo pełźnie przed siebie, dopóki nie napotka na swej drodze takiego, jak ona sama, wędrowca w postaci wiatru; wtedy nie może już dłużej utrzymać swego brzemienia. To samo

stało się teraz z Kamalą; dość było jednego słowa współczucia biednego bezdomnego chłopca, a nie mogła powstrzymać płaczu, który od dawna wzbierał w jej piersi. Chciała coś powiedzieć, ale łkanie odebrało jej mowę.

Umesz, widząc jej ból, rozmyślał, jakby ją pocieszyć.

Po długim milczeniu strzelił:

— Wiecie, matko, z tej rupji, coście mi ją dali na rybę, zostało jeszcze siedm annów.

Ustały strumienie łez, a Kamala, rozrzewniona tą jego niespodziewaną uwagą, uśmiechnęła się.

— Zatrzymaj te pieniądze! — rzekła — A teraz idź spać.

Księżyc zniknął za drzewami.

Tym razem zmęczone oczy Kamali zamknęły się, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki. Rano promienie słońca, bezceremonjalnie budzące ludzi, zastały ją pogrążoną w głębokim śnie.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

Kamala wstała następnego dnia z uczuciem znużenia; zdawało się jej, że słońce pozbawione jest blasku, że woda w rzece stoi, nie płynie, że drzewa na brzegu słaniają się, jak znużeni wędrowcy...

Kiedy Umesz, jak zwykle, przyszedł jej pomóc, odezwała się niechętnie:

— Idź sobie, Umesz; nie złość mnie dzisiaj!

Ale Umesza niełatwo było się pozbyć.

— Nie przyszedłem was złościć, matko, tylko zemleć korzenie! — odpowiedział.



I Ramesz zwrócił uwagę na jej mizerny wygląd.  
— Czy Kamala przypadkiem nie chora? — zapytał.

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Kamala energicznym potrząśnięciem głowy dała mu do poznania, iż ciekawość jego uważa za zbyteczną i w złym guście i odeszła do kuchni.

Ramesz spostrzegł, iż każdy nowy dzień przyczynia się tylko do coraz większego zagmatwania sprawy i że nie można dłużej odkładać znalezienia odpowiedniego rozwiązania problemu. Przyszedł do przekonania, iż znacznie łatwiej będzie mógł zdecydować się, po której stronie leży jego obowiązek, jeśli zwierzy się Hemnalini. Po gruntownym namyśle zasiadł do napisania listu do Hem.

Pisał już jakiś czas, przekreślając wciąż i zaczynając nanowo, gdy naraz usłyszał czyjś głos:

— Czy pozwoli pan zapytać o swe nazwisko! — pytał nieznanego głosu.

Ramesz zdumiony spojrział w górę.

Stał nad nim starszy już pan z siwymi wąsami i włosami przerzedzonymi nad czołem.

Ramesz tak był zajęty pisaniem listu, że w pierwszej chwili trudno mu było myśli zebrać.

— Pan bramińskiej kasty, nieprawdaż? — mówił nieznanemu — Dzień dobry panu. Nazwisko pańskie jest Ramesz Babu; tyle zdążyłem się dowiedzieć. W naszych stronach, widzi pan, istnieje zwyczaj, według którego zapytanie kogoś o nazwisko jest pierwszym krokiem do zrobienia znajomości, a tedy w rzeczywistości jest to akt kurtuazji, ale dziś niektórzy uważają to za obrazę. Jeśli się pan czuje mem pytaniem dotknięty, proszę za rzekomą zniewagę odplacić mi z pro-

centem. Niech mnie pan tylko zapyta, a powiem panu nietylko swoje nazwisko i imię, ale i ojca. Dziadka imienia podawać nie potrzebuję?

Ramesz roześmiał się.

— Nie czuję się bynajmniej tak bardzo obrażony. Niech mi pan tylko poda swe własne nazwisko, będzie to dla mnie zupełnie dostatecznym zadośćuczynieniem.

— Nazywam się Trajlakja Czakrabartti a wszyscy w górze rzeki nazywają mnie prosto „wujem“. Pan zna historję, prawda? Otóż Bharata był „Królem Czakrabartti“ czyli cesarzem — Hindostanu. Tak, ja jestem „wuj Czakrabartti“ dla wszystkich na zachodzie. Jak pan pojedzie dalej na zachód, będzie pan mógł wszystkiego się o mnie dowiedzieć od pierwszego lepszego człowieka po drodze. Ale! Dokądże pan jedzie?

— Nie zdecydowałem się jeszcze, gdzie wysiąść.

Trajlakja: Zawsze dość jest czasu na to, aby postanowić, gdzie wysiąść. Tylko kiedy się wsiada, trzeba się zdecydować natychmiast.

— Statek gwizdał już, gdy wysiadłem z pociągu w Goalandu. Nie wiedziałem, czy zechce czekać, póki ja się nie namyślę, dokąd się udać. Tak więc zastosowałem pośpiech tam, gdzie na pośpiechu wyłącznie zależało.

Trajlakja: Uchylam głowę przed panem; należy pan do ludzi, jakich najbardziej podziwiam. Pan i ja jesteśmy zupełnie do siebie niepodobni. Zanim ja znajdę się na pokładzie statku, sporo czasu zejdzie mi na rozmyślaniach, ponieważ należę do ludzi, nie mogących się nigdy na nic zdecydować. Mam najwyższą cześć dla człowieka, który wyrusza w podróż, nie wiedząc nawet, dokąd ma jechać. Czy żona pańska jest na pokładzie?

Mimo wszystko jakiś skrupuł nie pozwolił Rameszowi dać w tej chwili bezpośrednio potwierdzającą odpowiedź.

Czakrabartti zauważył to wahanie i rzekł:

— Musi mi pan wybaczyć, ale z najbardziej odpowiedzialnego źródła dowiedziałem się już, że podróżuje razem z panem. Czcigodna małżonka pańska właśnie zajęta była gotowaniem, gdy mnie mój głód skierował w stronę kuchni. Rzekłem do niej: — Pani, proszę się mnie nie lękać, jestem wuj Czakrabartti, dobrze znany w tych stronach. Ale cóż to za świetna gosposia! Spostrzegłszy to, powiedziałem: — Jak widzę, kuchnię wzięła pani w swoje posiadanie. Ja nie mam tu nikogo, ktoby myślał o mnie, wobec tego spodziewam się, że pani nie odmówi mi małej porcyjki tych pyszności. Uśmiechnęła się tak słodko, iż bez trudu odgadłem, że mogę liczyć na jej uprzejmość i że nadszedł kres mych kłopotów. Wie pan, zawsze, zanim się puszcę w drogę, staram się wyszukać w kalendarzu dzień jak najpomyślniejszy, lecz tym razem udało mi się, jak nigdy jeszcze. Ale widzę, że pan zajęty, nie chcę panu dłużej czasu zabierać. Pozwoli pan, że pójdę do pańskiej małej gosposi i pomogę jej trochę? Dopóki ja tu jestem, nie będzie potrzebowała walać sobie rączek szczypcami do węgla. Nie, niech pan nie wstaje, proszę bardzo, niech pan pisze dalej, ja sam potrafię się przedstawić.

To rzekłszy, „wuj Czakrabartti“ pożegnał się z Rameszem i podreptał w stronę kuchni.

— Co to za wonie rozkoszne! — wykrzyknął, wszedłszy do kuchni — Nawet bez kosztowania odrazu można powiedzieć, że to potrawka z ryby! Czekaście, muszę wam zrobić trochę maślanki. Tylko ludzie,

żyjący w upalnych okolicach północnego zachodu, wiedzą, jak się zabrać do zrobienia maślanki. Wiem, co pani myśli — dziwi się pani, że taki stary człowiek, jak ja, przechwala się swą sztuką robienia maślanki, a nie ma orzeszków tamarynkowych! No, dopóki ja tu jestem, nie potrzebuje się pani troszczyć o tamarynki! Niech pani da mi tylko minutkę, żebym się mógł odpowiednio przygotować, zobaczy pani!

To mówiąc, wyszedł i po chwili przyniósł owinięty papierem mały słoik z konserwami.

— Jak zrobię maślanke, niech pani weźmie, ile pani potrzebuje na dziś, a resztę niech pani trzyma przez cztery dni. Jak pani wtedy pokosztuje, dopiero będzie pani mogła powiedzieć, że wuj Czakra-bartti nie blaguje, mówiąc, iż zna się na robieniu maślanki. A teraz niech pani zmyka umyć ręce. Pora obiadowa się zbliża. Ja sam już tu za panią zrobię, co potrzeba. Niech pani się nie obawia, znam się na tem doskonale. Moja żona jest kobietą bardzo słabowitą i naprzykład robić maślanke nauczyłem się tylko po to, aby móc ją trochę utuczyć. Śmieje się pani ze starego człowieka, a to bynajmniej nie żadne żarty, lecz szczerą prawdą.

— Ale mnie pan naucz, jak się to robi! — rzekła Kamala z uśmiechem.

— Tylko wytrwałości, moje dziecię! Tak hojnie i łatwo znów wiedzą szafować nie mogę. Bogini nauki wzięłaby mi za złe, gdybym poniżył jej godność przez udzielanie pani wskazówek już w pierwszym dniu naszej znajomości. Przez jakie trzy — cztery dni musi pani zabiegać o względy staruszka! Nie potrzebuje się pani nadzwyczajnie wysilać nad tem, jak mi dogodzić, bo sam to pani powiem. Paragraf pierwszy

brzmi: Bardzo lubię „pan“, ale orzechów „betelu“ nie lubię żuć w całości. Jestem nadzwyczaj trudny do zdobycia, ale lwią część zadania, moje kochanie, wykonała ta pani słodka twarzyczka. Ej, ty, jak się nazywasz?

Umesz nie odpowiedział.

Nie był bynajmniej zachwycony zjawieniem się „wują Czakrabartti“, ponieważ nie mógł ścierpieć myśli, że może mieć w nim rywala.

— Miły chłopak! — mówił w dalszym ciągu starszy pan — Nie odrazu zdradza się z tem, co mu po głowie gwizdże, jednakże pewien jestem, iż będziemy ze sobą w najzupełniejszej zgodzie. Ale teraz szkoda czasu, muszę się zabrać do gotowania.

Towarzystwo starszego pana znacznie przyczyniło się do zapełnienia pustki w życiu Kamali, równocześnie zaś jego zjawienie się na widowni było też znaczną ulgą dla Ramesza. Bolesnie musiała dotknąć dziewczynę wyraźna różnica, jaka zachodziła między obecnym sposobem zachowania się Ramesza a jego, niemal niczem nie skrępowaną, poufałością w pierwszych kilku miesiącach, kiedy był przekonany, iż Kamala jest jego prawowitą żoną. Pożądaniem było wszystko, co tylko mogło na inne tory skierować jej myśli, pozostawiając mu równocześnie swobodę szukania sposobu zgojenia bolesnych ran własnego serca.

Kiedy Ramesz odpoczywał po obiedzie, Kamala pokazała się na progu swej kabiny. Miała zamiar poprosić Czakrabarttiego o towarzyszenie jej podczas nudnego popołudnia, nie urozmaiconego żadnym zajęciem, ale starszy pan, spostrzegłszy ją, wykrzyknął naraz:

— O, to niedobrze, moje dziecko, to nie uchodzi!

Kamala nie mogła zrozumieć tych niejasnych słów. Okrzyk Czakrabarttiego wprowadził ją w zdumienie i zaciekawił.

— Jakże? A te trzewiki? — odpowiedział starszy pan na jej pytające spojrzenie — Ramesz Babu, to pańskie sprawy! Mów pan sobie, co pan chcesz, ale to poprostu grzech. Gardzi ojczyzną swą ten, kto między świętą jej ziemię a swe stopy wkłada cośkolwiek. Myśli pan, że, gdyby Ram Czandra zmuszał Sitę do noszenia trzewików Dawsona, Lakszmana cierpiałaby dla nich przez czternaście lat, jakie przesiedzieli w puszczy? Niech się pan śmieje, Ramesz Babu. Nie da się pan przekonać i ja się temu nie dziwię. Wszystkiego można się spodziewać po człowieku, który, usłyszawszy gwizdek, skacze na pierwszy lepszy statek, nie pytając nawet, dokąd on jedzie.

— Lepiejby było — rzekł Ramesz — gdyby wuj zechciał nam powiedzieć, gdzie mamy wysiąść. Rada wuja niewątpliwie zaważy więcej, niż gwizdek parowca.

— Widzę z tego, że doprawdy bardzo łatwo się pan decyduje; znamy się przecie zaledwie parę godzin! No, cóż, najlepiej byłoby może wysiąść w Ghazipur. Chce pani jechać do Ghazipur, kochanie? Tam rosną cudne róże i tam też mieszka stary pani wielbiciel, wuj Czakrabartti.

Ramesz spojrział na Kamalę. Bezwłocznie skinięciem głowy dała do poznania, że się jej ta myśl podoba.

Pozostawiwszy niepokieszonego Ramesza na pokładzie, Czakrabartti i Umesz, nawet poniekąd ku załopotaniu Kamali, na całe pół dnia rozsiedli się w jej kabinie. Statek wytrwale pruł wody rzeki, a brzegi w jasnym blasku jesiennego słońca uciekały wstecz,

niby pełna spokoju, lecz wiecznie zmieniająca się wizja — panorama pól ryżowych, przystani, piaszczystych urwistych brzegów, wiosek i krytych blachą bazarów; czasem widać było tu i owdzie małe grupki podróżnych, czekających w cieniu jakiegoś starego drzewa banjanowego na prom. Rozkoszną ciszę jesiennego popołudnia przerywał chwilami tylko dźwięczny śmiech Kamali, dolatujący do uszu Ramesza z niedalekiej kabiny.

— Jakie to wszystko piękne, a jak dalekie! — brzmiał bezustanny refren w duchu Ramesza.

## ROZDZIAŁ XXIX.

W wieku Kamali wątpliwości, obawy i niepokoje przemijają prędko, nie zapuszczając jeszcze korzeni w sercu. Nie nudziła się już, lżej się jej jakoś zrobiło, a nie myślała bynajmniej zastanawiać się długo nad zachowaniem się wobec niej Ramesza.

Jesienne słońce pokazywało kraj w najrozmaitszych jego postaciach, ze złotą rzeką jako koroną wszystkiego. Kamalę uszczęśliwiała rola pani w jej małym gospodarstwie, a każdy nadchodzący dzień był dla niej niby nowa kartka w tomie niewyszukanych poezji.

Co rano z nowym zapalem stawała do swej pracy dziennej. Umesz nie spóźniał się już na statek, a ze swych wycieczek furazerskich wracał zawsze z pełnym koszem, którego zawartość stale wywoływała podziw małego kółka.

— Patrzcie tylko, co za melony! I gdzieżeś ty znalazł tak piękną fasolę! Niech wuj patrzy, wuju Czakrabartti, on przyniósł buraków! Nie myślałam nawet, że na północy można dostać tak pięknych jarzyn!

Każdego dnia rano można było słyszeć takie okrzyki nad koszem Umesza.

Tylko kiedy Ramesz był obecny, odzywał się pewien zgrzytliwy ton, bo Ramesz stale podejrzewał Umesza o rabunek.

— Jakże, przecie sama wyliczyłam mu pieniądze!  
— wołała Kamala.

To nic! — odpowiadał Ramesz — To mu dało tylko podwójną sposobność: Mógł ukraść i pieniądze i jarzyny.

A potem wołał Umesza i zaczynał z nim robić rachunek.

Prawda, cyfry, podawane przez chłopca, nigdy się nie zgadzały. Gdyby mu wierzyć, wynikałoby z tego, że zawsze wydał więcej, niż dostał, co jednak Umesza bynajmniej nie wprawiało w zakłopotanie:

— Gdybym umiał rachować, nie siedziałbym tu, ale byłbym zarządcą majątku, prawda, dziadziu? — mówił do wuja Czakrabartti.

Wtedy zabierał głos Czakrabartti:

— Niech pan to śledztwo odłoży na później, Ramesz Babu; dopiero po obiedzie będzie pan mógł wydać wyrok sprawiedliwy. Ja osobiście zmuszony jestem stanowczo stanąć po stronie chłopca. Umesz, mój chłopcze, sztuka akwizycji nie jest łatwą i mało jest ludzi, którzyby ją posiadali. Wielu próbuje, niewielu się udaje. Widzi pan, Ramesz Babu, ja, gdy ten talent spotkam, potrafię go należycie ocenić. Na przykład — nie pora już na fasolę i nie przypuszczam, żebyś pan mógł znaleźć wielu chłopców, którzyby potrafili dostać fasolę wczesnym rankiem w obcej i zupełnie nieznaney sobie miejscowości. Podejrzewać potrafi każdy, mój panie, ale tylko jeden na tysiąc umie zdobyć, co potrzeba.



R a m e s z: To już nieładnie, wuju, nie powinien wuj stawać po jego stronie.

C z a k r a b a r t t i: Nie posiada on zbyt wielu talentów, a gdybyśmy przez brak należytej zachęty dopuścili do zmarnowania tego jednego, pożałowalibyśmy z pewnością, zanimbyśmy jeszcze opuścili ten statek. Słuchaj, Umesz, potrzebuję jutro kilku liści „n i m“ — im wyższe drzewo, tem lepsze liście. Bardzo by mi się przydały, kochanku. Nazywają mnie lekarzem — ach, do licha z medycyną, gadam i tracę tylko czas niepotrzebnie! Oczywiście dobrze jarzyny i wypłócz je, Umesz!

Im bardziej Ramesz podejrzewał Umesza i lajał, tem więcej chłopak garnął się do Kamali. Z pomocą Czakrabarttiego stronnictwo Kamali zupełnie się od Ramesza uniezależniło. Ramesz ze swemi skrupułami pozostał na boku, podczas gdy Czakrabartti, Umesz i Kamala pracowali i bawili się razem, połączeni więzami wzajemnej sympatji. Od czasu zjawienia się Czakrabarttiego Ramesz zaczął do pewnego stopnia dzielić szczere uwielbienie, jakie „wuj“ miał dla Kamali, nie mógł jednakże posunąć się tak daleko, aby stanąć w rzędzie jej wielbicieli. Tak wielki statek nie może przybić do brzegu, lecz musi zapuścić kotwicę na środku rzeki, z oddali tylko podziwiając ląd, gdy małe łodzie i czółna z łatwością przepływają mielizny.

Zbliżała się pełnia.

Kiedy podróżni wstali pewnego poranku, ujrzeli niebo zaciągnięte czarnemi chmurami, podczas gdy wichur skakał dokoła statku, dmąc ze wszystkich stron. To deszcz padał, to znów — na przemiany — z za chmur uśmiechało się słońce. Na środku rzeki nie było ani jednej łodzi. Niedaleko brzegu widać było parę

czófen, ale poruszenia ich świadczyły, że załodze niełatwo niemi kierować. Kobiety, które schodziły z dzbanami po wodę, nie bawiły długo na brzegu, a powierzchnia rzeki zdawała się chwilami dygotać, od brzegu do brzegu.

Parowiec mknął, jak zwykle, w dół rzeki i Kamala bynajmniej nie myślała rezygnować z powodu niepogody ze swych kulinarnych zajęć.

— Nie będzie pani mogła gotować dziś wieczorem — rzekł Czakrabartti, przyglądając się niebu — Trzeba będzie już teraz zrobić coś na kolację. Niech pani gotuje obiad, a ja zamieszę ciasto na chleb.

Późno było, kiedy wreszcie zjedli obiad. Podmuchy wiatru stawały się coraz gwałtowniejsze, brzegi rzeki pokryły się pianą. Jeszcze przed nocą słońce skryło się za chmury i nikt nie zauważył, kiedy zaszło. Wcześniej zarzucono kotwicę.

Noc zapadła, z poza skłębionych chmur z chorym, obłąkanym uśmiechem wyglądał chwilami księżyc. Wiatr zmienił się w huragan, a deszcz lał strugami.

Kamala przeszła już jedno rozbicie i oczywiście teraz widok tej burzy i zawieruchy nappełnił ją trwogą.

— Niema się czego bać, Kamalo! — uspokajał ją Ramesz — Na statku nic się nam stać nie może. Niech Kamala nie myśli o tem wszystkiem i niech się lepiej kładzie spać. Ja będę tuż obok w kabinie; zaraz się położę.

Po chwili stanął pod drzwiami kabiny Czakrabartti.

— Niech pani się nie lęka, kochanie — mówił — niema strachu, nic pani ta przekłeta burza nie robi.

Prawda, burza była „przekłeta“, niemniej nie można było mieć żadnych wątpliwości co do sposobu,

w jaki działała na Kamalę. Dziewczyna skoczyła ku drzwiom i zawołała błagalnie:

— Niech wuj wejdzie, proszę, niech wuj posiedzi trochę przy mnie!

Czakrabartti zawahał się.

— Zapewne oboje leżycie już. Właściwie powinienbym...

Mówiąc to, wszedł do kabiny i naraz zauważył, że Ramesza w niej niema.

— Jakto? A gdzie Ramesz Babu? — wykrzyknął zdziwiony — Nie poszedł przecie kraść jarzyn w tak burzliwą noc, jak dzisiejsza...

— Hallo, to wy, wuju? Ja jestem tu, w sąsiedniej kabinie!

Czakrabartti zajrzał do kabiny i ujrzał w niej Ramesza, wyciągniętego na łóżku i czytającego przy świetle lampy jakąś książkę.

— Pańska pani jest bardzo zdenerwowana — zwrócił mu uwagę — Mógłbyś pan położyć tę książkę; sam pan widzisz, że chmur pan nią nie rozpędzisz. Chodź pan tu.

Powodowana jakimś instynktownym odruchem, Kamala straciła panowanie nad sobą.

— Nie, nie, wuju! — wykrzyknęła stłumionym głosem, chwytając go za rękę.

Wycie wichru zagłuszyło jej słowa, tak, że do uszu Ramesza nie doszły, ale Czakrabartti usłyszał je i cofnął się, przykro dotknięty.

Ramesz położył książkę i wszedł do kabiny.

— Co się stało, wuju Czakrabartti? — zapytał — Wyglądacie oboje, jakby...

— Nie, nie! — przerwała mu Kamala, nie patrząc na niego — Poprosiłam wuja na chwilkę rozmowy.

Czemu przeczyła tem swem „nie! nie!“ sama nie wiedziała, ale właściwe znaczenie tych słów było:

— Jeśli pan sądzi, że potrzebuję kogoś do dodania mi odwagi, myli się pan, nie potrzebuję nikogo. Jeżeli pan sobie wyobraża, że pragnę czyjegoś towarzystwa, jest pan w błędzie; nie pragnę wcale!

— Późno już się robi, wuju! — mówiła dalej — Czas iść spać. Może wuj jeszcze zajrzy do Umesza, czy mu czego nie potrzeba. Może się boi burzy.

— Niczego się nie boję! — odezwał się pod drzwiami głos w ciemnościach.

Pokazało się, że Umesz, drżąc z zimna, siedział na pokładzie u drzwi jej kabiny.

Wzruszona tem poświęceniem, Kamala wybiegła, a ujrzawszy go, zawołała:

— Umesz, przemokniesz nawskroś na tym deszczu. Idź mi stąd natychmiast, niegodziwy chłopcze! Będziesz spał w kajucie wuja Czakrabartti!

Umesz posłusznie podreptał za wujem Czakrabartti. Mimo serdecznego tonu Kamali fakt, iż nazwała go „niegodziwym chłopcem“, zmartwił go.

— Kamala chce może porozmawiać ze mną przed spaniem? — spytał Ramesz.

— Nie, dziękuję. Jestem już bardzo śpiąca.

Ramesz jasno widział bieg myśli Kamali, nie próbował jednak przejednać jej. Na pierwszy rzut oka ujrzał w tej twarzy wyraz obrażonej dumy, ale, nie mówiąc nic, wrócił do swej kabiny.

Kamala, mimo iż była zanadto rozstrojona, aby móc zasnąć, zmusiła się do położenia się. W miarę jak burza stawała się coraz gwałtowniejsza, fale wznosiły się. Cała załoga była w ruchu, a od czasu do czasu terkotanie dzwonka elektrycznego świadczyło, iż ka-

pitan zasyła rozkazy do wnętrza statku, do maszyn. Sama kotwica nie wystarczała do utrzymania w tej wichurze statku na miejscu, wobec czego powoli zaczęły pracować maszyny.

Kamala odrzuciła kołdrę i wyszła na pokład. Deszcz właśnie ustał był na chwilę, ale wiatr wył, jak uciekające z kąta w kąt katowane zwierzę.

Noc była chmurna, a księżyc w pełni słabo oświetlał dzikie niebo, po którym chmury, pędzone przez burzę, uganiały, podobne do duchów zniszczenia. Brzegi zniknęły, powierzchnię rzeki ledwie było widać, ale ziemia i niebo, przedmioty bliskie i odległe, wszystko zmieszało się w jeden wyjący chaos, który zwolna zdawał się przybierać postać bajecznego czarnego byka Króla Śmierci, okropnego potwora, potrzęsającego z wściekłością głową, zbrojną w wielkie rogi.

Z dziwnem, nieopisanem uczuciem patrzyła Kamala na to dzikie niebo i rozpętanie burzliwej nocy; była w tem uczuciu może trwoga a może i radość.

Na widok tej niczem nieposkromionej gwałtowności i nieskrępowanego rozpętania rozszałych żywiołów, odezwała się w duszy Kamali struna, dotychczas bezdźwięczna. Fascynowała ją ta gwałtowność wzburzenia Przyrody. Przeciw czemu Ona się burzyła? W ryku burzy Kamala nie słyszała odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź była nieartykułowana — jak burza, która w niej samej szalała. Cóż to mogło być? Nic innego, jak tylko chęć podarcia w strzępy i odrzucenia od siebie jakiejś bezkształtnej, nieuchwytej płataniny kłamstwa, zwodniczych złudzeń i ciemności. To wstrząsało posadami ziemi do taktu wrzasków rozwścieklonej burzy.

To było właśnie to „nie! nie!“, prosta odmowa wręcz, którą wicher jęczał, lecąc przez czarną noc z krańców bezdroży przestrzennych. I czemuż przeczył? Czemu się sprzeciwiał? Jasnej odpowiedzi nie było, wciąż jednak brzmiało wyraźnie:

— Nie! Nie! Nigdy! Nie! Nie! Nie!

### ROZDZIAŁ XXX.

Burza na drugi dzień rano przycichła trochę, ale wiatr dał wciąż potężnie. Kapitan statku niespokojnie rozglądał się po niebie, niepewny, czy podnieść kotwicę, czy nie.

Wczesnym rankiem Czakrabartti odwiedził Ramesza w jego kabinie, tuż obok kabiny Kamali. Ramesz leżał jeszcze, ale gdy tylko zobaczył wuja Czakrabartti, usiadł na swem posłaniu.

Starszy pan, widząc, iż Ramesz spędził noc w swej kabinie i przypomniawszy sobie wypadki ubiegłego wieczoru, odrazu zrozumiał, w czym rzecz.

— Czyżbyś pan spędził tę noc tutaj? — zapytał badawczo.

Ramesz nie odpowiedział na pytanie.

— Co za obrzydliwy dzień! — odezwał się — Jakże się wam spało, wuju Czakrabartti?

— Ramesz Babu! — odrzekł Czakrabartti — Uważa mnie pan z pewnością za starego durnia i niewątpliwie nieraz tak gadam, że na taką opinię zasługuję, niech pan jednak nie myśli, że dożyłem swych lat, nie rozwiązawszy nigdy żadnego problemu. Rozwiązałem ich znacznie więcej, niżby się zdawać mogło, ten jednak, który mam w tej chwili przed sobą, jest zaiste najtrudniejszy.

Ramesz mimowoli zaczerwienił się, ale w jednej chwili odzyskał panowanie nad rysami swej twarzy i uśmiechnął się.

— Być nieodgadzionym nie jest jeszcze grzechem, wuju Czakrabartti! — rzekł — Weźmy na przykład taki dziwny i niezrozumiały język, jak narzecze Telegu. Nam trudno przyswoić sobie choćby jego początki, ale małe dziecię plemienia Telinga uczy się go z łatwością. Nie trzeba się zanadto śpieszyć z potępianiem tego, czego się nie rozumie. Spotkawszy niezrozumiałe symbole, nie powinniśmy bynajmniej spoglądać na nie rozpaczliwie, wyrzekając się wszelkiej nadziei zrozumienia ich kiedykolwiek.

— Niech mi pan wybaczy, Ramesz Babu — rzekł Czakrabartti — Byłoby z mej strony zarozumiałością próbować odgadnąć i zrozumieć człowieka, którego zaufania nie posiadam. Zdarza się nam jednak od czasu do czasu spotkać się w życiu z kimś, kogo rozumiemy najzupełniej od pierwszego wejrzenia. Jako świadka zacytuję tego brodacza — kapitana statku. Pańska paniusia ma w nim też szczerego i oddanego przyjaciela. Niech go pan sam zapyta — jeśli zaprzeczy, nie jest prawdziwym muzułmaninem. Otóż, widzi pan, gdy rzeczy tak się mają, niespodziewane napotkanie zagadki w rodzaju narzecza Telegu musi uderzyć bardzo przykro. Jak się pan dobrze nad tem zastanowi, Ramesz Babu, nie będzie mi pan brał tego za złe.

— Właśnie ponieważ dobrze się nad tem wszystkim zastanowiłem, niczego panu za złe nie biorę. Ale — czy ja biorę za złe czy nie, czy pan uważa się za dotkniętego w swych uczuciach czy nie — narzecze Telegu pozostanie narzeczem Telegu. Takie już jest okrutne prawo Przyrody.

To mówiąc, Ramesz westchnął.

Teraz jednak zaczął się zastanawiać nad tem, czy wobec tego wszystkiego, dobrze będzie osiąść w Ghazipur. W pierwszej chwili zdawało mu się, iż zażyłość ze starszym panem przyda mu się przy zakładaniu ogniska domowego w nieznaney miejscowości, obecnie jednak przyszło mu na myśl, iż z osobistych stosunków z ludźmi miejscowymi mogą wyniknąć niegodności. Lepiej będzie zagrzebać się gdzieś, gdzie niema żadnych znajomych i gdzie nie trzeba się będzie obawiać żadnych pytań.

To też w przeddzień przybycia statku do Ghazipur oświadczył wujowi Czakrabartti:

— Wie wuj, przyszedłem do przekonania, że z zawodowego punktu widzenia Ghazipur nie nadaje się dla mnie. Wobec tego pojedę do Benares.

Nuta stanowczości w głosie Ramesza ubawiła starszego pana.

— Bezustanne zmienianie postanowień nie dowodzi bynajmniej stanowczości, lecz raczej jej braku! Ale — na razie — zdecydował się pan już nieodwołalnie jechać do Benares?

— Tak! — odpowiedział krótko Ramesz.

Czakrabartti wyszedł bez słowa i zaczął się pakować.

— Czy wuj gniewa się na mnie? — zapytała chytrze Kamala.

— Czegóż się pani może spodziewać, jeśli się klócimy od rana do nocy! — odpowiedział — Pani wie, że pani zawsze musi mieć ostatnie słowo!

Kamala: Przez cały ranek wuj mnie unika!

Czakrabartti: I pani może mówić, że ja unikam was?! Jakże, to przecie wy chcecie uciec odemnie!



Kamala spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

— Czy Ramesz Babu nic pani nie mówił? — wołał dalej Czakrabartti — Postanowiono przecie, że macie jechać do Benares!

Kamala ani nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

— Wuj sobie z tem nie da rady! — rzekła po krótkiej pauzie — Niech wuj pozwoli, ja ten kufer zapakuję.

Obojętność, z jaką Kamala przyjęła wiadomość o zmianie projektu zamieszkania w Ghazipur, głęboko uraziła wuja Czakrabarttiego.

— A może to i lepiej! — mówił sobie w duchu — Czy ma jaki sens, aby człowiek w moim wieku zawiązywał nowe stosunki?

Zjawił się Ramesz we własnej osobie z zamiarem uwiadomienia Kamali o zmianie, jaka zaszła w jego planie.

— Szukałem Kamali! — rzekł.

Ale ona zaczęła energicznie układać i składać ubrania wuja Czakrabarttiego.

— Narazie nie zamieszkamy w Ghazipur, Kamalo, — mówił dalej Ramesz — Zamiast w Ghazipur postanowilem rozpocząć swą praktykę w Benares. Kamala zgadza się na to?

— Nie. Ja wysiadam w Ghazipur — odpowiedziała Kamala, nie podnosząc głowy z ponad kufra wuja Czakrabarttiego — Już wszystko zapakowałam.

— Jakto? Kamala chce wysiąść sama? — spytał Ramesz, zdumiony stanowczą odmową Kamali.

— O, nie, przecie tam będzie wuj! — rzekła z serdecznym spojrzeniem w stronę starszego pana.

Czakrabartti nie orjentował się jeszcze w sytuacji.

— Moje dziecko! — odezwał się — Jeśli pani w ten sposób będzie brała moją stronę, Ramesz Babu stanie się zazdrosny.

Ale Kamala odpowiedziała tylko:

— Ja jadę do Ghazipur.

Ton jej dowodził, iż czuje się w prawie rozporządzać sobą według swej woli.

— Cóż zrobić, wuju! — rzekł Ramesz — Niech będzie Ghazipur.

Wieczorem po deszczu niebo wypogodziło się i Ramesz siedział do późna w noc na pokładzie, rozmyślając przy księżycu.

— Tak dalej być nie może! — myślał — Jeśli Kamala zacznie się buntować, sytuacja stanie się zupełnie niemożliwa. Jak to zrobić, aby żyć z nią, a przecie trzymać ją w pewnej odległości od siebie! Ja już nie potrafię dłużej. Cokolwiekby było, Kamala jest istotnie moją żoną. Za swoją żonę uważałem ją od samego początku, a z tego, że nie odmówiliśmy razem rotę przysięgi, nie potrzebuję sobie chyba robić skrupułów. Sama śmierć dała mi ją i połączyła nas owej nocy na tej wyspie piaszczystej, a śmierć jest niewątpliwie potężniejsza od największego kapłana tego świata.

Od Hemnalini dzieliła go już cała ciężko zbrojna armja nieprzyjacielska. Aby się do Hemnalini dostać i stanąć obok niej z dumnie podniesioną głową, musiałyby przebijać się przez gąszcz trudności, wątpliwości i upadków — a myśl o tych walkach przerażała go. Czy mógł się spodziewać zwycięstwa? W jaki sposób mógłby dowieść swej niewinności? Nawet gdyby jej dowiódł, ludzie z towarzystwa odsunęliby się od niego, co się zaś tyczy Kamali, to dla niej byłoby to nie-

szczęściem tak wielkiem, iż myśleć o tem nawet nie mógł. Precz z tchórzostwem i wahaniem! Nie pozostawało nic innego, jak tylko zrobić Kamalę swą żoną w całym znaczeniu słowa. Hemnalini z pewnością myśli już o nim ze wstrętem — ze wstrętem, którego dobrą stroną będzie to, iż on uczyni ją powolniejszą prośbom jakiegoś innego starającego się.

Ramesz westchnął i myśli swe o Hemnalini rzucił na cztery wiatry.

### ROZDZIAŁ XXXI.

— Hola! — zawołał Ramesz — A ty, Umesz, dokąd?

— Ja idę z matką.

R a m e s z: Ale przecie ja kupiłem dla ciebie bilet aż do Benares a tu dopiero Ghazipur. My nie jedziemy do Benares!

U m e s z: Ja też nie.

Ramesz nie przypuszczał, że Umesz ma być stałym jego domownikiem, ale rozśmieszył go ten chłodny spokój i pewność siebie chłopca.

— Czy mamy wziąć Umesza ze sobą? — zwrócił się do Kamali.

— A gdzież on pójdzie?

R a m e s z: Ma przecie w Benares jakichś krewnych czy coś podobnego.

K a m a l a: Woli być przy nas. Umesz, pamiętaj, że jesteś w obcym mieście i trzymaj się wuja Czakrabarttiego, żebyś nie zginął w tłumie.

Ze wszystkiego widać było, że Kamala na siebie bierze wyłączną komendę i zupełną odpowiedzialność za całą grupę, jej skład i cel podróży. Okres, w którym

bez szemrania poddawała się rozkazom Ramesza, doszedł nagle do niespodziewanego kresu. To też Umesz, z małym węzełkiem pod pachą, szedł za nimi bez dalszej już dyskusji.

Wuj mieszkał w małej willi między miastem a dzielnicą europejską. Przed domem znajdowała się kamienna, murowana studnia, za domem był sad, pełen drzew mangowych. Dom odgradzony był od ulicy niskim murem, zaś od muru do ścian domu ciągnął się niewielki ogród warzywny, nawodniony przez studnię. Tu Czakrabartti ofiarował Rameszowi i Kamali gościnę, dopóki nie znaleźli własnego domu.

Żona wuja, Haribhabhini, opisywana zwykle przez swego małżonka, jako kobieta słabowita, na zewnątrz bynajmniej nie robiła tego wrażenia. Była już więcej niż w średnim wieku, ale twarz miała wyrazistą i inteligentną, a tylko skronie jej przyprószyła zlekka siwizna. Wiek otrzymał już — że tak powiemy — dekret przeciw niej, ale nie wykonał go jeszcze.

Mianowicie rzeczy miały się tak, że Harihabhini, wkrótce po wyjściu zamąż za Czakrabartti'ego zachorowała ciężko na febrę malaryczną, na którą, zdaniem jej męża, nie było innego lekarstwa, jak tylko zmiana powietrza. Wobec tego Czakrabartti postarał się o posadę nauczyciela w Ghazipur, dokąd się też przeniósł z całą rodziną.

Haribhabhini dawno już powróciła do zdrowia, ale troskliwy małżonek nigdy nie spuszczał jej z baczного oka.

Czakrabartti usadowił swych gości w jednym z frontowych pokoi, a następnie ruszył w głąb domu na poszukiwania swej żony; zastał ją na ogrodzonym murem podwórzu, suszącą na słońcu swe garnki i rondle i przesypującą pszenicę.

— To ty tu jesteś! — wykrzyknął Czakrabartti — Czy nie zachłodno dziś? Dlaczego nie wzięłaś szala?

Haribhabhini: Co też ty mówisz! Chłodno! Patrzże, jak mi słońce plecy spaliło!

Czakrabartti: To źle! Stać mnie przecie na parasolkę dla ciebie!

Haribhabhini: Dobrze, dobrze, sama sobie kupię. Powiedz mi teraz, gdzie byłeś tak długo?

Czakrabartti: To długa historia, opowiem ci później. Ale wiesz co? Przywiozłem gości ze sobą i przedewszystkiem nimi musimy się zająć.

Tu Czakrabartti w krótkości opisał jej młodą parę. Nie pierwszy to raz Czakrabartti obcym ofiarowywał u siebie gościnę, ale na przyjęcie małżeństwa Haribhabhini nie była przygotowana.

— I gdzie ja ich umieszczę! — zlekła się.

— Zapoznaj się z nimi naprzód, a potem pomyślimy, gdzie ich umieścić! — rzekł Czakrabartti — Gdzie Saila?

— Kąpie małą.

Czakrabartti przyprowadził Kamalę i przedstawił ją żonie.

Kamala złożyła Haribhabhini należny jej latom, pełen szacunku, ukłon. Matrona ze swej strony wzięła ją zlekka za brodę a potem, ucałowawszy własne palce, odezwała się do swego małżonka:

— Jaka ona podobna do naszej Bidhu, nie uważasz?

Bidhu była jej zamężna córka, która mieszkała w Allahabadzie.

Czakrabartti uśmiechnął się w duchu, słysząc to porównanie. W rzeczywistości między Bidhu a Kamalą nie było najmniejszego podobieństwa, ale Hari-

bhabhini nigdy nie byłaby przyznała, że ktoś może jej córkę przewyższać pięknnością lub wdziękiem. Sairadża, druga córka, która mieszkała z rodzicami, narazona była na bezustanne upokorzenia, ponieważ matka wciąż robiła porównania na niekorzyść jej a ku chwale córki nieobecnej.

— Bardzo się tobą cieszę — mówiła do Kamali Haribhabhini — obawiam się tylko, że nie będzie wam tu zbyt wygodnie. Nowy nasz dom właśnie restauruje się teraz, skutkiem czego narazie musimy dusić się w tej ciasnocie.

Było to po części prawdą. Czakrabartti istotnie miał niewielki domek na bazarze i domek ten obecnie naprawiano, nie był to jednakże budynek, który mogliby obrąć za swą rezydencję, co im też nigdy nawet do głowy nie przychodziło.

Czakrabartti uśmiechnął się w duchu, słysząc to kłamstwo żony, ale nie dał nic poznać po sobie.

— Gdyby pani nie godziła się na niewygodę, nigdybym pani tu nie przyprowadził — rzekł do Kamali.

A zwracając się do swej żony, dodał:

— W każdym razie radzę ci wejść do domu. Jesienne słońce może ci zaszkodzić.

To rzekłszy, powrócił do Ramesza.

Haribhabhini, pozostawszy sam na sam z Kamalą, zasypała ją pytaniami.

— Twój mąż jest prawnikiem, prawda? Długo już praktykuje? Czy dużo zarabia? O, jeszcze nawet nie rozpoczął praktyki? Więc z czego żyjecie? Czy twój teść dobrze go zaopatrzył? Nie wiesz? Dziwna dziewczyna! Nie znasz zupełnie rodziny swego męża? Ile ci mąż daje miesięcznie na utrzymanie domu? Nie, jakże można, jeśli nie macie teściowej, ty sama musisz

wejrzeć we wszystko! Dziewczyna w twoim wieku! Mąż mej córki Bidhu oddaje jej cały zarobek!

Przy pomocy takich salw pytań i uwag czcigodna dama w krótkim czasie wykazała Kamali całą jej nieudolność i biedne dziewczę zrozumiało aż zanadto jasno, jak dziwną i poniżającą zarazem musi się wydawać obcym ta jej zupełna nieznanomość światowej pozycji męża i jego rodziny. Przypomniała sobie, że nigdy jeszcze nie miała sposobności porozmawiać szczerze z Rameszem o jego sprawach i że właściwie o człowieku, który był jej mężem, prawie nic nie wiedziała. Pierwszy raz odczuła, jak szczegółną jest jej pozycja a to poczucie własnej nicości zmieszało ją niewymownie.

— Pozwól, jakie to masz kolczyki, kochaneczko! — zaczęła znów Haribhabhini — Nie nadzwyczajne złoto, prawda? Ojciec nie dał ci żadnych klejnocików po ślubie? O, nie masz ojca? Mimo to powinnaś przecie jakąś błyskotkę mieć. Mąż ci nie dał? A mąż mojej Bidhu stara się przynieść jej jakiś prezencik przynajmniej raz na dwa miesiące.

Śledztwu położyło wreszcie koniec wejście Sailadży, która prowadziła za rączkę swą dwuletnią córeczkę, Umi. Sailadża miała ciemną cerę i drobne rysy, ale wyraz jej twarzy był ożywiony a czoło szerokie. Wyglądała na kobietę ze zdrowym rozsądkiem i łagodnego temperamentu.

Po poddaniu Kamali dorywczemu przeglądowi, córeczka Sailadży powitała ją jako „ciocię“ — nie dlatego, aby dopatrywała się w niej jakiegoś podobieństwa z Bidhu, lecz ponieważ bez żadnego wahania zwykła była mianować „ciocią“ każdą dorosłą kobietę, która się jej podobiała. Kamala natychmiast wzięła dziecko na kolana.

Haribhabhini w następujący sposób przedstawiła Kamalę Sailadży:

— Mąż tej pani jest prawnikiem, przybył na północ, aby tu otworzyć kancelarję. Ojciec zaznajomił się z nim w drodze i zaprosił ich do nas.

Oczy młodych kobiet spotkały się i to jedno spojrzenie uczyniło je serdecznymi przyjaciółkami.

Haribhabhini wyszła umieścić jakoś gości, Sailadża zaś wzięła Kamalę za rękę i poprosiła ją do swego pokoju.

Wkrótce rozmawiały ze sobą jak stare przyjaciółki. Różnica wieku była między nimi prawie niedostrzegalna.

Kamali sposób myślenia, co do szerokości i subtelności poglądów, znacznie wyprzedzał jej lata. Było to może dzięki temu, iż indywidualności jej nie krępowała nigdy surowość teściowej i nigdy w uszach jej nie brzmiały takie wyrażenia, jak „trzymaj język za zębami!“ i „rób, co ci każe!“, „młoda kobieta nie powinna mówić „nie!“ tak często i tym podobne. Skutkiem tego patrzyła w świat wyprostowana i z głową do góry podniesioną, niby pełen wdzięku kwiat o silnej lodydze.

Obie nowe przyjaciółki wkrótce zupełnie zajęły się rozmową, mimo nieustających usiłowań małej Umi, która wszelkimi siłami starała się zwrócić na siebie uwagę. Kamala nie mogła nie zauważyć, iż, co się tyczy konwersacji, nie może się nawet równać z Sailadżą. Sailadża miała mnóstwo do powiedzenia, Kamala prawie nic. Nakreślony przez nią obraz pożycia małżeńskiego był co najwyżej szkicem ołówkowym, częściowo niekompletnym i zupełnie pozbawionym barw.

Dotychczas nie miała sposobności zauważyć jego ubóstwa. Czowała wprawdzie niejasno, że czegoś mu brak,



czasem nawet zdawała się przeciw czemuś buntować, jednakże nie wiedziała dokładnie, czego właściwie brak.

Ledwo lody między niemi pękły, Sailadża zaczęła opowiadać o swoim mężu; wystarczyło tylko dotknąć głównej struny jej życia, a natychmiast struna ta wydawała jasny, wyraźny dźwięk. Ale Kamala wiedziała, że na tej strunie grać nie potrafi; nie miała nic do powiedzenia o swoim mężu, co więcej, do takiej rozmowy nie miała ani ochoty ani materiału.

Gdy łódź Sailadży wesoło leciała z prądem, radośnie dźwigając brzemię swego szczęścia, Kamali barka, choć pusta, nędznie osiadała na mieliznach.

Mąż Sailadży, Bipin, był urzędnikiem w ghazipurskiej fabryce opjum. Czakrabartti miał tylko dwie córki, z których starsza mieszkała przy rodzinie swego męża. Starszy pan, nie chcąc się rozstać z młodszą córką, wybrał jej na męża młodego, ubogiego chłopca, który z wdzięcznością przyjął posadę, wyrobioną mu rozmaitemi sposobami przez teścia, i zamieszkał przy rodzicach żony.

Naraz Sailadża urwała rozmowę w połowie zdania:

— Przepraszam cię, moja droga, na chwilęczkę, zaraz przyjdę!

A potem nie bez pewnej godności oświadczyła, że właśnie w tej chwili małżonek jej wrócił już z kąpieli i że ona przed wyjściem do biura musi mu dać śniadanie.

— Skądże wiesz, że on już wrócił? — zapytała Kamala w naiwności swego serca.

— Żartujesz sobie chyba ze mnie! — odpowiedziała Sailadża — Skąd to wiem? A ty czy nie poznasz męża swego po chodzie, jak tylko go usłyszysz?

Roześmiała się, uszczypnęła Kamalę w policzek, przerzuciła przez ramię wolny koniec swej sukni z przywiązanym do niego pękiem kluczy, porwała Umi i wybiegła z pokoju.

Dotychczas Kamala nie wiedziała, że mowy kroków można się tak łatwo nauczyć. Pograżona w myślach, wyjrzała przez okno.

Tuż koło domu rosła wielka „guawa“, a wśród jej obciążonych kwiatami gałęzi brzęczały pszczoły, niestrudzone maroderki.

## ROZDZIAŁ XXXII.

Ramesz poszukiwał domu, któryby stał samotnie za miastem zdala od innych domów nad Gangesem. Dla sprowadzenia rzeczy i przeprowadzenia pewnych formalności, bez których nie mógłby pracować w sądzie ghazipurskim, konieczny był jego wyjazd do Kalkuty, on jednak wzdrygał się na samą myśl o tej podróży. Niby ciężkie jakieś brzemie duszę jego przytłaczało wspomnienie pewnej ulicy. Wciąż jeszcze trzepotał się w sieciach rozdzielenia, mimo, iż sprawy zaszły tak daleko, że absolutnie nie można już było zwłóczyć z przyjęciem stanowiska męża Kamali ze wszystkimi wynikającymi stąd konsekwencjami.

Niezdolny do stawienia czoła rzeczy nieuniknionej, Ramesz z dnia na dzień odkładał swój wyjazd.

Ponieważ w małej willi wuja Czakrabarttiego istotnie niewiele było miejsca, Kamala mieszkała w części domu, przeznaczonej dla kobiet, podczas gdy Ramesz zajmował pokoje frontowe, skutkiem

czego rzadko się nawet widywali. Sailadża nie tała przed Kamalą, jak bardzo ubolewa nad tą przymusową rozłąką młodych małżonków.

— O czem tu tyle mówić! — rzekła Kamala — Nie widzę w tem nic straszego.

Sailadża roześmiała się.

— Kobieto z kamiennem sercem! Ale nie myśl, że udawaniem wywiedziesz mnie w pole! Wiem ja dobrze, co o tem myśleć!

— Powiedz mi prawdę! — zaczęła Kamala — Przypuśćmy, że Bipin Babu nie zbliżyłby się do ciebie przez parę dni, czyżbyś...

— Cóż znowu, dwóch dni nie wytrzymałby beze mnie! — chępiła się Sailadża, a następnie zaczęła cytować przykłady przywiązania Bipina Babu. Opowiadała o podstępach, jakich chwytał się młodzian po ślubie, chcąc przedrzeć się przez szeregi nieprzyjaciół — teściów — i dostać się do swej oblubienicy; ile razy mu się nie udało, ile razy go złapano i jak, kiedy już absolutnie zakazano mu widywać się z nią, pocieszali się przynajmniej w ten sposób, że bez wiedzy rodziców wymieniali spojrzenia w lusterku podczas obiadu Bipina Babu. Na samo wspomnienie radości tych dni minionych twarz Sailadży rozjaśniła się.

A potem przyszedł czas, w którym Bipin całe dnie musiał przesiadywać w biurze i Sailadża opowiadała, jak im trudno było bez siebie żyć i jak Bipin czasami udawał chorego i wymykał się z biura do domu.

Zdarzyło się raz, że Bipin musiał w sprawach swego ojca wyjechać na parę dni do Patny. Sailadża rzekła wówczas do niego: — Jak ci się zdaje? Czy

istotnie mógłbyś wyjechać do Patny i mieszkać tam? — na co on odpowiedział z przechwałką w głosie: — Pewnie, żebym mógł! — Sailadza uczyła się tonem jego odpowiedzi dotknięta w swej dumie i postanowiła sobie w duchu, że w wigilję jego wyjazdu niczem nie okaże żalu. Jej postanowienie roztopiło się jednak w potopie łez a następnego dnia, kiedy wszystko było już przygotowane do podróży, Bipin odkrył naraz w sobie okropny ból głowy i jakąś tajemniczą chorobę, która plany podróży najzupełniej pokrzyżowała. Przyszedł nawet doktor, który mu zapisał lekarstwo, ale on wraz z Sailadzą w tajemnicy wylali lekarstwo do zlewu, a chory w cudowny sposób wyzdrowiał.

Zdawało się, że Sailadza tak się przejęła swemi wspomnieniami, że straciła nawet rachubę czasu, lecz jak tylko dał się słyszeć w bramie cichy odgłos kroków, zerwała się na równe nogi. To Bipin Babu wracał z biura! Na pozór zupełnie pogrążona w swoich zabawnych wspomnieniach przeszłości, mimo wszystko nadśluchiwała bacznie, kiedy na ścieżce, prowadzącej z bramy przez ogród, odezwie się ten daleki krok.

Nie należy sądzić, iż Kamala pogląd Sailadży na pożycie małżeńskie uważała za fałszywy; jej samej coś podobnego nieraz się marzyło. W paru pierwszych miesiącach spędzonych z Rameszem odzywała się czasami struna, która zdawała się dawać jej klucz do pewnych tajemnic pożycia małżeńskiego. Także i później kiedy jej się udało wydostać z pensji i wrócić do Ramesza, w niektórych chwilach miała wrażenie, że cała jej dusza drży w takt dziwnego rytmu jakiejś mistycznej muzyki tanecznej. Słuchając opowiadania Sailadży, uzyskała pewien wgląd w wewnętrzną treść tych wzruszeń. Ale we własnych jej przeżyciach nie

było nic głębokiego ani trwałego, a wrażenie, jakie z nich wyniosła, było płytkie i przemijające. Między nią a Rameszem nie było nic, coby się dało porównać z żarem, jaki cechował stosunek Sailadży i Bipina. Chwilowa rozłąka z Rameszem nie sprawiała jej najmniejszej przykrości i nie mogła sobie w żaden sposób wyobrazić Ramesza, siedzącego pod przeznaczoną dla kobiet częścią domu i rozmyślającego nad sposobami, mogącemi pozwolić mu zdobyć bodaj jej spojrzenie.

Kiedy nadeszła niedziela, Sailadża znalazła się w kłopotcie. Żał jej było zostawić swą nową przyjaciółkę na cały dzień samą w domu, a z drugiej strony nie była znów taką altruistką, aby jej móc poświęcić jedyny dzień, w którym mogła do syta nacieszyć się towarzystwem swego Bipina. Wiedziała jednak, że całą niedzielę zatruje jej myśl o tem, iż choć Ramesz mieszka pod tym samym dachem, komunikacja między nim a Kamalą jest przerwana. Ba! Gdyby to można w jakiś sposób zetknąć ich ze sobą!

Nie zwierzyła się wprawdzie ze swych myśli rodzicom, ale Czakrabartti nie należał bynajmniej do ludzi czekających, aby do nich przyjść po radę. Ni stąd ni zowąd oświadczył, że w pewnym bardzo pilnym interesie na cały dzień wyjeżdża, przyczem wyraźnie dał Rameszowi do zrozumienia, iż goście żadni nie są oczekiwani i że po jego odejściu Ramesz ma zaryglować bramę wchodową. Mówił to tak, aby córka mogła go usłyszeć, pewny, iż jego wskazówka nie pójdzie na marne.

— Chodź prędzej, kochanie, wysuszymy włosy!  
— zachęcała Sailadża Kamalę, kiedy wracały z rannej kąpieli w rzece.

— Czemuż się mamy dziś tak bardzo śpieszyć?

— Potem ci powiem; pozwól, żebym cię przedtem uczesała — odpowiedziała Sailadża, przystępując do dzieła, jak tylko powróciły do domu.

Operacja ta zabrała niemało czasu, a fryzura Kamali była tego dnia dziełem nielada sztuki. Nie dość na tem. Teraz wybuchł znów spór o to, jaką suknię Kamala ma włożyć.

Sailadża uparcie obstawała przy czemś w żywych kolorach. Kamala w żaden sposób nie mogła zrozumieć motywów, dla których Sailadża się przy tem tak upierała. W końcu, aby Sailadży zrobić przyjemność, ustąpiła.

Po obiedzie Sailadża szepnęła coś na ucho swemu mężowi, a kiedy ten dyskretnie wyszedł, pozostawiając jej wolne pole działania, zaczęła namawiać Kamalę do złożenia wizyty w części domu, przeznaczonej dla mężczyzn.

Dotychczas w podobnych wypadkach Kamala, szukając czasem Ramesza, nie miała nigdy wrażenia, że jest w tem coś nadzwyczajnego. Ramesz sam już na początku usunął szranki wszelkiej rezerwy, zaś ona nie miała towarzyszek, któraby zwróciła jej uwagę na niewłaściwość takiego bezceremonjalnego narzucania się mężowi. Dziś jednak oparła się stanowczo naleganiom Sailadży, które w duchu uważała za niedelikatne i natrętne. Wiedziała, co Sailadży dawało prawo dostępu do męża, zdawała sobie sprawę z tego, iż sama takiego prawa nie posiada, a nie myślała zbliżać się do Ramesza z pokorną miną żony, błagającej o łaskę.

Sailadża, zauważywszy, że nalegania jej pozostają bez skutku, przyszła do przekonania, iż duma nie pozwala Kamali uczynić pierwszego kroku; oczywiście

na dnie tego wszystkiego musi być obrażona duma! Młodzi małżonkowie od kilku dni już mieszkają osobno, a jednak Ramesz ani razu nie poszukał pretekstu, pod którym mógłby odwiedzić swą żonę.

Pani domu wyszła do swego pokoju na poobiednią drzemkę, a Sailadza pobiegła do męża.

— Musisz zaraz iść — rzekła — do Ramesza Babu w poselstwie od Kamali, zaprosić go w jej imieniu do jej pokoju. Ojciec nic na to nie powie, a mama się nie dowie.

Bipin, spokojny, zrównoważony młody człowiek, niezbyt był zachwycony tą misją; mimo to, aby uniknąć zakłócenia spokoju niedzielnego, poszedł zrobić, co mu żona kazała.

Ramesz, leżąc w swoim pokoju na dywanie, na ziemi, z nogą założoną na nogę, czytał „Pioneera“. Przeczytał już wszystkie nowości dzienne i w braku lepszej lektury, zagłębił się w czytaniu inseratów, gdy naraz wszedł Bipin. Ramesz wstał żywo.

— Chodź pan, Bipin Babu, proszę bardzo.

Bipin nie odznaczał się wprawdzie jakimiś szczególniejszymi cnotami towarzyskimi, był jednak znakomitym nabytkiem, jeśli szło o zabicie nudnego popołudnia niedzielnego w obcym mieście.

Ale Bipin nie siadał, lecz stał i drapał się w głowę.

— Ona chce, żeby pan tam do niej poszedł! — rzekł.

— Kto? Kamala?

— Tak.

Ramesz stracił humor. Zapewne, postanowił już, że w przyszłości Kamala musi być jego żoną nie tylko z imienia, ale naprawdę, uważając jednakże chwilową przymusową separację za coś w rodzaju odroczenia

terminu, z rozkoszą powrócił do pierwotnego stanu niezdecydowania. Prawda, miewał czasem zachwycające wizje szczęścia, jakie przypadnie mu w udziale, gdy Kamala stanie się w całym znaczeniu słowa jego małżonką, ale jak przełamać lody? Niełatwą było rzeczą od jednego zamachu usunąć przymus, jaki w ostatnich czasach cechował jego stosunki z Kamalą, zwłaszcza, że Ramesz nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nic tedy dziwnego, iż — między innymi — nie spieszył się też z wynajęciem domu.

Dowiedziawszy się od Bipina o co chodzi, w pierwszej chwili przypuszczał, że Kamala pragnie porozumieć się z nim w jakiejś zwykłej, może materialnej sprawie, lecz mimo takiego komentarza trzeźwego rozsądku, fala wzruszenia wstrząsnęła nim, gdy tylko usłyszał, że ona wzywa go do siebie. Natychmiast rzucił „Pioneer'a“, a kiedy szedł za Bipinem przez melancholijną ciszę jesiennego popołudnia, przerywaną tylko sennem brzęczeniem pszczoł, doznał uczucia podobnego do emocji kochanka, idącego na schadzki z ukochaną.

Bipin wskazał mu pewne drzwi i odszedł.

Kamala, pewna, że Sailadża odstąpiła już od swego zamiaru i poszła do męża, siedziała na progu swego pokoju i zamyślona patrzyła w ogród. Sailadża, nie wiedząc nawet o tem, nastroiła Kamalę na miłosny ton. Jak ciepły powiew wiatru w sadzie budził wśród liści szum i faliste drganie, tak westchnienia, wyrrywające się od czasu do czasu z piersi Kamali, budziły w niej jakieś dziwne drgania i niewypowiedziany niepokój.

Nagle wszedł do pokoju Ramesz a, ujrawszy ją siedzącą na progu, zatrzymał się w drzwiach. Usłyszawszy jego ciche „Kamalo!“, zerwała się zmieszana.



Krew żywiej zaczęła krążyć w jej żyłach i ona, której dotąd nigdy jeszcze jego obecność nie onieśmiewała, nie mogąc spojrzeć mu w oczy, spuściła teraz głowę, a karmazynowa łuna zalała jej twarz.

W odświętnej sukni, z blaskiem nowo zdobytej świadomości w oczach, Kamala wydała mu się nową jakąś istotą. Spostrzegłszy ją naraz w tej postaci, Ramesz wypadł ze swej rezerwy i najzupełniej uległ jej urokowi. Zbliżył się do niej zwolna, a po krótkim milczeniu spytał łagodnie:

— Kamala posyłała po mnie?

Zachnęła się, usłyszawszy to.

— Ja? Nigdy! Na myśl mi nawet nie przychodziło! Po co miałabym posyłać po pana! — odpowiedziała z niepotrzebną gwałtownością.

— Ależ, gdyby Kamala po mnie posłała, nie byłoby to żadną zbrodnią!

— Nigdy po pana nie posyłałam! — powtórzyła Kamala ze zdwojonym naciskiem.

— A więc dobrze, przychodzę niewołany, sądzę jednak, że z tego powodu Kamala nie odprawi mnie w nielascę?

— Wszyscy się dowiedzą, że pan tu był i będą o to źli. Proszę, niech pan sobie natychmiast idzie. Ja po pana nie posyłałam.

— Niech i tak będzie! — rzekł Ramesz, biorąc ją za rękę — W takim razie może Kamala pójdzie do mego pokoju. Tam nikogo niema.

Drżąc na całym ciele, Kamala wyrwała mu rękę, uciekła do drugiego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Teraz Ramesz zrozumiał już, co się stało: była to poprostu intryga którejś z kobiet. Zdenerwowany do najwyższego stopnia wrócił do swego pokoju, położył

się na dywanie, wziął swego „Pioneera“ i znowu zaczął czytać ogłoszenia. Ale nie rozumiał ani słowa. Jak chmury, uciekające przed wichrem, tak przez jego mózg, jedna za drugą, przelatowały niepokojące myśli.

Do drzwi, zaryglowanych przez Kamalę, zapukała Sailadża. Nikt nie odpowiadał. Wobec tego Sailadża wsunęła rękę przez otwór w drzwiach, odsunęła zasuwkę i weszła do pokoju. Ku swemu niezmiernemu zdziwieniu znalazła Kamalę, leżącą na podłodze i płaczącą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie pojmując, co doprowadziło Kamalę do takiego stanu, Saila przykucnęła obok niej na ziemi i szepnęła łagodnie:

— Co się stało, kochanie? Co ci to? Czemu płaczesz?

— Po co posyłałaś po niego! Jak źle zrobiłaś!

Ani Kamala ani nikt z jej otoczenia nie mógłby podać przyczyny wybuchu tego nagłego, gwałtownego rozżalenia. Nikt nie znał ukrytego żalu, który od wielu dni już ją dręczył.

Gdy Ramesz wszedł do jej pokoju, budowała sobie właśnie napowietrzne zamki, do których wykończenia nie dostawało zaledwie paru dotknięć. Gdyby Ramesz wtargnął był w to jej królestwo nieco subtelniej, wszystko mogło się skończyć jak najlepiej, ale jego zapytanie, czy posyłała po niego, w mgnieniu oka zważyło na ziemię wszystkie jej cudowne zamki. Chęć uwięzienia jej w murach szkolnych na czas świąt, obojętność, jaką jej okazywał na statku, te i tym podobne wspomnienia żywo stanęły jej w pamięci. Co innego dobrowola poufałość, a co innego zwykła uległość rozkazom i posłuszeństwo. Dopiero od czasu przybycia do Ghazipur zrozumiała, jakie światy różnic leżą między jednym a drugim.

Ale Saila w żaden sposób zrozumieć tego nie mogła. Aby między Rameszem a Kamalą mogła się znajdować jakaś istotna przeszkoda, to przechodziło możność jej zrozumienia.

Z wysiłkiem dźwignęła głowę Kamali, położyła sobie ją na kolanach i wykrzyknęła:

— Powiedz mi, moja droga, czy Ramesz Babu powiedział ci co złego? Może gniewał się o to, że mój mąż poszedł po niego. Trzeba było powiedzieć, że to ja jestem wszystkiemu winna!

— Nie, nie, on nic o tem nie mówił, ale po co po niego posyłałaś!

— Źle zrobiłam! — rzekła Saila ze skrucą — Przebacz mi.

Kamala usiadła nagle i zarzuciła Saili ramiona na szyję.

— A teraz zmykaj, serce! — zawołała — Bipin Babu pewnie się już niecierpliwi.

A tymczasem Ramesz leniwie czytał swego „Pioniera“. A naraz zerwał się i rzucił dziennik daleko od siebie.

— Dość tego! — rzekł sobie w duchu — Jutro jadę do Kalkuty i pozalutwiam tam swoje interesy. Im dłużej zwlekam z uczynieniem Kamali swą żoną, tem większą czuję się kanalją.

### ROZDZIAŁ XXXIII.

Ramesz miał jak najświętszy zamiar załatwienia w Kalkucie możliwie jak najprędzej swych interesów, pod żadnym warunkiem nie pokazując się w Kalutoli.

Zajechał do swego dawnego mieszkania w Dardżiparze. Jednakże interesy zajmowały mu ledwie parę godzin, a z resztą czasu nie miał co począć. Nie chciał się widzieć z nikim z dawnych znajomych i nawet na ulicy starał się unikać przypadkowych spotkań.

Mimo jak najlepszych postanowień spostrzegł, że po powrocie do starego mieszkania zupełnie niepostrzeżenie zaszła w nim zmiana. Wśród szerokich horyzontów i niezmałconego spokoju wsi czar młodocianej piękności Kamali wywierał nań niezaprzeczonego urok, ale tu, w mieście, czar ten zniknął i gasł. W swym domu w Dardżiparze Ramesz próbował w pamięci wywołać obraz dziewczęcia i napaść nim swe zachwycone oczy — napróżno, wyobraźnia wypowiadała posłuszeństwo. Ramesz niejednokrotnie przysięgał sobie w duchu nigdy więcej nie myśleć o Hemnalini — a dzień i noc obraz jej żywo stał mu przed oczami. Niezlomne postanowienie wykreślenia jej z pamięci stało się potężnym sojusznikiem nieustającej myśli o niej.

Gdyby Ramesz był zdolny do pośpiechu i energicznego działania, dawno już załatwiłby swe interesy i powróciłby do domu, ale skutkiem wiecznego odkładania wszystkiego do jutra najłatwiejsze nawet sprawy przybierały przerażające rozmiary. Jednak z czasem i to zostało szczęśliwie doprowadzone jakoś do końca i wreszcie przyszedł dzień, w którym Ramesz postanowił następnego poranka wyjechać do Allahabadu a stamtąd wrócić do Ghazipur. I otóż wówczas niezłomność, z jaką dotychczas trzymał się swego postanowienia, odeszła bez nagrody. Nic się nie stanie złego — rozumował Ramesz — jeśli przed odjazdem z Kalkutty poraz ostatni odwiedzi Kalutolę.

Zdecydowawszy się na to, usiadł na macie i napisał list do Hemnalini. W całej pełni i szczegółowo zdał jej dokładną sprawę ze stosunków, jakie go łączyły z Kamalą, w dalszym zaś ciągu oznajmiał jej swój zamiar uczynienia tej nieszczęsnej sieroty po powrocie do Ghazipur swą prawdziwą żoną. Był to list pożegnalny, w którym wyznawał wszystko swej dawnej ukochanej przed ostatecznem i zupełnem rozstaniem.

Włożył list do koperty, ale ani zewnątrz ani wewnątrz nie napisał adresu osoby, której list miał być doręczony. Wiedział, że ma stronników wśród służby Annady Babu, ponieważ, sprzyjając wszystkim, którzy otaczali Hemnalini, nie szczędził datków, a zawsze był nader uprzejmy. Ułożył sobie to tak, że zaraz po zapadnięciu zmroku zjawi się gdzieś niedaleko domu, aby bodaj z oddali móc ujrzeć Hemnalini; wtedy da komuś ze służby list z poleceniem doręczenia go Hemnalini w sposób nie wpadający w oczy i na tem musi się skończyć przecięcie węzłów, jakie ich łączyły.

Gdy noc zapadła, wziął list i udał się do Kalutoli. Drżąc na całym ciele, z bijącym sercem skradal się ulicą swych niezapomnianych wspomnień. Ale drzwi domu były zamknięte, a kiedy spojrzał w górę, ujrzał, że okiennice są też pozamykane. Dom był pusty i po-grążony w ciemnościach.

Zapukał do drzwi. Po trzecim czy czwartym razie służący odsunął rygle i otworzył.

— To Suchan, nieprawda? — rzekł Ramesz.

— Tak, panie, jestem Suchan.

R a m e s z : Dokąd twój pan wyjechał?

S ł u ż ą c y : Wyjechał wraz z panienką gdzieś na wieś.

R a m e s z : Nie wiesz dokąd?

S ł u ż ą c y : Nie wiem.

R a m e s z : Czy może towarzyszył im kto?

S ł u ż ą c y : Tak jest, Nalin Babu.

R a m e s z : Kto to jest — Nalin Babu?

S ł u ż ą c y : Nie wiem.

Ramesz Babu zdołał dowiedzieć się od Suchana, iż ten Nalin Babu jest młodym panem, który w ostatnich czasach bywał częstym gościem w domu Annady Babu. Ramesz, mimo że niby wyrzekł się już wszelkich nadziei co do Hemnalini, uczuł dziwną niechęć do tego Nalina Babu.

— Czy panienka była zdrowa, gdy wyjeżdżała? — zapytał.

— Tak jest, zupełnie zdrowa!

Odpowiedź miała na celu uspokojenie Ramesza i przypodobanie się mu, ale Bóg jeden wiedział, jak Suchan zbłądził swą kalkulacją!

— Chciałbym na chwileczkę pójść na górę! — poprosił Ramesz.

Służący wziął swą zakopconą lampkę naftową i poprowadził go po schodach.

Ramesz biegał od pokoju do pokoju jak duch, to przystając, to przysiadając na chwilę na pamiętnym sobie jakimś fotelu lub sofie. Urządzenie domu, sprzęty — wszystko było jak dawniej, wyjąwszy tego jednego intruza, Nalina Babu, który niewiedomo skąd się tu wziął. Przyroda „horret vacuum“ i nie znosi go długo! A oto i wnęka okienna, w której Ramesz stał wraz z Hemnalini w poździe zachodzącego słońca jesiennego, gdy oba ich serca były jednym, zgodnym rytmem. Codziennie o zachodzie słońca promienie jego znów oświetlają ten pokój. Musi Ramesz mieć na-

stępcę, któryby próbował wznowić obraz dwóch głów, oprawnych w ramę tego okna? I czy duch przeszłości nie stanie między nimi i nie rozdzieli ich, grożąc w milczeniu podniesionym palcem?

Zadraśnięta duma szalała w piersiach Ramesza.

Następnego dnia, zamiast udać się, jak zamierzał, do Allahabadu, pojechał wprost do Ghazipur.

## ROZDZIAŁ XXXIV.

Ramesz bawił w Kalkucie prawie miesiąc, a dla dziewczęcia w wieku Kamali, w pełnym rozkwicie młodości, miesiąc to spory szmat czasu. Jak zmierzch poranny nagle przechodzi w glorię wschodzącego słońca, tak kobiecość jej, ledwo zbudzona ze snu, odrazu uzyskała pełną swą świadomość. Byłaby może musiała dłużej czekać na to przebudzenie, gdyby nie ścisła przyjaźń z Sailadzą oraz światło i ciepło miłości młodej mężatki, które przyspieszyły przemianę.

Tymczasem ślamazarność Ramesza i nalegania Sailadży tak podnieciły wuja Czakrabarttiego do poważnych poszukiwań domu, iż w krótkim czasie udało mu się wyszukać i nająć dla młodej pary małą willę za miastem tuż nad Gangesem. Przez jakiś czas skrzętnie zbierał sprzęty, niezbędne do uczynienia willi jako tako możliwą do zamieszkania, wreszcie najął służbę, konieczną do prowadzenia domu.

Kiedy Ramesz po dłuższej nieobecności wrócił do Ghazipuru, Kamala miała przynajmniej własny dach nad głową i młoda para nie potrzebowała dłużej korzystać z gościnności wuja.

Dokoła domu było dość miejsca na ogród. Cienista ścieżka prowadziła między dwoma rzędami wielkich drzew „s i s u“. Rzeka cofnęła się do swego zimowego łożyska i między domem a jej korytem ciągnął się teraz pas piaszczystej ziemi, na której zagony pszenicy zmieniały się z grządkami melonów. Na zwróconym ku rzece, południowym skraju ogrodu stało ogromne drzewo „n i m“, u stóp dokoła ujęte brukiem.

Posiadłość ta przez dłuższy czas była niezamieszкана i tak dom jak i ogród znajdowały się w stanie nie-małego zaniedbania i opuszczenia. Ogród zarósł chwastami, pokoje były niezamiecione i brudne, ale Kamala nic sobie z tego nie robiła. Perspektywa prowadzenia domu tak ją cieszyła, że wszystko wydawało się jej cudownem. Bezwłocznie zadecydowała, który pokój na co ma służyć, w którym kącie ogrodu co ma rosnąć i po naradzie z wujem poczyniła odpowiednie kroki, aby jak najlepiej wykorzystać każdy kawałeczek ziemi. Osobiście czuwała nad budowaniem pieców w kuchni i przeprowadzeniem niezbędnych zmian w przylegającej do niej spiżarni. Cały dzień spędziła na zamiataniu, myciu i czyszczeniu, a jej energia wyszukiwała sobie wciąż nowe ujścia.

Piękność kobieca nie objawia się nigdy pod tyłu różnemi i ponętnemi postaciami, jak przy zajęciach domowych, a Kamala przy pracy przypominała Rameszowi ptaka, wypuszczonego z klatki i wzlatującego w powietrze. Jej rozpromieniona twarz i niezrównana zręczność, z jaką wywiązywała się ze swego zadania, zbudziły w nim nowe uczucia podziwu, połączonego z zachwytem.

Pierwszy raz widział ją w roli gospodyni. Zdało się, jakby teraz dopiero wkroczyła do swego królestwa, a piękność jej zyskała nowy rys pewnej godności.



— Co Kamala robi! — zawołał Ramesz — Przemęczy się Kamala!

Kamala przerwała na chwilę i spojrzała na Ramesza z pełnym szczęściem uśmiechem.

— Niema obawy, nic mi nie będzie! — rzekła i zabrała się znów do pracy, wdzięczna Rameszowi za ten dowód zajęcia się nią.

Ale zachwyty Ramesza podsunął mu nowy pretekst.

— Czy Kamala jadła już śniadanie? — zapytał.

— Pewnie! Już dawno! — odpowiedziała.

Ramesz też o tem nie wątpił, musiał jej jednak zadać to pytanie, aby dowieść, że myśli o niej; to też, mimo że pytanie było bez znaczenia, Kamalę ucieszyło.

Aby podtrzymać konwersację, Ramesz mówił dalej:

— Czemu Kamala sama to wszystko robi? Możeby Kamala raczej mnie dała co do roboty?

Dobrzy robotnicy mają tę wadę, iż nigdy nie dowierzają zdolnościom innych. To też i Kamala uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała:

— Nie! To nie jest zajęcie dla mężczyzny!

— My, mężczyźni, jesteśmy nadzwyczaj cierpliwi! — odezwał się Ramesz — Zupełnie biernie znosimy wszelkie obrazy, jakie się wyrządza naszej płci. Gdybym był kobietą, z pewnością przyszłoby między nami do bójki. Jednakże — nie waha się Kamala zaprząć do roboty wuja? Dlaczego Kamala uważa mnie za niedołęgę?

— Nie wiem, ale z pewnością śmiałabym się, gdybym pana widziała wymiatającego sadze z kuchni. Niech pan stąd zmyka — tu straszny kurz!

Nie chcąc, aby się na tem skończyła rozmowa, Ramesz rzekł:

— Kurz nie ma dla nikogo względów; tak samo traktuje Kamalę jak i mnie.

— Ja to znoszę, ponieważ muszę — odrzekła Kamala — Pan nie musi, dlaczegóżby pan miał to znosić?

Ramesz zniżył głos tak, aby służba nie mogła usłyszeć:

— Ponieważ pragnę dzielić z Kamalą wszystko, co Kamala ma znosić, czy to będzie praca czy cokolwiek bądź innego.

Kamala zaczerwieniła się zlekka, ale, zamiast odpowiedzieć, usunęła się trochę na bok i krzyknęła na Umesza:

— Umesz! Pokrop ten pokój jeszcze wodą! Popatrz, jaki tu gęsty kurz! Tu, dawaj miotłę!

I zabrała się energicznie do zmiatania.

— Co Kamala robi! — wykrzyknął znowu Ramesz, widząc ją zajęłą tak grubą robotą.

— A cóż w tem nadzwyczajnego, Ramesz Babu? — odezwał się głos za nim — Co może być poniżającego w uczciwej pracy? Wy, ludzie z angielskiem wychowaniem, mówicie dużo o równości. Jeśli zmiatanie uważacie za zajęcie poniżające, czemuż pozwalacie służbie zmiatać? Nie mam ja waszego wykształcenia, ale, gdybyście mnie zapytali o zdanie, powiedziałbym wam: Kiedy widzę w rękach cnotliwej kobiety miotłę, każdy pręt jej w moich oczach świeci jak promień słońca. (Do Kamali): Ja już prawie skończyłem z tym twoim stepem, kochanie; musisz mi teraz pokazać, gdzie chcesz mieć grządki warzywne.

— Niech wuj chwileczkę poczeka, jeszcze nie jestem gotowa.

To rzekłszy, Kamala zmiatała dalej.

Kiedy pokój był już czysto zamieciony, Kamala odwiązała zasłonę, którą się przewiązała w pasie, zasłoniła nią twarz i wybiegła do ogrodu, gdzie natychmiast między nią a wujem wywiązała się poważna rozmowa co do najważniejszego urządzenia ogrodu warzywnego.

Dzień zeszedł szybko, ale dom daleki był jeszcze od czystości, która mogłaby zadowolić wysokie wymagania Kamali. Niełatwo było usunąć ślady długiego zaniedbania, a ponieważ w niektórych pokojach bez dalszego starannego wietrzenia i czyszczenia stanowczo nie można było zamieszkać, wobec tego Ramesz i Kamala, ku wielkiemu swemu niezadowoleniu, jeszcze jedną noc musieli spędzić pod gościnnym dachem wuja. Ramesz przez cały dzień cieszył się z tej wieczornej godziny w swym małym, cichym domku i już sobie wyobrażał Kamalę w świetle lampy z nieśmiałym uśmiechem na twarzy, gdy on odkrywa jej serce swoje. Mając tedy przed sobą trzy do czterech dni zwłoki, postanowił z niej skorzystać i załatwić ostatnie formalności, potrzebne do rozpoczęcia praktyki sądowej na prowincji.

W tym celu zaraz na drugi dzień wyjechał do Allahabadu.

## ROZDZIAŁ XXXV.

Także i wuj Czakrabartti, dzień czy dwa dni później, wyjechał do Allahabadu, w odwiedziny do swej starszej córki Bidhu.

Rano w dzień jego wyjazdu, Kamala zaprosiła Sailadzę na obiad do swego nowego domu. Kiedy Bipin zjadł obiad i poszedł do biura, Saila przysła.

Przyjaciółki natychmiast przystąpiły do pracy i z pomocą Umesza przyrządziły sobie obiad pod olbrzymim „nim“. Po obiedzie zasiadły pod drzewem na matach do całodziennej pogawędki. Chłodny cień, słońce niezbyt już dopiekające i daleki widok na rzekę — wszystko to znakomicie usposabiało do rozmowy, a nieokreślone porywy, jakie w ostatnich czasach niepokoiły serce Kamali, zdały się być tak dalekie, jak sępy, które krążyły nad nimi na wysokościach, podobne do plamek na nieskalanym lazurze niebios.

Było jeszcze wcześniej popołudniu, kiedy Saila zaczęła się niepokoić; musi już iść, mąż wkrótce wróci z biura.

— Nie możesz, choćby raz jeden, odstąpić od swego zwyczaju? — zapytała Kamala.

Ale Saila uśmiechnęła się tylko i, głaszcząc ją po twarzy, potrząsnęła przecząco głową.

Odchodząc, napomniała Kamalę, aby wróciła do domu przed zapadnięciem nocy.

Było jeszcze wcześniej popołudniu, gdy Kamala pokończyła wszystkie swe roboty w domu. Wobec tego, owinąwszy głowę i ramiona szalem, usiadła na ziemi pod drzewem „nim“, abystamtąd przyglądać się słońcu, zachodzącemu za wysokim brzegiem po drugiej stronie rzeki, gdzie stało na kotwicy kilka łodzi rybackich z masztami, rysującymi się czarno na tle płomienistego nieba.

Przyszedł Umesz i, przeprosiwszy ją, rozpoczął rozmowę.

— Widzę, że od dawna już nie żuliście betelu, matko — rzekł. — W sąsiednim domu udało mi się dostać trochę „pan“, przyniosłem go wam.

To mówiąc, podał jej „pan“ zawinięty w papier.

Kamala spostrzegła, że zmrok już zapada. Zerwała się na równe nogi.

— Wuj Czakrabartti przysłał po was konie, matko! — dodał Umesz.

Kamala weszła do willi, chcąc przed odjazdem jeszcze raz rzucić na nią okiem. W największym pokoju znajdował się na wzór angielski kominek, w którym można było w zimie palić, a na tym kominku stała właśnie paląca się lampa. Kamala położyła na kominku zawiniątko z „pan“ i już chciała odejść, aby obejść pokoje, gdy wtem ujrzała swe własne imię, napisane pismem Ramesza na papierze, w który „pan“ był zawinięty.

— Skąd masz ten papier? — spytała Umesza.

— Leżał w kącie w pokoju pana. Podniosłem go, zamiatając pokój.

Kamala rozwinęła papier i zaczęła czytać.

Był to list, w którym Ramesz usprawiedliwiał się Hemnalini ze swego postępowania, a który z właściwem sobie niedbalstwem rzucił w kąt.

Przeczytała cały list.

— Czemuż matka tak stoi i nic nie mówi? — zapytał Umesz — Ciemno się już robi.

Było cicho jakby makiem siał.

Wyraz twarzy Kamali zaniepokoił Umesza.

— Matko, nie słyszycie mnie? Trzeba jechać do domu, późno już! — prosił.

Stała jak wryta, dopóki nie przyszedł służący i nie oznajmił jej wyraźnie, że konie oddawna już czekają.

## ROZDZIAŁ XXXVI.

• — Czy źle się dziś czujesz? — spytała Sailadża, kiedy Kamala wróciła do domu — Głowa cię może boli?

— Nie, zdrowa jestem. Gdzie wuj?

— Matka posłała go do Allahabadu w odwiedzinę do mej starszej siostry; Bidhu w ostatnich czasach chorowała.

— Kiedy wuj wróci?

— Zabawi najmniej jaki tydzień, jak słyszałam. Przemęczyłaś się, pracując w tej swojej willi od świtu do nocy. Widać po tobie, że jesteś bardzo zmęczona. Zjedz wcześnie kolację i połóż się.

W tym stanie rzeczy jedynym ratunkiem dla Kamali byłoby wtajemniczyć we wszystko Sailę, czuła jednak, że na to nigdy się nie zdobędzie. Właśnie Saili za nic w świecie nie zwierzyłaby się z tego, że ten, którego uważała za swego męża, wcale jej mężem nie jest.

Zamknęła się w swym pokoju i jeszcze raz przy świetle lampy przeczytała list Ramesza.

W liście nie było ani nazwiska ani żadnych szczegółów, dotyczących osoby, do której był pisany, ale z treści wynikało jasno, iż osobą tą była kobieta, że Ramesz był z nią zaręczony i że związek ten z powodu Kamali został zerwany. Dalej Ramesz bynajmniej nie taił, iż z całego serca kocha kobietę, do której pisze i że zrywa z nią tylko dla nieszczęsnej Kamali, której los tak dziwnie splątał się z jego losem.

Przechodziła w myśli dzień za dniem całe swe pożycie z Rameszem, od pierwszego spotkania na owej wyspie piaszczystej aż do ich przybycia do Ghazipur, a co dawniej było niezrozumiałe, teraz stało się jasne, jak dzień. Ramesz doskonale wiedział, że Kamala nie była jego żoną i głowę łamał sobie nad tem, co z nią począć, gdy ona w spokoju ducha uważała go za swego męża i bez najmniejszego wstydu przygotowywała się do zamieszkania z nim jako dozgonna jego towarzyszką.

Wstyd wiercił w jej sercu jak ostrze sztyletu, a w miarę jak na myśl przychodziły jej różne szczegóły, robiło się jej tak gorzko, że pragnęła się zapaść pod ziemię. Hańba przylgnie do niej na całe życie; nie było ucieczki przed jej stygmatem.

Odsunęła drzwi i wyszła do sadu za domem.

Tchnące chłodem ciemne niebo zimowe rozciągało się nad nią, podobne do sklepienia z czarnego marmuru. Nie było na niem ani chmurki, ani mgielki, a gwiazdy świeciły jasno. Ciemności podkreślała plantacja małych drzew mangowych na pierwszym planie. Przed duchowym wzrokiem Kamali nie otwierała się żadna droga, która mogłaby wyprowadzić ją z jej niedoli. Osunęła się na chłodną trawę i siedziała tak, nieruchoma jak posąg, bez jednej łzy, bez jednego westchnienia.

Jak długo tak siedziała, nie wiedziała, ale z wolna zimno zaczęło ją przejmować do kości, tak, że drżała na całym ciele. Kiedy wreszcie zachodzący księżyc w czarnych ciemnościach pogrzyżył nieruchome palmy, Kamala dźwignęła się powoli, wróciła do swego pokoju i zamknęła drzwi.

Gdy rano otwarła oczy, stała nad nią przy łóżku Saila. Kamala, wstydząc się, że spała tak długo, usiadła na łóżku.

— Nie wstawaj, dziecko! — rzekła Saila — Zdrzemnij się jeszcze, poleż trochę. Z całą pewnością nie jesteś zdrowa. Wyraz twarzy masz zmęczony, oczy podkrążone. Powiedz mi, kochanie, czem się martwisz!

To mówiąc, Sailadża usiadła przy niej na łóżku i objęła ją za szyję.

Piers Kamali zafalowała. Nie mogła już dłużej powstrzymywać łez. Ukryła twarz w ramionach Saili

i zapłakała serdecznie, podczas gdy Saila przyciskała ją do siebie, nie próbując jej nawet pocieszać.

W końcu Kamala wyrwała się z objęć Saili i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

— Dosyć, kochanie, dość już, dość! — odezwała się Saila — Jesteś najbardziej skrytą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałam. Ale nie myśl sobie, że ja nie wiem, o co ci idzie. Nie jestem wcale taka ograniczona! Mam ci może powiedzieć? Dobrze! Oto od czasu, jak Ramesz Babu wyjechał do Allahabadu, ani razu do ciebie nie napisał, i to cię martwi, a tylko za dumna jesteś, aby się do tego przyznać. Ale nie zapominaj, że on ma tam masę do roboty i że za parę dni wróci. Nie trzeba się zaraz gniewać, jeśli nie ma poprostu sposobności napisania listu, a wyjechał na krótki czas. Ty szalona głowo, ty! Chociaż z drugiej strony, mimo że to, co mówię, jest najzupełniej słuszne, gdyby mnie przytrafiło się coś podobnego co tobie, martwiłabym się tak samo. Kobiety płaczą o lada głupstwo, ale, jak się wyplaczą, zaczynają się znów śmiać i zapominają o wszystkim.

A przycisnąwszy Kamalę do piersi, mówiła dalej:

— W tej chwili zdaje ci się, że nigdy w życiu nie będziesz mogła przebaczyć Rameszowi Babu, tak? Powiedz mi prawdę.

— Tak jest! — rzekła Kamala.

Saila poklepała ją po twarzy.

— A co? Nie mówiłam? Zaraz tak myślałam. Ale nie bierz sobie tego do serca.

Zaraz rano napisała do ojca do Allahabadu.

— Kamala jest bardzo zmartwiona, — pisała — ponieważ nie wie, co się dzieje z Rameszem Babu.



Można sobie wyobrazić, co się dzieje w tem dziecku, pozostawionem tu, w obcym mieście, podczas gdy on jeździ sobie, dokąd mu się podoba i, nie troszcząc się o nią najzupełniej, jednego słówka do niej nie napisze. Czy nie może raz już załatwić swych interesów w Allahabadzie? Bardzo dużo ludzi ma interesy, a przecie znajdują czas na pisanie.

Wuj złapał gdzieś Ramesza, przeczytał mu wyciąg z listu córki, a potem wypalił mu surowe kazanie.

W rzeczywistości sprawa miała się tak: Ramesz bynajmniej nie zapominał o Kamali, przeciwnie, myślał o niej bardzo dużo, ale im dłużej myślał, tem trudniej było mu zdobyć się na jakieś postanowienie. Nie obojętność była powodem, dla którego przedłużał swój pobyt w Allahabadzie, lecz niemożność zdecydowania się. W tym trudnym momencie przyszedł jeszcze wyciąg z listu Saili!

Z treści listu wynikało jasno, że Kamala odczuwa jego nieobecność w bardzo przykry sposób, choć brak wiary w siebie nie pozwalał jej samej napisać do niego. Stanąwszy u rozstajnych dróg, Ramesz odrazu się zdecydował, którą z nich obrać. Czynnikiem przewodnim ma być nie wyłącznie jego szczęście, lecz miłość Kamali dla niego. Na tej dalekiej ławicy piaskowej Opatrzność nie tylko związała ich losy, ale połączyła i serca.

Rozpędziwszy się, ułożył następujący list do Kamali:

*Najdroższa! — Nie myśl, Kamalo, że wyrażenie to jest zwykłym, konwencjonalnym zwrotem. Gdybyś nie była tą, którą najbardziej na świecie kocham, nigdybym Cię nie nazwał „najdroższą“. Jeśli może miałaś jakie wątpliwości — jeśli nawet kiedy zraniłem Twe uczucia, niech fakt, iż zupełnie szczerze*

nazywam Cię swoją „najdroższą“, wątpliwości te usunie i na zawsze zablizni rany!

Pocóż się nad tem rozwodzić? Dotychczasowem swem postępowaniem sprawilem Ci z pewnością przykrość niejedną. Jeśli w sercu swem oskarżasz mnie o to, skargi tej niczem odeprzeć nie mogę. Mogę tylko powtórzyć, iż jesteś mi najdroższą i że na świecie całym niema nikogo, dla kogo żywiłbym podobne uczucie. Nie jest to wprawdzie zupełnem usprawiedliwieniem błędów mego postępowania, ale na inną obronę mnie nie stać! Tak więc, Kamalo, nazywając Cię swą „najdroższą“, przekreślam całe nasze dotychczasowe, wątpliwościami zanieczyszczone współżycie i kładę podwaliny naszej przyszłej miłości. Wierzaj mi, nie myślę o nikim, jak tylko o Tobie i Ty jesteś naprawdę mą „najdroższą“. Jak tylko raz mocno w to uwierzysz, wszystkie wątpliwości i niepewności znikną na zawsze.

Chciałbym zapytać Cię, czy udało mi się zdobyć twą miłość, czy nie, ale nie śmiem Ci zadać tego pytania. Miłość stawia je może przedwcześnie, lecz ja nie wątpię ani chwili, że przyjdzie dzień, w którym otrzymam na nie odpowiedź. Nie słowa będą wówczas mówity, lecz serce z sercem; miłość moja dla Ciebie daje mi tę pewność. Nie chcę się chelpić, iż jestem godny Ciebie, ale czuję, że moje uwielbienie dla Ciebie nie może być daremne.

Zdaję sobie zupełnie dokładnie sprawę z tego, że list ten czyta się jak jakieś wypracowanie i z tego powodu miałbym chęć podrzeć go, ale w tej chwili istotnie nie potrafiłbym napisać listu, któryby wiernie oddał moje uczucia. Ostatecznie — listy muszą dwie osoby wymieniać. W pierwszym liście

*piszący nigdy nie może dać prawdziwego wyrazu swym uczuciom. Kiedy będziemy już w pełnym kontakcie, wówczas dopiero będę mógł pisać listy, które będą prawdziwymi listami. Tylko kiedy drzwi po obu stronach pokoju są otwarte, wiatr swobodnie może między nimi krążyć.*

*Kamalo, najdroższa, kiedyż trafię do drzwi Twego serca?*

*Lecz wszystko to musi dojrzeć powoli, bo poświęciłbyś sam siebie. Przybędę do Ghazipur na drugi dzień rano po otrzymaniu przez Ciebie tego listu, Błagam Cię, abym po powrocie zastał Cię już w naszym domu. Długo byliśmy bezdomni i ja takiego życia dłużej już prowadzić nie mogę. Nareszcie mam nadzieję, że wejdę w swoje własne progi i ujrzę królową mego serca, panią mego domu. Ta chwila będzie naszą drugą „chwilą szczęśliwą“.*

*Czy pamiętasz naszą pierwszą „szczęśliwą chwilę“, tej nocy księżycowej, na brzegu samotnej ławicy piaskowej — pod otwartym niebem, bez śladu dachu nad głową, bez rodziców lub krewnych, którzyby pobłogosławili związkowi?*

*Czasami zdaje mi się, że to tylko złudzenie, sen. Dlatego marzę o drugiej „chwili szczęśliwej“, w jasnym, spokojnym świetle poranka, wśród czterech ścian i realnego otoczenia. Twoja słodka, uśmiechnięta twarz w ramie drzwi naszego własnego domu na zawsze, niby święta kapliczka, zostanie mi w pamięci. Pragnę bardzo zobaczyć ten obraz. Najdroższa, jestem suplikantem u bramy Twego serca; nie odsyłaj mnie z pustymi rękami. Oddany ci*

*R a m e s z.*

## ROZDZIAŁ XXXVII.

— Nie idziesz dziś do siebie? — spytała następnego dnia Saila, próbując wyrwać Kamalę z jej odrętwienia.

— Nie, tam niema już nic do roboty.

S a i l a: Wszystkie pokoje już posprzątane?

K a m a l a: Tak. Skończyłam już wszystko.

Saila wróciła wkrótce.

— Co dostanę, jeśli ci coś dam? — zapytała.

— Nie mam nic, cobym ci mogła dać, d i d i (starsza siostra) — odpowiedziała Kamala.

S a i l a: Zupełnie nic?

K a m a l a: Zupełnie nic.

Saila poklepała ją po twarzy.

— A więc to tak! — rzekła — Co miałaś, wszystko komuś już oddałaś! A cóż powiesz na to?

To mówiąc, z fałdów sukni wyjęła list.

Ujrawszy na kopercie pismo Ramesza, Kamala zbladła i odwróciła się.

— Dalaś już wystarczający dowód swej dumy! — rzekła Saila — Dość tego. Wiem, że chciałabyś wyrwać mi ten list z ręki, ale ja ci go nie dam, dopóki mnie ładnie o to nie poprosisz. Zobaczymy, jak długo potrafisz wytrzymać.

W tej chwili z głośnym okrzykiem „Ciociu! Ciociu!“ wpadła do pokoju Umi, ciągnąc za sobą na sznurku puszkę na mydło.

Kamala podniosła ją w górę i porwała, okrywając pocałunkami. Umi, rozłączona ze swoim „wózkiem“, zaprotestowała przeciw temu głośnemu wyciem, ale Kamala nie myślała się jej poddać. Zaniosiła dziecko do swego pokoju, uspokajając je bezustanną paplaniną w gwarze dziecinniej.

Saila poszła za nią, wołając:

— Pobiliś mnie! Wygrałaś tym razem! Ja już nie mogę wytrzymać! Proszę cię, Kamalo, weź to! Nigdy już nie będę tak niedelikatna!

Rzuciła list na łóżko i, wyrwawszy Umi ze szponów Kamali, wyniosła ją do swego pokoju.

Kamala obracała przez chwilę list w rękach, otwierała go i zaczęła czytać, ale jak tylko przeczytała kilka pierwszych wierszy, poczerwieniała z gniewu i rzuciła list na ziemię. Po chwili opanowała pierwsze uczucie głębokiego wstrętu, podniosła list i przeczytała go.

Trudno powiedzieć, czy zrozumiała wszystko czy nie, ale miała wrażenie, że trzyma w rękach jakąś dziwnie brudną rzecz, tak, że kilkakrotnie list odkładała. Więc miałaby prowadzić dom człowiekowi, który nie był jej mężem?! Wiedząc dobrze, jak się rzeczy mają, Ramesz ośmielił się rzucić jej w twarz taką z niewagą! Jeśli po przybyciu do Ghazipur serce jej zwróciło się ku niemu, to czy on sobie wyobraził, że stało się tak dlatego, że jest Rameszem a nie, ponieważ — uważała go za swego męża? Ale Ramesz wyciągnął stąd swoje wnioski, a litość dla biednej sieroty skłoniła go do napisania tego listu miłosnego. I jakże teraz, czy kiedykolwiek w życiu ona potrafi go przekonać o tem, iż wnioski jego są tylko owocem nieporozumienia? Wstyd i hańba miały być przeznaczeniem jej życia, mimo iż odkąd przyszła na świat, nie zgrzeszyła przeciw nikomu. Wyobrażała sobie teraz swój „dom“ w postaci jakiegoś smoka, gotowego ją pożreć, ale napróżno szukała, dokądby się przed nim schronić. Jeszcze przed dwoma dniami nie byłaby przypuściła, że może nadejść chwila, w której Ramesz wyda się jej takim potworem.

Z rozmyślań tych wyrwało ją lekkie kaszlnięcie Umesza, który stał przy drzwiach. Gdy Kamala nie odzywała się, rzekł zcicha:

— Matko!

Kamala podeszła ku drzwiom, a Umesz, drapiąc się w głowę, oznajmił:

— Matko, Sidhu Babu sprowadził na wesele córki do swego domu aktorów z Kalkutty.

— Bardzo dobrze, Umesz, możesz iść na przedstawienie.

Umesz: Jakie kwiaty mam przynieść jutro rano?

Kamala: Nie mów mi nawet o kwiatkach.

Już chciał odejść, gdy nagle Kamala zawołała go:

— Czekał, Umesz, skoro idziesz na przedstawienie, to masz tu jeszcze tych pięć rupij.

Umesz zdumiał się. Wstęp na takie przedstawienie jest bezpłatny.

— Czy mam wam, matko, kupić co w mieście?

Kamala: — Nie, nie potrzebuję niczego. Weź sobie te pieniądze, może ci się na coś przydadzą.

Umesz, zmieszany i rozpromieniony zarazem, zwrócił się ku drzwiom, gdy Kamala znowu go zawołała do siebie.

— Co ludzie powiedzą, jak cię zobaczą na przedstawieniu w tym ubraniu! — spytała.

Umesz nigdy sobie nie wyobrażał, aby się po nim wiele w tej materji spodziewano, lub też że jakieś niedostatki w tym względzie mogłyby wywołać czyjąś krytykę. Brak elegancji kostjumu najzupełniej go nie wzruszał a ponieważ innego stroju nie posiadał, uśmiechnął się tylko, usłyszawszy dziwne pytanie Kamali.

— Masz tu, weź sobie to i ubierz się!

Przy tych słowach Kamala wzięła parę własnych sukien i rzuciła je Umeszowi.

Ponieważ suknie te stanowiły właściwie długie szale, mogła je nosić tak kobieta jak i mężczyzna — stosownie do sposobu ułożenia i udrapowania, zaś ich obramowane szeroko jaskrawe brzegi wprowadziły Umesza w zachwyt. W niezgrabnym pokłonie padł Kamali do nóg, a potem porwał suknie i odszedł z twarzą wykrzywioną daremnymi usiłowaniami ukrycia rozpromienionego uśmiechu.

Po jego odejściu Kamala otarła łzę z oka i powróciła na swoje miejsce przy oknie.

— Kochana Kamalo, czy mogłabym cię poprosić o pokazanie mi jego listu? — rzekła Saila, wchodząc do pokoju. Ponieważ sama nie miała przed Kamalą żadnych sekretów, mogła sobie pozwolić na taką niedyskrecję.

— Tam leży, d i d i , przeczytaj go! — odpowiedziała Kamala, pokazując jej list, leżący na ziemi.

— Jeszcze się nie uspokoiła! — pomyślała ze zdziwieniem Saila, a podniósłszy list, przeczytała go.

List był niby dość czuły, ale widziane rzeczy, aby mąż pisał w ten sposób do żony! To było raczej jakies nadzwyczajne wypracowanie!

— Czy twój mąż nie pisze przypadkiem powieści? — zapytała Saila.

Mimo swego zamyślenia Kamala drgnęła, usłyszawszy słowo „mąż“.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— A jakże, czy dziś pójdziesz do siebie?

Kamala zamiast odpowiedzi skinęła głową.

— Poszłabym z tobą, ale sama wiesz, muszę być u Narsingha Babu, gdzie dziś odprawiają „przenosiny“. Zamiast mnie matka pójdzie z tobą.

— Ależ nie, po cóż matka ma się męczyć! — wykrzyknęła Kamala — Przecie tam jest służba!

Saila uśmiechnęła się.

— Prawda, mając takiego obrońcę, jak Umesz, nie potrzebujesz się niczego obawiać.

Tymczasem Umi, dorwawszy się ołówka, smarowała nim wszystko, co jej w ręce wpadło, wygłaszając w swym własnym języku coś, co w jej wyobrażeniu uchodziło za „głośne czytanie“. Saila oderwała ją od tych studjów literackich, a wówczas Umi podniosła głośny krzyk i uspokoiła się dopiero, gdy Kamala powiedziała:

— Chodź do mnie, dam ci coś ładnego.

Zaniósłszy ją do swego pokoju, Kamala posadziła ją na łóżku i zabawiła tak długo, aż Umi zapomniała o swem nieszczęściu. Kiedy mała przypomniała jej obietnicę, Kamala wyjęła ze swej szkatułki dwie złote bransoletki i dała je dziewczynce. Umi nigdy jeszcze nie widziała tak pięknych zabawek i oczywiście była niemi zachwycona, a gdy „ciocia“ włożyła jej bransoletki na rączki, podniosła ramionka do góry, aby się im przyjrzeć, poczem, dumna i uszczęśliwiona, pobiegła pochwalić się niemi przed matką.

Saila natychmiast zdjęła bransoletki i poszła zwrócić je prawej właścicielce.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, Kamal! — zawołała — Po co wkładać dziecku na ręce złote bransoletki!

— Darowałam je Umi — odrzekła Kamala, podchodząc bliżej, bo Umi uderzyła w tak głośny lament, że nic słyhać nie było.



— Zwarjowałaś? — zdziwiła się Saila.

— D i d i , ja ich z powrotem nie wezmę. Możesz później kazać z nich zrobić dziecku naszyjnik.

— Przysięgam, nie widziałam jeszcze podobnej kobiety! — mówiła Saila, zarzucając Kamali ręce na szyję.

— Muszę się z tobą dziś pożegnać, didi! — ciągnęła dalej Kamala — Byłam tu bardzo szczęśliwa. Nigdy w życiu jeszcze nie byłam tak szczęśliwa!

Rzęsiste łzy polaly się z jej ócz.

Teraz i Saila o mało się nie rozplakała.

— Nie mów tak, Kamal, jakbyśmy się na wieki rozstawać miały. Nie zdaje mi się też, żebyś tu była naprawdę szczęśliwa. Teraz już zupełnie co innego! Masz własny dom i możesz być szczęśliwa naprawdę. Nieraz tam do was wpadniemy, żeby cię zobaczyć, a gdy odejdziemy, powiesz: — Chwała Bogu, że sobie wreszcie poszli.

Kiedy Kamala jeszcze raz się z nią na odchodnym żegnała, Saila rzekła:

— Zajrzę tam do ciebie jutro w południe.

Ale Kamala nic na tę propozycję nie odpowiedziała. Przyszedłszy do domu, zastała tam Umesza.

— Ty tu! — zawołała — Myślałam, żeś poszedł na przedstawienie!

— Chciałem iść, ale ponieważ matka szła tu...

K a m a l a : Nie troszcz się o mnie i idź sobie na to przedstawienie. Bisan jest tu. Spiesz się, bo przyjdiesz za późno.

U m e s z : Jeszcze nie zaczynają...

K a m a l a : To nic. Na takich weselach zawsze jest dużo ciekawych rzeczy do zobaczenia. Idź, zabaw się trochę.

Umesza nie trzeba było długo namawiać. Odwrócił się i chciał iść, gdy w tem Kamala zawołała go:

— Słuchaj, Umesz! — zaczęła — Jak wuj przyjedzie...

Umilkła, bo nie wiedziała, jak skończyć zdanie.

Umesz patrzył na nią szeroko otwartymi ustami.

Po chwili mówiła dalej:

— Pamiętaj, że w wuju masz swego przyjaciela. Gdyby się zdarzyło, żebyś czego potrzebował, idź do niego i poproś go, żeby ci to zrobił przez miłość dla mnie, a zrobi wszystko. A teraz idź sobie, a nie zapomnij kłaniać mu się odemnie.

— Dobrze! — rzekł Umesz i odszedł, w pośpiechu nie zastanawiając się nawet nad znaczeniem tego zdania.

— Dokąd pani idzie? — spytał popołudniu Biszan, widząc, że Kamala wychodzi.

— Idę wykąpać się do Gangesu.

— Mam iść z panią?

— Nie, zostań tu i pilnuj domu.

Bez żadnej widocznej przyczyny dała mu rupję i odeszła w kierunku rzeki.

---

## ROZDZIAŁ I.

Pewnego popołudnia Annada Babu szedł powoli po schodach na górę, szukając Hemnalini, z którą chciał sam na sam napić się herbaty. Szukał jej w salonie na górze, był w jej sypialni, ale nie było jej nigdzie, zaś od służby dowiedział się, że nie wychodziła z domu.

Trochę niespokojny o nią wyszedł na dach.

Jak daleko okiem sięgnąć, ciągnęło się nieprzerwane morze dachów, blade zabarwione blaskiem zimowego zachodu słońca. Wieczorny powiew dmuchał kapryśnie to w tę, to w ową stronę. Hemnalini, pogrążona w myślach, siedziała na dachu w cieniu wieżyczki.

Annada Babu wynurzył się z klatki schodowej i stał za nią, ale ona nie zauważyła jego obecności. Kiedy wreszcie podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu, drgnęła a potem, zmieszana, oblała się rumieńcem. Zanim miała czas powstać, ojciec usiadł koło niej. Siedział przez chwilę w milczeniu a potem westchnął głęboko:

— O, Hem, gdyby to matka twoja żyła teraz! Cóż ja? Ja ci nic pomóc nie mogę!

Pełen współczucia ton, jakim Annada Babu te słowa powiedział, zbudził Hemnalini z odrętwienia, w jakim była pogrążona. Oczy jej poszukały twarzy

ojca. Ach, ileż w niej ujrzała miłości, ile współczucia, ile troski! Przez tych ostatnich kilka dni bolesna zmiana zaszła w jego twarzy. Stary jej ojciec całą furję burzy, jaka się nad nią rozpętała, wziął na własną głowę. Ani na chwilę nie ustawał w usiłowaniu ulżenia jej smutku a gdy ujrzał, iż próby pocieszenia jej zawodzą, myśl jego zwróciła się ku jej matce i to z głębi jego pełnego miłości serca wyrwało ten krzyk niemocy i bezsilności. Wszystko to zrozumiała Hemnalini w mgnieniu oka. Sumienie dało jej silnego szturchańca i w jednej chwili kazało jej zapomnieć o własnym cierpieniu. Świat, który się jej wydawał snem, wystąpił w kształcie realnym i naraz zrobiło się jej wstyd samej siebie. Wielkim wysiłkiem woli oderwała od siebie i odrzuciła sieć wspomnień, która się w niej zaplątała.

— Jak się tatuś dziś czuje? — zapytała.

Pytała go o zdrowie! Przez ostatnich kilka dni Annada Babu zupełnie zapomniał, że czyjeś zdrowie może być tematem rozmowy.

— Jak się czuję? Fizycznie niby nic mi nie brak, kochanie! Martwi mnie tylko, że tak źle w ostatnich czasach wyglądasz. Stary, zahartowany człowiek, jak ja, niejedno wytrzyma. Ale obawiam się, że to wstrząśnienie może być zbyt silne dla panienki w twoim wieku.

To mówiąc, poklepał ją zlekka po ramieniu.

— Tatusiu? — zapytała Hemnalini — Ile ja lat miałam, jak mama umarła?

— Miałas dopiero trzy lata i zaledwie zaczęłaś paplać. Pamiętam dobrze, jak pytałaś: — Gdzie mama? — a ja odpowiadałem: — Poszła do swego tatusia — bo ojciec twej matki — twój dziadek — umarł przed twojem urodzeniem i ty go, oczywiście, nie pa-

miętasz. Nie rozumiałaś wtedy jeszcze, co mówię, i nie wiedziałaś, co odpowiedzieć, ale zawsze stałaś zdziwiona i patrzyłaś na mnie poważnie. A potem brałaś mnie za rękę i prowadziłaś mnie do pokoju matki. Zawsze sobie wyobrażałaś, że chociaż pokój jest pusty i nikogo tam niema, ja przecież znajdę jakiś klucz i powiem ci, gdzie ona jest. Wiedziałaś dobrze, że twój tatuś niejedno potrafi, ale nie rozumiałaś, dziecinko, że w sprawach życia i śmierci twój ogromny ojciec tyle wiedział i tyle mógł, co małe dziecko. Teraz dopiero możesz sobie wyobrazić, jaki ja jestem bezsilny! Bóg dał twemu ojcu zdolność kochania cię, ale nie nauczył go, jak ci pomóc.

Przy tych słowach położył rękę na jej głowie.

Hemnalini, wzięwszy drżącą dłoń ojca w swe ręce, głaskała ją.

— Nie pamiętam już matki! — mówiła — Przypominam sobie, że lubiła położyć się w południe z książką w ręce. Naturalnie, mnie się to nie podobało i zawsze starałam się wyrwać jej książkę z rąk.

I zaczęli oboje wspominać dawne lata. Hem zasypywała ojca pytaniami, jak matka wyglądała, jak się w owych czasach żyło, jakie były zwyczaje, a on odpowiadał, jak umiał najlepiej. Kiedy tak rozmawiali, słońce zaczęło się zwolna chylić ku zachodowi a niebo przybrało ciemno-miedziany odcień. Godzinka swobodnej rozmowy na dachu, wśród gwaru i zgiełku wielkiego miasta, przypieczętowała wzajemne uczucia ojca i córki, starca i młodej kobiety. Siedzieli tak aż do zmierzchu, a lekka rosa osiadała na nich, jak lzy.

Naraz na schodach dały się słyszeć kroki Dżogendry. Cicha rozmowa urwała się nagle; oboje wstali.

— Jak widzę, Hem zaczyna urządzać recepcje na dachu — zauważył Dżogendra, przyglądając się obojgu badawczo.

Dżogendra był w najwyższym stopniu niezadowolony z obrotu, jaki sprawy wzięły. Dzień i noc leżał na domu płaszcz przygnębienia, ale mimo, że panująca w nim atmosfera była nieznośna, Dżogendra nie mógł bywać u przyjaciół ani u znajomych, bo tam znów musiał wciąż dawać wyjaśnienia, dlaczego Hemnalini zerwała z Rameszem.

— Hemnalini stanowczo przesadza! — mawiał wówczas — Oto do czego prowadzi pozwalanie dziewczynie na czytanie angielskich powieści. Hem wyobraża sobie, że, ponieważ Ramesz ją opuścił, jej serce za wszelką cenę musi być złamane; no więc teraz łamie to serce z całą paradą. Dla czytającej powieści młodej panny jest to przecież jedyna sposobność popisania się nieszczęśliwą miłością.

— Przyszedłem tu, bo chciałem spokojnie porozmawiać z Hem! — pośpiesznie zaczął się tłumaczyć Annada Babu.

Chciał zasłonić córkę przed brutalnymi ukłuciami Dżogendry, ale ze słów jego mogłoby wynikać, jak gdyby to on sam wyciągnął Hemnalini na dach na pogawędkę.

— Czyż nie można porozmawiać, siedząc przy stole i pijąc herbatę? — wykrzyknął Dżogendra — Ojciec tylko zachęca Hemnalini do tych warjactw! Zapowiadam wam, jeśli tak dalej pójdzie, oboje po prostu wygonicie mnie z domu.

— To tatuś nie pił jeszcze herbaty? — spytała przykro dotknięta Hemnalini.

D ż o g e n d r a : Herbata to nie literacka fantazja, moja droga; nie spłynie sama niby rosa z czerwonej zorzy zachodzącego słońca. Filiżanki same się nie napełnią i nie przyjdą do ciebie, gdy ty siedzisz sobie będziesz w kącie na dachu. Sama chyba wiesz dobrze o tem.

Annada Babu, ratując zawstydzoną Hemnalini, wtrącił śpiesznie:

— Postanowiłem nie pić dziś herbaty.

D ż o g e n d r a : Jakto? Chce ojciec zostać ascetą? Cóż ja, nieszczęśliwy, wtedy pocznę? Nie mogę przecie żyć powietrzem!

Annada : Nie, o żadnej ascezie mowy nie ma. Spałem dziś źle i z tego powodu zamierzam wstrzymać się od herbaty.

Mówiąc prawdę, podczas poprzednich rozmów z Hemnalini przed duchowym wzrokiem Annady Babu nieraz unosila się dymiąca filiżanka herbaty, ale dziś było inaczej. Dziś, gdy zdawało się, że Hemnalini odzyskała swój normalny ton, w poufnej rozmowie na dachu ojciec wraz z nią poruszył tematy tak głębokie, jak nigdy dotąd i obawiał się, że ruch będzie przeszkadzał i — niby lękliwe łanie — spłoszy myśli, które zaczynały się krystalizować. Dlatego oparł się wołaniem czajnika.

Ale Hemnalini nie uwierzyła bynajmniej, że ojciec poważnie zamierza leczyć się z bezsenności przez wyrzeczenie się ulubionego napoju.

— Gdzież znowu, musi tatuś napić się herbaty! — zawołała i Annada Babu, zapomniawszy o grozie bezsenności, pośpieszył wraz z nią.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał w nim Akszaja, ku niemałemu swemu niezadowoleniu, ponieważ oba-

wiał się, że jego obecność znowu rozdrażni córkę. Ale nie było wyjścia z sytuacji, bo Hemnalini wchodziła już do pokoju.

Akszaj wstał.

— No, Dżogen, ja muszę już iść! — rzekł, ale ku powszechnemu zdziwieniu, Hemnalini odezwała się:

— Cóż się stało takiego, Akszaj Babu? Czemu się pan tak śpieszy? Niech pan naprzód wypije filiżankę herbaty.

Akszaj usiadł.

— Wypiłem już dwie filiżanki, zanim pani przyszła. Ale gotów jestem jeszcze wypić dwie, jeśli mnie pani do tego zmusi.

Hemnalini uśmiechnęła się.

— Nie przypuszczam, aby trzeba było użyć gwałtu!

— To prawda — przyznał Akszaj — Mam tyle rozumu, że nie odmawiam nigdy, gdy mi proponują coś dobrego.

— Na odwrót zatem, niechże to, co dobre, nie odsuwa się od ciebie, gdy ty go pragniesz! Żaden kapłan nie mógłby ci dać lepszego błogosławieństwa! — wykrzyknął Dżogendra.

Po dłuższym czasie znowu dokoła stołu Annady Babu siedziano, rozmawiając żywo. Śmiech Hemnalini nigdy nie był bardzo głośny, ale dziś czasami zagłuszał rozmowę.

Spojrzawszy na ojca, rzekła:

— Akszaj Babu zapomniał się, tatusiu. Wygląda doskonale, mimo, że oddawna już nie zażywał tatusiowych pigułek. Jeśli bez tych pigułek żyć nie mógł, powinien mieć dziś przynajmniej migrenę.



Dżogendra: A to się złapał! Tak, Akszaj zdradził pigułki ojca!

Annada Babu śmiał się, uszczęśliwiony. To, że rodzina znowu zaczyna „naciągać“ go z powodu pigułek, uważał za oznakę powracającej wreszcie harmonji i kamień spadł mu z serca.

— Widzę ja dobrze, do czego zmierzacie! — odezwał się — Chcecie w nim podkopać wiarę we mnie. Z całej gromady wyznawców został mi się ten jedyny i tego jeszcze chcielibyście mi odebrać.

— Niech się pan nie obawia, Annada Babu! — odpowiedział Akszaj — Ja wiary tak łatwo nie zmieniam.

Dżogendra: — Dlaczego Akszaj jest podobny do fałszywej rupji? Bo kto spróbuje go zmienić, natrafi na trudności.

Wybuch wesołości ostatecznie już rozproszył chmury, jakie się były zebrały nad stołem Annady Babu.

Biesiada przeciągnęłaby się długo, gdyby Hemnalinie nie opuściła zebrania pod pozorem, że jej się fryzura rozluźniła. Wtedy i Akszaj przypomniał sobie, że ma się z kimś spotkać i także wyszedł.

— Ojczy, nie możemy dłużej czekać! — rzekł Dżogendra, znalazłszy się sam na sam z ojcem — Musimy wydać Hem zamaż.

Annada Babu, skonsternowany, spojrział na niego ze zdumieniem.

Dżogendra mówił dalej:

— Mnóstwo plotek krąży o tem jej zerwaniu z Rameszem. Ja nie mogę przecie bić się z całym światem. Gdybym mógł powiedzieć prawdę, łatwo byłoby zmusić plotkarzy do milczenia, ale tak muszę się szarpać z ludźmi, a ust nie wolno mi otworzyć. Niedawno

temu musiałem znów skarcić Akhila. Miał się zbyt swobodnie o Hemnalini wyrazić. To gadanie ustanie, jeśli ją wydamy zamaż i ja wtedy nie będę potrzebował już dłużej udawać szampiona, wiecznie zakasującego rękawy i wyzywającego cały świat. Szczerze radziłbym ojcu nie odkładać tego dłużej.

**A n n a d a :** Ależ za kogo ją wydać, Dżogen?

**D ż o g e n d r a :** Ja widzę tylko jednego człowieka. Po tem, co zaszło i wobec tych wszystkich trudno byłoby znaleźć drugiego. To nasz biedny, wierny Akszaj. Tego zrazić nie tak łatwo. Każe mu ojciec zażyć pigułkę — zażyje. Każe mu się ojciec ożenić — ożeni się.

**A n n a d a :** Zwarzowałeś, Dżogen? Zdaje ci się, że Hem zgodziłaby się wyjść za Akszaja?

**D ż o g e n d r a :** Jeśli ojciec nie będzie mi przeszkadzał, to ja się postaram o to, że Hem się zgodzi.

— Nie, Dżogen, nie! — wykrzyknął ojciec — Nie życzę sobie, żebyś na Hemnalini próbował swej wymowy. Przestraszysz ją tylko i wyprowadzisz zupełnie z równowagi. Daj jej jakiś czas spokój. Biedna dziewczyna przeszła takie miłe doświadczenie, że się jej wogóle może małżeństwa odechcieć.

— Nie mam zamiaru wywierać na nią żadnego nacisku. Dołożę wszystkich sił, aby być jak najspokojniejszym i jak najłagodniejszym. Czy ojciec myśli, że ja nie mogę z nią rozmawiać, żeby się nie kłócić?

Dżogendra nie należał do ludzi, zasypiających gruszki w popiele. Jak tylko Hemnalini uzupełniła swą fryzurę i wyszła ze swego pokoju, podszedł ku niej.

— Hem, pragnąłbym porozmawiać z tobą.

Serce Hemnalini zabiło na te słowa żywiej. Powoli weszła za nim do salonu i czekała, co powie.

— Zauważyłaś, jak ojciec źle wygląda? — zapytał Dżogendra.

Hemnalini nie odpowiedziała, ale wyraz jej twarzy zdradzał zaniepokojenie.

Dżogendra: Zapamiętaj moje słowa! Ojciec się ciężko rozchoruje, jeśli temu nie zaradzimy.

Z tonu jego wynikało, że uważał ją za odpowiedzialną za stan zdrowia ojca. Hemnalini spuściła wzrok i zaczęła machinalnie skubać frendzle u brzegu swej sukni.

— Co się stało, to się już nie odstanie! — mówił dalej Dżogendra — Im bardziej nad tem rozpaczasz, tem większy dla nas wstyd. Jeśli chcesz, żeby ojciec zupełnie przyszedł do siebie, musisz z korzeniem wyrwać z pamięci wszelki ślad tej nieszczęsnej historii.

Urwał i, z oczami utkwionemi w twarzy siostry, czekał na odpowiedź.

— Nie obawiaj się, ja z ojcem więcej o tem mówić już nie będę! — rzekła Hemnalini zmieszana.

Dżogendra: Wiem o tem, ale tego jeszcze nie dość, aby ludziom zamknąć usta.

— A cóż ja mogę na to poradzić? — spytała Hemnalini.

Dżogendra: Jest tylko jeden sposób zmuszenia ich do milczenia.

Hemnalini wiedziała dobrze, z jakimi zamiarami Dżogendra się nosi, dlatego odpowiedziała pośpiesznie:

— Jak ci się zdaje, czy nie byłoby dobrze wyjechać teraz z ojcem na świeże powietrze, gdzieś na wieś? Moglibyśmy tam zabawić trzy do czterech miesięcy, a przez ten czas plotki przycichłyby z pewnością.

— To nie jest sposób radykalny. Musisz przekonać ojca, że zupełnie już się uspokoiłaś. Jeśli tego nie zrobisz, rana wciąż będzie się jątrzyła i ojciec nigdy nie przyjdzie do siebie.

— Więc cóż chcesz, żebyś zrobiła?— zapytała.

— Wiem, że to będzie brzmiało nieprzyjemnie, ale jeżeli chcesz nas wszystkich uszczęśliwić, musisz jak najprędzej wyjść zamaż.

Hemnalini oszołomiona milczała.

Dżogendra zniecierpliwiony zaczął znów:

— Wy, dziewczęta, robicie z muchy słonia. To, co się stało tobie, przytrafiło się przedtem setkom i tysiącom innych dziewcząt. Miały narzeczonych, ale ponieważ pokazały się jakieś paskudztwa, zerwały a potem najspokojniej w świecie wyszły zamaż za kogo innego i po wszystkim. Inaczej to, o czym się czyta w powieściach, na porządku dziennym byłoby w rodzinach, a wówczas życie stałoby się nie do zniesienia. Możesz się bawić w melodramat i deklamować publicznie: — Wyrzekam się świata na zawsze, ukryta na dachu chcę wiecznie być sam na sam z niebem, pamięć niegodnego oszusta zamknę w swem sercu jak w kaplicy! — Dobrze, ale hańba będzie dla nas śmiercią. Wyjdź zamaż za jakiegoś przyzwoitego człowieka i skończ jak tylko można najprędzej z tym obrzydliwym melodramatem.

Hemnalini sama aż nadto dobrze była przekonana o niedorzeczności wszelkich melodramatycznych deklamacyj. Szyderstwo Dżogendry jakby ją nożem ukłuło.

— Czy mówiłam kiedy, że się wyrzekam świata i nigdy nie wyjdę zamaż?

— Jeśli tak — to wyjdź zamaż czempredzej. Oczywiście, jeżeli sobie powiesz, że zakochasz się tylko w jakimś półbogu, możesz się ze swoim zamażpójściem pożegnać. Na tym świecie rzadko znajdujemy rzeczy, zupełnie odpowiadające naszym upodobaniom. Musimy zastosować się do tego, co możemy dostać i po ludzku poprzestać na tem.

— Dlaczego mi dajesz te nauki? — zawołała Hemnalini, ukłuta do żywego — Czy mówiłam co o miłości?

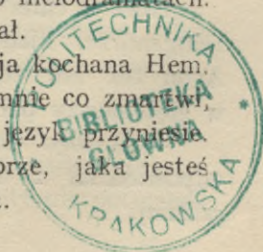
D ż o g e n d r a : Nie mówiłaś, przyznaję, ale ja przecie widzę, co się koło mnie dzieje. Kiedy dla małostkowych czy niesłusznych powodów uczułaś niechęć do przyjaciół, mimo, iż oni ci jak najlepiej życzyli, nie wahałaś się ani chwili dać im to do poznania. Musisz jednak przyznać, że między tymi wszystkimi przyjaciółmi jest jeden, który zawsze był ci wierny, w powodzeniu czy w niepowodzeniu i bez względu na dobrą czy złą opinię ludzką o tobie, a dla którego ja z tego powodu żywię głęboki szacunek. Jeśli chcesz znaleźć męża, któryby życie gotów był oddać, aby cię uczynić szczęśliwą, wiesz, gdzie go szukać. Ale jeżeli dążysz do melodramatu...

Hemnalini wstała.

— Proszę cię, nie mów do mnie w ten sposób. Jeśli tatuś każe mi za kogoś wyjść zamaż, postąpię jak będzie żądał. Zaczekaj aż go nie usłucham, dopiero wtedy będziesz mógł mówić o melodramatach.

Ton Dżogendry odrazu zlagodniał.

— Nie gniewaj się na mnie, moja kochana Hem. Znasz mnie przecie i wiesz, że jak mnie co zamartwi, irytuję się i mówię co mi ślina na język przyniesie. Znamy się od dziecka i wiem dobrze, jaka jesteś wrażliwa i jak bardzo kochasz ojca.



Wyszedł, szukając ojca.

Annada Babu siedział w swoim pokoju. Kiedy sobie wyobraził, jak Dżogendra po swojemu dręczy siostrę, uczuł wyrzuty sumienia, że na to pozwolił. Już chciał wstać i przerwać tę rozmowę, gdy naraz Dżogendra wszedł do pokoju. Annada czekał w milczeniu, co powie.

— Widzi ojciec, Hem zgodzila się wyjść zamażł — zaczął Dżogendra — Ojciec myśli może, że wywarłem na nią jakiś szczególniejszy nacisk? Wcale nie, proszę mi wierzyć. Nie będzie się sprzeciwiała małżeństwu z Akszajem, jeśli tylko ojciec wyraźnie jej powie, że sobie tego życzy.

— J a jej to mam powiedzieć?

— Rozumie się. Nie przypuszcza ojciec chyba, żeby ona przyszła z własnego popędu i powiedziała „chcę wyjść za Akszaja“. Jeśli ojciec waha się jej wolę swoją oznajmić, proszę mnie upoważnić, a ja jej polecenie ojca natychmiast zakomunikuję.

— Ani mi w głowie! — wykrzyknął Annada Babu — Sam mogę jej powiedzieć, co trzeba. Ale po co ten pośpiech? Zdaje mi się, że jeszcze parę dni poczekać możemy.

— Nie, proszę ojca. Jeśli będziemy czekali z pewnością coś nam wejdzie w drogę. Tak dłużej żyć nie można.

Nikt z całej rodziny nie śmiał się sprzeciwić Dżogendrze, kiedy na serjo do czegoś się zabrał. A on też kuł żelazo póki gorące i nawet Annada w głębi duszy bał go się trochę.

— A więc dobrze, pomówię z nią o tem! — odpowiedział z zamiarem odwleczenia sprawy na później.

— Nie traćmyż czasu, ojcze! — rzekł Dżogendra — Ona tam siedzi i czeka. Może się to da dziś już załatwić.

— Dobrze. Zaczekajże tu, Dżogen, a ja pójde i sam się z nią rozmówię.

— Doskonale. Będę tu czekał na ojca.

Salon, do którego wszedł Annada Babu, był pogrążony w ciemnościach, ale ktoś szybko zerwał się z fotelu a w parę chwil później głos, w którym łyzy brzmiały, rzekł:

— Lampa zgasła, tatusiu. Czy mam zawołać służącego i kazać zapalić?

Annada dobrze wiedział, że lampa sama nie zgasła.

— Daj spokój, kochanie! — odpowiedział — Nam nie potrzeba światła.

Po omacku znalazł krzesło w pobliżu córki.

— Tatuś stanowczo zamało na siebie uważa! — odezwała się Hemnalini.

— I najzupełniej słusznie, moje dziecko. Jestem zdrow, nic mi nie brakuje, wobec tego nie potrzebuję na siebie uważać. To raczej ty więcej powinnaś uważać na siebie.

— Wszyscy powtarzacie jedno i to samo, tatusiu! — wykrzyknęła Hemnalini przekornie — To wcale nie ładnie! Jestem przecie najzupełniej przy zdrowych zmysłach! Na jakiej podstawie tatuś przypuszcza, że o swe zdrowie nie dbam? Jeśli tatuś chce, abym się poddała jakiejś kuracji, proszę tylko powiedzieć. Czy kiedykolwiek w życiu, gdy tatuś chciał czego odemnie, powiedziałam „nie“?

Łkania wybuchnęły ze zdwojoną siłą.

— Nie, dziecko, nie! — zawołał Annada, pragnąc ją przedewszystkiem uspokoić — Nigdy nie potrzebo-

wałem do niczego cię zmuszać. Ty sama zawsze dobrze wiesz, czego chcę, jakbyś mi matką rodzoną była i bez słów robiłaś zawsze to, czego chciałem. Jeśli błogosławieństwo ojca ma jakieś znaczenie, powinnabyś być szczęśliwa przez wszystkie dni życia swego.

— Pozwoli mi tatuś zostać przy sobie?

— Oczywiście, że pozwolę.

Hemnalini: Czy mogę zostać z tatusiem tak długo, dopóki Dżogen się nie ożeni? Wreszcie — ktoś tatusia będzie pielęgnował, kiedy mnie nie będzie?

— Mnie pielęgnować? Ani nawet nie myśl o tem, kochanie, nie jestem tego wart.

— Ciemno tu bardzo, tatusiu; przyniosę lampę.

Przyniosła lampę z sąsiedniego pokoju.

— Tacyśmy byli w ostatnich dniach wszyscy zaferowani, że nie miałam nawet kiedy przeczytać tatusiowi wieczorem gazety. Może przeczytać teraz?

Annada wstał.

— I owszem, kochanie, ale zaczekaj chwileczkę, ja zaraz przyjdę, będziemy czytali.

Wrócił do Dżogendry.

Miał zamiar powiedzieć mu: „Nie mogłem wspomnieć jej o tem dziś, zaczekajmy do jutra“, ale gdy Dżogendra wybuchnął: „I cóż, ojciec, jakże się skończyło, czy mówił ojciec z nią o zamążpójściu“? — odpowiedział pośpiesznie: „Tak jest, mówiłem“, obawiając się, aby Dżogendra nie ponowił swych ataków wobec Hemnalini.

— I zgodziła się?

— Tak, do pewnego stopnia.

— Doskonale, leć do Akszaja powiedzieć mu! — wykrzyknął Dżogendra.



— Nie, nie, nie mów nic Akszajowi! — zaprotestował żywo ojciec — Zrozumiejsz, Dżogen, że tym swoim pośpiechem tyłk wszystko popsujesz. Na ostateczne załatwienie tej sprawy dość będzie czasu, gdy powrócimy ze wsi.

Dżogendra wyszedł bez słowa. Owinąwszy ramiona szalem, udał się prosto do domu Akszaja, którego zastał pogrążonego w wielkiem angielskiem dziele o buchalterji. Dżogendra wyrwał mu książkę i rzucił ją.

— Rzuć to teraz, musimy ustanowić termin twego ślubu z Hemnalini.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Akszaj.

## ROZDZIAŁ II.

Na drugi dzień Hemnalini, wstawszy wczesnie, poszła poszukać ojca. Znalazła Annadę Babu w jego sypialni. Ustawivszy sobie krzesło we wnęce okiennej, siedział pogrążony w cichem rozmyślanii.

W pokoju, bardzo skromnie urządzonym, znajdowało się tylko łóżko i szafa na suknie. Na jednej ścianie wisiała poczerniała już fotografia zmarłej matki Hemnalini w ozdobnej ramie, na przeciwnej ścianie włóczkowy haft jej własnoręcznej roboty. W szafie znajdowały się jej suknie i inne drobiazgi, nie ruszane od dnia jej śmierci.

Hemnalini stanęła za fotelem ojca i pod pozorem wrywania mu siwych włosów głaskała go pieśczośliwie po głowie.

— Tatusiu! — odezwała się — A możebyśmy tak wypili dziś herbatę wczesniej niż zwykle, a potem siedlibyśmy sobie w tatusiowym pokoju i tatuś opowiadałby

mi, jak to dawniej było. Nie ma tatuś nawet wyobrażenia, jak lubię słuchać, kiedy tatuś tak opowiada.

Annada Babu tak doskonale czytał już w myślach swej córki, iż natychmiast odgadł prawdziwy motyw, dla którego pragnęła przyspieszyć śniadanie. Akszaj mógł się zjawić już przy herbacie i Hemnalini, obawiając się tego, chciała go uniknąć zapomocą jak najrychlejszego wycofania się do zamkniętego zwykle pokoju ojca.

Stan nerwów córki głęboko go zasmucił; była lękliwa jak spłoszona łania.

Zszedłszy nadół, spostrzegł, że woda na herbatę jeszcze nie zakipiała. — Korzystając z tego, wylał swój zły humor na nieszczęsnego służącego, którego uważał za winnego tej zbrodni. Napróžno służący tłumaczył się, iż nie mógł przypuszczać, że pan zażąda herbaty wcześniej, niż zwykle. Annada Babu grzmiał wciąż, wyrażając niezłomne przekonanie, iż dzisiejsza służba ma własne zapatrywania na swe obowiązki i że dla swoich domowników będzie musiał wyszukać chyba jakiegoś osobnego dozorcę, któryby ich budził.

Niezwłocznie przyniesiono wrzątek.

Annada Babu, zamiast, jak zwykle, sypać herbatę — z właściwem sobie skupieniem, rozkoszując się jej aromatem, pomlaskując zcicha i rozmawiając równocześnie z córką, — dziś z niepotrzebnym pośpiechem pił swą filiżankę niemal duszkiem.

— Czy tatuś gdzie wychodzi, że się tak spieszy? — zapytała Hemnalini zdziwiona.

— O, bynajmniej. Tylko, widzisz, gdy jest tak zimno, jak dziś, lubię herbatę pić duszkiem. Człowiek się od gorącej herbaty poci, a to bardzo zdrowo — mówił ojciec, zanim jednak zdążył się spocić, wszedł do pokoju Dżogendra z Akszajem.

Akszaj poświęcił dziś specjalną uwagę swej toalecie: w prawej ręce miał wykładaną srebrem laskę, piękny łańcuszek od zegarka zdobił jego pierś, zaś w lewej ręce trzymał książkę zawiniętą w brunatny papier. Zamiast usiąść na zwykłym swoim miejscu przy stole, postawił krzesło obok Hemnalini a usiadłszy, rzekł z uśmiechem:

— Pani zegarek dziś prędko idzie!

Hemnalini nie spojrzała w jego stronę i nie raczyła zupełnie odpowiedzieć.

— Moja kochana Hem! — odezwał się ojciec — Musimy zaraz iść na górę. Trzeba koniecznie rozwiesić i przewietrzyć na dachu moje zimowe ubrania.

— Nie potrzebuje się ojciec tak spieszyć — zabrał głos Dżogendra — Słońce nie ucieknie. Hem, czy nie byłabyś łaskawa nalać Akszajowi filiżankę herbaty? Ja też chętniebym się napił, ale, wiadomo, goście mają pierwszeństwo.

Akszaj roześmiał się i zwrócił się do Hemnalini.

— Co za altruizm! Powiedziałyby kto — drugi Sir Philip Sidney!

Nie zwracając najmniejszej uwagi na żartobliwy ton Akszaja, Hemnalini nalala dwie filiżanki herbaty, podała jedną Dżogendrze, drugą podsunęła Akszajowi i spojrzała na ojca.

— Jeśli będziemy dłużej czekać, na dachu zrobi się za gorąco! — mówił Annada Babu — Chodź, Hem, lepiej iść teraz.

— Ach, niech ojciec da spokój ubraniom! — wykrzyknął Dżogendra — Akszaj przyszedł do nas, żeby...

Gniew Annady Babu wybuchnął:

— Wy dwaj chcecie nas poprostu steroryzować. W chwili, w której ktoś doznaje tortur duchowych,

nie wolno próbować gwałtem wciągać go do swych zamiarów. Bez słowa protestu znosiłem to już od wielu dni, ale dość, dłużej już tego nie znoję. Hem, na przyszłość my dwoje będziemy pili herbatę na górze.

Chciał wyprowadzić córkę z pokoju, ale Hem zatrzymała go, mówiąc spokojnie:

— Zaraz, tatusiu, niech tatuś nie wychodzi. Jeszcze tatuś nie wypił herbaty. Akszaj Babu, czy mogę pana spytać, jaka jest zawartość tego tajemniczego zawiniątka?

— Wolno pani nietylko spytać, ale nawet osobiście zbadać tajemnicę.

To mówiąc, Akszaj podał jej pakuneczek.

Hem rozwinęła papier i ujrzała tom Tennysona w marokinowej oprawie. Spostrzegłszy książkę, w pierwszej chwili drgnęła gwałtownie i pobladła. Już raz dostała była taki sam prezent. W tajemnicy przed wszystkimi chowała w szufladzie swego pokoju na górze tom Tennysona w tem samem wydaniu i w takiej samej okładce.

Dzogendra uśmiechnął się.

— Tajemnica nie została jeszcze dokładnie zbadana.

Otworzył książkę na stronie tytułowej i pokazał siostrze napis. Napis ten brzmiał:

— Dla Srimati Hemnalini w dowód szacunku Akszaj.

Hemnalini upuściła książkę jak gorący ziemniak i odwróciła od niej oczy.

— Chodźmy, tatusiu! — rzekła i oboje z ojcem wyszli z pokoju.

Zaświeciły się Dzogendrze oczy.

— Ani chwili dłużej nie pozostanę pod tym dachem! — krzyknął — Wyniosę się stąd i zostanę nauczycielem ludowym!

— Zanadto bierzesz sobie to do serca, mój drogi! — odezwał się Akszaj — Przypomnij sobie, zawsze ci mówiłem, że mojem zdaniem nie rozumiesz Hemnalini. Ustąpiłem pod twoim naciskiem, ale teraz jestem już pewny, że Hemnalini nigdy mnie nie zechce. Wybij to sobie z głowy. Jedyna rzecz, do której należy wszelkimi siłami dążyć, to starać się, żeby jak najprędzej zupełnie zapomniała o Rameszu.

— Bardzo słusznie, tylko jak to zrobić?

— Przedewszystkiem nie trzeba upierać się przy tem, jakobym ja był jedynym na świecie człowiekiem, za którego można wyjść za mąż. Oczywiście, gdybyś ty był Hemnalini, byłoby co innego i moi przodkowie nie potrzebowaliby z trwogą liczyć dni, czekając, kiedy się wreszcie ożenię. Ponieważ jednakże rzeczy mają się inaczej, potrzebujemy koniecznie jakiegoś starającego się, ale takiego, któryby się jej podobał, a nie takiego, na którego sam widok ucieka wietrzyć suknie.

**D ż o g e n d r a:** Nie można iść do sklepu i zamówić tam narzeczonego.

**A k s z a j:** Zbyt prędko się zniechęcasz. Ale, choć naszym prawdziwym celem jest znaleźć dla Hemnalini męża, jeśli się będziesz zbyt gorączkował, pamiętaj, że cała sprawa skończy się znowu na niczem. Jeżeli nie chcesz, żeby się obie strony rozleciały, za nic w świecie o małżeństwie przedwcześnie nie wspominaj. Niech ich stosunek stopniowo dojrzewa a ty tylko czuwaj, kiedy nadejdzie stosowna chwila do załatwienia sprawy.

Dżogendra: Bardzo mądra taktyka, przynaję, ale powiedzże mi, jak on się nazywa.

Akszaj: Nie znasz go wprawdzie dobrze, ale widziałeś go — doktor Nalinaksza.

Dżogendra: Nalinaksza!

Akszaj: Dziwisz się! No, tak, w Brahmo Samadź gorszą się nim trochę, ale z tego nic sobie nie rób. Nie przypuszczam, żebyś z tak błahego powodu chciał wypuścić z rąk zdobycz tak cenną.

Dżogendra: Gdybym ją tylko miał w rękach, nie dbałbym o resztę. Jakże ty myślisz, czy Nalinaksza zgodziłby się?

Akszaj: Nie twierdę wcale, że gdybyś mu dziś zrobił tę propozycję, natychmiastby się na nią zgodził; ale czas robi cuda! Słuchaj mnie, Dżogen! Nalinaksza ma jutro odczyt. Weź Hemnalini na ten odczyt. Jest to, naprawdę, doskonały mówca, a nic nie działa na kobiety tak, jak wymowa. Biedne stworzenia, nie rozumieją, że mąż, który umie słuchać, jest nieskończenie lepszy od męża, umiejącego mówić.

Dżogendra: No, dobrze, ale przecie musisz mi opowiedzieć historję Nalinakszy; chciałbym się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

Akszaj: I owszem, Dżogen, opowiem ci historję Nalinakszy, jeśli jednak ujrysz w niej jakąś rysę czy szczerbę, nie kręć zaraz nosem. Mały niedostatek to w moich oczach tylko zaleta, bo dzięki niemu dostępnym staje nam się towar, który inaczej mógłby być zbyt kosztowny.

Historja Nalinakszy, tak jak ją Akszaj opowiedział, brzmiała, jak następuje:

Jego ojciec, Radźballabh, był niezbyt zamożnym obywatelem ziemskim w okolicach Faridpur. Skoń-

czywszy trzydzieści lat, Radźballabh stał się członkiem sekty Brahmo Samadź, żona jego jednakże odmówiła przyjęcia nowej wiary swego małżonka i śmiało szła własną drogą, nie zaniedbując żadnych środków ostrożności, aby zachować swą rytualną czystość kastową. Naturalnie Radźballabh to postępowanie żony najzupełniej się nie podobało. Ich syn, Nalinaksza, skutkiem swej gorliwości propagandystycznej i pierwszorzędnej wymowy, już w młodym wieku został przyjęty do Brahmo Samadź. Jako lekarz wstąpił do służby rządowej i prowadził zwykle w Bengalu życie rządowego nomady. Ale gdzie tylko bawił, wszędzie pozostawił po sobie pamięć swej wielkiej zacności, zręczności zawodowej i gorącej nabożności.

A naraz spadł grom z jasnego nieba. Radźballabh postanowił nagle na starość ożenić się z pewną znajomą sobie wdową i nic nie mogło go odwieść od powziętego zamiaru. Na wszystkie protesty odpowiadał niezmiennie:

— Obecna żona nie jest moją prawdziwą towarzyszką życia, ponieważ nie podziela ze mną mych przekonań religijnych. Byłoby stanowczo niedorzecznością, gdybym się nie ożenił z kobietą, zgadzającą się ze mną najzupełniej tak w sprawach serca i rozumu, jak też w sprawach religji i postępowania w życiu.

Wbrew powszechnemu chórowi protestów Radźballabh domagał się wstąpienia w związki małżeńskie z wdową według rytuału Hindu.

Wobec tego matka Nalinakszy postanowiła zerwać ze swym mężem i przenieść się do Benares. Nalinaksza praktykował wówczas jako lekarz prywatny w Rangpurze. Natychmiast porzucił swą praktykę i oświadczył matce, że zamierza zamieszkać wraz z nią w świętem mieście.

— Mój synu! — rzekła matka ze łzami w oczach — Między naszymi przekonaniem zachodzą pewne różnice. I pocóż miałbyś się narażać na niepotrzebne niewygody i skrępowanie?

— Nie będzie żadnych różnic! — odpowiedział Nalinaksza, który po zdradzie ojca śmiało stanął po stronie kastowego znaku matki i za cel swego życia obrał sobie jej szczęście. Przeniósł się tedy wraz z nią do Benares. Wkrótce potem matka spytała go, czy nie zamierza się ożenić.

Nalinaksza zmieszał się.

— I pocóż miałbym się żenić, matko? — spytał — Przecie i tak jest mi bardzo dobrze.

Ale matka intuicyjnie odgadła powód jego niechęci do związków małżeńskich. Wyszedłszy z dawnej swej sfery, wielu rzeczy się wyrzekł, jednakże nie był przygotowany na to, że będzie się musiał ożenić z kimś z poza kół Brahma Samadź.

Nie chcąc stać mu na drodze do szczęścia, matka odpowiedziała:

— Mój drogi chłopcze, nie możesz przecie dla mnie żyć w stanie bezzennym. Żeń się, z kim chcesz i nie obawiaj się z mej strony najmniejszej opozycji.

Nalinaksza rozmyślał nad tą sprawą przez parę dni, a potem przyszedł i powiedział, co postanowił.

— Matko! — rzekł — Dam ci synową według twego własnego serca, rozumiejącą dobrze swe obowiązki małą dziewczynkę, z którą będziesz mogła żyć zawsze w zgodzie i której zachowanie się nigdy nie sprawi ci przykrości.

A potem pojechał szukać żony do Bengalu.

Co się dalej stało — o tem różnie mówią. Według jednej wersji Nalinaksza w zupełnym sekrecie wyjechał



gdzieś na wieś, gdzie istotnie zaślubił jakąś sierotę, która bezpośrednio potem umarła; drudzy mieli co do tego pewne wątpliwości. Akszaj osobiście był tego zdania, że Nalinaksza może nawet chciał się ożenić, ale odstąpił od swego zamiaru w ostatniej chwili.

Jakkolwiek tam już było, zdaniem Akszaję matka Nalinakszy z pewnością nie mogłaby mieć nic przeciw ewentualnemu jego małżeństwu z Hemnalini, przeciwnie, powinna być uradowana, że syn żeni się z miłości, a tak uroczej narzeczonej, jak Hemnalini, istotnie daleko trzebaby szukać. Z drugiej strony Hem z właściwą sobie i znaną delikatnością, niezawodnie wobec teściowej swej zachowywać się będzie z szacunkiem, jaki się jej należy, starannie unikając wszystkiego, czemby ją mogła sobie zrazić. A krótka znajomość z Hem wystarczy, aby Nalinaksza potrafił ją ocenić i zrozumieć, że ona posiada wszystkie potrzebne kwalifikacje.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Akszaj doradzał jak najrychlejsze zaznajomienie ze sobą młodych.

### ROZDZIAŁ III.

Gdy tylko Akszaj poszedł do domu, Dżogendra pobiegł na górę. Annadę Babu i Hemnalini zastał w salonie, zajętych rozmową. Annada na widok syna zawstydził się nieco. Żałował swego uniesienia przy herbacie i nieprzyjemnie mu było, że na chwilę stracił nad sobą zwykle panowanie. Dlatego też powitał teraz Dżogendrę serdeczniej niż zwykle.

— Chodź tu, Dżogendra, chodź, siadaj przy nas, chłopcze!

— A wie ojciec co? — zaczął Dżogendra — Wy oboje z Hemnalini od jakiegoś czasu ani nosa z domu nie wychylacie. Takie wysiadywanie całymi dniami w domu na zdrowie nie wychodzi.

— Wiem! Wiem! — odpowiedział Annada — Ale my z Hemnalini byliśmy zawsze domatorami. Prócz tego nielada trzeba sztuki, aby Hem wyciągnąć z domu.

— Cóż też tatuś mówi! — przerwała Hemnalini — Po co mnie tatuś tak kompromituje? Przecie tatuś bardzo dobrze wie, że pójdę wszędzie, dokąd tatuś każe

Prawda, wysiłki ojca i córki były sprzeczne, ale Hemnalini chciała i ojca i brata przekonać, że nie zamierza, poddając się swemu bólowi, ukrywać się w czterech ścianach. Pragnęła, aby uwierzyli, że interesuje się żywo wszystkim, co się dzieje na świecie.

— No, to proszę ojca! — mówił Dżogendra — Jutro jest zajmujący odczyt. Dlaczego by ojciec nie miał wziąć Hemnalini na ten odczyt?

Annada Babu aż nadto dobrze znał niechęć córki do tłumnych zebrań publicznych, więc, zamiast odpowiedzi, spojrział tylko w milczeniu w jej stronę.

— Odczyt! — zawołała ze sztucznem ożywieniem — A któż jest prelegentem?

Dżogendra: Doktor Nalinaksza.

Annada: Nalinaksza!

Dżogendra: Jest to wyborny mówca, a co więcej, ma też nadzwyczajną historję. Co za zaparcie się siebie! Co za stałość! Takich ludzi można znaleźć najwyżej jednego na miljon!

A jeszcze dwie godziny temu Dżogendra, oprócz jakichś niejasnych pogłosek, nic a nic o Nalinakszy nie wiedział!

— A więc dobrze, tatusiu! — pospieszyła się trochę Hemnalini — Musimy pójść posłuchać tej znakomitości.

Annada Babu niekoniecznie dowierzał tak nagle okazanej przez Hemnalini ciekawości, ale faktycznie doznał uczucia pewnej ulgi. Niech tylko Hemnalini, choćby nawet miało ją to trochę kosztować, zacznie bywać w świecie i spotykać się z ludźmi, z pewnością wróci do swego normalnego stanu. Najlepszym lekarstwem na cierpienia duchowe jest towarzystwo i obcowanie z ludźmi.

— Doskonale! — rzekł do Dżogendry — Zaprowadzisz nas jutro na ten odczyt, tylko uważaj, żebyśmy się nie spóźnili. A teraz opowiedz mi, co wiesz o Nalinakszy. Tyle rozmaitych rzeczy o nim się słyszy!

Dżogendra rozpoczął opowiadanie tyradą przeciw ludziom, dopatrującym się we wszystkim skandalu.

— Ci świętoszkowie i bigoci — zaczął — przekonani są, iż Niebo od urodzenia dało im prawo bezkarnego obrzucania błotem i czernienia bliźnich. A w rzeczywistości niema bardziej bezlitosnych i złośliwych ludzi od tych przekupniów świętościami! — zapienił się Dżogendra.

— Zupełnie zgadzam się z tobą, najzupełniej! — ze szczerem przekonaniem powtórzył Annada Babu — Wieczne rozważanie błędów swego bliźniego robi człowieka skwaśniałym, ograniczonym i podejrzliwym.

— Halo, ojcze! — wykrzyknął Dżogendra — Czy to pchnięcie wymierzone w moją stronę? W takim razie przepraszam, ale do tych świętoszków zupełnie podobny nie jestem; umiem chwalić, nietylko ganić. Jestem zawsze gotów nietylko każdemu w oczy powiedzieć, co o nim myślę, ale poprzeć to w danym razie pięściami.

— Nie gadaj głupstw, Dżogen! — odpowiedział żywo Annada — Wcale nie myślałem o tobie. Przypuszczasz chyba, że miałem dość czasu, aby cię poznać dokładnie!

Teraz dopiero Dżogendra pełną parą zaczął pływać po historii Nalinakszy, maszcząc ją suto wszelkimi pochwałami, jakimi tylko rozporządzał.

— Dlatego, aby swą matkę uczynić szczęśliwą — konkludował — Nalinaksza przewycięzył swoje wrodzone skłonności i zamieszkał w Benares, a ci wszyscy przyjaciele ojca, korzystając z tego, zaczęli rozprowadzać o nim jak najbardziej skandaliczne historie. Ja, osobiście, podziwiam jego sposób postępowania. A ty, Hem, co powiesz na to?

— Jestem tego samego zdania co ty, — odpowiedziała Hemnalini.

— Wiedziałem, że Hemnalini go pochwali! — rzekł Dżogendra — Nie wątpię ani chwili, że, gdyby zaszła potrzeba, Hemnalini zdobyłaby się na takie samozaparcie się siebie, aby uczynić szczęśliwym ojca.

Annada Babu rzucił na córkę pełne miłości spojrzenie. Hemnalini splonęła rumieńcem i, zmieszana, spuściła wzrok.

#### ROZDZIAŁ IV.

Annada Babu wrócił z Hemnalini z odczytu nad wieczorem.

— Tak jest, to był naprawdę odczyt! — zauważył starszy pan, siadając za stołem.

Nie mówił więcej o tem, ale tak był jeszcze odczytem pochłonięty, że nie zauważył nawet, jak Hemnalini, wypiwszy herbatę, wymknęła się na górę.

Prelegent — ten Nalinaksza — wyglądał na estradzie dziwnie młodo, prawie chłopięco. Mimo, że był już w wieku dojrzałym, wygląd jego zachował jeszcze całą swą młodzieńczą świeżość, przyczem jednak miał też coś z mistycznej powagi, którą zdawała się emanować jego wewnętrzna świadomość.

Tematem jego konferencji była „Strata“, zaś podstawą twierdzenie, że bez straty niema czystego zysku. Nie jest prawdziwym zyskiem, co otrzymujemy bez żadnych wysiłków, tylko to, co opłacamy poświęceniem, staje się naszym, w prawdziwym, wewnętrznym znaczeniu słowa. Kto widzi, jak jego realny majątek wyslizguje mu się z rąk, ten oczywiście jest nieszczęśliwy, w rzeczywistości jednak dusza ludzka przez sam akt tracenia zachowuje sobie moc odzyskania z procentem całej straty.

Tylko kiedy, ponosząc stratę, uchylimy głowę, złożymy ręce i wypowiemy słowa: — „Oto dar — dar wyrzeczenia się, dar bólu, dar moich łez“ — najmniejszy drobiazg zyskuje wielkie znaczenie, przemijające staje się wiecznym, a co było dawniej tylko narzędziem codziennego naszego użytku, zmienia się w naczynie święte, na wieki złożone w skarbnicy świątyni naszego serca.

Słowa Nalinakszy wywarły głębokie wrażenie na Hemnalini. Gdy teraz w milczącym zamyśleniu siedziała na dachu domu, pod gwiazdzistym sklepieniem niebios, serce jej przepelnione było uczuciem, a ziemia i niebo nie były już w jej oczach pustą przestrzenią.

Kiedy wracali z odczytu, Dżogendra rzekł do Akszaja:

— Niema co mówić, twój wybór jest istotnie bardzo dobry, nie można zaprzeczyć! Ale co to za mistyk!

Połowy tego, co mówił, słuchałem jak tureckiego kazania.

— Zanim się przepisze choremu potrzebne lekarstwo, należy postawić diagnozę! — odpowiedział Akszaj — Hemnalini cierpi z powodu zawodu, jaki zrobił jej Ramesz i tylko mistyk może ją z tego wyleczyć. Ludzie, myślący tak trzeźwo, jak my, nigdyby tego nie potrafili. Obserwowałeś jej twarz, kiedy ten młody człowiek perorował?

Dżogendra: I owszem. Widać było jak na dłoni, że jej to przypadało do smaku. Ale z tego, że się jej podobał odczyt, nie wynika jeszcze, aby chciała zaraz oddać rękę prelegentowi.

Akszaj: Bądź pewny, że z pewnością nie dałaby się temu odczytowi tak porwać, gdybyś go wygłosił ty albo ja. Nie wiesz nawet, jak silnie na kobiety działa ascetyzm. Kalidas opisuje w swoim poemacie, jak Uma umartwiała swe ciało dla jednego ascety. Powiadam ci, Dżogen, gdybyś wziął pierwszego lepszego ascetę, a Hemnalini zaczęłaby go porównywać z Rameszem, Ramesz z pewnością nie wyszedłby z zyskiem z tego porównania. A Nalinaksza nie jest bynajmniej kimbądź — i nikomu nawet na myśl nie przyjdzie porównywać go z pierwszym lepszym z brzegu. Gdybyś jej jakiego innego młodego człowieka przedstawił, domyśliłaby się odrazu twych motywów i cała jej dusza natychmiastby się wzburzyła. Ale jeśli uda ci się znaleźć jakiś pretekst i wprowadzić pod nim w dom Nalinakszę, niczego podejrzewać nie będzie. Zaś potem od pełnego czci podziwu do narzeczeństwa przejście będzie już stopniowe i łatwe.

Dżogendra: Ja, widzisz, nie rozumiem się na takich subtelnosciach; wolę powiedzieć, co myślę.

I muszę ci wyznać, że ten Nalinaksza nie zrobił na mnie wcale nadzwyczajnego wrażenia.

A k s z a j: Powtarzam ci, Dżogen, jeśli w tej całej historii trzeba się będzie liczyć jeszcze i z twojami uprzedzeniami, to nie ma o czym mówić. Nie możesz absolutnie żądać, żeby wszystko było według twego gustu! Nic z naszych zamiarów nie będzie, o ile się nam nie uda zrobić w jakiś sposób, żeby Hemnalini zapomniała o Rameszu. Nie wyobrażaj sobie ani na chwilę, że potrafisz tego dokonać brutalną siłą. Jeżeli naprawdę chcesz osiągnąć pożądane rezultaty, musisz co do słowa trzymać się moich rad.

D ż o g e n d r a: Główna rzecz, że mnie wydaje się ten Nalinaksza trochę tajemniczym. Obcowanie z takimi ludźmi denerwuje mnie. Możemy się dostać z deszczu pod rynnę.

A k s z a j: Widzisz, chłopcze, jeśli tym razem zmokniesz, to już tylko z własnej winy. W ostatnich czasach każdego cienia się lękaasz. Gdy szło o Ramesza, byliście jak ślepi, od samego początku. Wasza opinja o nim sięgała niebios: Niezdolny do oszustwa, największy filozof od czasów Sankaraczarji, najbardziej utalentowany pisarz stulecia i tak dalej. Mnie osobiście Ramesz bynajmniej nie imponował; w życiu swoim widziałem setki podobnych do niego ludzi z niesłychanie górnolotnymi ideałami, ale oczywiście mnie się odezwać nie wolno było; nikt z was nie uwierzyłby, że tak niekompetentny człowiek, jak ja, krytykujący takiego geniusza, może się kierować innymi motywami jak zazdrością. Przypuszczam, że teraz już chyba rozumiesz, iż tych nadludzi najlepiej podziwiać zdaleka. Ale — wróćmy do rzeczy. Przypomnij sobie przysłowie: „Klin klinem.“ To, co ja teraz proponuję, to

jedyny środek, jaki nam jeszcze pozostał i dlatego niema co kręcić nad nim nosem.

D ż o g e n d r a: Słuchaj-no, Akszaj! Niech ci się nie zdaje, że mnie kiedykolwiek przekonasz, choć to tysiąc razy we mnie wmawiałeś, że ty byłeś pierwszy, który przejrzał Ramesza. Prawdą jest, że byłeś do Ramesza tak uprzedzony, iż, cokolwiek zrobił, w twoich oczach wszystko było złe. Dlatego nie próbuj nawet przekonać mnie o swej umysłowej wyższości. A teraz zapamiętaj sobie: Jeśli tu potrzebne będą jakieś spiski, jakieś intrygi, wiedz, że sam będziesz musiał wszystko zrobić, bo ja do tego ręki nie przyłożę. Nie dbam o Nalinakszę i na tem koniec.

Kiedy Dżogendra wchodził do pokoju z Akszajem, Hemnalini wymknęła się drugimi drzwiami.

— Wyglądała z pewnością przez okno i zauważyła nas, jakeśmy szli przez ulicę — pomyślał Akszaj.

Uśmiechnął się, a usiadłszy koło Annady Babu, rzekł, podając mu filiżankę herbaty:

— Słowa Nalinakszy trafiają do serca, a to dlatego, że on od serca mówi.

— Jest to niewątpliwie zdolny człowiek — rzekł Annada Babu.

— Zdolny! — wykrzyknął Akszaj — Zdaje mi się, że trochę więcej niż zdolny. A przytem jest to jeden z najświętszych charakterów na świecie!

Mimo że Dżogendra był współnikiem Akszaja w konspiracji, nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— Na wszystko w świecie błagam was, tylko nie mówcie nic o świętych charakterach. Boże nas broń od świętych!

A przecie nie dalej, niż wczoraj, ten sam Dżogendra pod niebiosa wynosił szlachetność charakteru Nali-



nakszy, a odstępców jego napiętnował jako złośliwych oszczerców.

— Dajże spokój, Dżogendro! — odezwał się jego ojciec — Tak mówić nie można. Ja osobiście wolę wierzyć, iż ludzie, sprawiający wrażenie cnotliwych, są cnotliwymi w rzeczywistości. Wolę się już czasem omylić, ale zawsze lepiej tak, niż wiecznie podejrzewać ludzi uczciwych i czystych, aby tylko samemu móc uchodzić za człowieka mądrego. Odczyt Nalinakszy nie opierał się na materiałach z drugiej ręki, przeciwnie, był owocem jego własnych doświadczeń i przeżyć duchowych, a mojem zdaniem rzecz ta podziałała orzeźwiająco i w sposób pokrzepiający ducha. Hipokryta nigdy nie wytworzy niczego, coby było czyste. Nie skleicie odczytu takiego, jak Nalinakszy, z materiału zapożyczonego, tak jak nigdy chemik nie potrafi zrobić sztucznego złota. Miałbym ochotę pójść do niego i podziękować mu osobiście.

— Obawiam się tylko, że jego zdrowie nie zniesie tych wysiłków! — mruknął Akszaj.

— Dlaczego? Czy może jest chorowity? — wykrzyknął Annada Babu.

— Zamało zwraca na siebie uwagi. Całe dni spędza na modlitwach i nad księgami, najzupełniej zaniedbując swe zdrowie.

— A, to bardzo źle z jego strony! — rzekł Annada Babu — Ciał swych zaniedbywać nie mamy prawa; nie myśmy je stworzyli. Gdybym tylko miał sposobność ku temu, niewątpliwie w krótkim czasie przywróciłbym mu zdrowie. Aby się zachować w dobrem zdrowiu, należy przestrzegać kilku zaledwie zupełnie prostych reguł. Pierwsza reguła jest...

Tu Dżogendra stracił cierpliwość.

— To przecie nie należy do rzeczy, proszę ojca! Nalinaksza Babu jest najzupełniej zdrów. Kiedy mu się dziś popołudniu przyglądałem, uderzyło mnie, iż przy świętym trybie życia można tak dobrze wyglądać. Doprawdy, mam chęć samemu spróbować.

— Nie wiem, Dżogendro! — odpowiedział Annada Babu — Ale to, co Akszaj mówi, może być zupełnie słuszne. Większość naszych wielkich ludzi umiera młodo. A źle zasługują się swemu krajowi, zaniedbując tak zdrowie. I tak być nie powinno. Wiesz co, Dżogendro, jestem pewny, że się mylisz co do Nalinakszy Babu. To materiał na wielkiego człowieka i stanowczo powinno mu się zwrócić uwagę, aby się szanował.

— Proszę pana! — rzekł Akszaj — Ja go tu przyprowadzę i zapoznam go z panem; przypuszczam, że tak będzie najlepiej, jeśli pan pragnie poważnie z nim porozmawiać. Ale to mi przypomina, że ten ekstrakt roślinny, który mi pan przepisał, kiedy się uczyłem do egzaminów, to wprost wspaniały środek podniecający, najlepszy „stimulans“ dla człowieka, pracującego umysłowo. Oto, gdyby się pan tak zabrał do Nalinakszy Babu i chciał...

Dżogendra zerwał się.

— Akszaj, bo zwaruję! Gadasz wierutne głupstwa! Nie mogę tego dłużej wytrzymać!

To rzekłszy, wybiegł z pokoju.

## ROZDZIAŁ V.

Annada Babu przed przelomem w sprawie Hernalini cieszył się wprawdzie doskonałym zdrowiem, ale mimo to miał zwyczaj bezustannego zażywania naj-

rozmaitszych pigulek, jakie mu przepisywali lekarze obu szkół, tak zachodniej, europejskiej, jak i tuziemczej. A teraz nagle stracił wszelką ochotę do zażywania lekarstw. Kiedy choroby istniały tylko w jego imaginationsi, uważał je za nadzwyczaj zajmujący temat rozmowy; czując się naprawdę niezdrowym, nikomu nic o tem nawet nie wspominał.

Właśnie zasnął był z wyczerpania w swym fotelu, a Hemnalini siedziała przy nim z robótką w ręku. Usłyszawszy na schodach kroki Dżogendry, położyła robótkę i wybiegła naprzeciw niego z przestrożą, aby ojca nie budził. Ku swemu wielkiemu zakłopotaniu ujrzała, że brat jej przyprowadził ze sobą Nalinakszę. Chciała wymknąć się do drugiego pokoju, ale Dżogendra nie pozwolił jej na to.

— Hem! — zawołał na nią — Przyprowadziłem Nalinakszę Babu. Pozwól, żebym ci go przedstawił.

Hem stała zmieszana, zaś Nalinaksza zbliżył się do niej i skłonił się, nie podnosząc na nią oczu.

Tymczasem Annada Babu zbudził się i wołał córki. Hem wróciła do jego pokoju i szeptem oznajmiła mu, iż przyszedł Nalinaksza Babu.

Dżogendra wprowadził swego gościa, zaś Annada Babu pospieszył, aby go powitać.

— To prawdziwe szczęście, że pan raczył nas odwiedzić! — wykrzyknął — O, kochana Hem, nie uciekaj, siadaj tutaj, przy mnie. Nalinaksza Babu, oto moja córka, Hem. Oboje zapragnęliśmy usłyszeć pański odczyt — przed paru dniami — i byliśmy nim zachwyceni. Jedna rzecz, którą pan między innymi powiedział — o tem, że nigdy nie można stracić tego, co się zupełnie posiadało i że prawdziwą stratą jest tylko niezupełne posiadanie — uderzyła mnie jako bardzo

głęboka prawda. Zgadasz się ze mną, Hem, prawda? Dowód własności zyskujemy dopiero wówczas, gdy dana rzecz przestaje do nas należeć, albowiem dopiero wtedy możemy się przekonać, czyśmy ją naprawdę posiadali czy nie. Ale otóż mam do pana prośbę, Nalin Babu! Gdyby pan chciał od czasu do czasu wstąpić do nas na pogawędkę, uważałbym to za wielką łaskę. My rzadko kiedy wychodzimy. Może pan być pewny, że o którejby pan godzinie nas odwiedził, zawsze zostanie pan córkę i mnie w tym pokoju.

Nalinaksza naprzód rzucił krótkie spojrzenie na spokojną twarz Hemnalini, a potem odpowiedział:

— Proszę, nie wyobrażajcie sobie państwo, że jestem jakimś napuszonym pedantem dlatego, iż z estrady wygłosiłem mnóstwo długich słów. Wogóle przystałem na ten odczyt tylko na uporczywe nalegania studentów — nigdy nie umiałem się oprzeć pokusie nudzenia ludzi — sądzę jednak, że z powodzeniem udało mi się zniechęcić ich do domagania się odemnie drugiej takiej dawki! Ci młodzi ludzie bynajmniej nie ukrywają, iż trzech czwartych mego odczytu zupełnie nie rozumieli. Pan był też między nimi, Dżogendro Babu, i niech pan nie myśli, że nie wzruszały mnie błagalne spojrzenia, jakie pan rzucał na zegarek.

— Po mnie niech pan nie sądzi. — rzekł Dżogendra — Jeśli wszystkiego nie rozumiałem, winna temu tylko moja niedostateczna inteligencja.

A n n a d a: Ostatecznie, Dżogen, są rzeczy zrozumiałe tylko dla ludzi, którzy doszli już do pewnego wieku.

N a l i n a k s z a: Tak jest, zaś prócz tego w pewnych latach nie potrzebuje się jeszcze rozumieć wszystkiego.

**A n n a d a:** Przepraszam pana, Nalin Babu, ale jest jeszcze pewien temat, który, korzystając ze sposobności, czuję, że poruszyć muszę. Ludzi podobnych panu zesłał Stwórca na świat dla wykonania pewnych prac i dlatego tacy ludzie nie powinni gardzić swem ciałem. Ten, od kogo wielu rzeczy oczekujemy, nie powinien marnować swego kapitału, albowiem w ten sposób utraci moc dawania.

**N a l i n a k s z a:** Jestem pewny, że gdy się poznamy bliżej, przekona się pan, iż niema na kuli ziemskiej takiej rzeczy, którąbym gardził. Przyszedłszy na świat, najzupełniej zależny byłem od miłości innych. Wiele pracy i trudów wielu ludzi kosztowało, zanim umysł mój i ciało stopniowo doprowadzono do dojrzałości. A tedy gardzić czemśkolwiek byłoby z mojej strony zuchwalstwem. Czego się samemu nie zbudowało, tego nie ma się prawa niszczyć.

**A n n a d a:** Bardzo słusznie, bardzo słusznie. Coś podobnego powiedział pan też w swoim odczycie.

**D ż o g e n d r a:** Przepraszam bardzo, ale ja muszę uciekać. Umówiłem się z kimś i czas na mnie, ale proszę sobie nie przeszkadzać.

**N a l i n a k s z a:** Zanim pan odejdzie, Dżogen Babu, muszę pana prosić o przebaczenie. Zapewniam pana, że nie mam zwyczaju nikogo krępować. Lepiej, żebym sobie poszedł; odprowadzę pana kawalek.

**D ż o g e n d r a:** Nie, proszę bardzo, niech pan zostanie. Proszę na mnie zupełnie nie zważać. Ja nie jestem w stanie usiedzieć długo na jednym miejscu.

**A n n a d a:** Istotnie, proszę nie zważać na Dżogendrę, Nalinaksza Babu. On przychodzi i odchodzi kiedy mu się podoba i nie łatwo przytwierdzić go do krzesła.

Po wyjściu Dżogendry Annada Babu zapytał Nalinakszy, gdzie mieszka.

Nalinaksza roześmiał się.

— Prawdę mówiąc, aż do tej chwili nie mógłbym być powiedzieć, że mieszkam w jakimś ściśle oznaczonym miejscu. Mam mnóstwo znajomych, którzy goszczą mnie u siebie. Nie miałbym nic przeciw temu, ale wkońcu przecie potrzeba trochę spokoju i własnego kąta. Wybawił mnie z kłopotu Dżogen Babu, który wynajął dla mnie parę pokoi w sąsiednim domu. Ta ulica robi wrażenie cichej i spokojnej.

Annadę Babu ta wiadomość bardzo ucieszyła, gdyby jednak był spojrzął na twarz swej córki, zauważyłby na niej z pewnością nagły skurcz bólu. Sąsiedni dom to był ten, w którym mieszkał swego czasu Ramesz.

W tej chwili służący oznajmił, że herbatę podano i całe towarzystwo zeszło do pokojów na dole.

— Hem, podaj Nalinowi Babu filiżankę herbaty!  
— zwrócił się do córki Annada Babu.

Jednakże gość, grzecznie dziękując, odmówił.

Annada: A cóż to takiego, Nalin Babu? Czyżbyś pan istotnie nie pijał herbaty? To może przynajmniej ciastko?

Nalinaksza: Szczerze proszę, bądźcie państwo łaskawi mi wybaczyć.

Annada: Jest pan lekarzem, więc śmieszne byłoby, gdybym ja zaczął panu dawać nauki. Jednakże co się mnie tyczy, uważam herbatę za pretekst do napicia się w trzy lub cztery godziny po obiedzie odrobiny gorącej wody, co mi pomaga w trawieniu. Jeśli pan do herbaty nie jest przyzwyczajony, możemy panu przyrzadzić bardzo słabą.

Nalinaksza spojrział nieśmiało w stronę Hemnalini i z twarzy jej wyczytał, iż jego opór uderzył ją nieprzyjemnie i że sili się na odgadnięcie prawdziwych jego przyczyn. Z wzrokiem utkwionym w jej twarzy zaczął mówić:

— Obawiam się, że zostałem źle zrozumiany. Ani na chwilę proszę nie przypuszczać, że mam jakieś przesądne uprzedzenia co do waszych zwyczajów. Swego czasu również regularnie pijałem herbatę, do dziś dnia lubię jej aromat i najzupełniej rozumiem tych, którzy w niej mają upodobanie. Ale państwo prawdopodobnie nie wiecie, iż, mimo to wszystko, poglądy matki mojej na czystość rytualną są bardzo surowe — a matka moja, prócz mnie, nie ma nikogo na świecie. Obowiązkiem moim jest unikanie wszystkiego, coby mogło zamącić serdeczność naszego stosunku i oto dlatego obecnie powstrzymuję się od herbaty. Duchowo dzielam najzupełniej przyjemność, jakiej państwo doznajecie w picciu herbaty, a moje skrupuły nie mogą mnie bynajmniej pozbawiać radości, jaką mi sprawia gościnność waszego domu.

Pierwsze słowa Nalinakszy brzmiały tak, iż Hemnalini doznała nieprzyjemnego wrażenia. Była przekonana, iż on nie tylko nie ukazuje się w prawdziwym świetle, ale przeciwnie, stara się ukryć swoją prawdę w potopie słów. Wrażenia tego doznała, ponieważ nie wiedziała, że poprostu nie umiał i nie był w stanie mówić z obcymi ludźmi bez przymusu i że przy pierwszym spotkaniu — wszystko jedno z kim — skutkiem wrodzonej nieśmiałości przybierał wyraz pewności siebie, od jakiej w rzeczywistości był bardzo daleki. Dlatego to, nawet kiedy próbował jak najszczerzej mówić, co myśli, odzywała się jakaś nuta fałszywa.

z której on sam dobrze zdawał sobie sprawę. To było też powodem, dla którego, kiedy nie mogący usiedzieć na jednym miejscu Dżogendra wstał, Nalinaksza, wyrzucając sobie w sumieniu swą nieszczerość, również próbował uciec. Jednakże, gdy tylko Nalinaksza wspomniał o swej matce, Hemnalini nie mogła powstrzymać się od rzucenia nań pełnego szacunku i podziwu spojrzenia, a jej serce otwarło mu się już najzupełniej, gdy zauważyła podniosły i poważny wyraz uwielbienia, jaki błysnął na jego twarzy na samo wspomnienie matki. Mimowoli chciała go nawet zapytać o nią, ale powstrzymała ją od tego nieśmiałość.

— Ma pan najzupełniejszą słuszność! — bez wahania przyznał Annada Babu, gdy Nalinaksza skończył mówić — Gdybym był o tem wiedział, nigdy nie zapraszałbym pana na herbatę. Proszę, chciej mi pan wybaczyć.

— I dlaczegóż miałbym być pozbawiony uprzejmego pańskiego zaproszenia tylko z tego powodu, że nie piję herbaty? — odpowiedział z uśmiechem Nalinaksza.

Po odejściu gościa Hemnalini wyprowadziła ojca na dach i tak długo czytała mu artykuły z jakiegoś miesięcznika bengalskiego, dopóki nie zasnął. Czcigodny starzec coraz częściej już w ten sposób ulegał opanowującemu go zmęczeniu.

## ROZDZIAŁ VI.

Znajomość Nalinakszy z Annadą Babu i jego córką wkrótce przybrała charakter poufalej zażyłości. Nie znając Nalinakszy, Hemnalini wyobrażała sobie, że rozmowa z nim może się toczyć tylko w granicach za-



gadnień duchowych i nie przypuszczała nawet, że o najpospolitszych sprawach dnia powszedniego można z nim tak samo swobodnie rozmawiać, jak z najzwyczajszymi ludźmi. Pokazało się wkrótce, że Nalinaksza jest zupełnie zdolny do prowadzenia lekkiej konwersacji, a tylko wśród najbardziej nieraz ożywionej rozmowy zachowywał swą minę człowieka, będącego duchem gdzieś bardzo daleko.

Pewnego dnia, kiedy Annada Babu i Hemnalinini właśnie zajęci byli rozmową z Nalinakszą, wpadł Dżogendra i natychmiast zwrócił się do ojca.

— Czy ojciec słyszał coś podobnego! — wykrzyknął — Ludzie z sekty Samadz zaczynają nazywać nas „uczniami Nalinakszy Babu.“ Przed chwilą na dobre pokłóciłem się o to z Gareszem.

— Nie widzę w tem żadnego powodu do obrazy! — rzekł Annada Babu z uśmiechem — Wstydzilibym się być członkiem społeczeństwa, w któremby byli sami nauczyciele a żadnych uczniów. Każdyby tam wprawdzie jak najgłośniej udzielał nauk, ale niczego nie możnaby się nauczyć.

N a l i n a k s z a: Zaciągam się pod pański znak, Annada Babu. Bądźmy wszyscy uczniami. Obejdziemy wszystkich dokoła, zatrzymując się wszędzie, gdzie będzie można czegoś się nauczyć.

Lecz Dżogendra bynajmniej nie myślał się poddać.

— Wszystko to bardzo ładnie — odezwał się — ale, moi państwo, to sprawa zupełnie poważna. I jakżeż to może być, Nalin Babu? Toż własnym pańskim znajomym, nawet krewnym, nie wolno pana odwiedzać, bo natychmiast przylgnie do nich zaszczytny tytuł pańskich „uczniów“! Trudno się śmiać z takiej obrazy. Powinienbyś pan stanowczo zaprzestać tych swoich praktyk.

Nalínaksza: Jakich praktyk?

Dżogendra: Ludzie mówią, że pan oddychasz nozdrzami, jak Jogi, że się pan wpatruje we wschodzące słońce, że pan nie może ani jeść ani pić bez najrozmaitszych obrzędów. W ostatecznym rezultacie masz pan opinię człowieka, który wychodzi z formy, czyli — jak się to u nas, między zwykłymi ludźmi z towarzystwa, mówi — „wychodzi z pochwy.“

Hemnalini, zawstydzona tym nieprzyzwoitym wybuchem Dżogendry, spuściła wzrok, ale Nalinaksza uśmiechnął się tylko.

— Dobrze, Dżogen Babu! — odpowiedział — Przyznaję, że człowiek, który wychodzi z formy, wśród zwykłych ludzi z towarzystwa jest nie na miejscu, jednakże żaden człowiek, podobnie jak i miecz, nie może wiecznie tkwić w pochwie! Ta część miecza, którą ukrywa pochwa, jest właśnie najistotniejszą częścią broni, wspólną wszystkim mieczom. Tylko na rękojeści może sobie płatnerz pozwolić na różne ozdoby i rysunki, mające świadczyć o jego indywidualnych upodobaniach i zręczności. To też i człowiekowi wolno, dla pokazania swej własnej, indywidualnej marki, wyskoczyć z pochwy konwencjonalnych form i pan z pewnością nie zechce go tego prawa pozbawić! Co mnie jednak dziwi, jak ludzie mogą widzieć i omawiać publicznie, co ja robię zdala od nich, w zamknięciu swych własnych czterech ścian.

Dżogendra: Pan najprawdopodobniej nie wie, iż ci, którzy podjęli się zadania odrodzenia świata, uważają za swój święty obowiązek wiedzieć, co się dzieje w domach sąsiadów. Nawet, jeśli nie mają żadnych szczególniejszych faktów, potrafią w inny jakiś sposób braki te sobie uzupełnić. I tak być musi,

inaczej proces przebudowy świata zostałby w swym rozwoju wstrzymany. Poza tem, Nalin Babu, zawsze, gdy tylko ktoś robi rzeczy niezwykle, choćby nawet w rzekomem zamknięciu swych czterech ścian, ludzie zwracają na to uwagę. Jeśli pan będzie żył jak wszyscy inni, nikt na pana nawet nie spojrzy. Jakżeż, przecie nawet Hem zauważyła pańskie praktyki na dachu pańskiego domu i powiedziała o nich ojcu, a chyba ona nie ma najmniejszego zamiaru nawracania pana na nową wiarę.\*

Wyraz twarzy Hemnalini jasno świadczył o oburzeniu, jakie słowa te w niej wywołały. Już chciała się odezwać, gdy Nalinaksa zwrócił się do niej.

— Niema się pani czego wstydzić. Cóż jest złego w tem, że wyszła pani na dach zaczerpnąć trochę świeżego powietrza przypadkiem właśnie w czasie mej porannej czy wieczornej modlitwy? Nie potrzebuje się pani wstydzić, że pani posiada parę oczu; ten grzech jest nam wszystkim wspólny.

Anna da: Co więcej, Hem nigdy nie krytykowała pańskich codziennych obrzędów. Poprostu i z całym szacunkiem dla nich, prosiła mnie tylko o ich wytlomaczenie.

Dżogendra: Faktem jest, że pańskiego punktu widzenia nie pojmuję. Nie widzę nic złego w zwykłym trybie i sposobie życia i nie mogę dopatrzeć się żadnej korzyści w uprawianiu jakichś dziwnych, tajemniczych praktyk. Tego rodzaju historie prowadzą do naruszenia równowagi umysłowej i robią człowieka jednostronnym. Niech pana słowa moje nie obrażają, ja, widzi pan, jestem bardzo zwykłym, przeciętnym śmiertelnikiem. Zajmuję jedno z najniższych miejsc w teatrze świata, a tych, którzy siedzą na wyso-

kościach, nie mogę dotknąć inaczej, jak tylko rzucając na nich kawałkiem cegły czy kamieniem. Ludzi takich, jak ja, jest niezliczone mnóstwo, i dlatego, jeśli pan zostawi ich za sobą, a zacznie się piąć w swój własny, nierealny świat, stanie się pan celem niezliczonych cegieł.

Nalina ksz a: Owszem, ale są cegły i cegielki. Niektóre drasną tylko, po innych mogą zostać niczem niestarte ślady. Może pan nazwać człowieka szalonym czy dziecinnym — nie będzie w tem jeszcze żadnego nieszczęścia, ale niechże go pan nazwie manjakiem religijnym, niech mu pan zarzuci, że chce uchodzić za proroka, któryby uczniów dokoła siebie zgromadzać zamierzał, rzecz będzie się przedstawiała znacznie poważniej.

Dżogendra: Jeszcze raz muszę pana prosić, aby mi pan nie brał za złe tego, co powiem, Nalin Babu. Może pan sobie robić, co się panu podoba, na swoim dachu, nie mam prawa zabraniać panu tego. Tylko jedno chciałbym zaznaczyć: Dopóki ktoś trzyma się granic konwencjonalnych, niema powodu do zwracania na niego uwagi. Ja osobiście najzupełniej jestem zadowolony z tego, że chodzę temi samemi ścieżkami co inni. W chwili, kiedy pan poza granice wykroczy, natychmiast musi się dokoła pana zebrać tłum. Mniejsza z tem, czy ten tłum wydrwiwa pana czy uwielbia — życie wśród tłumu jest nie do zniesienia!

Nalina ksz a: Oho, dokąd pan ucieka, Dżogen Babu? Stracił mnie pan z dachu mego domu na prozaiczne niziny podłogi, a teraz chce pan zmykać?

Dżogendra: Mam dość na dzisiaj. Muszę się trochę przejść.

Po wyjściu brata, Hemnalini siedziała przez dłuższy czas ze spuszczonei oczami, skubiąc nerwowo frendzle obrusa. Ktoby się jej bliżej przyjrzał, zobaczyłby, że w oczach jej kręą się łzy. Codzienny kontakt z Nalinakszą wyleczył ją z jej dotychczasowych braków charakteru i Hemnalini wszelkiemi siłami starała się iść dalej wskazaną sobie drogą. W godzinach próby, kiedy napróżno szukała pomocy z zewnątrz lub z wewnątrz, Nalinaksza pokazał jej świat w nowem świetle, a teraz zwolna coraz więcej zaczęła się jej uśmiechać myśl poddania się, wzorem zakonnice, ścisłej dyscyplinie wewnętrznej, która sama przez się mogłaby się stać jej podporą.

Było to naturalne tembardziej, iż cierpienie nie jest uczuciem, któreby poprzestawało wyłącznie na istnieniu w pewnym swym kształcie w duchu, lecz szuka dla siebie zawsze wyjścia w wykonaniu jakiegoś trudnego zadania. Dotychczas Hemnalini nie była zdolna do żadnego takiego wysiłku i, unikając życia publicznego, pielęgnowała swój ból w najtajniejszej izdebce swego serca. Wielką ulgę sprawiło jej, kiedy powzięła postanowienie wejścia w ślady Nalinakszy i poddania się ścisłej dyscyplinie i bezmięsnej diecie. Posunąwszy się konsekwentnie dalej, zaczęła chodzić w swym pokoju boso. Maty i kobierce usunięto i schowano, jej łóżko ukryto za firanką. Codzień własnorecznie skrapiała wodą podłogę w swym pokoju i sama ją zamiatała. Jako jedyną ozdobę pozostawiła sobie dzban z kwiatami. Po kąpieli ubierała się w niepokalaną biel i siadała na podłodze, całą swą istotą nurzając się w powiewach nieba i blasku słonecznym, bez przeszkody wlewającym się przez otwarte okna i wypełniającym pokój.

Annada Babu nie mógł się wznieść na te wyżyny ekstazy religijnej co córka, niemniej miłym był starcowi promienny blask, który na twarz Hemnalini rzucała dobrowolna dyscyplina, jakiej się poddała. Gdy Nalinaksza przychodził, siadali we trójkę na podłodze w pokoju Hemnalini i tam rozmawiali.

Dżogendra głośno wyrażał swoje niezadowolenie.

— Nie wiem, co się wam wszystkim stało! — mruzczał — We trójkę prawie cały dom zamieniliście w świątynię. Doprawdy, tu chyba niema miejsca, gdzieby człowiek taki, jak ja, mógł nogę postawić.

Dawniej Hemnalini czułaby się takimi drwinami brata srodze obrażona, dziś jednak, choć smagany sarkazmem Dżogendry, gniew Annady Babu czasem wybuchał, Hemnalini, stosując się do wskazówek Nalinakszy, uśmiechała się tylko łagodnie. Nareszcie znalazła pociechę i podporę zarazem pewną, niezawodną, zupełną; wstydić się jej byłoby pogardy godną słabością. Wiedziała bardzo dobrze, że znajomi uważają jej ascetyzm za zwykłą ekscentryczność, ale wiara w Nalinakszę i podziw dla jego ideałów uzbroiły ją przeciw całej ludzkości tak, iż bez trwogi patrzyła w twarz świata.

Pewnego dnia, gdy po kąpieli i modlitwach, pogrążona w rozmyślaniach siedziała przed otwartem oknem w samotności swego pokoju, Annada Babu wprowadził Nalinakszę. Serce Hemnalini było przepełnione uczuciem. Ruchem pełnym szacunku, należnym tylko czczonemu ojcu lub czcigódnemu nauczycielowi, padła przed każdym z osobna na ziemię i dotknęła pyłu ich stóp, ku wielkiemu zmieszaniu Nalinakszy.

Ale Annada Babu wybawił go z kłopotu.

— Niech się pan uspokoi! — rzekł — Postąpiła tylko jak należy.

Ponieważ Nalinaksza nigdy nie przychodził tak wcześniej, Hemnalini wyczekująco patrzyła mu w twarz. Oświadczył, iż otrzymał z Benares wiadomość, że matka jego jest chora; wieczorem wyjedzie z Kalkuty nocnym pociągami, dzień cały zajmą mu przygotowania do podróży, wobec tego skorzystał z poranku i przyszedł się pożegnać.

— Bardzo mi przykro słyszeć, iż matka pańska jest chora — rzekł Annada Babu — Oby Niebo jak najprędzej przywróciło jej zdrowie. Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się panu za pomoc, jakiej nam pan użyczył w ciągu tych ostatnich kilku tygodni.

— To ja jestem pańskim dłużnikiem, zapewniam pana! — odparł Nalinaksza — Okazaliście mi państwo prawdziwie sąsiedzką życzliwość, zadając sobie trud niesienia mi pomocy. Prócz tego, powaga, z jaką wzięliście sobie do serca zaprzętające mnie w ostatnich czasach, głębokie problemy, nadała im nową treść. Wasz sposób życia służył mi za natchnienie w mych rozmyślaniach i modlitwach i uczynił je podwójnie owocnymi. Dopiero teraz zrozumiałem, jak błogie są skutki pożycia z bliźnimi wspólnych aspiracji.

— Najdziwniejszem jest — zastanawiał się Annada Babu — że, zanim poznaliśmy pana, odczuwaliśmy gwałtowną potrzebę czegoś, czego jednak nie umieliśmy określić. W tym momencie pan zjawił się naraz na widowni i w tej chwili zrozumiałem, że pańska pomoc jest nam nieodzowna. Jesteśmy ludźmi, przesiadującymi najchętniej w domu i nie bardzo udzielającymi się, nigdy też nie podzielaliśmy powszechnego upodo-

bania w uczęszczaniu na zgromadzenia i słuchaniu mów; nawet gdy ja sam szedłem, nie łatwo przychodziło mi namówić Hem, aby mi towarzyszyła. To, żeśmy poszli wtedy, było istotnie cudem. Jak tylko Dzogen oznajmił nam, iż pan ma wygłosić odczyt, pośpieszyliśmy czemprędzej bez najmniejszego ociągania się — rzecz wprost niebywała, zapewniam pana, Nalin Babu! Nigdyby się coś podobnego nie stało, gdybyś pan nie był zesłany przez Opatrzność, aby nam w ciężkiej chwili pomóc. Pozostaniemy na wieki pańskimi dłużnikami.

N a l i n a k s z a: Pozwoli pan, że teraz ja z kolei coś powiem. Nigdy nikogo, prócz państwa, nie wtajemniczałem w pewne fakta z mego życia, mnie tylko obchodzące. Aby osiągnąć najwyższy szczyt prawdomówności, należy odkryć wszystkie swoje tajemnice. Ja dopiero dzięki waszej pomocy zdobyłem się na siłę, potrzebną do osiągnięcia tej cnoty. Niech to wystarczy dla zaznaczenia, jak niezbędnymi państwo byliście dla mnie.

Hemnalini nie brała udziału w tej rozmowie, lecz siedziała w cichej kontemplacji światła słonecznego które wpadało przez okna i odbijało się dokoła niej od podłogi. Dopiero kiedy Nalinaksza zaczął się żegnać, rzekła poprostu:

— Proszę napewno dać nam znać, jak się pańska matka miewa.

Zaś, gdy wstał, aby odejść, jeszcze raz padła przed nim na twarz.

## ROZDZIAŁ VII.

Akszaj dłuższy czas nie pokazywał się u Annady Babu, ale po odjeździe Nalinakszy do Benares Dzogendra znowu przyprowadził go na herbatę. Akszaj



przypuszczał, iż z zachowania się Hemnalini będzie mógł wywnioskować, do jakiego stopnia prześladowało ją jeszcze wspomnienie Ramesza, jednakże znalazł ją najzupełniej swobodną i opanowaną.

— Dawno już nie widzieliśmy pana! — przywitała go ze szczerą życzliwością.

— Czyż godzin jestem, aby mnie widywać codzień? — odpowiedział.

— Och! — roześmiała się Hemnalini — Jeśli pan istotnie przypuszcza, że, aby kogoś odwiedzić, trzeba być aż godnym widzenia, wielu z nas musiałoby spędzić życie w zupełnej samotności.

Dżogendra: Akszaj myślał, że weźmie nagrodę za pokorę, ale Hem ma w tem więcej wprawy i tą cnotą pragnie wszystkich przewyższyć. Chciałbym jednak i ja wtrącić tu swe słówko. Przeciętni, zwykli śmiertelnicy, jak ja, wystarczają jako towarzystwo na codzień; trafiają się też czasem ludzie wyjątkowi, tych jednak można widywać od czasu do czasu; spotykać się z nimi często byłoby rzeczą nie do zniesienia. Oto dlaczego oni waleśają się po puszczech i górach, lub przesiadują w jaskiniach. Gdyby się sprowadzili na stałe do mieszkań ludzkich, pokorni prostaczkowie, jak Dżogendra i Akszaj, musieliby uciec do lasu.

W słowach Dżogendry ukryte było żądło i Hemnalini wiedziała o tem, jednakże, nie odpowiadając zupełnie, nalala każdemu z panów filiżankę herbaty.

— A ty nie pijesz? — spytał brat.

Hemnalini wiedziała, że ściągnie na siebie gniew Dżogendry, ale odpowiedziała spokojnie:

— Nie, wyrzekłam się herbaty.

Dżogendra: Jak widać — asceza nie na żarty! Liście herbaty nie zawierają dość prawdziwej

esencji duchowej, nieprawdaż? Ta jest oczywiście dopiero w przeczyszczających ziólkach, których używają asceci. Ale tego już naprawdę dość! Na miłość boską, Hem, daj sobie z tem spokój! Nie sędzę, aby wypicie filiżanki herbaty mogło udaremnić twą pokutę. Najtrwalsze rzeczy trwają krótko, więc poco sobie głupstwami głowę zawracać!

To mówiąc nalał jeszcze jedną filiżankę herbaty i postawił ją przed Hemnalini.

Nie tknąwszy jej nawet, wykrzyknęła:

— Cóż to, tatusiu, tatuś nic nie je do herbaty? Nie chce tatuś jeść?

Annada Babu odpowiedział dopiero po chwili, a głos mu drżał, gdy mówił:

— Wierz mi, kochanie, gdybym nawet chciał w tej chwili co zjeść, przez gardłoby mi nie przeszło. Długo już staram się w milczeniu znosić ordynarne zaczepki Dżogendry, ale doszedłem do takiego stanu rozdrażnienia, że gdy się odzywam, boję się, abym w uniesieniu nie powiedział czegoś takiego, czegobym później musiał żałować.

Hemnalini wstała i podeszła do fotelu ojca.

— Niech się tatuś nie gniewa! — rzekła z cicha — To przecież tylko uprzejmość ze strony Dżogendry, że nalał mi filiżankę herbaty i ja się zupełnie o to na niego nie gniewam. No, ale teraz koniecznie trzeba coś zjeść. Ja przecież dobrze wiem, że bez jakiegoś ciastka herbata tatusiowi nie smakuje.

Przyniosła talerz ciastek, które postawiła przed ojcem.

Annada Babu zaczął jeść bardzo powoli.

Hemnalini wróciła na swoje miejsce i już chciała wypić herbatę, którą jej nalał Dżogendra, gdy wtem skoczył Akszaj, wołając:

— Przepraszam, ale niech pani mnie da tę filiżankę. Ja już swoją wypilem.

Dzogendra wstał, odebrał Hemnalini filiżankę a potem, zwróciwszy się do ojca, rzekł:

— Bardzo mi przykro, proszę mi przebaczyć.

Annadzie Babu głosu nie stało na odpowiedź, tylko łzy zakręciły mu się w oczach. Dzogendra i Akszaj wymknęli się pocichu z pokoju. Zjadłszy parę kęsów, Annada Babu także wstał, oparł się na ramieniu córki i podreptał na górę.

W nocy dostał silnego ataku jakichś bólów. Trzeba było zawołać doktora, który skonstatował jakieś wewnętrzne stany zapalne. Jednakże, jego zdaniem, roczny albo półroczny przynajmniej pobyt w którejkolwiek zdrowej miejscowości mógł choremu zupełnie przywrócić zdrowie.

— Hem, moje dziecko! — rzekł staruszek, kiedy mu się zrobiło trochę lepiej i lekarz już odszedł — Jedźmy na jakiś czas do Benares.

Ten sam pomysł równocześnie błysnął w głowie Hemnalini.

Od czasu, jak Nalinaksza wyjechał, spostrzegła, że jakoś słabnie w modlitwach. Dopóki był przy niej, znajdowała w swych umartwieniach niezawodną pociechę, zaś żar jego niewyciężonej religijności i spokojna słodycz, opromieniająca jego twarz, stanowiły niemalą podporę jej wiary.

W czasie jego nieobecności doznała wrażenia, jak gdyby gorliwość jej zmniejszyła się, mimo iż od dnia jego wyjazdu zacięcie walczyła ze swemi skłonnościami i ze zdwojoną energją starała się kroczyć jego śladami. Zwolna jednak zaczynało ją ogarniać znużenie, które

zmieniało się w takie przygnębienie, iż łez dłużej po wstrzymać nie mogła.

Podczas podwieczorku dokładała wszystkich sił, aby się zmusić do gościnności, ale brzemień jakiegoś uciskało jej serce, a bolesne wspomnienia wracały w coraz to okropniejszej postaci. Wróciła rozpacзлиwa świadomość, iż dla niej niema już żadnej nadzieji. Dlatego propozycja ojca była jej bardzo na rękę i Hemnalini natychmiast się tej myśli chwyciła.

— Dobrze, jedźmy do Benares, tatusiu! — wykrzyknęła.

Gdy Dżogendra, zauważywszy na drugi dzień zamieszanie, spowodowane przygotowaniami do podróży, spytał, co to ma znaczyć, ojciec oznajmił mu, że wyjeżdża wraz z Hemnalini na świeże powietrze.

— Dokądże to? — wypytywał Dżogendra.

— Musimy się naprzód rozejrzeć, zanim postanowimy, gdzie osiąść — odpowiedział Annada, który nie chciał, aby syn wiedział, iż celem ich podróży jest Benares.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę ojcu towarzyszyć — rzekł Dżogendra — Wniosłem podanie o posadę kierownika szkoły i czekam właśnie na odpowiedź.

## ROZDZIAŁ VIII.

Ramesz wrócił z Allahabadu do Ghazipuru wczesnym rankiem. Ulice były jeszcze puste a w przenikliwym chłodzie poranka zziębnięte drzewa zdawały się otulać swemi liściastymi okryciami, jakby szukały ciepła. Nad każdym domem wisiała kosmata mgła, podobna do łabędzia, wysiadującego jaja. Jadąc pu-

stemi ulicami do swego domu, otulonego kosmatym, białym kozuchem, Ramesz nie słyszał nic, prócz gwałtownego bicia swego serca.

Zatrzymał dorożkę u bramy ogrodu i wysiadł; Kamala z pewnością usłyszała turkot kół i oczekuje go na werandzie. Przywiózł jej z Allahabadu kosztowny naszyjnik, który chciał własnoręcznie włożyć jej na szyję. Z obszernej kieszeni płaszcza wyjął pudełeczko, zawierające ten klejnot. Jednakże, zbliżywszy się do domu, spostrzegł, że wszystkie drzwi są zamknięte, zaś służący, Bisan, śpi mocno na werandzie. Nieprzyjemnie dotknięty, stanął na chwilę a potem głośno zawołał po imieniu Biszana, w nadziei, że głos jego przedostanie się do wnętrza domu i zbudzi śpioszkę. Zaiste, chłodne było to powitanie! A on myśląc o niem, pół nocy oka zmrużyć nie mógł z podniecenia!

Ale nawet ponowne wołania nie zbudziły Biszana, tak, że Ramesz zmuszony był wreszcie chwycić go za ramię i dobrze nim potrząsnąć. Służący usiadł i przez chwilę rozglądał się osłupiały.

— Czy pani w domu? — spytał Ramesz.

Bisan przez mgnienie oka patrzył na niego bezmyślnie, a potem nagle zrozumiał pytanie.

— Tak, jest w domu! — mruknął sennie a, opadłszy znów na posłanie, przewrócił się na drugi bok.

Ramesz pchnął drzwi, wszedł do domu i zaczął chodzić z pokoju do pokoju; nie było w domu nikogo.

Wołał: — Kamalo, Kamalo! — ale nie było odpowiedzi.

Tymczasem słońce wstało, wrony pobudziły się i zaczęły krakać, a na podwórzu u studni zjawiono się parę wiejskich dziewcząt, które ze stągwiemi na głowach przyszły po wodę.

W obmurowanem podwórzu po drugiej stronie drogi, wieśniaczki melody w żarnach pszenicę, przyśpiewując sobie piskliwemi, fałszywemi głosami.

Wróciwszy do domu, Ramesz znalazł Biszana znowu pogrążonego w głębokim śnie. Pochyliwszy się nad nim i trzęsąc nim z całej siły, zauważył, iż czuć od niego silnie wino palmowe. Brutalne potrząsanie przywróciło Biszanowi częściowo przytomność, tak, że zdołał dźwignąć się na nogi.

— Gdzie jest pani? — badał go Ramesz.

— Jakżeż, z pewnością jest w domu.

R a m e s z : Nie gadaj głupstw, niema jej w domu!

B i s z a n : Ależ z całą pewnością przyszła tu wczoraj!

R a m e s z : Dokąd poszła potem?

Biszana wstał z szeroko otwartymi ustami, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a w tej chwili zjawił się Umesz, strojny w suknie Kamali, z oczami czerwonymi z bezsenności.

— Gdzie matka, Umesz? — zapytał go pan.

— Była tu wczoraj.

— Gdzie ty byłeś?

— Matka kazała mi iść na przedstawienie do Sidhu Babu.

— Panie, a co będzie z moją zapłatą? — odezwał się w tej chwili doręczkarz.

Ramesz skoczył do dorożki i pojechał prosto do domu wuja.

Panowało tam okropne zamieszanie, tak, że Ramesz w pierwszej chwili myślał, iż Kamala zachorowała, ale pomylił się. Późnym wieczorem ku wielkiemu przerażeniu całej rodziny Umi zaczęła nagle krzyczeć,

twarz jej posiniała, rączki i nóżki stały się zimne jak lód. Cały dom czuwał nad nią i nikt tej nocy oka nie zmrużył. Myśląc, iż Kamalę prawdopodobnie też zawołano do chorego dziecka i że ona pomagała je ratować, Ramesz rzekł do Bipina:

— Kamala musiała się bardzo zmartwić chorobą dziecka.

Bipin nie wiedział napewno, czy Kamala przyjechała w nocy czy nie, dlatego kiwnął tylko głową i odpowiedział:

— Tak, ona bardzo kochała Umi i z pewnością musi być istotnie niespokojna. Ale doktor powiedział, że niema żadnego niebezpieczeństwa.

Brzmiało to wprawdzie uspokajająco, mimo to jednak nadzieje i oczekiwania Ramesza zostały znów zawiedzione. Przygnębiło go to. Zdawało mu się, jakby jakaś złośliwa siła pracowała wciąż przeciw jego połączeniu się z Kamalą.

Nadszedł Umesz. Chłopak miał wolny dostęp do kobiecej części domu, a Sailadża bardzo go lubiła.

Widząc go wchodzącego do domu i kierującego się ku jej pokojowi, wybiegła naprzeciw niego do drzwi, znakami dając mu do zrozumienia, aby się zachowywał cicho i nie budził dziecka. Ku jej wielkiemu zdumieniu Umesz zapytał jej, gdzie Kamala.

— Jakże, mój drogi, sam ją przecie odprowadziłeś wczoraj do domu — rzekła Sailadża — Chciałem jej na noc posłać Laczminję, ale Umi zachorowała i nie mogłam.

— Więc jej tu niema? — jęknął Umesz.

— Co przez to rozumiesz? — zaniepokoiła się Saila — Gdzieżeś był całą noc?

Umesz: Matka nie chciała, żebym został przy niej. Kiedyśmy przyszli do domu, wygoniła mnie i kazała mi iść na przedstawienie do Sidhu Babu.

Saila: Z ciebie też gagatek! A gdzie Bisan?

Umesz: Bisan o niczem nie wie. Wy pił wczoraj za dużo palmowego wina.

Saila: Zawołaj zaraz mojego męża, śpiesz się, leć!

— Słuchaj! — wykrzyknęła, gdy Bipin się pojawił — Okropna rzecz się stała.

Bipin zbladł.

— Co takiego? Co się stało? — zawołał zaniepokojony.

Saila: Kamala poszła wczoraj do siebie, do domu, a dziś jej tam nie znaleziono.

Bipin: Nie było jej u nas dziś w nocy?

Saila: Oczywiście, że nie. Chciałam nawet posłać po nią, ale Umi naraz zachorowała i już nie było kogo posłać. Ramesz Babu tu jest!

Bipin: Teraz się domyślam! Nie znalazłszy jej w domu, był pewny, że ona jest tutaj i dlatego przyszedł! Tak, Ramesz jest u nas.

Saila: Idź z nim natychmiast, szukajcie Kamali! Umi śpi, jest już zdrowa.

Ramesz i Bipin pojechali natychmiast i znowu wzięli na spytki Biszana. Zjednoczonymi siłami udało się im wreszcie wyciągnąć z niego trochę nic nie mówiących szczegółów:

Późnem popołudniem Kamala wyszła z domu sama, kierując się ku rzece. Bisan ofiarował się towarzyszyć jej, ale ona kazała mu zostać w domu i dała mu rupję. Stał na warcje w bramie, a kiedy tak stał, pokazał się naraz wędrowny handlarz, niosący



dzban świeżutkiego wina palmowego, pieniacego się i musującego. Co się dalej stało, tego sobie dobrze nie przypomina.

Na żądanie pokazał im ścieżkę, którą Kamala poszła ku Gangesowi.

Ramesz, Bipin i Umesz natychmiast wyruszyli tą dróżką przez mokrą od rosy trawę na poszukiwanie Kamali. Umesz, rzucający to w jedną to w drugą stronę dzikie spojrzenia, podobny był do tygrysy, której ukradziono młode.

Dotarłszy do brzegu rzeki, stanęli.

Rozciągał się przed nimi szeroki widok na lśniącą w promieniach wschodzącego słońca, nieskończoną, piaszczystą pustynię, ale nigdzie nie widać było żywej duszy.

Umesz krzychał głośno:

— Matko, gdzie jesteś?

Odpowiadało tylko echo, które odrzucało mu z powrotem przez rzekę jego słowa z wysokości przeciwległego brzegu.

Rozglądając się dokoła, Umesz ujrzał w dali coś białego. Przybiegłszy, znalazł tuż nad wodą pęk kluczy, zawinięty w białą chusteczkę.

— Halo, a to co takiego? — zapytał Ramesz, który nadbiegł razem z nim.

Były to klucze Kamali. Niedaleko kluczy na brzegu było trochę mułu i w tym miękkim ile widać było dwa głębokie ślady drobnych stópek, zmierzających prosto ku wodzie. Naraz bystry wzrok Umesza odkrył w płytkiej wodzie jakiś błyszczący przedmiot. Kiedy go wyjął z wody, pokazało się, że była to mała emaljowana broszka, oprawna w złoto, dar Ramesza dla Kamali.

Zrozumiawszy, iż wszystkie ślady prowadzą do Gangesu, Umesz wpadł w rozpacz.

Z krzykiem „Matko, o, matko!” skoczył w płytką wodę i, zanurzając się raz po raz jak szalony w wodę, rwał dno rękami, aż się woda dookoła niego zmąciła.

Ramesz, oszołomiony, słowa nie mógł wyjąkać, zato Bipin wołał na Umesza:

— Co ty wyrabiasz! Wyłaż mi z wody!

— Nie chcę, nie wyjdę! — parsknął Umesz — O, matko, jakże mogłaś tak odejść i zostawić mnie.

W rzeczywistości Bipin nie miał przyczyny niepokoić się, bo chłopak pływał jak ryba i nie utonąłby, z pewnością, nawet gdyby chciał. Wreszcie zmęczyło go to nurzanie się w wodzie, więc, wyszedłszy na brzeg, tarzał się w piasku i płakał głośno.

Chcąc Ramesza zbudzić z odrętwienia, Bipin położył mu rękę na ramieniu.

— Chodźmy, Ramesz Babu! — rzekł — Tracimy tu tylko napróżno czas. Trzeba będzie dać znać policji; oni sami tam zarządzą wszelkie możliwe poszukiwania.

Nikt z rodziny Sailadży przez ten dzień nie wziął nic do ust ani nie zdrzemnął się, a cały dom rozbrzmiewał płaczem i narzekaniami.

Najęto rybaków, którzy starannie przeszukali rzekę, zaś policja przetrząsnęła całą okolicę. Przeprowadzono też śledztwo na dworcu kolejowym, ale ani jedna Bengalka, podobna z opisu do Kamali, nie wsiadła w nocy do żadnego pociągu.

Tego dnia popołudniu wrócił wuj Czakrabartti, a wysłuchawszy szczegółowego opowiadania o wypadku i o dziwnem zachowaniu się Kamali przed jej zniknięciem, przyszedł do niezłomnego przekonania, że popełniła samobójstwo.

— Teraz rozumiem — odezwała się Laczminja — dlaczego Umi tak wczoraj płakała i co się jej stało. Trzeba będzie dobrze czary odczynić.

Ramesz był do tego stopnia ogłuszony ciosem, iż jednej łzy nawet nie wylał.

— Pomyśleć tylko — mówił sobie — że Kamala przyszła do mnie z Gangesu i została znów pochłonięta przez Ganges nakształt niewinnego kwiatu, który człowiek nabożny rzucił w rzekę!

Po zachodzie słońca poszedł znów nad rzekę, a stanąwszy w miejscu, gdzie znaleziono klucze, przez długi czas przyglądał się śladom drobnych stópek. A potem zdjął trzewiki, zakasał suknie, a wszedłszy w rzekę, wyjął z pudełka przywieziony z Allahabadu naszyjnik i z rozmachem rzucił go daleko w rzekę.

Tegoż dnia wyjechał z Ghazipuru, ale mieszkańcy domu wuja Czakrabartti tak byli wówczas przejęci nieszczęściem, że nikt jego nieobecności nie zauważył.

## ROZDZIAŁ IX.

Przyszłość Ramesza była teraz beznadziejna. Nie miał już na co czekać, nie miał stałego zajęcia, stałego miejsca zamieszkania. Nie zapomniał wprawdzie Hemnalini, mimo to odsuwał wszelką myśl o niej.

— Straszliwy cios, jaki Los mi wymierzył, na zawsze już zrobił mnie niezdolnym do życia i spraw tego świata! — rzekł sobie w duchu — Cóż w gaju po drzewie, rozszczepionem przez piorun.

Szukał ukojenia w podróży i jeździł bez wytchnienia od jednego miasta do drugiego. Przyglądał się wspaniałemu widokowi „ghatów“ Benares, jadąc

łodzią środkiem Gangesu. Był w Delhi i wszedł na Kutub Minar, stamtąd udał się do Agry, gdzie podziwiał Tadź Mahal przy świetle księżyca. Z Amritsaru, z jego Złotą Świątynią, wyjechał znów do Radżputany i odbył pielgrzymkę do cudownych kaplic na górze Abu. Coś go wciąż gnało z miejsca na miejsce, ale ani duch ani ciało nie zaznało w tej włóczędze chwili spokoju.

Wreszcie cgarnęła go nostalgia i myśli jego pobiegły ku jego domowi — cichemu domowi z lat dziecińczych, teraz prawie zapomnianemu, ku wysnionemu idealnemu domowi z marzeń. Kiedy nostalgia stała się zbyt silną, położył nagle koniec wędrówkom, przy pomocy których spodziewał się znaleźć jakąś ulgę w swej nędzy. Kupił bilet do najbliższego pociągu pośpiesznego do Kalkutty i z głębokim westchnieniem zajął w nim miejsce.

Kilka dni bawił w Kalkucie, zanim zdobył się na odwagę pokazania się w Kalutoli. Jednego wieczoru dotarł aż do ulicy, przy której dawniej mieszkał, na drugi dzień udał się wprost do domu Annady Babu. Wszystkie drzwi i okna były szczelnie pozamykane, zaryglowane i zdawało się, jak gdyby dom stał pustką. Przypuszczając, że zastał przynajmniej służącego, Suchana, prawdopodobnie pozostawionego do pilnowania domu, pukał przez dłuższy czas do drzwi i wołał Suchana po imieniu, ale bez żadnego rezultatu. Wreszcie zwrócił się do niego sąsiad Annady Babu, Czandra Sing, który siedział na werandzie swego domu i palił fajkę.

— Halo, Ramesz Babu, to pan? Jak się pan ma?

— Nie wie pan przypadkiem, dokąd oni się poróżdździ? — spytał Ramesz.

Czandra Mohan: Niestety, nie mogę tego panu powiedzieć. Wiem tylko, że wyjechali, ale dokąd — nie mam wyobrażenia.

Ramesz: A właściwie któż to wyjechał?

Czandra: Annada Babu z córką.

Ramesz: Wie pan z pewnością, że nie było z nimi nikogo więcej?

<sup>Z</sup> Czandra: Z całą pewnością. Widziałem, jak odjeżdżali.

Ramesz nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Ktoś mi powiedział — mówił dalej — że miał im towarzyszyć jakiś pan, nazwiskiem Nalin Babu.

Czandra: Pański informator był w błędzie. Nalin Babu istotnie mieszkał tu przez jakiś czas w pańskim dawnym mieszkaniu, ale na kilka dni przed wyjazdem Annady Babu, wyjechał do Benares.

Ramesz zaczął rozpytywać Czandrę Mohana o Nalina Babu i dowiedział się od niego, że całe jego nazwisko brzmiało Nalinaksza Czattopadjaj, że przez jakiś czas praktykował jako lekarz w Rangpurze, obecnie zaś osiadł na stałe wraz z matką w Benares.

Po krótkiej pauzie Ramesz zapytał Czandry Mohana, czy nie wie, gdzie obecnie jest Dżogendra. Dowiedział się, iż Dżogendra zamieszkał w miejscowości Bisaipur w okręgu Majmensingh, gdzie został kierownikiem szkoły sześcioklasowej, założonej przez bogatego ziemianina.

Z kolei Czandra Mohan zaczął wypytywać Ramesza.

— Dawno już pana nie widziałem, Ramesz Babu! — rzekł — Gdzież się pan podziewał?

Ramesz nie potrzebował się już z niczem tać.

— Chciałem otworzyć kancelarię w Ghazipur! — odpowiedział.

— Zamierza pan osiąść tam na stałe?

— Nie, prawdopodobnie nie osiądę tam. Nie zdecydowałem się jeszcze, gdzie stale zamieszkać.

Ledwo Ramesz odszedł, przyszedł Akszaj. Kiedy Dżogendra wyjeżdżał z Kalkutty, prosił go, aby przy sposobności w nieobecności rodziny od czasu do czasu zaglądał do domu.

Akszaj zawsze święcie spełniał swe obowiązki, dlatego w wolnych chwilach przychodził, aby skontrolować, czy jeden z dwóch pozostawionych służących istotnie domu pilnuje.

Czandra Mohan przywitał go nowiną:

— Ramesz Babu był tu przed paru minutami. Tylko co odszedł.

— Naprawdę? Czegóż chciał?

— Tego nie wiem. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o rodzinie Annady Babu. Wygląda tak źle, że w pierwszej chwili go nie poznałem. Dopiero kiedy zaczął wołać służącego, poznałem go po głosie.

— Nie mówił panu przypadkiem, gdzie teraz mieszka?

— Mówił, że dotychczas mieszkał w Ghazipur. Ale nie chce już tam mieszkać i nie wie jeszcze, gdzie osiądzie.

— Tak! — mruknął Akszaj i poszedł do domu Annady Babu.

Wracając do domu, Ramesz myślał po drodze:

— Los wciąż jeszcze okrutnie ze mną igrza. Jaki nadzwyczajny romans możnaby napisać na temat mych stosunków z Kamalą z jednej strony a Nalinakszy i Hemnalini z drugiej. Na takie zawikłanie może sobie pozwolić tylko Los, który się przed niczem nie cofa. W życiu, właśnie w najzwyczajniejszym, zupełnie

realnem życiu, zdarzają się rzeczy, których najzuchwalszy powieściopisarz nie śmiałby czytelnikom podać jako swój własny wymysł.

Mimo to miał wrażenie, jakby najgorsze już minęło. Los z pewnością nie obejdzie się z nim zbyt okrutnie, gdy przyjdzie czas na ułożenie zakończenia ostatniego rozdziału.

Dżogendra mieszkał w jednopiętrowym domu niedaleko rezydencji swego ziemianina. Właśnie pewnego niedzielnego poranka czytał sobie gazetę, gdy naraz zjawił się posłaniec z listem. Oczom własnym nie chciał wierzyć, widząc na kopercie pismo Ramesza. Ramesz donosił mu, iż czeka na niego w jednym sklepie w Bisaiपुर i ma mu coś nadzwyczaj ważnego do zakomunikowania.

Dżogendra skoczył z krzesła.

Prawda, rozstał się z Rameszem źle po burzliwej scenie, ale to już było dawno temu, a kiedy teraz nagle w tej samotni zjawił się przed nim Ramesz, jego przyjaciel z lat dziecińczych, nie mógł go przecie z niczem odprawić. Dżogendra szczerze się cieszył ze spotkania z Rameszem, a przytem nie był też pozbawiony ciekawości. Cóż mogło szkodzić zobaczenie się z Rameszem, zwłaszcza że Hemnalini była daleko.

Prowadzony przez posłańca, Dżogendra natychmiast udał się na poszukiwanie Ramesza. Znalazł go w jakimś kramie siedzącego samotnie na przewróconej beczce nafty. Kramarz poczęstował go fajką, przeznaczoną dla ludzi kasty bramińskiej, dowiedziawszy się jednak, że pan w okularach nie pali, czcigodny kupiec uznał go poprostu za dziwaczny produkt życia wielkemiejskiego i zaprzestał wszelkich prób zbadania

jego identyczności lub też zawiązania zajmującej pogawędki.

Dżogendra podszedł wprost ku Rameszowi, chwycił go za rękę i podniósł go.

— Ten sam dziwak co zawsze, cóż począć! — zawołał — To nie mogłeś przyjść wprost do mego mieszkania, zamiast siedzieć i czekać w kramie? Mógłby kto myśleć, że znajdujesz specjalną przyjemność w delektowaniu się zapachem syropu i nafty.

Ramesz, zaskoczony tem powitaniem, uśmiechał się tylko. Dżogendra pośpiesznie prowadził go do siebie, a wymowa jego płynęła niewstrzymanym strumieniem.

— Niech sobie teologowie każą, co chcą — mówił — ale dla mnie drogi Opatrzności są niezbadane. Przyjrzyj mi się. Wychowałem się w wielkiem mieście na przyzwoitego mieszczucha po to tylko, aby teraz zupełnie schłopieć w tej dziurze.

— I owszem, ta miejscowość ma swoje zalety — rzekł Ramesz, patrząc w ziemię.

Dżogendra: Jakież to?

Ramesz: Tu można być naprawdę samotnym.

Dżogendra: Skutkiem czego ja staram się oczywiście powiększyć jeszcze tę samotność, zrywając stosunki z jedynym człowiekiem, z którym tu żyć można.

Ramesz: Wszystko jedno, jeśli się tylko ma spokój.

Dżogendra: Nie mów mi nawet o tem. Przez jakiś czas aż się dusilem w nadmiarze spokoju, jaki się tu ma. To też w krótkim czasie najulubieńszą moją rozrywką stało się zatruwanie tutejszym ludziom spokoju. Jestem na noże z sekretarzem rady szkolnej,



a mój obywatel też mnie już nieprędko zaczepi po próbce temperamentu, jaką mu dałem. Chciał ze mnie zrobić swego herolda w pismach angielskich, ale udało mi się wytłomaczyć mu, że mnie nikt nie ma nic do rozkazywania. Nie dzięki swym zaletom trzymam się tu jeszcze, nie! Wyrzuconoby mnie z pewnością, gdyby nie tutejszy sędzia pokoju, który mnie bardzo ceni. Ale niech tylko wyczytam w dzienniku urzędowym, że sędziego pokoju stąd przeniesiono, zajdzie moje słońce i skończą się piękne czasy mych dyktatorskich rządów w Bisaipur. Już i teraz pozostała mi jedyna żywa istota, z którą mogę rozmawiać — mój pies, Punch. Spojrzenia, jakie inni mi tu rzucają, mogą doprawdy urzec człowieka.

Przyszli do mieszkania Dżogendry, gdzie Ramesz natychmiast rzucił się na krzesło.

— Nie siadaj jeszcze! — wołał Dżogendra — Pamiętam, rano zawsze musiałeś wziąć kąpiel. Idźże do łazienki, weź tusz. Tymczasem ja wezmę kociołek i skorzystam z twego przybycia, aby sobie jeszcze raz ugotować mocnej herbaty.

Cały dzień zszedł im na jedzeniu, pogawędce i odpoczywaniu i Dżogendra nie dopuścił Ramesza do poruszenia ważnej sprawy, dla której przyjechał do Bisaipur. Dopiero po kolacji, gdy krzesła swe przystawili bliżej do lampy i kiedy w oddali zawyły szakale, a w ciemnościach rozległo się sykanie świerszczy Ramesz znalazł sposobność zabrania głosu.

— Prawdopodobnie, Dżogen, — zaczął — sam się domyślasz, co mnie tu sprowadziło. Kiedyś zadałeś mi pytanie, na które wówczas odpowiedzieć nie mogłem. Dziś mogę już mówić.

Znowu umilkł.

A po chwili zaczął powoli opowiadać historję swego stosunku z Kamalą od początku aż do końca. Czasami zaciął się i głos jego drżał, parę razy musiał przerwać. Dżogendra słuchał przez cały czas w milczeniu.

Kiedy Ramesz skończył, Dżogendra westchnął.

— Gdybyś mi to wszystko wtedy powiedział, nie mógłbym ci uwierzyć.

— Ależ to i dziś jest tak samo nie do wiary, jak wówczas! Bardzobym chciał, żebyś pojechał ze mną do wsi, w której brałem ślub, zaś stamtąd pojechalibyśmy do domu wuja Kamali.

— Kroku nawet jednego w tym celu nie zrobię! Wierzę każdemu twemu słowu. Zawsze zwykłem wierzyć ci na słowo; przebacz mi, że ten jedyny raz od swego zwyczaju odstępiałem.

Dżogendra wstał i starzy przyjaciele uściskali się.

Ramesz, uspokoiwszy się, mówił dalej:

— Los wplątał mnie w tak pogmatwaną sieć kłamstw, iż nie tylko nie widziałem już żadnej możliwości wyplątania się, ale wszystko sam w tę sieć wciągałem. Teraz, kiedy już jestem wyzwolony i nie potrzebuję niczego więcej ukrywać, mogę wreszcie swobodnie odetchnąć. Prawda, nie wiem dotychczas i prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, co Kamalę skłoniło do samobójstwa, ale muszę powiedzieć, że to było dla niej wyjście jedyne. Wpadliśmy oboje w taką plątaninę, że ze zgrozą nieraz myślę, coby się z nami było stało, gdyby ona w ten sposób nie rozcięła tego gordyjskiego węzła. Nagle i niespodziewanie została wyrwana z paszczyki śmierci i tak samo nagle i niespodziewanie znów w niej przepadła.

— Nie mam jeszcze zupełnej pewności, iż Kamala popełniła samobójstwo, w każdym razie jednak droga

przed tobą jest wolna. Teraz szłoby już tylko o Nalinakszę.

Tu Dżogendra opisał Rameszowi Nalinakszę.

— Nie rozumiem ludzi tego typu — mówił — a czego nie rozumiem, tego nie lubię — ale mnóstwo ludzi jest właśnie innego zdania i najwięcej im się podoba to, czego nie rozumieją. Z tego powodu niespokojny jestem trochę o Hem. Sprawa stała się zupełnie poważną, odkąd Hem przestała pić herbatę i nie chciała jeść ani mięsa ani nawet ryb. Jej oczy straciły swój dawny blask, a nawet gdy się jej powiedziało coś nieprzyjemnego, uśmiechała się tylko łagodnie. Uratujemy ją w krótkim czasie, jeżeli zechcesz mi pomóc; tego bądź pewien. Zatem — zawiń rękawy, abyśmy mogli wspólnie wystąpić do boju z ascetą.

Ramesz roześmiał się.

— Nigdy wprawdzie nie słyszałem ze swej wojowniczości, ale gotów jestem uczynić, jak mi każesz.

Dżogendra: Musimy jednak poczekać z tem aż do feryj Bożego Narodzenia.

Ramesz: Tak długo! Czy nie lepiej, żebym raczej sam pojechał?

Dżogendra: Nie, nie, to nie może być. Ja właściwie rozbiłem twoje małżeństwo, pozwólże, żebym teraz wyrządzoną ci krzywdę sam naprawił. Nie mogę cię posyłać, w straży przedniej, pozbawiłbym się przez to przyjemności spełnienia swego miłego obowiązku.

Ramesz: No, to ja może tymczasem...

Dżogendra: Ty nie masz nic do gadania! Przez tych dziesięć dni będziesz mym gościem. Pokłóciłem się ze wszystkimi ludźmi, z jakimi tylko można się tu było pokłócić, i teraz potrzebuję na gwałt przy-

jaciela, aby móc wreszcie zmienić trochę ton. W długich wieczorach nie miałem żadnej rozrywki prócz tych śpiewów szakali i mam tego tak dość, że twój głos brzmi w moich uszach jak najcudowniejsza muzyka.

## ROZDZIAŁ X.

Wiadomość, jaką Akszaj usłyszał od Czandry Mohana, dała Akszajowi dużo do myślenia.

— Co się pod tem wszystkim może ukrywać? — dociekał — A więc Ramesz miał kancelarję w Ghazipur! Dobrze się umiał schować. Ale co skłoniło go znówu do porzucenia praktyki? Skąd bezczelność pokazywania się znów na tej ulicy? Prędzej czy później gotów się dowiedzieć, że Annada Babu jest z Hemnalini w Benares i, oczywiście, natychmiast tam pojedzie.

Wobec tego postanowił Akszaj naprzód wyjechać do Ghazipur i tam zebrać wszystkie potrzebne informacje, a następnie udać się do Benares i rozmówić się z Annadą Babu.

Oto dlaczego, wkrótce potem, pewnego, grudniowego popołudnia można było widzieć Akszaja, wysiadającego z małą walizką ręczną z wagonu na dworcu w Ghazipur.

Poszukiwania swoje rozpoczął od wypytywania właścicieli sklepów na bazarze, czy przypadkowo nie jest im znany adres adwokata bengalskiego, nazwiskiem Ramesz Babu. Po gruntownem śledztwie musiał przyjść do przekonania, iż miejscowi kupcy o adwokacie tego nazwiska nawet nie słyszeli.

Wobec tego trzeba się było udać do sądu, który był właśnie zamknięty. Szczęśliwym zbiegiem oko-

liczności udało mu się złapać jakiegoś bengalskiego adwokata w turbanie, wsiadającego właśnie do swego powozu.

— Przepraszam pana bardzo! — zaczepił go Akszaj — Szukam niejakiego Ramesza. Czandry Czauduri, pewnego adwokata bengalskiego, który niedawno osiadł w tem mieście; czy nie wie pan przypadkiem, gdzie on mieszka?

Dowiedział się, iż Ramesz mieszkał jakiś czas w domu Czakrabartti'ego, czy jednakże jeszcze tam mieszka, tego adwokat nie wiedział; żona Ramesza zniknęła, mówiono powszechnie, że utonęła.

Teraz skierował Akszaj swe kroki do domu wuja Czakrabartti'ego.

— Rozumiem już grę Ramesza! — mówił sobie po drodze — Żona jego umarła, a on, korzystając z tego, będzie się starał przekonać Hemnalini, iż wogóle nigdy nie był żonaty. Hemnalini w obecnym nastroju uwierzy wszystkiemu, co jej Ramesz powie. Ci wzorowi panowie bez skazy i zmazy robią wrażenie bardzo niebezpiecznych ptaszków, gdy się pozna ich tajemnice.

I Akszaj w duchu pogratiulował sobie własnej uczciwości.

Kiedy Akszaj wypytywał wuja o Ramesza i Kamalę, wuj tak się wzruszył, że nie mógł zapanować nad sobą i łzy popłynęły mu z oczu.

— Jako bliski przyjaciel Ramesza Babu — mówił — musiał pan niezawodnie dobrze znać jego miłą, kochaną żoneczkę. Nie zdziwi pana tedy, iż po paru dniach znajomości pokochałem ją jak rodzoną córkę. Czyż mogłem przypuszczać, że to słodkie dziecko w tak krótkim czasie sprawi mi ból tak straszny!

— Nie orjentuję się w tem wszystkim! — odezwał się Akszaj z udaniem współczuciem — Chyba że Ramesz źle się z nią obchodził!

— Ramesz jest pańskim przyjacielem, ale proszę, niech mi pan nie weźmie za złe tego, co panu powiem, jednakże muszę szczerze wyznać, że nigdy nie mogłem go zrozumieć. Musi być chyba pod jakimś względem nienormalny, inaczej z pewnością nie zaniedbywałby żony tak ładnej i milej, jak Kamala. Była mu tak wierna, iż, mimo że z córką moją żyła jak z siostrą, nigdy się przed nią nawet najmniejszym słówkiem na męża nie poskarżyła. Moja córka zauważyła nieraz, że Kamala czemś się gryzie, lecz coby to mogło być takiego, w żaden sposób od Kamali wyciągnąć nie mogła. Serce mi pęka na myśl o tem, co ta biedna, młodziutka kobietka musiała wycierpieć, zanim się zdecydowała skoczyć w wodę. Najokropniejsze dla mnie z tego wszystkiego jest, że właśnie byłem wtedy w Allahabadzie. Mam głębokie przekonanie, że gdybym był tutaj, serce nie pozwoliłoby jej tak mnie opuścić.

Na drugi dzień po tej rozmowie wuj zaprowadził Akszaja do willi Ramesza, a potem razem udali się nad Ganges, na miejsce, w którem Kamala zniknęła.

Akszaj milczał przez cały czas, aż dopiero gdy wrócili do domu wuja Czakrabartti'ego, rzekł:

— A wie pan co? Mojem zdaniem niema bynajmniej żadnej pewności, że Kamala istotnie popełniła samobójstwo i utopiła się w Gangesie.

— Więc cóż pan przypuszcza?

— Mnieby się raczej zdawało, że ona poprostu uciekła. Należałoby przedsięwziąć dokładne poszukiwania.

Wuj, podniecony, skoczył z krzesła.

— A wie pan, że pan może mieć słuszność! — wykrzyknął — To wcale nie jest niemożliwe!

— Do Benares stąd niedaleko — mówił Akszaj — Od pewnego czasu mieszka tam pewna rodzina, z którą tak ja jak i Ramesz utrzymywaliśmy bardzo przyjazne stosunki. Bardzo możliwe, że Kamala się tam schroniła.

— Ależ Ramesz nigdy mi o tem nie wspominał! — zawołał wuj, nad którym znów zaczynała brać górę żywość temperamentu — Gdybym był wiedział, byłbym się oczywiście sam zwrócił do tych państwa!

— A gdybyśmy tak obaj pojechali do Benares! — zaproponował Akszaj — Pan zna te strony bardzo dobrze, nie będzie pan miał trudności w poszukiwaniach...

Wuj zgodził się na tę propozycję natychmiast.

Akszaj wiedział dobrze, iż Hemnalini słowom jego samego wiary nie da, spodziewał się jednak, że uda mu się jej dowieść fałszywości Ramesza przy pomocy takiego świadka, jak wuj. I tak pocziwy starowina miał się dać powleć do Benares w charakterze klasycznego świadka przeciw Rameszowi.

## ROZDZIAŁ XI.

Annada Babu wynajął mały dworek za miastem w odległej części dzielnicy europejskiej.

Przybywszy do Benares, dowiedział się, iż połączona z kaszlem lekka gorączka, która od pewnego czasu trapiła Kszemankari, matkę Nalinakszy, nie była niczem innem, jak tylko symptomem zapalenia płuc. Choroba powiększała się tak z powodu chłódów

jak i ponieważ Kszemankari w żaden sposób nie chciała odstąpić od zwyczaju kąpania się co rano w Gangesie, i stan jej zdrowia był istotnie krytyczny. Dzięki nie-strudzonej troskliwości i opiece Hemnalini kryzys mijał, ale choroba starszą już matronę bardzo osłabiła. Pod jednym tylko względem Hemnalini nic a nic pomóc jej nie mogła. Oto Kszemankari bardzo surowo przestrzegała czystości rytualnej i nie mogła przyjmować ani potraw ani lekarstw z rąk panienki, należącej do sekty Brahma Samadź. Zwykle sama sobie gotowała, zaś teraz, ku niemałemu jej zmartwieniu, sam Nalinaksza musiał jej gotować i przynosić potrawy do łóżka.

— Czas już, żebyś ci zeszła z drogi! — biadała — I pocóż Pan każe mi żyć, skoro mogę ci być tylko ciężarem.

Mimo bardzo skromnych wymagań co się tyczy wygody i wielkiej prostoty w ubraniu, Kszemankari ogromnie pilnie przestrzegała porządku i czuła była na piękno w swem otoczeniu. To też Hemnalini postawiła sobie za szczególniejsze zadanie utrzymywanie całego domu w jak największej czystości i przed udaniem się do domu Nalinakszy niemało starania poświęcała swej toalecie. Annada Babu dawał jej kwiaty z ogródka, który w sąsiedztwie wydzierżawił i Hemnalini zwykła gustownie przybierać niemi pokój chorej.

Od czasu do czasu Nalinaksza próbował namówić swą matkę, aby przyjęła dziewczynę, któraby ją obsługiwała, ale Kszemankari za nic na świecie nie byłaby takich usług przyjęła od służącej. W domu ich było oczywiście dużo służby męskiej i żeńskiej do grubszych robót, jednakże matrona nie zniosłaby pod żadnym warunkiem, aby pewne poufniejsze obowiązki przy niej pełniła płatna sluga. Od czasu śmierci swej starej pia-



stunki, nigdy, nawet gdy była ciężko chora, nie pozwalała się służącej wachlować lub masować.

Miała słabość do ładnych dzieci obojga płci. Kiedy rano wracała ze swej kąpieli w Gangesie, każdy napotkany po drodze posąg Sziwy przystrajając w kwiaty i skrapiając świętą wodą, często zabierała ze sobą jakiegoś ładnego chłopaczka lub małą dziewczynkę bramińskiej kasty o jasnych liczkach i przyprowadzała do domu. Niejedno serduszko dzieci sąsiadów, które dla swego wyglądu przypadły jej do serca, zdołała sobie pozyskać zabawkami, miedziakami i słodyczami, łojnie rozdawanymi.

Czasami gromady jej młodych przyjaciół wpadały do domu i ku niepomiernej radości staruszki przewracały w nim wszystko do góry nogami. Miała jeszcze jedną słabość. Oto gdziekolwiek zobaczyła jakieś ładne cacko, które się jej spodobało, nie mogła się powstrzymać, aby go nie kupić, nie żeby się kochała w tych rzeczach i zbierała je, lecz ponieważ sprawiało jej wielką przyjemność obdarowywać nimi tych ludzi, o których wiedziała, iż się naprawdę tym prezentem ucieszą. Nawet w rodzinach dalekich krewnych i przypadkowych znajomych zjawiały się czasem tajemnicze pakiety ku niewymownemu zdumieniu odbiorców. Prócz tego Kszemankari miała wielką, hebanową skrzynię, w niej zaś przechowywała mnóstwo pięknych klejnotów i jedwabnych sukien dla synowej, którą Nalinaksa miał kiedyś wprowadzić do jej domu. Wyobrażała sobie tę synową jako młode dziewczę wielkiej piękności, które temperamentem swym i wdziękiem ożywi cały dom, a którą ona z radością stroić będzie we wszystkie te tak starannie gromadzone piękne rzeczy. Dawało jej to często temat do miłych marzeń.

Kszemankari, o ile szło o nią samą, miała przyzwyczajenia i obyczaje ascetki, ale choć sama większą część dnia spędzała na modlitwach i pobożnych obrzędach, a jadła tylko raz na dzień obiad, składający się z mleka i owoców, ganiła bardzo surowy tryb życia Nalinakszy. Zdaniem jej przesadne przestrzeganie przepisów rytualnych było dla mężczyzny nieodpowiednie. Kszemankari uważała mężczyzn za wielkie dzieci i, o ile dopuszczali się w jedzeniu i picciu jakichś wykroczeń, traktowała to z właściwą sobie serdeczną i pełną miłości pobłażliwością.

— I poco mężczyzna miałby się tem tak krępować? — mawiała pobłaźliwie.

Oczywiście, prawdziwej bezbożności nie broniła, wierzyła jednak święcie, że reguły i przepisy rytualne nie są dla mężczyzn. Byłaby bardzo zadowolona, gdyby Nalinaksza posiadał w umiarkowanym stopniu bezwzględność i egoizm normalnego mężczyzny, byle tylko nie przeszkadzał jej w modlitwach i nie zbliżał się do niej wtenczas, kiedy — stosownie do przepisów rytualnych — jego dotknięcie kalalo.

Kiedy wreszcie wstała z łoża boleści, wielką jej sprawiło przyjemność, gdy ujrzała, iż nie tylko Hemnalini stała się entuzjastyczną wyznawczynią nauki Nalinakszy, ale także stary, sędziwy jej ojciec siada u jego stóp, przysłuchując się jego wywodom z czcią, z jaką się słucha natchnionych słów proroka.

Wziąwszy Hemnalini pewnego dnia na stronę, rzekła ze śmiechem:

— Moje dziecko, obawiam się, że wy oboje umacniacie tylko Nalinakszę w jego nierozumnych teoriach. Poco słuchasz niedorzeczności, jakie on głosi! W twoim

wieku należy gruntownie używać życia. Powinnaś myśleć nie o religji, lecz o strojach i rozrywkach. Spytasz mnie może, dlaczego ja sama nie robię tak, jak mówię, ale, widzisz, to zupełnie co innego. Moi rodzice mieli na sprawy religijne bardzo surowe poglądy i my wszyscy — chłopcy i dziewczęta — wychowaliśmy się w nadzwyczaj religijnej atmosferze. Gdybyśmy dziś chcieli odstąpić od swych zasad, stracilibyśmy grunt pod nogami. Ale ciebie wychowano inaczej. Nie bój się, ja dobrze znam atmosferę, w której wyrosłaś, tego rodzaju tryb życia jest nie dla ciebie. Wierz mi, nie należy nigdy zadawać gwałtu swym skłonnościom, moje dziecko. Powtarzam zawsze: w tych sprawach każdy powinien iść za wrodzonymi sobie skłonnościami. Nie, to niema sensu, powinnaś tego zaprzestać. Posty, modlitwy — to nie dla ciebie. Idea, że Nalin jest powołanym przez Boga nauczycielem, to też nowość; w rzeczywistości bardzo dalekie to od niego. Do niedawna jeszcze kierował się swemi własnymi skłonnościami i krzywił się, gdy miał wysłuchać jakiegoś świętego tekstu. Tylko dla przypodobania się mnie obrał tę drogę i obawiam się, że gotów jeszcze zostać dla mnie pustelnikiem. Tyle razy mu powtarzam: — Wychowałeś się w pojęciach sekty Brahma Samadz, trzymaj się wiary swego dzieciństwa, ja nie mam nic przeciw niej, przeciwnie, bardzo mi się podoba! — ale on śmieje się tylko. Tak, to jego zwyczaj. Cokolwiekby się do niego mówiło — zawsze milczy. Nawet gdy się go łaje — nie odpowiada.

Rozmowa ta odbywała się późnem popołudniem a Kszemankari, mówiąc, czesała Hemnalini. Nie mogła spokojnie patrzeć na niewyszukane uczesanie głowy panienki.

— Zdaje ci się pewnie, że jestem osobą bardzo staromodną i nie rozumiem się na nowych modach — mówiła — Otóż właśnie śmiało mogę się pochwalić, że na fryzurach rozumiem się znacznie lepiej od ciebie. Znałam kiedyś bardzo miłutką Angielkę, przychodziła do mnie i dawała mi lekcje szycia i otóż ona nauczyła mnie mnóstwa sposobów czesania się. Naturalnie, za każdym razem, jak tylko odeszła, musiałam się kąpać i przebierać od stóp do głów. Czy powinno się tak na to uważać czy nie, tego ja nie wiem, ale taka już jestem. Ty też nie gniewaj się, jeśli ja tak samo zachowuję się wobec ciebie, wiesz przecie, że to nie żaden wstręt, lecz poprostu przyzwyczajenie. Okropny był dla mnie cios, kiedy rodzina mego męża postanowiła zmienić religję, a przecie nie przeszkadzałam temu! Mówiłam tyle tylko: Róbcie, jak wam każe sumienie! Ja jestem niewykształcona kobieta i nie mogę porzucić religji, z którą się zżyłam.

Przy tych słowach Kszemankari otarła łzę.

Sprawiła jej wielką przyjemność, gdy mogła rozpuścić długie włosy Hemnalini a potem czesać je na najrozmaitsze sposoby. Niekiedy nawet posuwała się tak daleko, że otwierała swą hebanową skrzynię i stroiła Hemnalini w pstre sukienki, które tak lubiła. To ubieranie Hemnalini było dla niej zabawą, która jej sprawiała wprost rozkosz. Hemnalini przychodziła do niej prawie codzień ze swą robótką i uczyła się od niej wciąż nowych sposobów.

Kszemankari lubiła też bardzo bengalskie powieści, a Hemnalini przyniosła jej wszystkie książki i czasopisma, jakie tylko posiadała. Hem nieraz zdziwiona była bystrością, jaka cechowała sąd sędziwej damy o powieściach i artykułach; była przekonana, że

taką zdolność krytycznego widzenia rzeczy może dać tylko wykształcenie angielskie. Inteligencja i dowcip a zarazem nabożny tryb życia sprawiły, że matka Nalinakszy w oczach Hemnalini stała się jakąś nadzwyczajną kobietą. Nie miała w sobie nic konwencjonalnego ani szablonowego, a obcowanie z nią było dla Hemnalini źródłem coraz to nowych, miłych niespodzianek.

## ROZDZIAŁ XII.

Kszemankari wkrótce dostała nowego ataku gorączki, który jednak nie trwał tak długo, jak poprzedni. Nalinaksza, zjawiwszy się u niej pewnego poranku i powitawszy ją, jak przystoi na kochającego syna, niskim ukłonem, połączonym z dotknięciem jej stóp, skorzystał z tej sposobności, aby ją namówić, żeby mu pozwoliła traktować się, jak chora. Surowe przestrzeganie przepisów rytualnych jest dla osoby z jej zdrowiem absolutnie niemożliwe.

— Zatem ja mam wyrzec się swych starych przyzwyczajęń, podczas gdy ty chcesz się wyrzec świata! — zawołała matrona — Mój drogi Nalin, doprawdy dość długo już bawisz się w ascetę. Bądźże mądrym, zrób jak ci matka każe i ożeń się.

Nalinaksza milczał, zaś Kszemankari mówiła dalej:

— Widzisz, mój złoty, te stare kości długo już nie wytrzymają. Nie będę mogła umrzeć spokojnie, dopóki cię nie zobaczę żonatym. Dawniej myślałam zawsze, że powinienes ożenić się z młodziutką dziewczyną, którąbym ja sama mogła wychować. Wyobrażałam sobie, jak to ja ją wykształcę według swoich przekonań. Ale podczas swej ostatniej choroby zmieniłam pogląd na tę sprawę. Nikt nie może powiedzieć, jak

dlugo jeszcze będę żyła i czy pozostaje mi jeszcze dużo czasu. Byłoby niedorzecznością, gdybym cię zostawiła z dziewczyną, właściwie jeszcze napół dzieckiem, które o niczem nie ma wyobrażenia. Wobec tego lepiej dla ciebie będzie ożenić się z panienką trochę już starszą. Dużo o tem myślałam podczas bezsennych nocy, gdy gorączka oka mi zmrużyć nie dawała. Czuję dobrze, że to ostatni mój obowiązek wobec ciebie, i, gdybym umarła, nie spełniwszy go, duch mój nie miałby spokoju.

— Ale gdzież ja znajdę dziewczynę, któraby chciała zostać moją żoną! — wykrzyknął Nalinaksza.

— Nie potrzebujesz łamać sobie nad tem głowy. Ja sama się tem zajmę i w odpowiedniej chwili zawiadomię cię o wyniku mych poszukiwań.

Kszemankari nigdy osobiście nie stykała się z Annadą Babu, a ile razy Annada Babu w domu jej się zjawił, zawsze usuwała się do swoich pokojów. Dziś jednak, gdy starszy pan, wyszedłszy wieczorem na przechadzkę, wstąpił do Nalinakszy, Kszemankari kazała mu powiedzieć, że życzy sobie pomówić z nim i jak tylko wprowadzono go do jej pokoju, przystąpiła wprost do rzeczy.

— Pańska córka — zaczęła — jest bardzo miłą panienką i ja ją szczerze lubię. Oboje znacie mego syna, Nalina. Charakter jego jest bez zarzutu, zaś jako lekarz cieszy się jak najlepszą sławą. Czy zgodzi się pan ze mną, że trudno byłoby znaleźć dla pańskiej córki odpowiedniejszego męża?

— Pani poważnie to mówi? — wykrzyknął Annada Babu — Ależ ja nigdy nie byłbym się czegoś podobnego spodziewał! Oczywiście, uważałbym się za nadzwyczaj szczęśliwego, gdyby Nalinaksza chciał zostać mym zięciem. Ale cóż on na to mówi?

— O, Nalin nie będzie miał nic przeciw temu. To nie jeden z tych dzisiejszych młodych ludzi, on robi to, co mu matka każe. Zresztą, nie trzeba będzie długo go namawiać, bo któż mógłby się oprzeć wdziękowi tak milej dziewczyny! Zależałoby mi jednak na tem, aby to małżeństwo zostało zawarte możliwie jak najprędzej, bo kto wie, ile jeszcze mam życia przed sobą.

Annada Babu wrócił do domu w bardzo podniosłym nastroju i natychmiast kazał poprosić do siebie Hemnalini.

— Moje dziecię! — zaczął — Jestem już starym człowiekiem i zdrowie moje w nienajlepszym jest stanie, nie mógłbym jednak umrzeć spokojnie, nie zaopatrzywszy cię należycie. Nie, Hem, pozwól, abym pomówił o tem z tobą zupełnie otwarcie. Nie masz matki i na mnie leży cała odpowiedzialność za twe szczęście.

Hemnalini wpatrzyła się w ojca, nie wiedząc, do czego jego słowa zmierzają.

— Perspektywa twego małżeństwa tak mnie cieszy — mówił Annada Babu dalej — iż nie jestem w stanie ukryć swej radości. Boję się tylko, żeby znów coś nie weszło nam w drogę. Otóż, moje kochanie, rzeczy mają się tak: Matka Nalinakszy prosiła mnie dziś wieczorem o twoją rękę dla swego syna.

Hemnalini zaczerwieniła się i wyjąkała zmieszana:

— Ależ tatusiu, to zupełnie niemożliwe!

Nigdy nie myślała o Nalinakszy jako o swoim przyszłym mężu i te niespodziewane oświadczenia wytrąciły ją z równowagi.

— Dlaczego to ma być niemożliwe? — zapytał Annada Babu.

— Nalinaksza! — zawołała Hemnalini — To przecie niepodobna!

Odpowiedź ta nie była wprawdzie logiczna, ale za to posiadała nieskończenie więcej siły przekonywającej od wszelkiej logiki.

Hemnalini, nie mogąc znieść dłużej przygnębiającego milczenia, wysunęła się cicho na werandę.

Nadzieje Annady Babu rozwiały się; na ten opór nie był przygotowany. Nie wątpił ani chwili, że córka jego perspektywą związku z Nalinakszą będzie zachwycona. Ogłuszony tym nieoczekiwanym ciosem, starzec z troską wpatrywał się w niepewne światło kaganka, dumając nad niemożliwą do rozwiązania zagadką serca kobiecego i nie poraz pierwszy ubolewając nad tem, że Hemnalini nie ma matki.

Tymczasem Hemnalini siedziała na ciemnej werandzie, nie wiedząc nawet, iż godziny mijają. Wreszcie przypadkiem spojrzała w głąb pokoju, a kiedy ujrzała ojca z tą troską na twarzy i pogrążonego w nieukojonym bólu, odezwało się w niej sumienie. Czempędzej pośpieszyła do pokoju, stanęła za fotelem ojca i, głaszcząc go łagodnie po głowie, szepnęła:

— Chodź, tatusiu! Twoja kolacja już dawno gotowa; pewnie do tego czasu wystygła.

Annada Babu podniósł się machinalnie, i przeszedł do jadalni, ale nie miał wielkiego apetytu. W nadziei, że wreszcie rozproszone zostaną chmury, jakie zaciemniały życie Hemnalini, był już jak najlepszej myśli i roił sobie cudne plany na przyszłość, stąd też jej odmowa była dla niego nadzwyczaj bolesnym zawodem.

— Widać, Hem mimo wszystko nie zapomniała jeszcze Ramesza! — rzekł sobie w duchu.

Annada Babu miał zwyczaj kłaść się zaraz po kolacji, ale tego wieczoru zwlekał. Zamiast iść spać,



wyciągnął się na leżaku na werandzie i w zamyśleniu patrzył przez ogród na cichy gościniec.

Znalazłszy go tam, Hemnalini zaczęła go żartobliwie lajać:

— A pójdzie mi tatuś raz spać! Tu za zimno już dla tatusia!

— Ty sama powinnaś się już położyć. Ja zaraz idę.

Ale Hemnalini nie łatwo było zbyć niczem. Po krótkiej pauzie mówiła dalej:

— Tatuś się tu zaziębi! Niech tatuś idzie przynajmniej do pokoju.

Annada Babu dźwignął się z leżaka i poszedł w milczeniu spać.

Aby uniknąć pokus, które mogłyby sprowadzić ją z drogi obowiązku, Hemnalini postanowiła niezłomnie wyrzec się wszelkiej myśli o Rameszu i to przewyciężenie samej siebie kosztowało ją wiele ciężkich walk, jakie musiała w sercu swem stoczyć, dość było jednak jakiegoś uderzenia zzewnątrz, a stara rana znów zaczynała krwawić i Hemnalini wciąż jeszcze nie mogła spokojnie myśleć o swej przyszłości. Dlatego używała wszelkich sposobów, aby postanowienia swego nie złamać.

Kiedy się zdecydowała obrać za swego kierownika duchowego Nalinakszę i tryb życia swego dostosować do nauk, jakie on głosił, zdawało się jej, że zdobyła wreszcie to, czego pragnęła. Usłyszawszy teraz nagle o tem projektowanem małżeństwie, próbowała z najgłębszych zakątków serca wypłenić tę starą miłość, ale dopiero w tej chwili zrozumiała, że ona wykorzenić się nie da. Dość było groźby, że te dawne więzy zostaną ostatecznie zerwane, aby Hemnalini trzymała się ich z tym rozpaczliwszym uporem.

### ROZDZIAŁ XIII.

Tymczasem Kszemankari kazała poprosić do siebie Nalinakszę, oświadczyła mu, że w jego imieniu poprosiła o rękę Hemnalini i że propozycja jej została przyjęta.

Nalinaksza uśmiechnął się.

— Więc to załatwione już nieodwołalnie? — spytał — Ale się mama zwinęła!

— Pewnie! — odpowiedziała Kszemankari — Nie wiem, ile mam jeszcze życia przed sobą. Hemnalini naprawdę bardzo polubiłam. To istotnie nadzwyczajna dziewczyna. Prawda, że, jeśli idzie o powierzchowność, to mogłaby być mniej blada, ale...

N a l i n a k s z a : Niechże mama tak nie mówi! Nie o jej rumieńcach myślałem, ale o niemożliwości ożenienia się z nią. Proszę mi wierzyć, ja się z Hemnalini naprawdę ożenić nie mogę.

K s z e m a n k a r i : Nie opowiadaj takich rzeczy. Ja nie widzę najmniejszej przeszkody.

Nielatwo przysłoby Nalinakszy powiedzieć jasno, co właściwie on sam ma przeciw temu, ale nieuświadomiona myśl jego była: W stosunku do Hemnalini odgrywał rolę spowiednika. Zamienienie tej roli naraz na rolę starającego się o jej rękę wydało mu się niemal zbrodnią.

Uważając milczenie Nalinakszy za poddanie się, matka mówiła:

— Tym razem żadnych uwag ani perswazyj słuchać już nie będę. Widzę wyraźnie, że dla mnie chcesz się wyrzec świata i stać się pustelnikiem w całym znaczeniu słowa. Takie rzeczy w twoim wieku nie mają sensu i ja dłużej tolerować ich nie myślę. Uważaj tylko, żebyś jeszcze i tej sposobności nie stracił. Pierwszego

szczęśliwego dnia, jaki w kalendarzu znajdę, musi to być już ostatecznie załatwione.

Nieprędko Nalinaksza zdołał wzruszenie na tyle opanować, aby móc przemówić.

— Muszę mamie coś powiedzieć! — zaczął wreszcie — Przedewszystkiem jednak bardzo proszę, aby mama nie poddawała się znanadto wrazeniu. To, co mamie teraz opowiem, stało się przed dziewięciu czy dziesięciu miesiącami i nie czas już biadać nad tem, wiem jednak, że mama przejmuje się grozą nieszczęścia nawet kiedy ono już minie i nię da się naprawić. Z tego powodu nic dotychczas mamie o tej historii nie wspominałem, choć nieraz zamierzałem powiedzieć. Niech mama robi wszystko, co mama uzna za stosowne do przejednania mego złego losu, ale niech mama się już nie dręczy daremnemi żałami i rozpaczaniem nad tem, co się stało i już się nie odstanie.

Kszemankari była w najwyższym stopniu zaniepokojona.

— Nie wiem, co mi masz do powiedzenia, mój synu — rzekła — ale twój wstęp każe się spodziewać wszystkiego najgorszego. Niestety, póki żyję, nie potrafię panować nad swemi uczuciami. Napróżno stara się człowiek wznieść się ponad sprawy tego świata. Nie trzeba nieszczęścia szukać, samo przychodzi nieproszone. Nie zwlekaj-że już dłużej ze swem opowiadaniem, bez względu na to, czy ono przynosi złe czy dobre.

— Zeszłego lutego — zaczął Nalinaksza — sprzedałem cały mój majątek w Rangpurze, wydzierżawiłem willę za miastem i puściłem się w podróż do Kalkutty. Kiedyśmy w Sarze stanęli nad Gangesem, przyszła mi

naraz ochota wysiąść z wagonu i odbyć resztę drogi wodą. Wynająłem tedy w Sarze obszerną barcę i puściłem się w podróż. Po dwóch dniach nieustającej podróży przybiliśmy do jakiejś ławicy piaskowej i właśnie wyszedłem na brzeg, aby się kąpać, gdy nagle spotkałem starego naszego przyjaciela, Bhupena, ze strzelbą na ramieniu. Aż skoczył z radości na mój widok i zawołał: — A to dopiero gruba ryba wpadła mi w sieć! — Pokazało się, że jest w tych stronach zastępcą sędziego pokoju i odbywa podróż inspekcyjną po swym okręgu. Ponieważ dawno już nie widzieliśmy się — dobrych kilka lat — nie chciał mnie puścić, ale uparł się, żebym mu koniecznie towarzyszył w jego okrężnej podróży.

Pewnego dnia zatrzymaliśmy się w małej wiosce, zwanej Dhubapukur i wieczorem wyszliśmy przejść się po wsi. Jest to mała wioska. Kiedyśmy się tak przechadzali, wprowadził mnie Bhupen naraz do jakiegoś słomą krytego domu, stojącego na skraju pól w dziedzińcu otoczonym zewsząd murem. Właściciel domu wyniósł krzesła i prosił nas, żebyśmy usiedli. Weranda jego domu służyła za izbę szkolną i w tej chwili odbywała się tam nauka. Na drewnianym stołku, z nogami opartymi o słup werandy, siedział nauczyciel, podczas gdy dzieci z tabliczkami w rękach siedziały dokoła niego na podłodze i chórem powtarzały za nim lekcję.

Właścicielem tego domu był niejakiś Tarini Czaturdżi. Wypytywał Bhupena o mnie tak szczegółowo, że wkrótce umiał wszystko na pamięć. Kiedyśmy wracali do domu, zażartował Bhupen:

— Spotka cię dziś wielkie szczęście. Zaraz otrzymasz propozycję małżeńską.

Kiedy zaś go zapytałem, co jego słowa mają znaczyć, mówił dalej:

— Ten łajdak, Tarini Czaturdźji, jest lichwiarzem i nie znam większego skąpca od niego. Ile razy zjawi się tu nowy sędzia pokoju, ten drab, chcąc pokazać, jaki to on jest dobrodziej gminy, popisuje się tem, że pozwala, aby nauka odbywała się na werandzie jego domu. W rzeczywistości jego opieka nad szkołą kończy się na tem, iż daje nauczycielowi jeść, za co ten biedak musi pracować od rana do dziesiątej wieczorem i prowadzić dla Tarini'ego rachunki; cały jego dochód stanowi pensja szkolna i dodatek rządowy.

Otóż ten Tarini miał siostrę, która po śmierci męża została bez grosza i którą on dlatego musiał wziąć do siebie. Była ona wtedy właśnie w odmiennym stanie i umarła podczas porodu, wydawszy na świat córeczkę. Śmierć nastąpiła tylko z braku wszelkiej opieki lekarskiej. Tarini miał jeszcze jedną owdowiałą siostrę, która prowadziła mu całe gospodarstwo, oszczędzając mu w ten sposób kosztów utrzymania osobnej gospodyni i to biedactwo opiekowało się przez jakiś czas małą ale i ona po paru latach zmarła. Dziewczyzna od tego czasu ma poprostu psie życie, musi orać dla wuja i dla ciotki, a w nagrodę nie dostaje nic prócz wyzwisk. Prawie, że już wyszła z lat, w których się dziewczynę wydaje zamąż, lecz niełatwo znaleźć dla takiej, sieroty męża, zwłaszcza, że nikt z całej wsi nigdy nie znał jej rodziców. W dodatku przyszła na świat, kiedy ojciec jej już nie żył i na ten temat opowiadano sobie też we wsi różne historie a ponieważ wszystkim wiadomo, iż Tarini tarza się w zlocie, więc rozmyślnie poniżano dziewczynę w nadziei, że gdy nie będzie mógł znaleźć dla niej męża, da się z niego wyciągnąć jak największy

posag. Od czterech już lat mówi, że ona nie ma więcej niż dziesięć lat, czyli powinna by ich mieć dziś najmniej czternaście. A swoją drogą jest to najładniejsze dziewczę, jakie kiedykolwiek w życiu zdarzyło mi się widzieć. Nazywa się Kamala, jak bogini Lakszmi i istotnie pod każdym względem podobna jest do tej swej boskiej imienniczki. Ile razy się zdarzy, że do wsi zabłądzi jakiś młody cudzoziemiec bramińskiej kasty, Tarini błaga go na kolanach, aby się z jego siostrzenicą ożenił, ale nawet gdy młody człowiek się zgadza, zjawiają się ludzie ze wsi i tak długo go straszą, aż się im znowu uda małżeństwo rozbić. Teraz na ciebie kolej przyszła.

Widzi mama, byłem wówczas w takim usposobieniu, że, nie zastanawiając się ani chwili, natychmiast powiedziałem: „Dobrze, ja się z tą dziewczyną ożenię!” Już od dawna nosiłem się z zamiarem zrobienia mamie tej niespodzianki i przywiezienia mamie synowej, prawowitej Hindu. Wiedziałem dobrze, iż gdybym się ożenił z dorosłą damą z Brahmo Samadź ani mama ani ja nie bylibyśmy szczęśliwi. Rozumie się, Bhupen osłupiał. „Żartujesz chyba!” zawołał. „Wcale nie żartuję — odpowiedziałem — jestem zupełnie zdecydowany. — Istotnie mówisz to na serjo? — wołał Bhupen. Zapewniłem go, że tak.

Jeszcze tego samego wieczoru odwiedził nas Tarini Czaturdźji i, złożywszy ręce na swoim sznurze bramińskim, uczynił mi propozycję.

— Błagam pana, niech się pan nade mną zlituje — mówił. — Niech się pan dziewczynie przyjrzy. Jeśli się panu nie będzie podobała, oczywiście niema o czem dalej mówić, ale niech pan nie słucha oszczerstw moich nieprzyjaciół.

— Nie potrzebuję się jej wcale przyglądać! — odpowiedziałem — Proszę oznaczyć dzień ślubu.

— Pojutrze jest dzień szczęśliwy — rzekł Tarini — Może panu będzie odpowiadał.

Łatwo było odgadnąć powód jego nadzwyczajnego pośpiechu; chciał w ten sposób jak najbardziej ograniczyć koszta uroczystości weselnych. Mimo to ślub odbył się według wszelkich reguł.

— Ślub odbył się! — zawołała Kszemankari zmieszana — Nalin, czy ty żartujesz?

— Mówię zupełnie poważnie, mamó. Po ślubie wsiadłem wraz ze swą młodą żoną do łodzi, a popołudniu puściliśmy się w dalszą drogę; było to w marcu, rozumie mama, kiedy pogody można być pewnym — i tegoż samego wieczoru, w parę godzin później, zerwała się nagle trąba powietrzna. Zanim mogliśmy się domyślić, co się dzieje, wicher wyrócił łódź tak, że nie pozostało po niej ani śladu.

— Łaskawe Nieba! — wykrzyknęła Kszemankari, drżąc z przerażenia.

**Nalina ksza:** Kiedy w chwilę później odzyskałem świadomość tego, co robię, zauważyłem, że znajduję się w głębokiej wodzie i zmagam się z falami. Łódź, wraz ze wszystkimi, którzy w niej siedzieli, zniknęła. Dałem znać policji, naturalnie zarządzono gruntowne poszukiwania, ale bezskutecznie!

Twarz Kszemankari zrobiła się popielata.

— Amen! — rzekła. — Co się stało, to się już nie odstanie. Ale nie mów mi więcej o tem. Drzę cała, gdy o tem myślę.

**Nalina ksza:** Nie byłbym nigdy mamie o tem mówił, gdyby mama nie nalegała tak na mnie, abym się ożenił.

Kszemankari: Czyż z powodu tego nie-  
szczęścia wogóle nie chcesz się już żenić?

Nalinaksza: Kto wie, czy dziewczyna nie  
pozostała przy życiu? Może ją uratowano? Z tego  
powodu mam pewne skrupuły.

Kszemankari: Zwarjowałeś? Gdyby żyła,  
z pewnością usłyszałbyś coś o niej!

Nalinaksza: Ona przecie nie wiedziała  
kim ja jestem. Byłem dla niej człowiekiem najzupełniej  
obcym. Mam wrażenie, że nie wie nawet jak wyglądam.  
Kiedy przyjechałem do Benares, napisałem do Tari-  
ni'ego Czaturdźji, najwidoczniej jednak listu mego nie  
otrzymał, bo mi go poczta zwróciła.

Kszemankari: Więc?

Nalinaksza: Postanowiłem poczekać na  
nią rok. Jeśli do tego czasu nic nie zajdzie, będę ją  
uważał za nieżyjącą.

Kszemankari: Zawsze musisz przesadzić  
w skrupułach. Dlaczegoż zaraz aż rok!

Nalinaksza: Ten rok dobiega już końca.  
Teraz mamy grudzień. Następny miesiąc jest dla ślu-  
bów feralny, zostaje nam jeszcze luty, a rok kończy się  
w marcu.

Kszemankari: Niechże tak będzie. W ka-  
żdym razie musisz się bezwarunkowo uważać za na-  
rzeczonego Hemnalini. Pamiętaj, że ja się formalnie  
jej ojcu oświadczyłam.

Nalinaksza: Człowiek strzela, Pan Bóg  
kule nosi. Ja sprawę swoją składam w Jego dłonie.

Kszemankari: Niech się dzieje Jego  
wola. Ale cóż to za okropna przygoda! Wciąż jeszcze  
drzę na samą myśl o niej.



**Nalınaksza:** Oto, czego się najwięcej obawiałem. I przyznam się, wciąż jeszcze boję się, że to mamie może zaszkodzić. Kiedy człowieka coś raz wyprowadzi z równowagi, przez dłuższy czas potem trudno mu przyjść do siebie. Rozumie mama teraz, dlaczego nie mogłem się zdobyć na to, aby mamie wcześniej o tem powiedzieć.

**Kszemankari:** Miałeś słuszność, mój synu. Nie rozumiem doprawdy, co się ze mną w ostatnich czasach dzieje; gdy tylko usłyszę o jakimś nieszczęściu ogarnia mnie poprostu przerażenie. Nieraz nie śmiem listu otworzyć z obawy, że mogę wyczytać jakąś złą wiadomość. Wiesz, że sama cię prosiłam, abyś mi o złych wiadomościach raczej nie wspominał. Obawiam się, że koniec mój już się zbliża — inaczej skądże te powtarzające się wciąż paroksyzmy?

#### ROZDZIAŁ XIV.

Kiedy Kamala stanęła nad brzegiem Gangesu, krótkotrwałe słońce grudniowe zesunęło się już na skraj bladego nieba. W obliczu zapadającego zmierzchu Kamala oddała cześć odchodzącemu bóstwu. Kroplami świętej wody zwilżyła głowę a potem, wszedłszy w rzekę, w złączonych dłoniach podniosła w górę trochę wody i wylała jako nabożną libację, wrzucając zarazem kwiaty w nurt świętej rzeki.

Aż do ziemi skłoniła się w adoracji przed wszystkimi potęgami niebios. Kiedy podnosiła głowę z ziemi przypomniawszy sobie jeszcze jedną istotę, której należało się od niej pokłon. Nigdy nie widziała twarzy swego męża, nie śmiała w nią spojrzeć. Tej nocy, którą spę-

działa u jego boku, wzrok jej nie dotknął nawet jego stóp. W łóżnicy małżeńskiej odezwał się był wprawdzie parę razy do jej towarzyszek, ale głos jego ledwo dotarł do niej przez szranki zasłony i jej pełnej czci nieśmiałości. A teraz stała na brzegu rzeki, z trudem, lecz na próżno starając sobie przypomnieć dźwięk jego głosu.

Uroczystości weselne skończyły się późno w nocy, a Kamala była tak strasznie zmęczona, że zasnęła, nie wiedząc nawet gdzie i kiedy. Otworzyła oczy, spostrzegła młodą sąsiadkę, mężatkę, która, stojąc nad nią, budziła ją z głośnym śmiechem. Posłanie obok niej było puste. W tych ostatnich chwilach swego życia dusza jej nie mogła się chwycić niczego realnego, coby przypominało jej pana tego życia. Osoba jego była dla niej zamkniętą księgą. Nie przypominała sobie ani jego twarzy, ani głosu, ani żadnego jakiegos widzialnego rysu. Nawet czerwony sznur jedwabny, którym był podczas uroczystości przepasany — Kamala nie wiedziała oczywiście, że był to najtańszy sznur, jaki Tarini Czaturdźji mógł dostać, — sznur, który zawsze panny młode przechowują, gdzieś jej przepadł.

W rogu sukni, zawiązany w węzelek, miała jeszcze przy sobie list, jaki Ramesz pisał do Hemnalini. Wyjęła go i, usiadłszy na piasku, przeczytała jeszcze raz w półmroku zmierzchu. Była to ta część listu, w której Ramesz wspominał o jej mężu. Nie było w niej żadnych bliższych szczegółów, tylko fakt, że nazwisko jej męża brzmi Nalinaksza Czattopadhaj, że był lekarzem w Rangpurze i że Ramesz nigdzie nie mógł natrafić na jego ślad. Szukała innych arkusików, pokazało się jednak, że jej zginęły.

Nalinaksza! Imię to było balsamem rany jej duszy. Zdawało się jej, jakby samo to imię już prze-

pełniało jej serce, jak gdyby, podobne do niewidzialnego ciała, przenikało całą jej istotę. Niewstrzymanie płynęły jej łzy, rozpuszczając i krusząc niezłomność jej postanowienia i czyniąc jak gdyby lżejszem nieznośne brzemie jej troski. Jakiś głos mówił jej w duszy: Wypełniły się pustkowie, rozjaśniła się ciemność; wiem teraz, że i ja jestem częstką żywego świata. Zaś ona wołała gorliwie w duszy swej: — Jeśli chcę być wierną jego żoną, muszę żyć, aby móc mu się rzucić do stóp. Tej nagrody nic mnie nie pozbawi. Dopóki żyję, nie jest jeszcze dla mnie stracony. Bóg uratował mnie od śmierci, abym jemu służyć mogła.

Wyjęła zawinięty w chusteczkę pęk kluczy i odrzuciła je daleko od siebie. Potem przypomniała sobie, że ma jeszcze broszkę, którą jej Ramesz darował — zdjęła ją i natychmiast rzuciła w rzekę. A potem obróciła się ku zachodowi i poszła prosto przed siebie. Dokąd szła, w jaki sposób zamierzała męża swego szukać, o tem nie miała jeszcze dokładniejszego wyobrażenia, wiedziała tyle tylko, że musi iść naprzód i że ani chwili nie wolno jej pozostać tam, gdzie dotychczas była.

Wkrótce zniknął z nieba ostatni blask zimowego zmierzchu. Smugi nadrzecznego piasku polyskiwały blade w ciemnościach, jak gdyby malarz zgasił wszystkie żywe barwy i blaski swego obrazu, a pozostawił tylko bezbarwne płótno. Niebo bez księżyca, lecz usiane niezliczonemi, spokojnie spoglądającemi gwiazdami, dyszało z cicha nad opuszczonym brzegiem rzeki.

Kamala nie dostrzegła przed sobą nic prócz nieukończonych napozór, bezludnej pustki, wiedząc jednak, że musi iść wciąż naprzód, nie zatrzymywała się nawet, aby się zastanowić, dokąd ma skierować swe kroki.

Postanowiła jednak trzymać się brzegu rzeki, co oszczędziłoby jej konieczności pytania o drogę, zaś równocześnie, w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, można się było schronić w łonie macierzy — Gangesu.

W powietrzu nie było ani mgiełki, a ciemności, spowijające Kamalę, nie przesłaniały jej drogi. W miarę jak noc zapadała, z nor i kryjówek w polach pszenicznych wybiegały szakale, a przeraźliwe ich wycie rozlegało się coraz częściej. Kamala szła tak przez kilka godzin, gdy wtem płaski dotychczas brzeg stał się wysokim, a zamiast piasku pokazał się orny grunt. Naraz drogę zamknęła jej jakaś wieś, kiedy jednak z bijącym sercem zbliżyła się do niej, pokazało się, że mieszkańcy jej pogrążeni są w głębokim śnie. Mimo to siły zaczęły ją opuszczać, gdy z trwogą zdaleka obchodziła wieś, a wdrapawszy się na szczyt prawdopodobnie bardzo stromego zbocza, uczuła się tak znużoną, iż osunęła się na ziemię u stóp bananowego drzewa i usnęła snem wyczerpania.

Kiedy się zbudziła tuż przed świtem, wzeszedł księżyc i blade jego światło rozproszyło nieco ciemności. Koło Kamali stała starsza jakaś pani, która zasypywała ją pytaniami:

— Coś ty za jedna? Co tu robisz? Jak możesz w taką zimną noc spać na polu pod drzewem!

Kamala zerwała się przerażona i, rozejrzawszy się, ujrzała w pobliżu przystań, w której stały dwie barki, przywiązane do brzegu. Matrona, która do niej przystąpiła, znajdowała się w podróży i zerwała się przed świtem, aby wziąć kąpiel, zanim inni wstaną.

— Wyglądasz mi na Bengalkę! — mówiła dalej.

— Jestem Bengalka! — odpowiedziała Kamala.

— Jakże to może być, żebyś spała pod drzewem!

— Idę do Benares. Późno w nocy zachciało mi się spać, więc położyłam się tu i usnęłam.

— Czy słyszał kto coś podobnego! Piechotą do Benares! Nie, to już raczej wejdź na pokład tej barki. Ja tam przyjdę, jak tylko się wykąpię.

Po kąpieli przyszła do Kamali i szczegółowo opowiedziała jej wszystko o sobie i o celu swej podróży. Była spokrewniona z Sidhu Babu w Ghazipur, z tym samym, który właśnie wydał był niedawno tak huczne wesele. Ona sama nazywała się Nabinkali, zaś mąż jej Mukundalal Datta; należeli do kasty Kajasta i pochodzili z Bengalu, ale od dłuższego już czasu mieszkali stale w Benares. Krewni na wesele ich wprawdzie nie prosili, oni jednak mimo to udali się wodą do Ghazipur, w nadziei, że Sidhu Babu przecie ich przyjmie, tymczasem pani domu, niestety, mimo, iż nad tem bardzo ubolewała, gościnności nie mogła im ofiarować. — Trzeba ci wiedzieć, moja droga — mówiła Nabinkali — że mój mąż od dzieciństwa jest bardzo chorowity i już jako dziecko musiał pilnie przestrzegać specjalnej diety. Mamy własną krowę, z której mleka robimy masło, to masło przetapiamy na „ghi“ i dopiero na tem „ghi“ pieczemy placki — i tak dalej i tak dalej.

— Jak się nazywasz? — zapytała po tej prelekcji.

— Kamala.

N a b i n k a l i : Jak widzę, nosisz żelazne haftki; widocznie twój mąż żyje jeszcze!

— Zniknął zaraz na drugi dzień po ślubie.

N a b i n k a l i : Czy podobna! Musisz być jeszcze młodziutka. Nie możesz mieć więcej niż jakich piętnaście lat! — mówiła, zmierzyszy Kamalę wzrokiem od stóp do głów.

— Nie wiem dobrze, ile mam lat, ale zdaje mi się że istotnie nie więcej niż piętnaście.

N a b i n k a l i : Należysz do kasty bramińskiej, nieprawda?

— Tak.

— Gdzie twoja rodzinna mieszka?

— Nigdy nie byłam w miejscu urodzenia męża; mój ojciec pochodził z Bisukali. (Kamala tam też wprawdzie nie była, ale wiedziała, że ojciec się w Bisukali urodził).

N a b i n k a l i : A twoi rodzice?

K a m a l a : Nie mam już ani ojca ani matki.

N a b i n k a l i : Miły Boże! I cóż ty poczniesz?

K a m a l a : Nie potrzebuję niczego, prócz dachu nad głową i pożywienia dwa razy dziennie. Jeśli znajdę w Benares przyzwoitych ludzi, którzy mi to dadzą, zarobię na swe utrzymanie. Umiem gotować.

Nabinkali w duchu bardzo się ucieszyła z tego, że może zadarmo dostać kucharkę z kasty bramińskiej, radości tej jednak po sobie nie pokazała.

— My sami nikogo nie potrzebujemy! — rzekła — Przywieźliśmy do Benares swą starą służbę bramińską z Bengalu. Trudno też, abyśmy przyjmowali kogoś do służby bez innych kwalifikacyj, jak tylko, że należy do kasty bramińskiej, zwłaszcza, że co się tyczy jedzenia, to mój mąż jest bardzo wybredny i nie każdy może mu dogodzić. Ale za mniej niż czternaście rupij miesięcznie trudno znaleźć dobrego służącego, a prócz tego trzeba go jeszcze karmić i ubierać. Bądź co bądź — trafiasz się ty, dziewczyna sekty bramińskiej i w ciężkiem położeniu; kto wie, może istotnie najlepiej będzie, gdy zostaniesz u nas. Ostatecznie tyle gąb musimy

zatkać, a w dodatku tyle ich jest niepotrzebnych, że jedna więcej nic nie znaczy. Roboty też nie będziesz miała zawiele. Teraz jest nas w domu tylko dwoje — mąż i ja. Wszystkie moje córki są już zamężne i dobrze zaopatrzone. Mamy tylko jednego syna, który pracuje obecnie jako urzędnik w Seradźgandź. Dwa miesiące temu otrzymaliśmy list od gubernatora z jego nominacją. Mówię do męża: Przecie nasz Noto — bo synowi na imię Noto — nie jest wcale w biedzie, nie potrzebuje tego, czemuż go wyprawiasz z domu? Wiem dobrze, niewielu może mieć takie szczęście, żeby się móc pochwalić tak świetnem stanowiskiem, ale bądź co bądź, nieprzyjemnie mi, że biedny chłopak będzie tak daleko od nas. I pocóż to, skoro może się bez tego obejść! — Ale mój mąż mówi tylko: — Miły Boże, przecie nie o to idziel! Wy kobiety nic się na takich rzeczach nie rozumiecie. Czy sądzisz, że po to kształciłem go na prawnika, aby tem zarabiał na swe utrzymanie? Tego przecie nie potrzebujemy! Ale taki młody chłopak, jak on, musi mieć jakiś zawód, rozumiesz, inaczej robi jedno głupstwo po drugim.

Barki leciały z wiatrem w górę rzeki i już po kilku godzinach stanęły w Benares. Całe towarzystwo udało się do dwupiętrowego domu, stojącego na granicy miasta w małym ogrodzie. Kucharza bramińskiego za czternaście rupij miesięcznie nie było ani śladu. Prawda, jeden służący należał do kasty bramińskiej, pochodził jednak z Orissy, gdzie, jak wiadomo, w całych północno-wschodnich Indjach robotnik jest najtańszy. Prócz tego, w parę dni po przyjeździe Kamali, Nabin-kali w nagłym napadzie gniewu odprawiła go, nie zapłaciwszy mu nawet pensji, a ponieważ pokazało się, że nawet za czternaście rupij miesięcznie w żaden

sposób kucharza znaleźć nie można, Kamala musiała sama zupełnie zająć się kuchnią.

Nabinkali nie szczędziła jej dobrych rad.

— Pamiętaj, kochanie, — napominała ją — że Benares to bardzo niebezpieczne miasto dla takich młodych dziewcząt, jak ty. Nigdy sama nie wychodź na ulicę. Gdy będę szła się kąpać, albo pomodlić się przed Bisweswara, wezmę cię ze sobą.

Przedsiębrała wszystkie możliwe środki ostrożności, aby Kamala nie wyrwała się z jej szponów. Dziewczyna faktycznie nie miała żadnej sposobności spotykania się ze swemi rówieśniczkami. Gospodarstwo pochłaniało jej cały dzień, a wieczorami Nabinkali opowiadała jej o swoim bogactwie, swych klejnotach, złotych i srebrnych serwisach i sukniach z drogiego brokatu, których nie chciała przywieźć do Benares z obawy przed złodziejami.

— Mój mąż nie był przyzwyczajony do jedania z mosiężnych naczyń i z początku wciąż mruczał na to pod nosem. Mówił mi zawsze: I cóż szkodzi, że parę sztuk zginie? Możemy natychmiast serwis uzupełnić! — ale ja nigdybym na taką rozrzutność nie pozwoliła. Wolę jakiś czas przecierpieć. Na wsi, widzisz, to my mamy wielki dom a służby tyle, że zliczyć trudno, ale niepodobieństwo przecie włóczyć ze sobą dwa czy trzy tuziny służących! Mój mąż chciał tu zaraz obok donając jeszcze jeden osobny dom dla służby — nawet słyszeć o tem nie chciałam! Szczęśliwa jestem, że nie potrzebuję się tu tak męczyć. A tożbym chwili spokoju nie miała ani we dnie ani w nocy, gdybym musiała doglądać tylu pokoi i tyle służby!

I tak gadała wciąż i wciąż, aż do znudzenia.



## ROZDZIAŁ XV.

Życie Kamali w domu Nabinkali podobne było do życia ryby w płytkim i mętym stawie. Zbawienie mogło być tylko w ucieczce, ale o ucieczce nie było nawet co myśleć, póki się nie wiedziało, dokąd uciekać. Podczas ostatniej swej wyprawy Kamala miała sposobność zobaczyć, jak niegościnnie świat w nocy wygląda i teraz bała się już sama zapuszczać w Nieznane.

Nabinkali na swój sposób lubiła Kamalę, tylko że jej sympatja przybierała bardzo nieprzyjemne formy. Prawda, że w ciężkiej chwili przysłała jej z pomocą, ale teraz postępowała z nią tak, że Kamali trudno się było zdobyć na wdzięczność i dziewczyna nieskończenie lepiej czuła się w kuchni przy pracy, niż w chwilach wolnych od zajęć, które musiała spędzać z Nabinkali, słuchając cierpliwie jej nudnej i nieznośnej paplaniny.

Pewnego poranku Nabinkali, zawoławszy ją do siebie, wypaliła jej następujące kazanie: •

— Słuchaj-no, moja młoda damo, mój mąż jest dziś trochę niezdrów, skutkiem czego zamiast zwykłych potraw trzeba mu będzie przyrządzić „luc z i s“. Nie potrzebujesz jednak brać do „luc z i s“ takiej kolosalnej masy „g h i“! Jesteś dobrą kucharką, nie przeczę, ale nie pojmuję doprawdy, co ty robisz z masłem! Pod tym względem twój poprzednik miał nad tobą wyższość. Oczywiście, on też masła używał, ale prawie że się go nie czuło w potrawach.

Kamala nigdy nie odpowiadała; wylażana, szła najspokojniej do swej roboty, jak gdyby nic nie słyszała. Jednakże tego dnia uczuła się naprawdę dotknięta i rozmyślała nad tem, obierając jarzyny. Właśnie przysłała do przekonania, że świat jest smutnym

padolem, a życie ciężkiem brzemieniem, gdy naraz o uszy obilo się jej coś, co ją zaciekawilo. Nabinkali, zawoławszy służącego, dawała mu jakieś zlecenia i Kamala uslyszala następujące zdanie:

— Słuchaj, Tulsi, idź czempędzej do miasta i przyprowadź doktora Nalinakszę; powiedz mu, że pan zachorował.

Doktora Nalinakszę!

Promienie słońca zatańczyły przed oczami Kamali, jak struny złotej lutni, trącone niewidzialnymi palcami. Rzuciła swe jarzyny i stanęła na czatach w drzwiach kuchni, aby złapać Tulsiego, gdy będzie schodził nadół. Ledwo się pokazał, zaczęła go wypytywać, dokąd idzie.

— Idę po doktora Nalinakszę!

— Któż to taki?

— Jakże — najslawniejszy lekarz w całym Benares.

— Gdzie mieszka? — spytała go Kamala.

— W mieście, o jaką milę (ang.) stąd.

Kamala miała zwyczaj rozdawania między służbę małych resztek obiadu i nawet łajania Nabinkali nie mogły jej od tego zwyczaju powstrzymać, ponieważ wiedziała dobrze, że pod jej surowymi rządami ludzie nigdy nie byli syci. W dodatku państwo rzadko kiedy jadali punktualnie, skutkiem czego służba nieraz długo musiała czekać, aż na nią kolej przyjdzie. Nic tedy dziwnego, że dzień w dzień przypuszczano do niej szturmy przy pomocy żalośnych próśb i narzekań na głód, czemu Kamala nie mogła się oprzeć. To życzliwe postępowanie sprawiło, że cała służba w krótkim czasie była jej szczerze oddana.

— Co ty tam, Tulsi, knujesz znów w kuchni? — zawołał z góry piskliwy głos — Myślisz, że ja nic nie widzę? Nie możesz wyjść do miasta, póki się wprzód

nie naradzisz z kucharką? Nic dziwnego, że tyle rzeczy ginie! Uważaj-no, moja panienko, nie zapominaj, że ja cię wzięłam z gościńca i dałam ci tu przytułek! Ładnie mi się odwdzięczasz za mą dobroć!

Nabinkali była głęboko przekonana, że cała służba sprzysięgła się przeciwko niej, aby ją okradać. Wierzyła niezbitnie, że na sto strzał, na ślepo wypuszczonych z łuku, najmniej pięćdziesiąt zawsze trafi do celu i że służba powinna czuć, iż ona widzi wszystko i nie da się oszukać.

Tym razem jednak, o ile szło o Kamalę, złośliwość jej rozminęła się z celem. Dziewczyna pracowała machinalnie, podczas gdy duch jej był zupełnie gdzie indziej.

Czatowała w drzwiach na Tulsi'ego, który w stosownym czasie powrócił, ale sam.

— Cóż, doktor przyjdzie, Tulsi? — spytała Kamala.

Tulsi: Nie, nie może przyjść.

Kamala: Dlaczego?

Tulsi: Jego matka jest chora.

Kamala: Matka? A czyż jej nie ma kto doglądać?

Tulsi: Nie, Nalinaksza nie ma żony.

Kamala: Skąd wiesz?

Tulsi: Służba mi mówiła, że nie jest żonaty.

Kamala: A może jego żona już nie żyje?

Tulsi: Może być, ale jego służący, Bradża, mówił, że kiedy jeszcze mieszkał w Rangpurze, też żony nie miał.

— Tulsi! — zawołała z góry Nabinkali.

Kamala uciekła do kuchni, a Tulsi pobiegł na górę.

Nalinaksza — pobyt w Rangpurze — wątpliwości Kamali zniknęły zupełnie. Kiedy Tulsi znowu przyszedł, zadała mu jeszcze jedno pytanie:

— Słuchaj, Tulsi, ja mam krewnego, który się nazywa tak samo jak doktor — on należy do kasty bramińskiej, prawda?

— O tak, jest braminem, Czaturdźji!

Ale Tulsi bał się, że, jeśli dłużej będzie rozmawiał z Kamalą, Nabinkali może to zauważyć i uciekł czemprędzej.

Kamala udała się wprost do Nabinkali i oznajmiła jej, że zrobiła już wszystko co do niej należało i chce pójść wykapać się w Gangesie, w łaźniach Dasaswamet.

Nabinkali: Nie na rękę mi to dzisiaj. Mąż chory, niewiadomo, czego może potrzebować. Dlaczegoż koniecznie dziś chcesz wyjść?

— Dowiedziałam się, że w Benares jest jedna moja krewna, z którą bardzo chciałabym się zobaczyć.

Nabinkali: O, nie, dziękuję bardzo! Taka głupia znów nie jestem. I któż ci powiedział o tej krewnej? Prawdopodobnie Tulsi. Trzeba go będzie oddalić. A teraz słuchaj, co ci powiem, moja droga. Jak długo jesteś w moim domu, na krok nie wolno ci się ruszyć samej ani do kąpieli ani na poszukiwania jakichś krewnych w mieście. To nie uchodzi i ja na to pozwalać nie myślę.

W tej chwili dano portjerowi rozkaz natychmiastowego oddalenia Tulsiego i nie wpuszczania go nigdy więcej do domu, podczas gdy innym służącym surowo zakazano rozmawiać z Kamalą.

Kamala znosiła wszystko cierpliwie, dopóki nie wiedziała nic pewnego o Nalinakszy, teraz jednak krew

zaczęła się w niej burzyć. Myśl, że musi przebywać pod obcym dachem, gdy w tem samym mieście mieszka jej mąż, była dla niej wprost nie do zniesienia. Coraz bardziej zaniedbywała się w pracy i Nabinkali nie ukrywała przed nią swego niezadowolenia.

— Słuchaj-no, moja panienko! — mówiła jej — Twoje zachowanie nie podoba mi się. Zamierzasz może grymasić? Jeśli chcesz pościć, możesz pościć, ile ci się podoba, ale my wcale nie chcemy głodować. To, co nam od jakiegoś czasu każesz jeść, jest nie do zjedzenia.

— Ja już dłużej u pani służyć nie mogę! — odpowiedziała Kamala — Nie wytrzymam dłużej. Proszę, niech pani pozwoli mi odejść.

— Doprawdy? — zaśmiała się szydersko Nabinkali — Tak to bywa, jeśli się dziś wyświadczy komu coś dobrego! I pomyśleć, że, aby zrobić ci miejsce, oddaliłam tego starego, poczciwego bramina, który u nas tak długo służył, a teraz poszedł sobie, Bóg wie dokąd! I ty mówisz, że jesteś prawdziwą braminką! Myślisz sobie, że wystarczy ci ni stąd ni zowąd przyjść i powiedzieć tylko: „Proszę, niech pani pozwoli mi odejść“, a ja naturalnie zaraz cię puszczę! Spróbuj tylko uciec, zobaczymy, czy cię policja nie złapie! Mój syn jest sędzią i niejeden na jedno jego słówko zadyndał na stryczku! Tylko nie próbuj ze mną żadnych swoich sztuczek! Może słyszałaś, co się stało z Gadą? Chciał się raz postawić panu, ale myśmy mu pokazali, po czemu łokieć: do dziś siedzi w więzieniu! Z nami ci to bezkarnie nie ujdzie!

Historja z Gadą istotnie była prawdziwa. Wtrącono go do więzienia pod zarzutem, że ukradł zegarek.

Teraz już Kamala nie wiedziała, co począć. W chwili, kiedy jej się zdawało, że wystarczy tylko

ręce wyciągnąć, aby chwycić szczęście całego swego życia, te ręce były związane. Los spletał jej okrutnego figla. Znosić już nie mogła tego niewolniczego harowania, zupełnie jak więzień zamknięty w czterech ścianach swej celi. Zaczęła, ukończywszy wieczorem pracę, wychodzić, otulona szalem, do ogrodu, gdzie stawała przy murze i, oddychając chłodnem powietrzem nocnem, wpatrywała się w gościniec, wiodący do miasta. Jej namiętne pożądanie służenia prawdziwemu swemu panu, wiodło ją w duchu tą samotną, pustą drogą na poszukiwania domu, którego nigdy nie widziała. Stała tak czasem bez ruchu przez długie godziny — a potem składała głęboki ukłon aż do ziemi i wracała do swej komórki.

Wkrótce jednak pozbawiono ją nawet tej marnej pociechy, nawet tych nędznych resztek wolności. Pewnego dnia Nabinkali przyszło na myśl zawołać jej do siebie po pracy. Posłany po nią służący wrócił, mówiąc, iż braminki nigdzie znaleźć nie może:

— Czy myślisz może, że uciekła? — wykrzyknęła Nabinkali.

Z lampą w ręce przeszukała cały dom, ale nigdzie Kamali znaleźć nie mogła.

Natychmiast pobiegła do swego męża, Mukundy Babu, który, napół przymknąwszy oczy, siedział i palił „nargile“ — i oznajmiła mu, że Kamala najprawdopodobniej uciekła.

Mukunda Babu przyjął tę wiadomość zupełnie spokojnie.

— Przecież zabronilem jej! — mruknął sennie — Co za nieposłuszne stworzenie! Czy zabrała co może?

— W jej pokoju niema szala, który jej dałam na te zimna. Zresztą, nie patrzyłam i nie wiem, czy prócz szala nie brakuje jeszcze czego.

— Daj znać do policji — rzekł jej mąż urzędowym tonem.

Już wysłano w tym celu jednego służącego, zao-  
patrzonego w latarkę, gdy wtem Kamala wróciła i za-  
stała Nabinkali, przewracającą wszystko w jej pokoju,  
dla przekonania się, czy czego nie ukradła.

— Cóż ty znowu wyrabiasz? Gdzie byłaś? — wy-  
krzyknęła, gdy tylko ujrzała Kamalę.

— Wyszłam po pracy na chwilę do ogrodu przejść  
się i odetchnąć świeżem powietrzem.

Nabinkali otwarła upusty swego gniewu. Nie  
przebierała w słowach, a służba, zgromadzona pod  
drzwiami, przysłuchiwała się.

Mogła się Nabinkali rzucać na nią jak chciała,  
Kamala nigdy nie zrobiła jej tej przyjemności, żeby się  
przed nią rozplakać, a w tym wypadku też nie odstąpiła  
od swej zasady. Nie drgnąwszy nawet, stała jak posąg  
pod gradem wyzwisk, a kiedy burza trochę się uciszyła,  
rzekła:

— Obawiam się, że pani nie jest ze mnie zado-  
wolona; czy nie lepiej będzie, żeby pani pozwoliła mi  
odejść?

— Tak też zrobię, nie bój się. Ani mi w głowie  
żywić dłużej i ubierać tak niewdzięczne stworzenie, ale  
zanim cię oddalę, pokażę ci, z kim masz do czynienia.

Teraz już Kamala nosa za drzwi wystawić nie  
śmiała. Zamknęła się w swym pokoju, pocieszając  
się myślą, że, ponieważ cierpienia jej doszły do szczytu,  
Bóg niebawem musi jej zesłać swą pomoc.

Następnego wieczoru Mukunda Babu wyjechał zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, przyczem dla okazałości wziął ze sobą dwóch służących; jak tylko się oddalił, bramę od wewnątrz zaryglowano. Ciemno już było, gdy naraz w bramie dał się słyszeć głos, pytający, czy pan w domu.

Nabinkali zerwała się.

— Ależ to doktor Nalinaksza! Budhija! Budhija! Ponieważ jednak Budhiji nie było widać, zwróciła się do Kamali:

— Zejdź na dół i otwórz bramę, słyszysz? Powiedz panu doktorowi, że pan wyjechał, ale wkrótce wróci. Poproś go, aby chwilkę poczekał.

Kamala wzięła latarnię i zeszła na dół.

Drżała na całym ciele, serce biło jej gwałtownie, a ręce były zimne i wilgotne. Bała się, że wzruszenie może mgłą przysłonić jej wzrok.

Odsunęła rygiel, zasłoniła twarz zasłoną, otworzyła bramę i stanęła przed Nalinakszą.

— Czy Mukunda Babu w domu? — zapytał.

— Nie. Proszę, niech pan wejdzie! — odpowiedziała Kamala.

Nalinaksza wszedł do salonu i usiadł, gdy naraz zjawił się Budhija i powtórzył mu to, co Kamala z rozkazu Nabinkali miała mu powiedzieć.

Kamali zdawało się, że serce jej pęknie. Ślaniając się na nogach, wymknęła się na werandę, skąd mogła dokładnie widzieć Nalinakszę i tam usiadła, aby zczekać, aż się burza w jej sercu uspokoi. Skutkiem wielkiego podniecenia i przejmującego zimna, drżała na całym ciele.

Nalinaksza siedział zamyślony w jasnym kręgu światła jedyne go kaganka, podczas gdy dygocąca na



werandzie Kamala uporczywie się weń wpatrywała. Łzy bezustanku napływały jej do oczu i przysłaniały jej wzrok, ale ocierała je prędko. Cała jej dusza skupiła się w spojrzeniu do tego stopnia, iż zdawało się, że jego magnetyczna siła przyciągająca musi Nalinakszę wciągnąć w ognisko jej istoty. Światło padało na jego wysokie czoło i spokojne, poważne rysy twarzy. Najmniejszy jej rys żłobił się głęboko w sercu Kamali, aż wreszcie zdawało się jej, jak gdyby całe jej ciało stopiło się z otaczającą ją przestrzenią. Nic poza tem nie było istotnego, wszystkie przedmioty dokoła bladły i stapały się w tę jedną, jedyną twarz.

Kamala wpadła w jakiś stan półświadomości. Naraz ocknęła się i zauważyła, że Nalinaksza wstał i rozmawia z Mukundą Babu. Obawiając się, że panowie lada chwila mogą wejść na werandę i złapać ją na podsłuchiwanie, wysunęła się cichaczem i uciekła do kuchni. Z kuchni widać było małe podwórze, przez które musiał przejść każdy, kto wychodził z domu.

Kamala czekała teraz z bijącym sercem, zgorączkowana, podniecona. Czy podobna, aby taki człowiek był mężem tak nędznej istoty, jak ona! W niezmaconej pogodzie i uduchowionej piękności jego twarzy było zaiste coś boskiego! Widząc, że nie cierpiała na próżno, pełna wdzięczności, głębokie pokłony składała Niebu.

Usłyszawszy kroki na schodach, wybiegła do ciemnej sieni, prowadzącej do bramy. Na podwórzu zjawił się z lampą w ręce Budhija, za którym szedł Nalinaksza. W sercu Kamali zadzwoniły słowa poety:

— Panie, oto sługa twoja jest niewolnicą pod cudzym dachem; przechodzisz koło niej i nie poznajesz jej.

Zaczekała, póki Mukunda Babu, udając się na kolację, nie opuścił salonu, a potem wśliznęła się do pustego pokoju. Padła na ziemię przed krzesłem, na którem siedział Nalinaksza, czołem uderzyła o ziemię i zcałowywała z niej proch dokoła jego krzesła. Ach, że też zabronionem jej było służyć mu! Serce bolało ją od powstrzymywania porywającego uczucia.

Na drugi dzień Kamala dowiedziała się, że doktor przepisał Mukundzie Babu dłuższy pobyt w jakimś miejscu kąpielowem, odległem o setki mil od Benares na zachód. Robiono już nawet przygotowania do podróży.

Kamala natychmiast udała się do swej pani.

— Bardzo mi przykro, ale ja Benares opuścić nie mogę — oświadczyła jej.

— Czyżby? Jeśli my możemy, dlaczegóżbyś ty miała nie móc? Dziwnie się nagle stałaś pobożna! — odpowiedziała Nabinkali, przypuszczając, iż Kamala zechce użyć uczuć religijnych jako pozorów pozostania w Benares.

Kamala: Może pani mówić, co się pani podoba, ja postanowiłam, że nie wyjadę.

Nabinkali: Bardzo słusznie; zobaczymy!

Kamala: Błagam panią, niech mnie pani nie bierze ze sobą!

Nabinkali: Ależ ty jesteś okropna, moja droga! Wszystko już przygotowane do podróży a ta nagle przychodzi ze swemi fanaberjami! I skądże ja ci wytrzasnę jednej chwili nową kucharkę? W żaden sposób nie możemy się teraz bez ciebie obejść.

Na nic się nie zdały próśby. Kamala zamknęła się w swym pokoiku, płakała i modliła się na przemiany.

## ROZDZIAŁ XVI.

Po rozmowie z córką onego pamiętnego wieczoru, Annada Babu w nocy znowu dostał ataku gwałtownych bólów, które swego czasu dokuczały mu w Kalkucie. Atak trwał całą noc, ale rano nastąpiło polepszenie i Annada Babu kazał wynieść swój fotel do ogrodu, gdzie siedział, wyglądając na drogę i grzejąc się w łagodnym słońcu grudniowym, podczas gdy Hemnalini przyrządzała dla niego herbatę. Jego pobladła twarz nosiła jeszcze ślady cierpienia, jakie przeszedł w nocy, oczy podkrążone były ciemnymi obwódkami i wogóle zdawało się, że Annada Babu postarzał się przez tę jedną noc o kilka lat.

Ile razy Hemnalini rzuciła okiem na wymizerowaną twarz starca, miała wyrzuty sumienia. Recydywę ojca przypisywała zawodowi, jakiego musiał doznać, usłyszawszy jej odmowną odpowiedź na propozycję Kszemankari i teraz serce ją bolało na myśl, że ojciec z jej winy znajduje się w tak smutnym stanie. Przemysliwała nad tem, w jaki sposób ulżyć ojcu w tem jego zmartwieniu, ale nic nie przychodziło jej na myśl.

W tej chwili zaskoczyło ją zupełnie niespodziewane zjawienie się Akszaja i Czakrabartti'ego. Chciała czempredzej odejść, ale Akszaj zatrzymał ją, mówiąc

— Proszę bardzo, niech pani nie odchodzi! Ten pan, to nasz czcigodny rodak Czakrabartti z Ghazipur; nazwisko jego jest w tych stronach bardzo dobrze znane. Ma państwu do zakomunikowania rzeczy wielkiej wagi.

Nowo przybyli usiedli na niskim parapecie kamiennym obok fotelu Annady Babu, poczem Czakrabartti wyłożył, z czem przybyli.

— O ile wiem — zaczął — jesteście państwo starymi przyjaciółmi Ramesza Babu, dlatego też przychodzę do was zapytać, czy nie wiecie czego o jego żonie.

Ten wstęp w takie osłupienie wprawił Annadę Babu, że w pierwszej chwili zapomniał — jak się to mówi — języka w gębie.

— O żonie Ramesza! — wykrzyknął wreszcie.

Hemnalini spuściła wzrok, zaś Czakrabartti mówił dalej:

— Niewątpliwie uważacie mnie państwo za prowincjonalnego prostaka i natręta, jeśli jednak zechcecie mnie cierpliwie wysłuchać, przekonacie się, że nie przyjechałem tu z Ghazipur tylko po to, aby plotkować z wami o sprawach bliźnich. Jakoś w czasie świąt Pudża zaznajomiłem się z Rameszem Babu na pokładzie parowca, którym wraz ze swą żoną jechał na zachód. Wiecie państwo sami dobrze, że, kto Kamalę pozna, urokowi jej oprzeć się nie może. Stary już jestem człowiek, cierpienia i troski przytępiły trochę moje uczucia, ale tej uroczej, kochanej kobietki nigdy w życiu nie zapomnę. Kiedyśmy się na statku poznali, Ramesz Babu nie miał jeszcze ustalonego celu podróży, po paru jednak dniach Kamala tak mnie, starego grzyba, polubiła, że namówiła go, aby wysiadł w Ghazipur i zamieszkał wraz z nią w moim domu. Najmłodsza moja córka, Saila, pokochała ją wkrótce więcej niż swą rodzoną siostrę. O tem, co się potem stało, wciąż jeszcze nie mogę mówić. Czemu to kochane dziecko nagle zniknęło, pograżając nas wszystkich w rozpacz, tanowczo nie rozumiem. Odkąd ją straciliśmy, Saili oczy obeschnąć nie mogą.

Na samo wspomnienie wuj, zupełnie złamany, pograżył się w smutku.

— Cóż się z nią stało? Gdzież się podziała? — pytał Annada Babu ze szczerem współczuciem.

— Akszaj Babu! — odezwał się Czakrabartti — Pan wszystko już wie, niech pan opowie. Mnie serce pęka, gdy tylko myślę o tem.

Akszaj opowiedział całą historję szczegółowo. Nie dodając niczego od siebie, potrafił jednak przedstawić postępowanie Ramesza w jaknajczarniejszych barwach.

Kiedy skończył, rzekł Annada Babu z naciskiem:

— Zapewniam pana, że o tem wszystkiem nie mieliśmy najmniejszego wyobrażenia. Od dnia, w którym Ramesz opuścił Kalkuttę, nie napisał do nas ani jednego słowa.

— Tak jest! — potwierdził Akszaj — Byliśmy do tego stopnia nie poinformowani, że nie wiedzieliśmy nawet napewne, czy się ożenił z Kamalą. Mogę panu zadać jedno pytanie, Czakrabartti Babu? Pan jest istotnie pewny, że Kamala była jego żoną, a nie siostrą, albo może kuzynką?

— Cóż znowu, Akszaj Babu! — wykrzyknął wuj — Rozumie się, że była jego żoną i to najlepszą żoną, jaką kto kiedykolwiek miał na świecie!

— Szczególna rzecz! — zauważył Akszaj — Im żona jest lepsza, tem gorzej się ją zwykle traktuje! Najcnotliwszych Bóg najciężej doświadczają!

To mówiąc, westchnął głęboko.

— Istotnie! — rzekł Annada Babu, rozczesując palcami swe rzadkie włosy — Nadzwyczaj tragiczna historia! Ale nic już na to nie poradzimy! Łzy nic nie pomogą!

— Widzi pan, rzecz w tem, — odrzekł Akszaj — iż ja wcale nie jestem przekonany, że Kamala istotnie popełniła samobójstwo. Nie uważałbym za wyłączone,

że ona raczej uciekła z domu i oto ten pan przyjechał do Benares, żeby jej poszukać. Jak widzimy, państwo nie możecie dać nam żadnych informacji. Mimo wszystko zostaniemy tu jeszcze parę dni i będziemy robili poszukiwania.

— Gdzie się Ramesz teraz obraca? — spytał Annada Babu.

— Wyjechał, nie podając nam żadnego adresu. Zaś Akszaj dodał śpiesznie:

— Ja sam go wprawdzie nie widziałem, słyszałem jednak, że wrócił do Kalkuty; prawdopodobnie wróci do sądu w Alipore. Trudno, żeby ktoś całe życie nosił żalobę, zwłaszcza mężczyzna w wieku Ramesza. No, chodźmy! — zwrócił się do Czakrabartti'ego — Spróbujemy w mieście, może się przecie czego dowiemy.

— Może pan u nas zamieszka? — zaproponował mu Annada Babu.

— Żałuję bardzo, ale w tej chwili nie mogę panu dać stanowczej odpowiedzi — rzekł Akszaj. — Ta sprawa ogromnie leży mi na sercu, Annada Babu. Cały czas swego pobytu w Benares muszę poświęcić na te poszukiwania. Niech pan sobie tylko wyobrazi położenie nieszczęśliwej, tak starannie wychowanej panienki! Przypuszczamy, że poprostu nie mogła wytrzymać z Rameszem i dlatego uciekła — niech się pan tylko zastanowi nad tem, co ona musi teraz znieść! Rameszowi może to być najzupełniej obojętne, ale ja nie należę do ludzi tego rodzaju.

Akszaj odszedł z wujem Czakrabarttim.

Annada Babu z trwogą wpatrywał się w twarz Hemnalini, która, wiedząc, jak ojciec się o nią zawsze niepokoi, zebrała wszystkie siły, aby zapanować nad sobą i wydać się na zewnątrz zupełnie spokojną.

— Tatusiu! — odezwała się wreszcie — Ja myślę, że dobrzeby było zawezwać lekarza, któryby cię raz dokładnie zbadał. Od pewnego czasu tak wszystko wyprowadza tatusia z równowagi, że zdaje mi się, iż tatuś potrzebuje gruntownej kuracji.

Annada Babu odetchnął z widoczną ulgą. Kamień spadł mu z serca, gdy spostrzegł, że mimo takiego gruntownego zdemaskowania Ramesza, Hemnalini może jeszcze myśleć o jego zdrowiu. Kiedyindziej byłby próbował oprzeć się jej radzie, dziś jednak odpowiedział:

— To istotnie dobra myśl. Sam czuję, że powinienem się dać zbadać. Jak ci się zdaje, czyby nie było może najlepiej natychmiast posłać po doktora Nalinakszę?

Na dźwięk imienia Nalinakszy duszą Hemnalini jak gdyby coś szarpnęło. Spotkanie się z nim w obecności ojca i traktowanie go po dawnemu niewątpliwie będzie wymagało niemałego wysiłku, mimo to odpowiedziała żywo:

— Oczywiście, że tak będzie najlepiej. Zaraz po niego poślę.

Ośmielony pozornym spokojem Hemnalini, Annada Babu odważył się poruszyć drażliwą kwestję:

— Zresztą, Hem — zaczął — co się tyczy tej całej historii z Rameszem...

Ale tu Hemnalini przerwała mu krótko:

— Niech tatuś uważa! — zawołała — Słońce zaczyna zbyt silnie przypiekać, niech tatuś idzie do pokoju!

I, nie dając mu nawet czasu na odpowiedź, wzięła go pod rękę i zaprowadziła do domu. Tam usadowiła go w fotelu, otuliła ogrzaną flanelą, wetknęła mu

w rękę gazetę, nawet okulary wsadziła na nos, a potem odeszła, mówiąc:

— Niech tatuś poczyta trochę gazetę, ja muszę tatusia trochę zostawić samego.

Jak grzeczne dziecko, starał się Annada Babu zastosować do poleceń Hemnalini, ale niepokój o córkę nie pozwolił mu się skupić do tego stopnia, żeby mógł czytać, wobec czego po pewnym czasie położył gazetę i poszedł zobaczyć, co się z Hem dzieje. Mimo, iż godzina była jeszcze wczesna, znalazł drzwi jej pokoju zamknięte; nic nie mówiąc, wyszedł na werandę i przechadzał się po niej jakiś czas, aż zrozpaczony przypuścił jeszcze jeden szturm, ale i tym razem drzwi jej pokoju pozostały zamknięte. Znowu wyszedł na werandę i, wyczerpany, osunął się na krzesło, gdzie siedział, nerwowo głaszcząc swe rzadkie włosy, póki nie przyszedł Nalinaksza.

Po zbadaniu Annady Babu i podyktowaniu zabiegów leczniczych, doktor zwrócił się do Hemnalini z pytaniem, czy chory nie miał jakich zmartwień; po namyśle odpowiedziała, że tak.

— O ile to tylko możliwe — rzekł Nalinaksza — należałoby mu oszczędzać wszelkich wzruszeń. Te same trudności ja mam z matką. Najmniejszą drobnostkę tak sobie zaraz bierze do serca, że niepodobieństwo wprost, aby była zdrowa. Jakaś drobna przykrość, która ją prawdopodobnie wczoraj spotkała, podrażniła ją do tego stopnia, że przez całą noc oka nie zmrużyła. Rozumie się, dokładam wszelkich starań, aby utrzymać zdala od niej wszystko, coby ją mogło zdenerwować, ale życie jest takie, że nie zawsze może się to udać.

— Pan sam dziś niezbyt dobrze wygląda! — wtrąciła Hemnalini.



Nalinaksza: O, ja jestem zupełnie zdrow. Mnie nigdy nic nie brakuje. Przesiedziałem część nocy przy matce i dlatego zapewne wyglądam trochę gorzej niż zwykle.

Hemnalini: Byłoby najlepiej, gdyby matka pańska miała przy sobie kobietę, któraby ją stale mogła pielęgnować. Pan sam nie jest w stanie tego zrobić, a pozatem ma pan też co innego do roboty.

Hemnalini, mówiąc to, bynajmniej nie miała na myśli siebie i uwaga jej była kompletnie słuszna, ledwo jednak ją wypowiedziała, w ogniach stanęła ze wstydu, bo w tej chwili przyszło jej na myśl, że on może chcieć wyciągnąć z tego jakieś wnioski. On też, zauważywszy jej zmieszanie, przypomniał sobie propozycję matki. Chcąc zatuszować swe nierozważne odezwanie się, Hemnalini dodała:

— Czy nie byłoby dobrze wziąć do niej służącą?

— Nieraz już starałem się przekonać matkę o tem — odpowiedział Nalinaksza — ale, jak dotąd, bezskutecznie. Matka nadzwyczaj ściśle przestrzega czystości rytualnej i pod tym względem nigdyby służącej nie zaufała. Oprócz tego instynktownie nie znosi, aby koło niej krzątała się osoba płatna.

Hemnalini porzuciła ten temat i odezwała się po krótkiej pauzie:

— Ile razy staram się postępować w myśl pańskich nauk, zawsze natrafiam na przeszkody, które mnie zbijają z drogi. Przeszkody te przerażają mnie i doprowadzają do rozpacz. Jak pan sądzi, czy nigdy nie zdobędę się na stałość w przedsięwzięciu? Czy zawsze będę się musiała poddawać tym wpływom z zewnątrz?

Poważne zapytanie Hemnalini wzruszyło Nalinakszę.

— Powinna pani zrozumieć — rzekł po chwili — że przeszkody, jakie napotykamy na swej drodze, mają nam służyć właśnie do wzmocnienia woli. Niech pani nie traci odwagi.

— Czy będzie pan mógł zajść do nas jutro rano? — spytała Hemnalini — Świadomość, iż mam pańską pomoc, dodaje mi zawsze nowych sił.

Spokojna pewność tonu i wyrazu Nalinakszy wywierała na Hemnalini kojący wpływ, którego tak bardzo potrzebowała. Nawet kiedy już odszedł, w sercu swem czuła wciąż jego uspokajające dotknięcie. Stojąc na werandzie przed swoim pokojem patrzyła w kraj, zalany blaskiem słonecznym. W świetnym przepychu południa widziała przed sobą cały wszechświat, wiecznie czynny, a równocześnie pełen spokoju, potężny a pogodny zarazem, pełen siły, lecz cierpliwy i udręczona jej dusza frunęła, aby w ramiona swe wziąć niezmierny makrokosmos. W tej błogiej chwili ze światła słonecznego i promiennego błękitu nieba spłynęło na nią wieczne błogosławieństwo stworzenia.

Myśl Hemnalini pobiegła teraz ku matce Nalinakszy. Była pewna, że przyczyna wzruszenia i bezsenności staruszki jest jej znana. Teraz, kiedy minęło pierwsze wstrząsające wrażenie, jakie wywarła na niej jej propozycja, Hemnalini myśl o małżeństwie z Nalinakszą nie wydawała się tak przykrą. Jaśniej niż kiedykolwiek zdawała sobie sprawę, do jakiego stopnia zależy od niego i jak dalece jest mu oddana, nie dostawało tylko pełnego tęsknoty podniecenia, dowodzącego miłości. Nalinaksza w swym beznamiętnym altruizmie nie zależał zupełnie od miłości kobiety, niemniej, niż inni, i on miał prawo do jej usług i opieki. Matka jego była stara i chora a prócz niej nie było nikogo, ktoby

o nim myślał. Na świecie takim, jak nasz, życie Nalinakshi stanowiło wartość, której niewolno zaniedbywać. Służyć człowiekowi, podobnemu do niego, byłoby dziełem świętem.

Rozdział z historii Ramesza, jaki rano usłyszała, był dla niej ciosem tak druzgocącym, iż musiała wyteńczyć wszystkie siły, aby mu się obronić. W tym stanie rzeczy wszelki żal za Rameszem uważała za rzecz niewłaściwą, niemal uwłaczającą. Nie myślała bynajmniej sądzić go lub potępiać. Planeta nasza krąży wciąż, niewstrzymana w swym biegu, gdy mirjady jej mieszkańców skrępowane są różnemi czynnościami, dobrymi i złymi, zaś Hemnalini nie czuła się wcale powołaną do odgrywania roli sędziego moralności. Instynktownie pragnęła tylko odpędzić od siebie raz na zawsze wszelką myśl o Rameszu. Kiedy chwilami myślała o losie Kamali, dreszcz nią wstrząsał, ale ostatecznie — pytała się — cóż ona miała wspólnego z tem nieszczęsnem samobójstwem? A wówczas wstyd, hańba i litość znów wzbierały w jej sercu, tak, że, złożywszy ręce, modliła się:

— O Panie, za co trapią mnie te myśli, gdy nie ponoszę żadnej winy? Błagam cię, Panie, wyzwól mnie z tych więzów ziemskich! Pozwól, abym je na wieki z siebie strząsnęła. Nie pragnę niczego więcej, tylko, abym mogła żyć w spokoju na tym Twoim świecie!

Mimo, iż Annada Babu dużoby dał za to, aby wiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na niej historia Ramesza, nie miał odwagi otwarcie jej o to zapytać. Kiedy z robotką w ręce siedziała na werandzie, pogrążona w rozmyślaniach, podchodził do niej kilka razy, ale za każdym razem odchodził, zniechęcony pełnym zadumy wyrazem

jej twarzy. Dopiero wieczorem, kiedy usiadła przy nim, przyniósłszy mu mleko z przepisaniem przez doktora lekarstwem, nadarzyła mu się sposobność pogawędzić z nią. Naprzód poprosił Hemnalini, aby przysłoniła światło, a kiedy w pokoju było już dostatecznie ciemno, odezwał się ostrożnie:

— Ale ten starowina, który był u nas dziś rano, wygląda wcale sympatycznie.

Ponieważ jednakże Hemnalini nic nie odpowiadała, zaś jemu nie przychodził żaden lepszy pomysł do głowy, przystąpił wprost do rzeczy:

— Swoją drogą postępowanie Ramesza jest zdumiewające! Niejedno o nim słyszałem, ale po dziś dzień nie chciałem uwierzyć. Jednakże...

— Nie mówmy o tem, tatusiu! — prosiła Hemnalini.

— Nie mam zamiaru rozwodzić się nad tem, moje dziecko — mówił dalej Annada Babu — tylko, że Opatrzność tak to już urządziła, że nasza dola i niedola nierozzerwalnie związana jest z tym czy tamtym człowiekiem i dlatego postępowanie ich musi nas obchodzić.

— Nie, nie! — przeczyła Hemnalini — Nie powinniśmy nigdy dopuszczać do tego, aby nasza dola czy niedola zależała od innych. Ja jestem zupełnie spokojna. Zawstydz mnie tatuś, jeśli tatuś zbyt o mnie się niepokoi.

— Hem, moje złoto, stary już jestem, a nie będę szczęśliwy, dopóki cię nie zobaczę zamężną. Nie będę mógł inaczej umrzeć spokojnie!

Hemnalini nie odpowiadała, zaś Annada Babu mówił dalej:

— Widzisz, moje dziecko, to — że doznaliśmy tak ciężkiego zawodu, nie powinno doprowadzać nas

aż do gardzenia innymi wartościami, jakie życie, bądź co bądź, ma. Może być, że pochłonięta chwilowem jakimś zmartwieniem, w danym razie nie wiesz nawet, w jaki sposób mogłabyś ułożyć sobie życie tak, aby ono było szczęśliwe i użyteczne, pamiętaj jednak, że ja nie pragnę niczego prócz twego szczęścia. Wiem, gdzie można znaleźć to szczęście i dobrobyt i dlatego proszę cię, nie odrzucaj propozycji, jaką ci wczoraj za mojem pośrednictwem zrobiono.

Hemnalini powieki drżały, gdy wykrzyknęła:

— Proszę bardzo, niech tatuś tak nie mówi! Nigdybym nie odrzuciła propozycji, wychodzącej od tatusia! Zrobię wszystko, cokolwiek tatuś mi rozkaże! Jedyne, o co proszę, to odrobina czasu, abym mogła oczyścić serce swe z wątpliwości i przygotować się.

Annada Babu wyciągnął w ciemnościach rękę przed siebie, dotknął mokrego od łez policzka córki i położył jej łagodnie rękę na głowie.

Więcej już ze sobą nie mówili.

Następnego dnia rano ojciec pił z córką w cieniu drzew, gdy naraz zjawił się Akszaj.

— Wciąż jeszcze nie znaleźliśmy żadnego śladu! — odpowiedział na nieme pytanie w oczach Annady Babu. I, przyjąwszy ofiarowaną sobie filiżankę herbaty, usiadł za stołem.

— W domu wuja Czakrabartti'ego — zaczął — znajduje się jeszcze trochę rzeczy, należących do Ramesza i Kamali. Czakrabartti jest w kłopotcie, bo nie wie, dokąd je odesłać. Jestem pewny, że Ramesz Babu, dowiedziawszy się, gdzie państwo bawicie, natychmiast tu zjedzie, dlatego myślałbym może...

— Miałem pana za rozumniejszego człowieka! — przerwał mu gniewnie Annada Babu — Po co Ramesz

miałby tu przyjeżdżać i z jakiej racji ja miałbym przechowywać jego rzeczy!

— No, dobrze, ale ostatecznie, jakieby tam już były jego grzechy, z pewnością szczerze ich teraz żałuje, a obowiązkiem starych przyjaciół jest okazać mu współczucie. Czy też może pan sądzi, że należy zupełnie z nim zerwać?

— Akszaj, czemu pan nas prześladowuje ciąglem wracaniem do tego tematu! Ja pana stanowczo proszę, żeby mi pan bezwarunkowo więcej o tem nie wspominał!

— Nie trzeba się zaraz gniewać, tatusiu! — odezwała się Hemnalini — To tatusiowi tylko szkodzi! Niech sobie Akszaj Babu mówi, co chce, niema w tem przecie nic złego.

— Nigdy więcej słówka jednego nie pisnę! — rzekł Akszaj. — Proszę mi wybaczyć, ale nie orjentowałem się dobrze.

## ROZDZIAŁ XVII.

Nadeszła wilja wyjazdu Mukundy Babu do Mirutu. Nabinkali brała ze sobą całą służbę i wszystko było już zapakowane i przygotowane. Kamala z całej duszy pragnęła jakiegoś wypadku, któryby wyjazd uniemożliwił i modliła się gorąco, aby doktor Nalinaksza przynajmniej ostatni raz jeszcze swego pacjenta odwiedził. Nadzieje te zostały jednak zawiedzione.

Nabinkali, obawiając się, aby kucharka w tym chaosie i zamieszaniu nie drapnęła jej, od kilku dni nie spuszczała jej z oczu i w chwilach wolnych od zajęć w kuchni kazała jej pomagać w pakowaniu.

Kamali pozostała jeszcze tylko jedna jedyna nadzieja, mianowicie, iż nagle tak ciężko zachoruje,

że Nabinkali będzie musiała ją zostawić. A kto wie, może wówczas zawołają do niej pewnego, znanego jej, doktora? Prawda, któż zaręczy, czy choroba nie skończy się śmiercią, jednakże na myśl o tem Kamala zamykała oczy i wyobrażała sobie, jak spokojnie umrze w kornym pokłonie u stóp swego lekarza.

Ostatnią noc musiała spędzić w pokoju Nabinkali, która też na drugi dzień rano kazała jej ze sobą jechać na dworzec kolejowy. Mukunda Babu miał jechać drugą klasą, podczas gdy Nabinkali z Kamalą umieściły się w damskim przedziale trzeciej klasy.

Pociąg punktualnie wyjechał z Benares. Jego wycie było podobne do ryku wściekłego słonia, lecącego przed siebie, aby szerzyć zniszczenie, i Kamali zdawało się, jak gdyby to szalejące zwierzę w kłach swych trzymało jej duszę. Nienasyconemi, tęskniącemi oczami wyglądała z okna, póki Nabinkali nie wyrwała jej z tych marzeń, żądając swej puszki z betelem.

Kamala podała jej puszkę. Ale ledwo ją Nabinkali otworzyła, wybuchnęła gniewnie:

— Rozumie się, odrazu sobie to myślałam! Zapomniałaś wziąć wapna! Cóż teraz pocznę? Jak tylko czego sama nie dojrzę, wszystko jest nie tak, jak być powinno. Ty to zrobiłaś naumyślnie, żeby mnie zezłościć! Poprostu — prowokujesz mnie na każdym kroku! Raz jarzyna jest niesłona, to znowu mleko czuć rondlem! Czy ty sobie wyobrażasz, że ja nie mam już na ciebie żadnego sposobu? Poczekaj tylko, niech-no przyjedziemy do Mirut, już ja ci pokażę, z kim masz do czynienia!

Kiedy pociąg wjechał na most, Kamala wychyliła się z okna wagonu, aby jeszcze raz rzucić okiem na święte miasto, rozciągające się nad brzegami Gangesu.

Nie wiedziała, w której stronie mieszka Nalinaksza, ale gdy pociąg mknął naprzód a przed jej oczami przesuwała się panorama „ghatów“ (łazienek), domów mieszkalnych i spiętrzonych świątyń, zdawało się jej, że wszystko tam uświęcone jest jego obecnością.

— Moja droga, po co tak wyciągasz szyję! — wykrzyknęła Nabinkali — Myślisz może, że jesteś ptakiem i wystarczy ci tylko skrzydła rozwinąć, aby wzlecieć w powietrze?

Benares zniknęło z oczu.

Kamala usiadła na swoim miejscu i zapatrzyła się przed siebie.

Nareszcie pociąg stanął na stacji Moghulseraj, gdzie trzeba się było przesiadać. W zgielku dworca kolejowego i tłumie śpieszących się ludzi, Kamala chodziła jak otumaniona. Machinalnie dostała się z jednego pociągu do drugiego.

Pociąg, idący do Mirut, już miał odejść, gdy nagle Kamala ku nieopisanemu zdumieniu usłyszała znany głos: „Matko, matko!“ Wychyliwszy się z okna, ujrzała przed sobą Umesza! Twarz jej rozpromieniła się radością.

— To ty, Umesz? — zawołała.

Umesz otwarł drzwiczki przedziału i Kamala w mgnieniu oka znalazła się przy nim na peronie. Padł przed nią na twarz w pokłonie, pełnym najgłębszej czci, dotykając palcami jej stóp a potem swego czoła. Twarz rozszerzyła mu się w błogim uśmiechu zachwyty.

W tej chwili konduktor zatrzaskał drzwi wagonu.

— Co robisz? — krzyczała Nabinkali na Kamalę — Pociąg już rusza! Wsiadaj! Wsiadaj-że!

Ale Kamala głucha była na jej krzyki.



Lokomotywa gwizdnęła i pociąg zwolna ruszył naprzód.

— Skądęś się tu wziął, Umesz? — zapytała Kamala.

— Przyjechałem z Ghazipur.

— I cóż? Wszyscy tam zdrówi? Jak się wuj ma?

— Zdrów!

— A moja siostra Sailadża?

— Oczu mało sobie nie wyplakała przez was, matko!

Łzy natychmiast zakręciły się w oczach Kamali.

— A cóż Umi? Nie zapomniała jeszcze cioci?

Umesz: O, nie! Rano nie wypije swego mleka, póki się jej nie włoży na rączki bransoletek, któreście jej, matko, dali przed swem odejściem. A jak się jej włoży bransoletki, wywija rączkami i krzyczy: „A ciocia sobie poszła!“ i matka zawsze płacze, gdy to słyszy!

Kamala: Po co tu przyjechałeś?

Umesz: Miałem już dość Ghazipur i uciekłem.

Kamala: Dokąd chcesz jechać?

Umesz: Z wami, matko.

Kamala: Ale ja nie mam ani grosika!

Umesz: To nic, matko, zato ja mam pieniądze.

Kamala: Skąd je wziąłeś?

Umesz: Schowałem sobie tych pięć rupij, coście mi wtedy dali — odpowiedział, pokazując jej na dowód pieniądze.

Kamala: A więc dobrze, Umesz, pojedziemy do Benares, chcesz? Wystarczy dla nas obojga na bilety?

— Pewnie, że wystarczy! — i w mgnieniu oka wrócił z biletami.

Pociąg stał już na stacji. Umesz umieścił Kamalę w przedziale dla kobiet, a sam wsiadł do przedziału sąsiedniego.

— Dokądże się udamy? — zapytała Kamala, kiedy wysiedli z pociągu w Benares.

— Nie troszczcie się o to, matko! Już ja was zaprowadzę, gdzie będzie najlepiej!

— Gdzie będzie najlepiej! — wykrzyknęła Kamala — Przecie ty Benares nie znasz!

— Znam bardzo dobrze! Zaraz się o tem, matko, przekonacie!

Usadowił Kamalę w dorożce, a sam siadł obok woźnicy na koźle.

Dorożka zatrzymała się przed jakimś domem i Umesz oznajmił:

— Tu musimy wysiąść, matko!

Kamala wysiadła i weszła do domu z Umeszem, który wołał do jakiegoś niewidzialnego mieszkańca:

— Halo, dziadku, jesteście tu?

Z któregoś z bocznych pokojów odezwała się odpowiedź:

— To ty, Umesz? A ty co tu robisz?

I w chwilę później z fajką w ręce stanął przed Kamalą wuj Czakrabartti we własnej osobie.

Twarz Umesza rozplynęła się w szerokim uśmiechu.

Zdziwiona do najwyższego stopnia Kamala złożyła wujowi głęboki pokłon. Dobra minuta minęła, zanim Czakrabartti odzyskał głos, ale wtedy nie wiedział, co mówi, ani co robi ze swą fajką.

Wreszcie ujął ją za brodę i podniósł w górę jej twarz, mówiąc:

— Więc moja mała córuchna przecie wróciła! Chodź na górę, dziecko!

A potem zawołał:

— Saila! Saila! Chodź-no, zobacz kogo tu mamy!

Saila wypadła ze swego pokoju na górną werandę i stanęła u zejścia na schody, gdy Kamala padła przed nią, dotykając palcami jej stóp. Saila natychmiast przycisnęła włóczęgę do swego serca i pocałowała ją w czoło.

Zalewając się łzami, wołała:

— Moja droga! Moja kochana! Jakże ty mogłaś tak nas opuścić! Nie wiedziałaś, jaki ból nam sprawisz?

— Daj temu spokój, Saila! — rzekł wuj — Postaraj się lepiej dla niej o śniadanie!

W tej chwili przybiegła Umi, z piskiem wyciągając do Kamali ręce i wołając:

— Ciocia! Ciocia!

Kamala chwyciła ją w ramiona, przycisnęła do piersi i omal nie zadusiła pocałunkami.

Przykro zrobiło się Saili na widok zaniedbanej fryzury i nędznego odzienia Kamali, pociągnęła ją tedy za sobą, chcąc do porządku doprowadzić jej toaletę. Natychmiast kazała przyrzadzić dla niej kąpiel i dała jej najlepsze swoje suknie.

— Prawdopodobnie nie spałaś w nocy! — zauważyła — Patrz, jak ci oczy wpadły. Możebyś się lepiej zdrzemnęła, dopóki śniadanie nie będzie gotowe.

— Nie, dziękuję d i d i. Wolę iść z tobą do kuchni.

I przyjaciółki poszły do swoich rondli i garnków.

Kiedy wuj postanowił pójść za radą Akszaja i pojechać do Benares, Saila uparła się jechać z nim razem.

— Ależ Bipin nie jest jeszcze wolny! — tłumaczył wuj.

— Nic nie szkodzi, pojedę bez niego. Matka zostaje przecie w domu, a już ona mu krzywdy nie zrobi.

Pierwszy raz w życiu Sailadża dobrowolnie pozostawiała męża samego.

Ojciec musiał ustąpić i córka towarzyszyła mu w podróży. Wsiadłszy w Benares, ujrzeli Umesza, również wysiadającego z pociągu. Naturalnie, zaczęli go wypytywać, w jaki sposób się tu wziął. Pokazało się, że przyjechał w tym samym celu, co i oni, ponieważ jednak Umesz był teraz w ich domu w Ghazipur niezbędną siłą pomocniczą i wiedzieli, że matka gniewać się będzie o to jego nagłe zniknięcie, wspólnymi siłami starali się nakłonić go do powrotu, co im się wreszcie udało. Co się dalej stało, czytelnik już wie. Nie mogąc wytrzymać w Ghazipur bez Kamali, wysłany pewnego dnia na bazar, skorzystał z nadarzającej się sposobności, uciekł z powierzonymi sobie pieniędzmi i, przeszedłszy przez most na Gangesie, dostał się na dworzec kolejowy. Wuj wściekał się, kiedy usłyszał o tym nowym figlu, jak jednak dalsze wypadki pokazały, trudno było za nie Umesza ukarać.

## ROZDZIAŁ XVIII.

Tegoż dnia odwiedził wuja Akszaj, któremu jednakże nic o powrocie Kamali nie powiedziano, ponieważ wuj spostrzegł już, że Akszaj nie jest Rameszowi szczególnie życzliwy.

Nikt z całej rodziny nie pytał Kamali, dlaczego uciekła i gdzie przez ten czas była, przeciwnie zachowywano się wobec niej tak, jak gdyby towarzyszyła rodzinie w podróży do Benares. Tylko piastunka Umi Laczminja zaczęła jej robić łagodne wymówki, ale wuj,

usłyszawszy to, odciągnął ją na bok i zabrocił jej wspominać o tem.

Tej nocy Sailadza spała z Kamalą. Objęła ją za szyję i, głaszcząc ją łagodnie, przycisnęła do siebie. Ta pieśczoła była dla Kamali niema zachętą do zwierzenia się z jej żalosalnej tajemnicy.

— Co ty o mnie myślałaś, d i d i? — spytała Kamala. — Bardzo byłaś zła na mnie?

— Nie byliśmy tak niemądry, żeby się na ciebie gniewać! — odpowiedziała Saila' — Wiedzieliśmy, że nie zrobiłabyś z pewnością tak strasznej rzeczy, gdybyś miała inne wyjście. Co nam było najprzykrzejsze, to myśl o okropnem cierpieniu, jakie niebo na ciebie zesłało. Pomyśleć tylko, że kara spotykała tego, kto nie mógł mieć żadnej winy!

— Chcesz wysłuchać całej historii, d i d i? — spytała znów Kamala.

— Rozumie się, że chcę! — odpowiedziała Saila czule.

— Nie wiem, dlaczego przedtem nie byłam w stanie ci jej opowiedzieć; nie miałam wtedy czasu przemyśleć tego wszystkiego do końca. Spadło to na mnie jak nagle jakieś uderzenie i miałam uczucie, że nie będę ci już mogła w oczy spojrzeć. Nie mam matki ani siostry, d i d i, ale ty jesteś dla mnie matką i siostrą zarazem i dlatego tobie wszystko powiem; komu innemu nie powiedziałabym za nic na świecie.

Nie mogąc dłużej uleżeć, Kamala siadła. Także Sailadza wstała i usiadła naprzeciw niej. Tak siedziały obie aż do końca dziwnej historii życia Kamali i jej małżeństwa.

Kiedy Kamala wspomniała, że ani podczas ślubu ani przez całą noc poślubną nie spojrziała na twarz

męża, tak że nie wiedziała nawet, jak on wygląda, Saila przerwała:

— Nie, tak zwarjowanej dziewczyny, jak ty, nigdy jeszcze nie widziałam. Byłam młodsza od ciebie, kiedy wychodziłam zamąż, ale nie myśl sobie, że bałam się spojrzeć swemu mężowi w twarz.

— To nie była wcale nieśmiałość, d i d i! — odpowiedziała Kamala — Pomyśl tylko, wychodziłam już prawie z lat, w których się wydaje dziewczynę zamąż, gdy nagle znaleziono dla mnie męża — wszystkie dziewczęta mi z tego powodu dokuczały. Właśnie, żeby im pokazać, że nie jestem wcale Bóg wie jak uszczęśliwiona tem, iż mimo swego wieku wychodzę zamąż, nie przyjrzałam się mężowi. Posunęłam się nawet tak daleko, iż uważałam za nieskromne i niewłaściwe okazać mu najmniejsze zainteresowanie — choćby bodaj w duchu. Za to teraz pokutuję.

Kamala umilkła, a po chwili mówiła dalej:

— Opowiadałam ci już, jak się cudem uratowałam, kiedy wiatr przewrócił łódź po ślubie; nie wiedziałam jednak wówczas, że wybawca mój, mężczyzna, w którego ręce wpadłam, przekonana, iż on jest mym mężem, wogóle mężem moim wcale nie był!

Sailadza zdumiona zerwała się — a potem przysiadła się do Kamali i objęła ją za szyję.

— O, ty biedactwo! Pomyśleć tylko! Teraz już rozumiem! To coś okropnego!

— Tak, d i d i! — rzekła Kamala — To było okropne! A wyobraź sobie — gdybym była utonęła, uniknęłabym tego wszystkiego!

— Czy Ramesz Babu nie dowiedział się o tem? — spytała Sailadza.

— Pewnego dnia, jakiś czas już po ślubie — mówiła znów Kamala — nazwał mnie Susilą. „Dlaczego pan nazywa mnie Susilą, kiedy ja się nazywam Kamala?“ — powiedziałam. Dziś wiem, że tego dnia wszystkiego się domyślił; ale na samo wspomnienie tych dni nie mogę patrzeć nikomu w oczy, d i d i.

I Kamala znowu umilkła.

Słowo po słowie Sailadża wyciągnęła z niej całą historję.

Kiedy Kamala skończyła, Sailadża rzekła do niej:

— Wszystko to jest istotnie straszne, ale muszę przyznać, iż to było wielkie szczęście, że wpadłaś w ręce Ramesza a nie kogo innego. Mów sobie co chcesz, mnie żal tego biednego Ramesza Babu! Ale teraz już bardzo późno, Kamalo, kładź się spać. Tyle nocy przeplakałaś, że wyglądasz już jak cień. Jutro namyślimy się nad tem, co zrobić.

Kamala miała przy sobie list Ramesza do Hemnalini. Na drugi dzień rano Sailadża odbyła z ojcem poufną konferencję i wręczyła mu list.

Wuj wdział na nos okulary i przeczytał list bardzo uważnie, poczem włożył go z powrotem do koperty, zdjął okulary i zwrócił się do córki:

— No, więc cóż teraz zrobić?

— Wie tatuś co? — odezwała się Sailadża — Umi zaziębiła się i od kilku dni trochę kaszle. Mam ochotę zawołać do niej doktora Nalinakszę. Tyle się o nim i o jego matce słyszy w Benares a nigdzie go nie widać.

Doktor zawołany przyszedł i Saila koniecznie chciała go zobaczyć.

— Chodź ze mną, Kamalo! — wołała.

Ale Kamala, która w domu Nabinkali nie mogła oprzeć się pragnieniu ujrzenia Nalinakszy, była teraz tak oniesmielona, że ledwo się na nogach trzymała.

— Nieznośna Kamalo! — niecierpliwiła się Saila — Spóźnię się przez ciebie. Umi nie jest znowu taka bardzo chora i doktor długo u niej nie zabawi. Nie zobaczę go wcale, jeśli będę musiała siedzieć tu z tobą i tracić czas na perswazje!

Niemal przemocą pociągnęła Kamalę ku drzwiom.

Nalinaksza starannie zbadał i opukał płuca Umi z przodu i z tyłu, napisał receptę i wyszedł.

— Mimo wszystkich swych przygód, masz jednak szczęście — rzekła Saila — Poczekaj cierpliwie parę dni, kochanie. Już my znajdziemy na to wszystko jakiś sposób, a tymczasem będziemy wciąż wzywał doktora do Umi, tak, że go będziesz mogła często widywać.

Pewnego dnia wuj osobiście poszedł zawiadamiać doktora, wybrawszy starannie porę, kiedy Nalinakszy nie było zwykle w domu. Służący oznajmił mu, że doktor wyszedł.

— Nic nie szkodzi! — rzekł wuj — Za to pani jest w domu z pewnością. Powiedz jej, że ja przyszedłem. Wystarczy jeśli powiesz, że stary bramin chciałby ją zobaczyć.

W chwilę później służący zaprowadził go do Kszemankari, której wuj w następujący sposób się przedstawił:

— Tyle się o was, matko, słyszy w Benares, że przyszedłem zdobyć zasługę przez zobaczenie was. Nic innego nie jest powodem mego natręctwa. Wnuczka moja jest trochę chora, chciałem poprosić do niej



waszego syna, ponieważ go jednak nie zastałem, postanowiłem skorzystać ze sposobności i przed odejściem złożyć wam swoje uszanowanie.

— Nalin wkrótce nadejdzie! — zatrzymywała go Kszemankari — Usiądźcie i poczekajcie chwilę. Późno się robi. Może zechcecie przekąsić coś?

— Byłem pewny, matko, że nie odprawicie mnie z pustym żołądkiem! — rzekł wuj — Ludzie na pierwszy rzut oka poznają we mnie smakosza i schlebiają tej mojej niewinnej słabostce.

Kszemankari była nadzwyczaj uradowana, że może wuję ugościć.

— Przyjdźcież do mnie jutro na obiad! — zapraszała go — Dziś niewiele mam dla was, bo się was nie spodziewałam.

— W takim razie chciejcież łaskawie nie zapominać o starym! — odpowiedział wuj — Mieszkam tu niedaleko. Powiedzcie tylko słowo, a wezmę ze sobą waszego służącego i pokażę mu swój dom.

Po kilku takich wizytach wuj stał się w domu Nalinakszy „persona grata“.

Pewnego dnia Kszemankari posłała po swego syna i zapowiedziała mu:

— Nalin, nie bierz żadnego honorarjum od naszego przyjaciela Czakrabarttiego.

Wuj roześmiał się.

— On spełnia rozkazy matki, zanim je nawet otrzyma! Ani grosza odemnie nie przyjął. Wielkoduszni poznają biedaka od pierwszego wejrzenia.

Ojciec i córka czekali jeszcze parę dni, aż ich plan dojrzeje, poczem wuj rzekł pewnego poranku do Kamali:

— Chodź, dziecko, musimy iść się wykąpać; **dziś** święto Dasaswamedh.

— Pójdiesz z nami, d i d i? — zwróciła się Kamala do Saili.

— Nie mogę, kochanie! — odpowiedziała Saila — Umi jest dziś trochę gorzej.

Kiedy wracali z „ghatu“, wuj poprowadził Kamalę inną drogą.

Idąc tak, dogonili wracającą z kąpiei jakąś starą matronę w jedwabiach i z dzbanem świętej wody w rękach. Wuj postawił na jej drodze Kamalę i rzekł:

— To jest matka pana doktora, kochanie; pokłoń się jej.

Kamala zadrżała na te słowa ze strachu, ale natychmiast padła przed Kszemankari na ziemię, z czią dotykając palcami jej stóp.

— Słodki Boże, a któż to znów taki? — wykrzyknęła Kszemankari — Co za piękność! Prawdziwa mała Lakszmi!

Odsunawszy zasłonę Kamali, spojrzała jej uważnie w twarz.

— Jak ci na imię, kochaneczko?

Zanim Kamala zdążyła odpowiedzieć na to pytanie, już wpadł wuj:

— Nazywa się Haridasi, jest moją siostrzenicą. Nie ma rodziców, skutkiem czego ja ją muszę utrzymywać.

— Proszę ze mną, mój panie! — rzekła żywo Kszemankari — Proszę was oboje, chodźcie do mnie.

Kszemankari przyprowadziła ich do siebie i posłała po Nalinakszę, ale doktora przypadkiem nie było. Wuj usadowił się w krześle, zaś Kamala usiadła na niskim stołeczku.

Wuj rozpoczął rozmowę:

— Trzeba wam wiedzieć, matko, że ta moja siostrzeniczka jest bardzo nieszczęśliwa. Mąż jej na drugi dzień po ślubie został ascetą i zniknął gdzieś, a ona go od tej pory nie widziała. Chciałaby prowadzić nabożne życie w jakimś świętem mieście — religja jest dziś jedyną jej pociechą — ale ja tu nie mieszkam, a nie mogę zrezygnować ze swej posady w Ghazipur, bo bez niej nie mógłbym wyżywić rodziny i z tego powodu nie mogę się osiedlić w Benares. Otóż chciałbym was, matko, poprosić o jedną łaskę. Kamień spadłby mi z serca, gdyby ona mogła tu zostać przy was, jak córka. Gdybyście po jakimś czasie nie chcieli jej dłużej trzymać, możecie mi ją odesłać z powrotem do Ghazipur, ręczę wam jednak, jeśli choć parę dni u was zostanie, sami zobaczycie, co to za skarb i ani na chwilę nie będziecie chcieli się z nią rozstać.

— I owszem, to niezła propozycja — rzekła Kszemankari — Miło mi będzie mieć przy sobie taką dziewczynkę. Nieraz już wprost z gościńca zabierałam zupełnie obce dziewczęta, karmiłam je, odziewałam, ale żadnej nie udało mi się namówić, żeby ze mną została. Skoro mi dajecie Haridasi, możecie być o nią spokojni. Wiecie zapewne, co ludzie mówią o moim synu, Nalinakszy — to bardzo dobry chłopak; prócz nas dwojga nikogo więcej tu niema.

— Któżby nie słyszał o Nalinakszy! — odrzekł wuj — Jestem z całego serca rad, że on z wami mieszka. Podobno żona jego utonęła zaraz po ślubie i z tego powodu został do pewnego stopnia ascetą?

— Taka była wola boża — westchnęła Kszemankari — ale, proszę was, nie mówmy już o tem. Na samą myśl o tem nieszczęściu zgroza mnie ogarnia.

— Jeśli pozwolicie, matko, — odezwał się wuj — zostawię wam teraz Haridasi, ale nie będziecie mieli nic przeciw temu, że ją od czasu do czasu odwiedzę. Ma ona też starszą siostrę, która również przyjdzie złożyć wam swe uszanowanie.

Gdy tylko wuj odszedł, Kszemankari przygarnęła Kamalę do siebie, mówiąc:

— Chodź do mnie, kochane dziecko, pozwól, żebym ci się dobrze przypatrzyła! Ależ ty jesteś jeszcze zupełnie młodziutka! Co za niedorzeczność odejść i porzucić taką żonę! Że też tacy ludzie mogą być na świecie! No, będziemy się modliły, aby powrócił! Los nie może chyba pozwolić zmarnieć takiej piękności!

Tu pieścizotliwie wzięła Kamalę za brodę.

— Nie będziesz tu miała żadnych rówieśniczek. Wytrzymasz sama ze mną?

— Tak, matko! — odpowiedziała Kamala z wyrazem zupełnego oddania w swych wielkich, pięknych oczach.

— Nie wiem tylko, co poczniesz ze sobą przez cały dzień.

— Będę dla was pracowała, matko!

— A ty paskudnico! To ty też? Bo to widzisz, mój syn — on istotnie jest trochę ascetą — gdyby on kiedy powiedział: „Matko, chciałbym mieć to czy tamto“, albo „to lub tamto chciałbym zjeść“, albo „to i to lubię“ — jakaż ja byłabym szczęśliwa! Gdzie-tam, nigdy nic podobnego nie powie! Zarabia mnóstwo pieniędzy, ale ani grosza nie zachowuje sobie i nikt nawet nie wie, ile wydaje na cele dobroczynne. No, moje dziecko, jeśli masz zamiar spędzać ze mną dwa-dzieścia cztery godziny na dobę, to muszę cię ostrzec: Rozchorujesz się od słuchania pochwał, jakie

wysławiam na cześć syna, ale do tego będziesz się musiała przyzwyczaić.

Wyraz twarzy Kamali był poważny, lecz serce jej drżało z radości.

— Sama nie wiem, co ja ci tu dam do roboty! — mówiła dalej Kszemankari — Umiesz szyć?

— Nie nadzwyczajnie — odpowiedziała Kamala.

— No, to dobrze, będę cię uczyła. A czytać umiesz?

— Tak, czytać umiem — rzekła Kamala.

— To mnie cieszy! — pochwaliła ją Kszemankari.

— Ja już bez okularów niewiele widzę, będziesz mi mogła czytać.

— Ale ja umiem gotować i znam się dobrze na gospodarstwie! — zgłosiła się Kamala dobrowolnie.

— Przypuszczam! — przyznała Kszemankari — Jeśli ty nie umiesz gotować, to chyba nie znam się na ludziach. Dotychczas zwykle ja gotowałam dla Nalina, a jak jestem chora, on woli sam sobie gotować niż jeść, coby mu ktoś ugotował. Od dziś, dzięki tobie, nie będzie musiał więcej sam sobie gotować, a jeśli ja nie będę mogła zejść do kuchni, będę ci bardzo wdzięczna, jeśli i dla mnie jakąś prostą potrawę przyrządzisz. Chodź ze mną, dziecko, pokażę ci spiżarnię i kuchnię.

To rzekłszy, pociągnęła ją ze sobą za kulisy swego małego gospodarstwa.

Kamala uznała to za szczęśliwą sposobność wyrażenia najgorętszego życzenia swego serca.

— Matko! Proszę mi pozwolić zgotować dziś obiad. Kszemankari uśmiechnęła się.

— Spiżarnia i kuchnia jest królestwem kobiety! Niejednego musiałam się wyrzec na tym świecie, ale

te rzeczy związane są z mem życiem. Dobrze więc, moje dziecko, gotuj dziś, możesz gotować dwa i trzy dni, jeśli lubisz. Nie wątpię, że po pewnym czasie wogóle sama prowadzić będziesz całe gospodarstwo, dzięki czemu zostanie mi więcej czasu na modlitwy. Jest to nigdy nie kończąca się odpowiedzialność i rada będę, jeśli choć na parę dni zostaną od niej zwolniona. Tron pani domu nie stoi na różach!

Kiedy Kamala zupełnie już została wtajemniczona we wszystkie arkana departamentu kuchennego, Kszemankari zamknęła się w swej kapliczce, dając w ten sposób dziewczęciu możliwość dania praktycznego dowodu swych zdolności kulinarnych.

Kamala ze zwykłą sobie dokładnością przygotowała wszystko, czego było potrzeba do gotowania. Podkasła suknię, przewiązała się w pasie zasłoną, związała włosy w węzeł i przystąpiła do dzieła.

Wracając do domu, Nalinaksza, niespokojny o zdrowie matki, zawsze przedewszystkiem wstępował do niej. Tego dnia, gdy tylko wszedł do domu, słuch i powonienie doniosły mu, iż w kuchni gotuje się obiad. Pewny, że to matka, wszedł do kuchni i stanął w progu.

Zaniepokojona odgłosem kroków, Kamala obróciła się i znalazła się twarzą w twarz z Nalinakszą. Upuściła kochlę, ale zapomniawszy, iż przewiązała się zasłoną, napróżno starała się twarz zakryć. Zanim zdążyła zasłonę rozwiązać i podnieść ku swej twarzy, Nalinaksza odwrócił się i wyszedł.

Ręce Kamali drżały, kiedy schyliła się po łyżkę.

Było jeszcze wcześniej, gdy Kszemankari skończyła modlitwy i zajrzała do kuchni po to tylko, aby się dowiedzieć, że obiad już gotów. Kamala umyła podłogę i zamiotła ją gruntownie; nigdzie nie było widać

ani trzaski ani obierzyn z jarzyn, wszystko znajdowało się w jak najlepszym porządku.

— Zaraz widać, że jesteś prawdziwą braminką! — wykrzyknęła Kszemankari zachwycona.

Kiedy Nalinaksza zasiadł do obiadu, matka usiadła naprzeciw niego a pewna mała, bardzo zdenerwowana osóбка stała pod drzwiami, podsłuchując w najwyższem naprężeniu. Nie miała odwagi zajrzeć do pokoju, a na myśl o tem, że potrawa mogłaby się jej nie udać, odchodziła od zmysłów.

— Jakże ci dziś jedzenie smakuje, Nalin? — zapytała Kszemankari.

Nalinaksza nie był smakoszem, to też matka zwykle nie pytała go nawet, czy mu co smakuje, dziś jednak w głosie jej zabrzmiała nuta prawdziwej ciekawości. Nie wiedziała, iż Nalinaksza był już poinformowany o zainstalowaniu w kuchni tajemniczej nieznanym. Ponieważ z wiekiem matce siły zaczęły nie dopisywać, używał wszelkich sił, aby nakłonić ją do przyjęcia kucharki, zdawało się jednak, że ona się nigdy na to nie zgodzi. Dlatego, ujrawszy w kuchni nową twarz, bardzo się ucieszył i choć w gruncie rzeczy nie wiedział nawet dobrze, co je, odpowiedział z zapalem:

— Świetne, mamó!

Usłyszawszy takie uznanie dla swej sztuki gotowania, Kamala, niezdolna do dłuższego podsłuchiwania pod drzwiami, uciekła do drugiego pokoju z ramionami skrzyżowanymi na wezbranej piersi.

Po obiedzie Nalinaksza udał się do swej pracowni, gdzie zwykle spędzał wolny czas na czytaniu. Po południu Kszemankari zajęła się Kamalą, uczesała ją pięknie, ubarwiła rozdział na głowie karminem, a potem zaczęła jej głowę wykręcać na wszystkie strony

podziwiając efekt. Kamala nie śmiała nawet spojrzeć na siebie.

— Ach! — westchnęła Kszemankari w duchu — Gdybym to ja miała taką synową!

Wieczorem, ku wielkiemu zmartwieniu Nalinakszy, staruszka dostała nowego paroksyzmu gorączki.

— Mamo! — prosił jej — Niech mama jedzie ze mną na parę tygodni na wieś. Powietrze Benares mamie szkodzi.

— Nie, mój synu! — odpowiedziała Kszemankari — W żaden sposób nie mogę się pogodzić z myślą opuszczenia Benares, choćbym nawet miała skutkiem tego żyć o tych parę dni dłużej.

A potem zwróciła się do Kamali:

— Idź sobie lepiej, moje dziecko! Po co masz tu stać przy drzwiach! Idź, połóż się, wyśpij się dobrze. Dopóki będę leżała w łóżku, musisz sama zajmować się domem, dlatego powinnaś się wyspać. A ty, Nalin, idź także do siebie.

Gdy tylko Nalinaksza wyszedł do drugiego pokoju, Kamala usiadła na łóżku Kszemankari i zaczęła jej rozcierać nogi.

— Musiałaś być chyba w którymś z dawniejszych swych istnień moją matką — mówiła staruszka — inaczej czemżebym sobie zasłużyła na to, żeś do mnie przyszła. Ja mam takie usposobienie, że za nic na świecie nie mogę znieść, gdy mnie ktoś obcy obsługuje, ale kiedy ty mnie masujesz, zdaje mi się, jak gdyby twoje dotknięcie dodawało mi sił. To dziwna rzecz: patrząc na ciebie, mam wrażenie, że znam cię od lat. Ty dla mnie zupełnie nie jesteś obca. Ale teraz zrób, jak ci każę, kochanie, i idź do łóżka. Nalin jest w sąsiednim pokoju — on nikomu nie pozwoli siedzieć przy



mnie, gdy jestem chora. Tysiąc razy mu zakazywałam i broniłam się, jak tylko mogłam, ale on zawsze postaw, na swoim. Jedną z jego zalet jest, że może całą noc nie spać i znosić najróżniejsze utrapienia, a na drugi dzień zupełnie tego po nim nie znać. To pochodzi stąd, że zawsze zachowuje zimną krew, wprost przeciwnie niż ja. No, teraz już z pewnością śmiejesz się ze mnie w kulak! Myślałaś, że przestanę mówić o Nalinie, a tymczasem ja nigdy nie przestanę, ale to dlatego, że to mój jedynak, a niewiele jest matek, które mają takich synów, jak Nalin. Wiesz, czasami wyobrażam sobie, że on jest moim ojcem i że, jak się zestarzeje, będę mogła dla niego zrobić wszystko to, co on robi dla mnie. Masz, znowu mówię o nim! Ale dość, dość na dziś! Idź, kochanie, połóż się spać. Nie, nie, to nie pomoże, musisz naprawdę iść. Nie zasnę, dopóki będziesz przy mnie siedziała. Starzy ludzie nie mogą powstrzymać się od mówienia, gdy widzą, że mają przy sobie kogoś, kto ich słucha.

Następnego dnia Kamala stanęła na czele domu.

Nalinaksza urządził był sobie na wschodniej werandzie mały pokoik, który kazał od reszty werandy oddzielić ścianą i wyłożyć marmurem; zwykle popołudniu siadywał tam i czytał. Kiedy rano tam wszedł, pokoik był czysto zamieciony i starannie posprzątanym; spiżowa kadzielnica, w której palił w ofierze kadzidła, świeciła jak złota, okurzone książki i broszury na półkach ustawione były równo. W promieniach porannego słońca, wpadających przez otwarte drzwi, pokoik świecił niepokalaną czystością i Nalinaksza, który właśnie wrócił z rannej kąpieli, był mile zdziwiony, widząc wszystko w takim ładzie i porządku.

Już wczesnym rankiem zjawiła się Kamala u łóżka chorej z dzbankiem wody z Gangesu. Staruszka, ujrawszy jej świeżą, umytą twarz, zawołała:

— Jakto, moje dziecko, sama byłaś w kąpeli? Od chwili, jak się zbudziłam, myślę wciąż o tem z kimby cię posłać. Młoda jesteś i iść tak samej...

— Matko! — rzekła Kamala — Jeden ze służących wuja, człowiek bardzo mi oddany, przyszedł mnie odwiedzić wczoraj wieczorem. On odprowadził mnie dziś do „ghatu“.

— Aha! — odezwała się Kszemankari — To pewnie twoja ciotka zaniepokoiła się o ciebie i dlatego go przysłała. To dobrze, każ mu tu zostać, będzie ci pomagał w robocie. Gdzie on jest? Zawołaj go na chwilę.

Kamala przyprowadziła Umesza, który złożył Kszemankari niski pokłon.

— To on? Jakże się nazywasz? — zapytała matrona.

Umesz z szerokim lecz zakłopotanym uśmiechem na twarzy wymówił swoje imię.

— A któż to ci dał takie śliczne ubranie, Umesz? — pytała Kszemankari, śmiejąc się.

— To od matki! — odpowiedział Umesz, wskazując na Kamalę.

Kszemankari spojrzała na Kamalę i zauważyła z uśmiechem:

— Jabym myślała, że Umesz dostał to ubranie w podarunku od swojej teściowej.

Tak Umesz znalazł łaskę w oczach Kszemankari i został jej domownikiem.

Z jego pomocą Kamala w krótkim czasie ukończyła swą pracę dzienną. Sama zamiotła sypialnię

Nalinakszy, rozwiesiła jego pościel na słońcu i posprzątała pokój. W jednym kącie pokoju leżały brudne ubrania Nalinakszy; Kamala wyprała je, poskładała i rozwiesiła na wieszadłach. Nawet rzeczy, na których nie było ani pyłku, zostały wyjęte, obejrzone, dla przekonania się, czy nie potrzebują naprawy i ze czcią umieszczone na swoim miejscu. Pod ścianą, w głowach łóżka, stała szafka. Kamala otworzyła ją i ujrzała, że niema w niej nic prócz pary drewnianych sandałów Nalinakszy, stojących na dolnej półce. Kamala wzięła je i przyłożyła je sobie do czoła, przyciskała je do swej piersi jak dziecko i oczyściła rąbkiem własnej sukni.

Po południu Kamala siedziała na łóżku sędziwej damy, masując jej nogi, gdy naraz weszła do pokoju Hemnalini z wiązką kwiatów i padła na twarz przed Kszemankari.

— Chodź, Hem! — rzekła matrona, siadając na łóżku — Chodź i siadaj! Jakże się ma Annada Babu?

— Ojciec był wczoraj niezdrów i dlatego nie mógł dziś przyjść ze mną; dziś czuje się trochę lepiej.

Kszemankari przedstawiła jej Kamalę.

— Czy wiesz, moja droga? Matka moja umarła, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem. Po latach znowu przyszła na ten świat i ja spotkałam ją najniespodziewaniej wczoraj na gościńcu. Matka moja nazywała się Haribhagini a teraz przyjęła imię Haridasi. Widziałas kiedy takie śliczne stworzenie, Hem? Powiedz sama?

Zawstydzona Kamala opuściła głowę na piersi i dłuższy czas minął, zanim przyszła do siebie.

Hemnalini spytała Kszemankari, jak się czuje.

— Kiedy ktoś jest tak stary, jak ja — odpowiedziała matrona — lepiej go o zdrowie nie pytać. Jestem zupełnie zadowolona, że wogóle jeszcze żyję, ale wiem, że niedługo już będzie mi się udawało Śmierć oszukiwać. Mimo to rada jestem, że poruszyłaś ten temat. Już od pewnego czasu chciałam bardzo porozmawiać z tobą, niestety, nie miałam sposobności. Wczoraj, kiedy znowu dostałam gorączki, postanowiłam nie odkładać tego dłużej. Widzisz, kochanie, gdy byłam małą dziewczynką, umierałam ze wstydu, kiedy ktoś zaczynał mówić ze mną o małżeństwie, ale wy, nowoczesne panienki, jesteście wychowane inaczej. Ty jesteś panienka wykształcona, dorosła, nie żadne dziecko, z tobą można o takich rzeczach mówić spokojnie. Dlatego chciałabym właśnie bardzo pomówić z tobą o tem i proszę cię, żebyś mówiła śmiało. Powiedz-że mi, moja kochana, czy ojciec nie wspominał ci przypadkiem o propozycji, jaką mu przed paru dniami uczyniłam?

— I owszem, mówił o tem! — rzekła Hemnalini, spuszczać wzrok.

— Ale prawdopodobnie ty nie chciałaś się zgodzić, inaczej Annada Babu z pewnością przybiegłby do mnie — mówiła matrona — Uważasz zapewne Nalina za jakiegoś ascetę, dnie i noce spędzającego na modlitwach, postach i umartwieniach, stąd uczucie, że nie możesz zostać jego żoną. Sama muszę o tem mówić, mimo że to mój syn. Sądząc po różnych oznakach zewnętrznych, możnaby przypuszczać, że on wogóle nie jest zdolny do miłości, ale co do tego ludzie się gruntownie mylą. Ja, która go znam dobrze, a obserwowałam go przez całe życie, wiem chyba najlepiej. Właśnie on zdolny jest do uczucia tak silnego, że się go wprost boi i dlatego

tak bardzo nad sobą panuje. Kto zdoła przedrzeć się przez tę powłokę ascetyzmu i znajdzie drogę do jego serca, zobaczy, iż to serce jest gorące, o tem cię zapewniam. Moja kochana Hem, ty nie jesteś przecie już dzieckiem. Jesteś panienką edukowaną, słuchałaś nawet nauk Nalina. Umrę bez żalu, gdy cię zobaczę usadowioną w tym domu. Poprostu strach pomyśleć! On taki niezaradny! Wiem, że Nalina poważasz; powiedz-że, kochanie, co masz przeciw niemu?

— Nie mam nic przeciw niemu, jeśli pani uważa, że będę dla niego żoną odpowiednią! — odrzekła Hemnalini, nie podnosząc wzroku.

Kszemankari, usłyszawszy to, pociągnęła Hemnalini do siebie i pocałowała ją w czoło. Więcej już o tem temacie nie mówiły.

— Haridasi! Weź-no te kwiaty i...

Kszemankari obejrzała się i spostrzegła, że „Haridasi“ niema; wymknęła się z pokoju podczas rozmowy.

Kiedy panie w ten sposób porozumiały się, Hemnalini stała się po swojemu zamknięta w sobie i mało-mówna, zaś Kszemankari była widocznie wyczerpana. Wobec tego Hemnalini urwała wizytę i wstała, mówiąc:

— Muszę być dziś wcześniej w domu, matko; tatuś nie jest zdrow.

— Do widzenia, kochanie, do widzenia! — rzekła Kszemankari, kładąc jej rękę na głowie.

Po odejściu Hemnalini Kszemankari posłała po Nalinakszę i powitała jego zjawienie się okrzykiem:

— Nalin, ja już nie mogę dłużej czekać!

— Na co? — zdziwił się Nalinaksza.

— Właśnie mówiłam teraz z Hem — oznajmiła matka — a ponieważ ona zgodziła się, nie chcę już

słyszeć o żadnych przeszkodach z twej strony. Sam widzisz, jak ze mną już źle. Nie będę miała spokoju, dopóki się nie pobierzecie. Przez pół nocy oka zmrużyć nie mogłam, tak o tem myślałam.

— A więc dobrze, mamó! — rzekł Nalinaksza — Niech się mama tem dłużej nie martwi, niech mama śpi spokojnie. Zrobię, jak sobie mama życzy.

Gdy tylko Kszemankari została sama, zawołała swą „Haridasi“ i Kamala przybiegła z za sąsiedniego pokoju; popołudniowe słońce gasło już, pokój pogrążony był w zmroku.

— Włóż te kwiaty do wody, moje dziecko — poleciała jej Kszemankari — i rozstaw je w pokojach. Wyjęła jedną różę, zaś całą wiązkę podała Kamali.

Kilka kwiatów w wazie postawiła Kamala na biurku Nalinakszy, inne, w dzbanku, w jego sypialni. A potem otworzyła szafkę, stojącą pod ścianą, położyła pozostałe jej kwiaty na jego sandałach i padła przed niemi na twarz. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała, że to jest wszystko, co ma swojego na świecie i że wkrótce nie będzie jej wolno nawet stopom jego czci okazywać.

Nagle spłoszył ją odgłos kroków, zbliżających się ku drzwiom. Szybko zamknęła szafkę, lecz, odwróciwszy się — ujrzała Nalinakszę! O ucieczce nie było już ani mowy i Kamala w swem przerażeniu pragnęła rozplynać się w zmroku zapadającej nocy. Nalinaksza, ujrawszy ją, wyszedł szybko z pokoju.

Korzystając z jego nieobecności, Kamala uciekła, a wtedy Nalinaksza wrócił. Ciekawy, co dziewczyna w jego pokoju robiła i dlaczego na jego widok tak gwałtownie zatrzasnęła drzwiczki od szafki, otworzył ją i ujrzał swe sandały, przybrane kwiatami. Zamknął

szafkę i podszedł ku oknu. Kiedy w niem stał, nieruchomo wpatrując się w niebo, zapadły ciemności i pochłonęły ostatnie promienie konającego słońca.

## ROZDZIAŁ XIX.

Hemnalini, zgodziwszy się poślubić Nalinakszę, próbowała wmawiać w siebie, jak bardzo jest z tego powodu szczęśliwa. Powtarzała sobie raz po raz:

— Dawne węzły nie wiążą mnie już; czarne chmury, wiszące na moim horyzoncie, odpłynęły. Jestem teraz zupełnie wolna i nie dotyczą mnie już wieczne wyrzuty przeszłości.

A powtarzając sobie to, zaczęła doświadczać radości zupełnego wyrzeczenia się. Tak kiedy popioły stosu pogrzebowego przestają już dymić, niesłuchanie złożone i skomplikowane rzeczy tego świata tracą na chwilę swe znaczenie i okryty żałobą człowiek doznaje ulgi, jak dziecko, wybiegające ze szkoły po skończonej nauce. Czegoś podobnego doświadczała teraz Hemnalini. Cieszyła się spokojem, jaki zwykle następuje po ostatecznem ukończeniu danego rozdziału życia ludzkiego.

Wracając wieczorem do domu, westchnęła:

— Gdyby matka moja żyła, jakżeby się ucieszyła tą nowiną! Doprawdy, nie wiem, jak to będę mogła powiedzieć tatusiowi.

Annada Babu, czując się bardzo osłabiony, położył się, tego wieczora wczesnie, wobec czego Hemnalini poszła do siebie, wyjęła swój pamiętnik i do późnej nocy notowała w nim swe wrażenia.

— Zerwałam wszystkie więzy, łączące mnie z życiem — kończyła — i byłam już jak umarła dla świata. Nie przypuściłabym nigdy, że Bóg zechce wyzwolić mnie i natchnąć nowem życiem. Teraz padam przed Nim na twarz i przygotowuję się do wejścia na nową drogę obowiązku. Los zesłał mi dar ponad me zasługi. Oby Niebo użyczyło mi sił zachować go na całe życie! Jestem pewna, że ten, z którym me niegodne życie ma być połączone, potrafi je uczynić pełnem i bogatem. Jedyłą modlitwą moją jest, abym taką samą pełnię i bogactwo mogła wnieść w jego życie.

Zamknęła zeszyt i wyszła do ogrodu, gdzie w zamysleniu do późna przechadzała się wysypanemi żwirem ścieżkami pod osłoną gwiazdzistej, aksamitnej ciemności nocy zimowej, podczas gdy nieskończone niebo utrudzonej jej duszy zwiastowało szeptem wieść o pokoju.

Następnego popołudnia Annada Babu właśnie wybierał się wraz z Hemnalini do Nalinakszy, gdy przed dom zajechał powóz i służący Nalinakszy, zsiadłszy z kozła, zameldował przybycie swej pani. Annada Babu wybiegł na spotkanie Kszemankari, wysiadającej z powozu i powitał ją słowami:

— Zaiste, jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Wszedłszy, sędziwa matrona oznajmiła:

— Przyjechałam dać błogosławieństwo waszej córce.

Annada Babu wprowadził ją do salonu, a usadowiwszy na kanapie, prosił, aby zechciała chwilę poczekać na Hemnalini.

Hemnalini kończyła właśnie swą toaletę, ale gdy tylko usłyszała o przybyciu Kszemankari, natychmiast pośpieszyła do niej z pokłonem.



— Oby życie twe było szczęśliwe i długie! — rzekła do niej Kszemankari — Podaj mi ręce, kochanie!

To mówiąc, włożyła na ręce Hemnalini dwie ciężkie szczerozłote bransolety; wielkie, złote naramienniki zwisały wolno z wychudłych ramion dziewczęcia.

Hemnalini znowu padła przed Kszemankari, która ujęła jej twarz w obie dłonie i pocałowała ją w czoło. Błogosławieństwo oraz tkliwość, z jaką zostało udzielone, napęłniły serce Hemnalini uczuciem bezgranicznego szczęścia.

— A teraz, panie mój, — zwróciła się Kszemankari do Annady Babu, tytułując go tak jako ojca synowej — musicie jutro oboje zjeść razem ze mną obiad.

Na drugi dzień rano ojciec siedział z córką przy śniadaniu w ogrodzie, jak to w Benares mieli we zwyczaj. Wielka radość, jakiej Annada Babu doznawał z powodu związku Hemnalini z Nalinakszą, przywróciła stroskanej jego twarzy dawną świeżość i Annada Babu, spoglądając od czasu do czasu na pogodną twarz córki, miał wrażenie, jak gdyby błogosławiony duch jego zmarłej żony zstąpił na nią, łagodząc jasny blask jej radości bładem lśnieniem łez.

Prześladowała go wciąż myśl, że czas już zacząć się ubierać i przygotowywać do proszonego obiadu u Kszemankari i że, jeśli dłużej będą zwłóczyć, gotowi się spóźnić. Napróżno Hemnalini zapewniała go, że czasu jeszcze jest mnóstwo — była dopiero ósma godzina rano. — Annada Babu niecierpliwił się i nalegał na nią, aby się pośpieszyła, bo lepiej wcześniej niż późno.

Naraz jakaś dorożka z kuframi na pudle zajechała przed bramę frontową i zatrzymała się przed domem.

— Dżogen przyjechał! — wykrzyknęła Hemnalini i pobiegła ku bramie.

Istotnie, z dorożki wysiadł Dżogen z niezwykle uradowaną miną; ujrawszy siostrę, przywitał się z nią nadzwyczaj serdecznie.

— Czy przywiozłeś kogo ze sobą? — zapytała Hemnalini.

— Żebyś wiedziała, że tak! — roześmiał się Dżogendra — Przywiozłem dla ojca prezent na gwiazdkę.

Z kolei wynurzył się z dorożki Ramesz, ale jak tylko go Hemnalini zobaczyła, zawróciła na miejscu i uciekła pośpiesznie.

— Nie uciekaj-że, Hem! Mam ci coś powiedzieć! — wołał za nią Dżogendra.

Nie słuchała go, lecz biegła jakby szło o życie, jak gdyby uciekała przed strasznym jakimś zjawiskiem.

Ramesz stał przez chwilę zmieszany, niepewny, czy ma iść za nią czy cofnąć się.

— Chodź, Ramesz! — zawołał Dżogendra — Ojciec tu siedzi w ogrodzie.

Wziąwszy Ramesza pod ramię, poprowadził go ku Annadzie Babu.

Annada Babu, widząc, że Ramesz przyjechał, oczom własnym wierzyć nie chciał. Pocierając bezładnie czoło, mruknął:

— Znowu jedna przeszkoda!

Ramesz złożył mu niski ukłon.

Ruchem ręki Annada Babu wskazał mu krzesło, a potem zwrócił się do Dżogendry:

— Doskonale, Dżogen, przybywasz w samą porę. Właśnie miałem do ciebie telegrafować.

— W jakiej sprawie? — zdziwił się Dżogendra.

Ułożyliśmy właśnie związek Hemnalini z Nalinakszą. Matka jego złożyła nam wczoraj wizytę i dała Hemnalini swe błogosławieństwo.

D ż o g e n d r a: Czy ojciec przez to rozumie, że małżeństwo to jest już nieodwołalne? Czy nie można było zasięgnąć także i mojej rady?

A n n a d a B a b u: Nigdy niewiadomo, czego ty właściwie chcesz, Dżogendro. Wiem przecie, że dążyłeś do tego małżeństwa, kiedy jeszcze wogóle Nalinakszy nawet nie znałem.

D ż o g e n d r a: Przyznaję, ale dajmy teraz temu spokój, jeszcze nie zapóźno. Mam ojcu mnóstwo do powiedzenia. Niech mnie ojciec naprzód wysłucha, potem postąpi ojciec, jak ojciec uzna za stosowne.

A n n a d a B a b u: Kiedyindziej, gdy będę miał czas; dziś jestem zajęty, muszę niebawem wyjść.

D ż o g e n d r a: I dokąd-że to?

A n n a d a B a b u: Matka Nalinakszy prosiła nas. Wy tymczasem może sami tu co zjecie, a potem...

D ż o g e n d r a: Nie, nie, niech się ojciec o nas nie troszczy. Ramesz może zjeść obiad razem ze mną w którymkolwiek hotelu. Wieczorem będzie ojca można zastać w domu, nieprawda? Przyjdziemy wieczorem.

Przez cały czas Ramesz nie odezwał się ani słowem, lecz siedział w milczeniu aż do chwili odejścia. Wówczas skłonił się Annadzie Babu i odszedł.

## ROZDZIAŁ XX.

Już dzień naprzód Kszemankari zapowiedziała Kamali:

— Słuchaj, kochanie, na jutro zaprosiłam na obiad Hemnalini i jej ojca. Cóż im damy zjeść? Musimy

Annadę Babu tak dobrze ugościć, żeby się nigdy nie martwił, że jego córka nie będzie u nas miała co jeść, prawda? Ale ty tak doskonale gotujesz, że o to obawiać się nie potrzebuję. Mój syn nigdy jedzenia nie chwali, a wczoraj słów mu wprost brakło, tak jedzenie wychwalał. Ale coś mi niewesoło dziś wyglądasz; nie zdrowa jesteś może?

— Nie, matko, zdrowa jestem! — odpowiedziała Kamala, zmuszając się do uśmiechu.

Kszemankari potrząsnęła głową.

— Zdaje mi się, że się czemś martwisz. Jest to wkońcu zupełnie naturalne i nie potrzebujesz tego przedemną ukrywać. Nie uważaj mnie za obcą, dziecko, dla mnie jesteś, jak rodzona córka. Powiedz mi szczerze, jeśli ci tu w tem naszym życiu co nie odpowiada, albo jeżeli chcesz zobaczyć kogo ze swoich krewnych.

— Nie pragnę niczego innego, jak tylko móc dla was, matko, pracować! — zawołała żywo Kamala.

Ale Kszemankari mówiła dalej, nie zwróciwszy uwagi na jej odezwanie się:

— Może istotnie byłoby dobrze, żebyś odwiedziła wuja. Zostałabyś u niego parę dni, a potem wróciłabyś do mnie, kiedybyś miała ochotę.

— Matko! — wykrzyknęła Kamala ze strachem — Dopóki mogę być przy was, nie pragnę widzieć nikogo na świecie. Jeśli zrobię co złego, proszę, ukarżcie mnie, jak będziecie chcieli, ale błagam was, nie odsyłajcie mnie ani na dzień.

Kszemankari pogłaskała ją po twarzy i odpowiedziała:

— Oto znowu jedna z tych rzeczy, które każą mi myśleć, że chyba ty byłaś moją matką w poprzednim życiu, kochanie. Czemuż sobie inaczej wytłomaczyć,

żeśmy się obie tak bardzo od pierwszego wejrzenia pokochały? Ale teraz idź mi zaraz i kładź się spać. Nie spoczęłaś przez cały dzień ani na chwilę.

Kamała udała się do swej sypialni, zaryglowała drzwi, zgasiała światło i usiadła na podłodze, aby pomyśleć w ciemnościach. Posiedziawszy tak w zamyśleniu przez dłuższy czas, przyszła do następującego wniosku:

— Nie mogę dłużej czuwać nad nim z chwilą, gdy Bóg pozbawia mnie wszelkich praw po temu. Muszę być gotowa wyrzec się go zupełnie. Nie pozostaje mi nic prócz rzadkich, drobnych sposobności usłużenia mu czemś i to będę robiła, dopóki będę mogła. Oby Bóg dał mi siłę spełniania z uśmiechniętą twarzą tych obowiązków i poprzestawania na tem. Już to przyjdzie mi nie łatwo. Jeśli nie potrafię pełnić swych obowiązków z pogodną twarzą, jeżeli będę pracowała z przygnębioną miną, będę musiała wszystko rzucić.

Uświadomiwszy sobie w ten sposób swoją sytuację, zdobyła się na następujące postanowienie:

— Od jutra nie wolno mi już mieć żadnych żalów, nie wolno mi okazywać przygnębienia, nie wolno mi wzdychać do tego, czego nie mogę osiągnąć. Będę zadowolona, jeśli mi będzie wolno przez całe życie służyć. Nigdy, nigdy, nigdy nie będę prosiła o nic więcej.

Położyła się do łóżka i, przewracając się przez jakiś czas z boku na bok, wreszcie usnęła. W nocy zbudziła się parę razy, ale i wtedy powtarzała sobie: „Nigdy, nigdy, nigdy nie będę prosiła o nic więcej“ zaś kiedy rano wstała, złożyła ręce jak do modlitwy i całą swą siłą woli skupiła w postanowieniu: „Będę

służyła aż do śmierci i nigdy, nigdy, nigdy nie będę prosiła o nic więcej“.

Umyła się i ubrała prędko, a potem pobiegła do pracowni Nalinakszy. Skrajem własnej sukni wytarła każdy kąt, rozesłała maty na swoim miejscu i pośpieszyła do Gangesu wykąpać się.

Ponieważ Kszemankari, na usilne nalegania Nalinakszy, odstąpiła od swego zwyczaju kąpania się przed wschodem słońca, Kamali towarzyszył Umesz do rzeki w przejmującym chłodzie świtania.

Wróciwszy z kąpieli do domu, z uśmiechniętą twarzą poszła do Kszemankari przywitać się.

Staruszka właśnie wybierała się do kąpieli.

— Dlaczego kąpałaś się tak wcześniej? — pytała Kamali. — Mogłaś poczekać na mnie, byłybyśmy poszły razem.

— Nie mogłam dziś czekać, matko — odpowiedziała Kamala. — Mamy bardzo dużo do roboty. Zaraz zabieram się do oczyszczenia i obrania jarzyn, jakie nam wczoraj wieczór przyniesiono, a Umesz natychmiast musi lecieć na targ, kupić, czego nam jeszcze potrzeba.

— Jużes o wszystkim pomyślała, kochanie! Obiad będzie z pewnością gotów, zanim goście przyjdą.

W tej chwili wyszedł ze swego pokoju Nalinaksza. Kamala natychmiast owinęła welonem twarz i uciekła.

— Mama znowu zaczyna się kąpać? — rzekł Nalinaksza — Radziłbym raczej poczekać, aż mama będzie trochę silniejsza.

— Nalin, zapomnij, że jesteś lekarzem! — odparła matka — Jest tylko jedna recepta na nieśmiertelność: Codzienna kąpiel poranna w Gangesie. Wychodzisz teraz, prawda? Wróć-że dziś wcześniej.

— Dlaczego, mammo?

Kszemankari: Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć, że Annada Babu przyjdzie dziś dać ci swoje błogosławieństwo.

Nalinaksza: Dać mi swoje błogosławieństwo? I skądże nagle taka łaska? Widuję go przecie codziennie.

Kszemankari: Ja byłam wczoraj u nich, dałam Hemnalini parę naramienników i pobłogosławiłam jej; dziś wypada kolej na Annadę Babu pobłogosławić tobie. Nie spóźnij-że się. Będą u nas na obiedzie.

To rzekłszy, Kszemankari udała się do kąpieli.

Nalinaksza odszedł, zamyślony, z pochyloną głową.

## ROZDZIAŁ XXI.

Uciekłszy przed Rameszem i zamknąwszy się w swym pokoju, Hemnalini usiadła, aby się uspokoić. Po wzburzeniu pierwszej chwili, nastąpił wstyd.

— Dlaczegoż nie mogłam zapanować nad sobą, spotkawszy się z Rameszem Babu? — rozważała w duchu — Dlaczego, kiedy nieoczekiwane spadło na mnie, pokazałam się w tak nędznym świetle? Pozbawia mnie to wszelkiej wiary w moją sztukę panowania nad sobą. Takim brakiem odwagi cywilnej zgrzeszyłam drugi raz nie wolno!

Wielkim wysiłkiem opanowała się, wstała, otworzyła drzwi i gotowała się do nowego spotkania z Rameszem Babu, mówiąc sobie:

— Tym razem nie ucieknę; zapanuję nad swemi uczuciami.

Naraz przypomniała sobie coś i wróciła do pokoju. Wyjęła ze swej szkatułki na klejnoty naramienniki.

ofiarowane jej przez Kszemankari, i włożyła je na ręce. Tak uzbrojona, wyszła z podniesioną głową do ogrodu.

Pierwszy, kogo spotkała, był jej ojciec.

— Dokąd idziesz, Hem? — zapytał.

— Jakto? Ramesza Babu już niema? Gdzie Dżogen?

— Niema nikogo. Poszli sobie.

Hemnalini była bardzo zadowolona, że jej sztuka panowania nad sobą nie została wystawiona na nową próbę.

— No, ale teraz — mówił dalej Annada Babu.

— Zaraz, tatusiu, już idę! — rzekła Hemnalini — Z kąpielą uporam się w mgnieniu oka. Może tatuś już posłać po konie.

Nagła zmiana, jaka zaszła w Hemnalini i jej nie-naturalny pośpiech udania się czempředzej do Kszemankari, nie uszły uwagi Annady Babu i powiększyły tylko jego niepokój.

Hemnalini wykąpała się i ubrała pośpiesznie, poczem powróciła, pytając, czy powóz już zajechał.

— Nie jeszcze! — odpowiedział Annada Babu.

Czekając na konie, zaczęła Hemnalini chodzić po ogrodzie, podczas gdy Annada Babu siedział na werandzie, trąc nerwowo czoło.

Było dopiero wpół do jedenastej, kiedy wysiedli przed domem Nalinakszy, a ponieważ doktor jeszcze nie powrócił od swoich chorych, musiała gości bawić Kszemankari. Wdała się też zaraz w długą rozmowę z Annadą Babu o jego zdrowiu i jego rodzinie, rzucając od czasu do czasu okiem na Hemnalini. Zdziwiło ją, iż młoda panna zdawała się nie być wcale w najlepszym humorze. Wobec tak szczęśliwej perspektywy twarz jej powinna była świecić, jak zapowiadająca wschód



słońca różana jutrzienka, w rzeczywistości zaś przyciemniały ją chmury, pełne troski.

Kszemankari była bardzo wrażliwa, skutkiem czego ten przygnębiony wyraz twarzy Hemnalini zepsuł jej humor.

— Większość dziewcząt — mówiła sobie w duchu — byłaby szczęśliwa, gdyby mogła dostać Nalina za męża, ale, jak widać, tej przemądrzałej pannie wykształcenie przewróciło w głowie i uważa się za zbyt dobrą dla niego; nie mogę sobie inaczej wytłomaczyć tej jej zdenerwowanej, roztargnionej miny. Moja wina; jestem już stara i niecierpliwa; nie mogłam dłużej czekać na urzeczywistnienie się mych życzeń. Chcę ożenić Nalina z panienką, która już nie jest dzieckiem, a nie zadałam sobie trudu poznać jej prawdziwy charakter. Szkoda, że tak mało miałam czasu poznać ją bliżej, ale niestety! otrzymałam znak, aby zakończyć już ze swemi sprawami na tym świecie.

Skutkiem tych refleksyj stała się tak roztargniona, iż, bawiąc Annadę Babu, z coraz większą trudnością prowadziła rozmowę. Wreszcie dała wyraz swym myślom:

— W końcu — rzekła — niema powodu śpieszyć się tak bardzo ze ślubem. Nie są już dziećmi, aby nie wiedzieli, czego chcą; pocóż ich mamy popędzać? Oczywiście nie wiem, jak Hem się na to zapatruje, mogę mówić tylko za Nalina, a otóż on jeszcze się niezupełnie z tą myślą oswoił.

Słowa jej skierowane były głównie do Hemnalini, która wydała się jej jeszcze jakby niezdecydowana, dlatego Kszemankari chciała dać gościom do poznania, że Nalin perspektywą małżeństwa nie jest znów tak zachwycony, jak sobie to może wyobrażają.

Hemnalini rozpoczęła dzień w nastroju sztucznej wesołości i rezultat był oczywiście wprost przeciwny niż pragnęła. Krótkotrwałe ożywienie zmieniło się w znużenie. Kiedy weszła do domu Kszemankari, opanoowało ją nagle uczucie strachu, a nowa droga życia, na jaką miała wejść, ukazała się jej duchowemu wzrokowi kamienistą, stromą i długą nieskończenie. Podczas gdy starsi wymiędliali komplementy, ją istotnie dręczyły wątpliwości, zaś w chwili, gdy Kszemankari nieco chłodniej zaczęła mówić o swych małżeńskich projektach, w duszy Hemnalini starły się dwa zupełnie sprzeczne uczucia: Z jednej strony rychłe zawarcie małżeństwa przyniosłoby jej nareszcie upragnione wyzwolenie z obecnego stanu niepokoju i wahania się i dlatego życzyła sobie, aby sprawa została ostatecznie załatwiona, z drugiej strony jednak chwilową ulgę sprawiła jej myśl, że plan ten może jeszcze ulec zwłoce.

Uczyniwszy swą uwagę, Kszemankari rzuciła okiem na Hemnalini, aby zobaczyć wrażenie, jakie jej słowa sprawiły. Zdawało się, jak gdyby wyraz twarzy młodej panienki stał się spokojniejszy i natychmiast jej serce zwróciło się przeciw Hemnalini.

— Zbyt tanio chciałam sprzedać swego Nalina! — pomyślała i ucieszyła się w duchu, że go wciąż jeszcze nie było.

— To takie podobne do Nalinakszy! — mówiła dalej, zwracając się do Hemnalini. — Wiedział doskonale, że państwo dziś przyjdziecie, a jednak nie widać go. Powinien był za wszelką cenę porzucić dziś pracę. Gdy jestem choć trochę niezdrowa, rzuca zupełnie swą praktykę i nie rusza się z domu, bez względu na straty, jakie może ponieść z tego powodu.

Następnie, pod pozorem, że musi w kuchni dojrzyć przygotowań do obiadu, przeprosiła gości i zostawiła ich samych, jej właściwym zamiarem jednak było, oddawszy Hemnalini w ręce Kamali, porozmawiać w cztery oczy z jej ojcem.

Obiad był już gotów i syczał z cicha na wolnym ogniu, zaś Kamala siedziała w kącie kuchni tak głęboko zamyślona, że kiedy Kszemankari nagle weszła, złąka się i zerwała z zakłopotanym uśmiechem.

— No, moje dziecko, jak widzę, gotujesz bardzo pilnie! — rzekła matrona.

— Wszystko już gotowe, matko! — odpowiedziała Kamala.

— Ale czemuż siedzisz tu tak cicho, kochanie? Annada Babu to starszy pan, nie potrzebujesz się go obawiać. Hem jest tu także — mojem zdaniem mogłabyś ją wziąć do swego pokoju i pogawędzić z nią trochę. Nieprzyjemnie mi, że muszę ją narażać na nudną rozmowę z taką starą babą, jak ja.

Pozorny chłód Hemnalini powiększył tylko życzliwość Kszemankari dla Kamali.

— O czemżebym ja mogła z nią mówić! — odezwała się Kamala — Ona jest uczona a ja nic nie umiem.

— Cóż ty sobie myślisz! — zachnęła się Kszemankari — Jesteś taka dobra jak i ona. Niech się tam inni chełpią swą uczonością, bardzo mało jest tak ponętnych dziewcząt jak ty. Każdy może się nauczyć tego, co jest w książkach, ale niewielu dano być podobną do ciebie małą, słodką kobietką. Chodź teraz ze mną, kochanie! Trzeba się przedewszystkiem ubrać! Wyszukam dla ciebie czegoś ładnego.

Kszemankari postanowiła zwiędłej piękności Hemnalini przeciwstawić pełen świeżości wdzięk tego prostego dziewczęcia; chciała ją upokorzyć pod każdym względem.

Kamala nie mogła się nawet bronić. Kszemankari stroiła ją biegłą dłonią. Kazała jej wziąć suknię z bladego żółtego jedwabiu, a potem zaczesła ją według ostatniej mody, przyczem obracała twarz Kamali na wszystkie strony, aby móc się jej lepiej przyjrzeć. Wreszcie pocałowała ją w policzek i wykrzyknęła zachwycona:

— Mogłabyś iść na królewskie pokoje!

Kamala przypominała od czasu do czasu:

— Ależ, matko, oni tam siedzą sami; późno już jest!

— Niech sobie będzie późno! — brzmiała odpowiedź Kszemankari — Nie pójdę do nich, póki cię nie ubiorę.

Kiedy toaleta Kamali była gotowa, Kszemankari rzekła:

— Chodź teraz ze mną, dziecko, i niczego się nie bój. Jak cię ta uniwersytecka piękność zobaczy, pęknie z zazdrości. Z każdą z nich możesz iść o lepsze!

To mówiąc, pociągnęła Kamalę za sobą do pokoju, w którym zostawiła gości; Nalinaksza, nadszedłszy tymczasem, zabawiał ich rozmową.

Kamala, ujrawszy go, odwróciła się i chciała uciec, ale Kszemankari trzymała ją mocno.

— Niema się czego bać, dziecko! — uspokajała ją — Jesteś wśród przyjaciół.

Kszemankari, dumna z piękności Kamali i z wytworności, z jaką ona nosiła cudze piórka, chciała towarzystwu zrobić niespodziankę. Dotknięta w swej

dumie macierzyńskiej rzekomą obojętnością Hemnalini dla Nalinakszy, cieszyła się teraz myślą, że porównanie, jakie on uczyni, będzie musiało wypaść na niekorzyść jego narzeczonej.

Zjawienie się Kamali było istotnie niespodzianką dla całego towarzystwa. Kiedy Hemnalini spotkała ją u łoża Kszemankari, Kamala była bardzo skromnie ubrana; nieśmiała i niepozorna, trzymała się w cieniu i zniknęła, zanim Hemnalini mogła zwrócić na nią uwagę. Teraz, kiedy pierwsze wrażenie minęło, wzięła onieśmieloną Kamalę za rękę i posadziła ją przy sobie.

Kszemankari czuła, że odniosła zwycięstwo; nikt nie mógł na jej protegowaną spojrzeć, nie przyznając równocześnie w głębi duszy, że taka piękność jest rzadkim darem bogów.

Odezwała się do Kamali:

— A teraz, kochanie, zaprowadź Hem do swego pokoju; możecie sobie tam porozmawiać. Ja sama nakryję do stołu.

Kamala pytała się w duchu, co Hemnalini o niej myśli; był to dla niej moment krytyczny. W niedalekiej przyszłości miała Hemnalini wejść do tego domu, jako jego pani i żona Nalinakszy, skutkiem czego Kamali nie mogło nie zależeć na jej dobrej o niej opinii. Odsuwała od siebie myśl, że właściwie ona była prawowitą tego domu panią. Nie chciała dopuścić do siebie ani cienia zazdrości, nie chciała żądać żadnych praw.

Kolana drżały pod nią, kiedy wyszła z pokoju.

— Matka wszystko mi o tobie opowiedziała — odezwała się łagodnie Hemnalini — Uważaj mnie za siostrę. Masz rodzone siostry?

— Rodzonej siostry nie mam tylko siostrę mam stryjeczna — córkę brata mego ojca — odpowiedziała Kamala, ośmielona życzliwym tonem Hemnalini.

— Ja też nie mam siostry, kochanie — mówiła dalej Hemnalini — a matka moja umarła, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem. Nieraz myślałam: „Nie mam matki; gdybym miała choć siostrę, którejbym się mogła zwierzyć!”. Pragnęłam jej zawsze, czy się czułam szczęśliwą czy nie. Od małego dziecka musiałam zamykać się w sobie, a teraz tak się do tego przyzwyczaiłam, że wogóle nikomu już nie potrafię powiedzieć, co się we mnie dzieje. Ludzie uważają mnie za bardzo wyniosłą, spodziewam się jednak, że ty tego o mnie nie pomyślisz. Ja tylko nie umiem mówić od serca.

Nieśmiałość Kamali została zupełnie przezwy-  
ciężona.

— Czy to możliwe, żebyś mnie mogła polubić, d i d i ? — zapytała — Ja jestem taka głupia!

Hemnalini uśmiechnęła się.

— Jak mnie dobrze poznasz, zobaczysz, że ja też jestem głupia. Nie umiem nic, wyjąwszy tych paru rzeczy, których się nauczyła zmksiążek; to też jeśli mi wypadnie przebywać w tym domu, chciałabym, żebyś zawsze była przy mnie. Zgroza mnie ogarnia na myśl, że ja sama miałabym prowadzić całe gospodarstwo!

— Zostaw to mnie! — zawołała Kamala naiwnie jak dziecko — Ja od dzieciństwa to robiłam. Tego się zupełnie nie boję. Będziemy gospodarowały obie, jak siostry. Ty uczyni go szczęśliwym, a ja będę się starała o was oboje.

— Powiedz mi, moja droga, — rzekła po chwili Hemnalini — przecie ty swego męża nigdy nawet

dobrze nie widziałaś. Czy możesz sobie przypomnieć, jak on wyglądał?

Kamala nie odpowiedziała wprost na to pytanie.

— Nie wiedziałam wówczas, że będę potrzebowała zapamiętać go sobie, d i d i. Kiedy zamieszkałam w domu mego wuja Czakrabartti'ego, zaprzyjaźniłam się serdecznie ze swą siostrą stryjeczną, Sailą. Widziałam jej oddanie się i miłość dla męża i to dopiero otworzyło mi oczy. Prawdę mówiąc, właściwie to ja męża swego nigdy nie widziałam, ale w jakiś dziwny sposób zrodziło się we mnie dla niego głębokie uwielbienie. Bóg nagroził mnie za mą wierność, bo teraz mam w swej duszy żywy jego obraz. Prawda, on nigdy nie miał we mnie żony, ale ja mam dziś wrażenie, jak gdybym znalazła swego męża.

Ta opowieść o wierności Kamali znalazła oddźwięk w sercu Hemnalini.

— Rozumiem doskonale, co chcesz przez to powiedzieć — odezwała się po chwili — Jeśli otrzymujemy coś w ten sposób, otrzymujemy istotnie naprawdę. Wszelkie inne posiadanie jest wyłącznie fizyczne i nie ma trwałości.

Czy Kamala znaczenie tych słów zrozumiała, trudno powiedzieć. Przez jakiś czas wpatrywała się w Hemnalini, a potem rzekła:

— Musi to być prawdą, skoro ty tak mówisz, d i d i. Ale ja nie rozpaczam, przeciwnie, jestem szczęśliwa. Ja otrzymałam swoją nagrodę.

Hemnalini ujęła rękę Kamali w swoje dłonie.

— Nauczyciel mój mówi: Dopiero kiedy stratę przyjmujemy z równą radością jak zysk, zyskaliśmy naprawdę. To jedno jest pewne, moja siostrze, że jeśli

przez swoje zupełne poświęcenie się zyskam tyle co ty, będę się uważała za prawdziwie szczęśliwą.

Kamała spojrzała na nią zdumiona.

— Co przez to rozumiesz, didi? Ty będziesz miała wszystko; tobie niczego nie braknie.

— Mogę być zupełnie zadowolona z tego, że otrzymuję, co mi było przeznaczone — odpowiedziała Hemnalini — Co ponadto, byłoby już tylko ciężarem i cierpieniem. Dziwisz się pewnie, słysząc mnie tak mówiącą, czuję jednak, że sam Bóg podsunął mi te słowa. Widzisz, kochanie, bardzo mi dziś było ciężko, ale od chwili, kiedy ciebie poznałam, czuję, że stałam się silniejsza. Dlatego tak dużo mówię, a dotychczas nigdy mówić nie mogłam. W jaki sposób dokazałaś tego cudu, kochanie?

## ROZDZIAŁ XXII.

Wróciwszy od Kszemankari do domu, Hemnalini znalazła w salonie na stole adresowany do siebie wielki, gruby list. Poznała pismo Ramesza. Wziąwszy list, z bijącym sercem udała się do swej sypialni, gdzie się zamknęła i zaczęła czytać.

Niczego już nie ukrywając, Ramesz opisywał w tym liście całą historję swego stosunku z Kamałą. Na końcu pisał:

— Okoliczności rozcięły węzeł, którym Niebo nas związało. Oddała Pani swe serce innemu. Nie robię Pani z tego powodu najmniejszego zarzutu, ale też i Pani nie może potępiać mnie. Mimo że ani jednego dnia nie żyłem z Kamałą jak mąż z żoną, wyznaję Pani, iż z biegiem czasu coraz silniej zaczęła mnie pociągać



ku sobie. Jaki jest obecnie stan moich uczuć, tego sam dokładnie nie wiem. Gdyby Pani nie była mnie wygnała ze swego serca, miłość Pani z pewnością byłaby dziś pewną moją przystanią. W tej nadziei udręczony śpieszyłem do Pani. Kiedy jednak ujrzałem, iż Pani mnie najwyraźniej unika, nie dbając już więcej o mnie i dowiedziałem się, że Pani zgodziła się poślubić innego, wszystkie moje męczące wątpliwości wróciły.

Czułem, że nigdy nie będę mógł zupełnie zapomnieć Kamali. Jednakże, czy jej zapomnę czy nie, oprócz mnie nikt na świecie cierpieć z tego powodu nie będzie. A i ja sam czemuż miałbym cierpieć? Nigdy nie będę mógł zapomnieć tych dwóch kobiet, jedynych, które dotarły do mego serca. Skarbem na całe życie będzie dla mnie wierne przechowywanie ich pamięci.

Nasze dzisiejsze przelotne spotkanie rano tak boleśnie mnie dotknęło, iż, wróciwszy do hotelu, uważałem się za najnieszczęśliwszą istotę pod słońcem; nigdy więcej tego już nie uczynię. Pisząc ten list pożegnalny, jestem spokojny, a nawet pogodny; z pełnem sercem odchodzę od Pani. Dzięki Wam obu i dzięki Opatrzności nie doznaję uczucia goryczy w tej godzinie rozstania. Życzę Pani wszelkiego szczęścia i pomyślności. Proszę, niech Pani nie myśli o mnie źle, bo nie dałem do tego żadnego powodu.

Nagle wejście Hemnalini oderwało Annadę Babu od jego lektury.

— Źle się czujesz, Hem? — spytał.

— Nie, tatusiu, nic mi nie brakuje. Otrzymałam list od Ramesza Babu. Niech tatuś przeczyta i odeśle mi na górę.

Podawszy mu list, wyszła z pokoju.

Annada Babu włożył okulary i dwa razy list uważnie przeczytał, poczem odesłał go przez służącego Hemnalini, a sam usiadł w salonie i rozmyślał nad nim. Wreszcie doszedł do następującego wniosku:

— Ostatecznie, niema w tem nic złego! Nalinaksza jest znacznie lepszą partją od Ramesza. Doskonale się składa, że Ramesz sam schodzi z placu.

W chwilę później służący zameldował Nalinakszę. Annada Babu zdziwił się trochę, nie wiedząc, coby mogło sprowadzać Nalinakszę, zwłaszcza że zaledwie parę godzin minęło, jak się po dłuższej rozmowie rozeszli. Przyszedszy do przekonania, że chyba Nalinaksza musi być naprawdę zakochany w Hemnalini, uśmiechnął się w duchu.

Rozmyślał właśnie nad tem, w jaki sposób zetknąć ze sobą młodych, a potem pod jakimś pozorem wycofać się, gdy wtem Nalinaksza przystąpił wprost do rzeczy.

— Annada Babu, istnieje plan ożenienia mnie z pańską córką. Zanim o tem zaczniemy mówić, chciałbym powiedzieć panu coś, o czem pan wiedzieć powinien.

— Wobec tego proszę mówić.

— Pan nie wie, że ja już jestem żonaty.

— I owszem, wiedziałem o tem, ale...

N a l i n a k s z a: Istotnie? Więc pan o tem już wiedział? — Ale w takim razie prawdopodobnie był pan pewny, że moja żona nie żyje; tymczasem co do tego pewności żadnej niema. Ja sam wierzę, że ona żyje.

— Błagam Niebo, aby to było prawdą. Hem! Hem!

— Co, tatusiu? — pytała Hem, wchodząc do pokoju.

Annada Babu: W tym liście Ramesza jest coś...

Hemnalini podała list Nalinakszy.

— Niech pan cały list przeczyta! — rzekła i wyszła z pokoju.

Nalinaksza przeczytał list i tak się zdumiał, że słowa powiedzieć nie mógł.

— Nadzwyczaj smutna historia! — mówił dalej Annada Babu. — Musiało panu być bardzo przykro czytać ten list, ale obowiązkiem naszym było pokazać go panu.

Po krótkiej chwili Nalinaksza wstał i pożegnał się z Annadą Babu.

Wyszedłszy, zauważył Hemnalini, stojącą nie daleko na północnej werandzie. Widok jej zrobił na nim głębokie wrażenie. Nie rozumiał, jak mogła stać tu tak nieruchoma, z tą spokojną i niewzruszoną twarzą, gdy w duszy jej szaleć musiała burza. Wyraz jej twarzy nie zdradzał, co się w niej dzieje. Nie mógł się zdobyć na zapytanie jej, czy nie może przypadkiem czem pomóc, i wiedział, że niełatwo byłoby wy dostać z niej jakąś odpowiedź.

— Mogę jej dać jakąś pociechę czy nie? — spytał się swego zatroskanego serca — Nie, granice, dzielące jedną duszę ludzką od drugiej, są nie do przewyciężenia. Jakże strasznie samotną istotą jest dusza!

Kierując się ku swemu powozowi, postanowił zboczyć z drogi tak, aby przejść jak najbliżej Hemnalini na wypadek, gdyby mu chciała coś powiedzieć; ale kiedy przechodził koło jej werandy, Hemnalini zniknęła.

— Niełatwo duszy spotkać się z duszą! — pomyślał — Związek między jednym człowiekiem a drugim to sprawa bardzo skomplikowana!

Z ciężkiem sercem wsiadł do swego powozu.

Ledwo Nalinaksza odszedł, zjawił się Dżogendra.

— Jakto, sam, Dżogen? — zauważył ojciec.

— A kogóż ojciec się spodziewał? — spytał Dżogendra.

— Jakto — kogo? Ramesza! — rzekł Annada Babu.

Dżogendra: Takiego przyjęcia, jakim go ojciec zaszczycił, dość chyba dla przyzwoitego człowieka. Pojęcia nawet nie mam, co się z nim stało; może dostąpił w tej chwili wiecznego zbawienia przez utopienie się w Gangesie w Benares. Nie widziałem się z nim, zostawił mi tylko kartkę: „Odchodzę, Twój Ramesz.“ Nigdy nie mogłem pojąć tych melodramatów. Ale teraz i ja już pojedę; szczęśliwy jestem, że mam swój zawód. Zadanie kierownika szkoły jest proste i jasne; tam przynajmniej wiadomo, czego się trzymać.

— Ale co będzie z Hem? Powinniśmy postanowić — zaczął Annada Babu.

— I cóż ja tu poradzę? Ja mam wiecznie „tworzyć postanowienia“, a wy oboje będziecie je obalali! Tak dłużej bawić się nie myślę. Niech mnie już ojciec do tego nie miesza. Czego nie rozumiem, tego nie uznaję. Wobec nadzwyczajnego talentu Hemnalini stawiania się naraz niezrozumiałą czuję się bezsilnym. Wyjeżdżam jutro rannym pociągami; będę się musiał jeszcze po drodze zatrzymać w Bankipore.

Z temi słowami wyszedł śpiesznie z pokoju.

Annadzie Babu nie pozostawało nic innego, jak tylko rozmyślać, nerwowo pocierając czoło; świat jego pełen był znów zagadek nie do rozwiązania.

## ROZDZIAŁ XXIII.

W parę dni później Sailadża przysła z ojcem do domu Nalinakszy w odwiedzinę. Saila i Kamala siedziały, szepcząc sobie coś, w jednym pokoju, podczas gdy w drugim Czakrabartti rozmawiał z Kszemankari.

**Czakrabartti:** Mój urlop kończy się. Jutro muszę jechać do Ghazipur. Jeśli Haridasi zawadza wam tu, lub jeżeli...

**Kszemankari:** Tędy go wiedli! Mój drogi panie, co wy właściwie pod tem rozumiecie? Czy to jakiś podstęp, aby mi odebrać swą siostrzenicę?

**Czakrabartti:** O, nie, ja nie należę do ludzi tego rodzaju! Odbierać podarunki! Ale, jeśli ona wam, matko, zawadza...

**Kszemankari:** Nie mówicie ze mną szczerze! Jakże komu może zawadzać taka znakomita mała gosposia, jak Haridasi! Wicie to tak dobrze, jak i ja, więc pocóż...

**Czakrabartti:** Dobrze, dobrze, nie mówmy o tem więcej. Przejrzeliście mnie nawskroś! To był tylko mały podstęp z mej strony, aby usłyszeć pochwały na cześć Haridasi. Nad jednym tylko jeszcze się zastanawiam, a mianowicie, czy Nalinaksza Babu nie uważa jej za natręta. Ona jest dumna, ta nasza panienska, i gdyby Nalinaksza w jakiś sposób okazał się dla niej niechętny, z pewnością bardzoby to sobie wzięła do serca.

**Kszemankari:** Cóż to mówicie! Nalinaksza niechętny! On nie jest zdolny do tego!

**Czakrabartti:** Pod tym względem, matko, macie najzupełniejszą słuszność. Ale widzicie, ja tak kocham Haridasi, że jeśli idzie o nią, trudno mnie tak

prędko zadowolić. Łatwo powiedzieć, iż Nalinaksza nie będzie na nią patrzył złem okiem, ba — nawet, że wogóle nie będzie zwracał uwagi na jej obecność, mnie jednak tego jeszcze nie dosyć. Nie będę o nią zupełnie spokojny tak długo, dopóki się nie dowiem, że dopóki będzie mieszkała w jego domu, będzie mogła uważać się za członka rodziny. To nie jest żaden mebel; to człowiek. Jeśli on ma ją tylko cierpieć w swym domu, a nie dbać o nią, w takim razie...

**Kszemankari:** O to możecie być najzupełniej spokojni, mój drogi panie. Mój Nalin z pewnością nie będzie miał nic przeciw temu, żeby ją uważać za członka rodziny. On nie daje nigdy nic poznać po sobie, ale jestem głęboko przekonana, że Nalin zastanawiał się już nietylko nad jej stanowiskiem w naszym domu, ale i nad tem, co można zrobić, aby jej było u nas jak najlepiej i aby się czuła jak najszcześniejszą. Bardzo być może nawet, że w tajemnicy przed nami poczynił już potrzebne ku temu kroki.

**Czakrabartti:** Miło mi słyseć to od was, matko, mimo to jednak przed odjazdem pragnąłbym jeszcze pomówić z Nalinakszą Babu. Niewielu jest mężczyzn na świecie, którzy mogliby wziąć na siebie całą odpowiedzialność za szczęście kobiety. Jeśli Niebo obdarzyło Nalinakszę Babu tym prawdziwie męskim sposobem myślenia i postępowania, chcę go prosić, aby pozbył się fałszywej skromności i nie trzymał Haridasi zdaleka od siebie. Niech ją przyjmie i uważa bez zastrzeżeń za prawdziwego członka rodziny.

Zaufanie Czakrabarttiego do syna rozniecilo dumę w sercu Kszemankari.

— Obawiałam się, że wam się to może nie spodoba — odezwała się — i dlatego, kiedy Nalinaksza był

w domu, chowałam Haridasi, ale ja znam swego syna i wiem, że mu mogę zaufać bezwarunkowo.

Czakra Bartti: Wobec tego i ja powiem wam szczerze, co mam na sercu. Słyszałem, że Nalinaksa Babu ma się ożenić i że jego narzeczona jest osobą już starszą i ma więcej wykształcenia, niż go zwykle młode dziewczęta mają. Dlatego myślałem, że może Haridasi...

Kszemankari: Rozumiem was. W tym wypadku istotnie moglibyście mieć pewne podstawy do obaw. Ale z tego małżeństwa nic nie będzie.

Czakra Bartti: Więc zostało zerwane?

Kszemankari: Nie było co zrywać. Nalin wogóle go sobie nie życzył. To tylko ja pchałam go tak do małżeństwa, ale wkońcu przestałam nalegać. Nie dobrze zmuszać ludzi, aby robili coś wbrew swym skłonnościom. Być może, trzeba mi będzie umrzeć, nie ujrawszy go żonatym. Niezbadane są wyroki boże!

Czakra Bartti: Tak nie mówcie. A od czegoż macie przyjaciół? Swat ma prawo do obiadu i podarunku i mnie już nęci taka nagroda.

Kszemankari: Bóg wam zapłać! Widzicie, Nalin staje się coraz starszy i mnie bardzo było przykro myśleć, że tylko z mego powodu nie wstąpił w święte związki małżeńskie. Dlatego trochę za gorliwie wzięłam się do dzieła i zaczęłam go swatać, nie rozejrzawszy się wprzód dobrze. Musiałam się wyrzec nadziei doprowadzenia do szczęśliwego końca tego małżeństwa, to też cieszyłabym się bardzo, gdybyście wy teraz chcieli się tem zająć. Tylko śpieszcie się, bo ja już mam niewiele życia przed sobą.

Czakrabartti: Nawet słuchać tego nie chcę, matko! Z pewnością zobaczycie jeszcze swego syna żonatym! Wiem dobrze, jaka synowa by się wam podobała — nie zamłoda, ale uważna i posłuszna; nie wybiorę takiej, któraby tych zalet nie posiadała. A więc nie trapcie się tem dłużej. Z pomocą boską ta sprawa jest już prawie załatwiona. A teraz chciałbym z waszem pozwoleniem dać Haridasi parę dobrych rad co do jej zachowania się w waszym domu. Przyślę wam tu Sailę; odkąd was pierwszy raz zobaczyła, o nikim innym nie mówi.

— Lepiej — byście sobie we trójkę pogawędzili — rzekła Kszemankari — Ja mam teraz coś do roboty.

Czakrabartti roześmiał się.

— Szczęście to dla ludzi podobnych do mnie, że na świecie są ludzie podobni do was! — zawołał — Wkrótce zobaczymy, co to takiego macie „do roboty“. Złożyłbym się, iż chcecie zgotować jakiś przysmak dla szczęśliwego bramina, który znajdzie żonę dla Nalinakszy Babu.

Czakrabartti, odnalazwszy Sailę i Kamalę, spostrzegł, że w oczach Kamali lśnią łzy. Nic nie mówiąc, usiadł na ziemi przy swej córce, rzuciwszy tylko wzrokiem na Kamalę.

Saila zaczęła:

— Tatusiu, właśnie mówiłam Kamali, że czas już wszystko powiedzieć Nalinakszy Babu, a ta szalona wasza Haridasi kłóci się o to ze mną.

— Nie, d i d i! — wykrzyknęła Kamala — Błagam cię, nie wspominaj nawet o tem. To zupełnie niemożliwe.

— Powtarzam ci, jesteś szalona! — rzekła Saila — Chcesz siedzieć cicho, nic nikomu nie mówiąc, a tym-



czasem Nalinaksza Babu ożeni się z Hemnalini. Ileż strasznych rzeczy przeszłaś od dnia swego ślubu! Omal żeś życiem tego nie przyplaciła, a teraz chcesz jeszcze narażać się na taką próbę?

— Nikt nie powinien wiedzieć o mojej historii, d i d i — odparła Kamala. — Wszystko zniosę prócz tej hańby. Tak jak teraz jest, jest mi zupełnie dobrze, ale gdyby się o mojej historii dowiedziano, nie mogłabym w tym domu nikomu w oczy spojrzeć; ani chwili nie przeżyłabym tej hańby.

Saila nie wiedziała już co na to odpowiedzieć, mimo to jednak wydało się jej niemożliwem bezczynnie patrzeć na małżeństwo Nalinakszy z Hemnalini.

— Czy małżeństwo, o którym mówicie, jest już zupełnie pewne? — spytał Czakrabartti.

Saila: Najzupełniej pewne, tatusiu! Matka Nalinakszy Babu udzieliła już narzeczonej swego błogosławieństwa.

Czakrabartti: Pobłogosławcież Boga, bo to błogosławieństwo nie poskutkowało. Droga Kamalo, nie masz się już czego obawiać. Sprawiedliwość zwyciężyła.

Kamala, uszom własnym nie wierząc, wpatrzyła się w wuja szeroko otwartemi oczami.

— Małżeństwo zostało zerwane — objaśnił wuj. — Nietylko Nalinaksza nie zgodził się na nie, ale i matka przysłała do rozumu.

Sailadża była zachwycona.

— Jesteśmy uratowani! — zawołała. — Całą noc spać dziś nie mogłam, gdy usłyszałam o tem małżeństwie. Ale mimo to, jakże można, żeby Kamala mieszkała jako obca w domu, do którego ma wszelkie prawa? Kiedyż rozgmatwamy ten cały splot?

Czakrabartti: Tylko bez zbytecznego pośpiechu, Saila. Wszystko w swoim czasie!

Kamala: Ależ kiedy i tak wszystko jest w porządku! Ja nie pragnę żadnej zmiany. Jestem zupełnie szczęśliwa i wy tylko zepsujecie mi to szczęście, chcąc mnie jeszcze bardziej uszczęśliwić. Mój złoty wuju, proszę bardzo, niech wuj nikomu nic nie mówi! Zostawcie mnie w kącie tego domu i zapomnijcie o mnie. Jestem tak szczęśliwa, jak tylko być mogę.

To rzekłszy, zalała się łzami.

Czakrabartti zmartwił się nie na żarty.

— Cóż ci to, moje dziecko? Nie płacz! Ja doskonale rozumiem, czego chcesz. Oczywiście, nie myślimy bynajmniej zakłócać ci spokoju. Opatrzność chodzi własnymi drogami i wie, kiedy co zrobić. Nie uważaj nas za szaleńców, którzy chcieliby wtrącać wszędzie swoje trzy grosze po to tylko, aby wszystko zepsuć. Jestem już dość stary, aby wiedzieć, kiedy zostawić rzeczy samym sobie.

W tej chwili wszedł do pokoju Umesz, jak zwykle z uśmiechem od ucha do ucha.

— Czego chcesz Umesz? — zapytał wuj.

— Ramesz Babu jest na dole i chce się widzieć z doktorem Babu! — oznajmił.

Krew uciekła z twarzy Kamali. Wuj zerwał się, wołając:

— Bądź spokojna, kochanie! Ja do niego zejdę. Zeszedłszy na dół, złapał Ramesza za rękę.

— Wyjdź pan ze mną na chwilę, Ramesz Babu! — rzekł — Mam panu coś powiedzieć.

— Skąd się wuj tu wziął? — zdziwił się Ramesz.

— Przyjechałem tu z pańskiego powodu — odpowiedział wuj — i bardzo rad jestem, że pana spot-

kalem. Chodź pan, mamy mało czasu, a musimy do porządku doprowadzić pewną sprawę.

Prawie przemocą wyciągnął Ramesza na ulicę.

— Co pana sprowadziło do tego domu, Ramesz Babu? — spytał, jak tylko oddalili się trochę.

— Przyszedłem do Nalinakszy Babu — odpowiedział Ramesz — Postanowiłem powiedzieć mu wszystko o Kamali. Mnie się zdaje, że mimo wszystko ona żyje.

— Przypuśćmy nawet, że żyje i że Nalinaksza spotkał się z nią przypadkiem, sądzi pan, że byłoby dobrze, żeby on tę historję słyszał z ust pańskich? Ma przecie starą matkę, a gdyby ona poznała całą prawdę, mogłoby to się źle skończyć dla Kamali.

— Ja nie wiem, jakby to wpłynęło na jej stanowisko towarzyskie — odparł Ramesz — ale chcę, aby Nalinaksza wiedział, że najmniejszy nawet cień jakiegoś podejrzenia nie może paść na Kamalę. Jeśli nie żyje, wyznanie moje może mu pomóc czcić jej pamięć.

— Nie mogę zrozumieć waszego nowoczesnego sposobu myślenia! — rzekł wuj — Jeśli Kamala istotnie nie żyje, nie widzę przyczyny prześladowania go jej pamięcią; ostatecznie był tylko mężem jednej nocy. Widzisz pan tu ten dom? Oto tutaj ja mieszkam. Gdy pan przyjdzie do mnie jutro rano, wszystko panu opowiem. Ale za to proszę pana: Do tego czasu niech się pan nie stara widzieć z Nalinakszą.

Ramesz zgodził się, wobec czego wuj wrócił i powiedział Kamali:

— Proszę cię, przyjdź do nas jutro rano. Przyszedłem do przekonania, że ty sama musisz to z Rameszem załatwić.

Kamala nie odpowiedzia'a, lecz spuściła wzrok.

— Pewny jestem, że to jedyne, co można uczynić — mówił wuj dalej. — Ci nowocześni młodzi ludzie nie kierują się już starymi zasadami. Nie powinnaś cofać się przed tem, kochanie, nie wolno ci odstępować innym swych praw; to jest twój obowiązek a nikogo innego. Cokolwiekby kto z nas zrobił, nic nie odniesie takiego skutku.

Ale Kamala wciąż jeszcze nie podnosiła oczu.

— Przygotowaliśmy grunt jak najlepiej — rzekł wuj znowu — nie wolno ci zwlekać z usunięciem tych niewielu przeszkód, jakie jeszcze pozostały.

W tej chwili usłyszała Kamala czyjeś kroki i podniosła oczy. Nalinaksza stał w drzwiach i spojrzenia ich spotkały się; ale tym razem nie odwracał od niej oczu, jak to było w jego zwyczaju i nie odchodził. Patrzył na nią ledwo chwilę, lecz to krótkie spojrzenie zdawało się wciągnąć w siebie coś z twarzy Kamali, zamiast, jak dotychczas, prześlizgiwać się po niej, jak po czemś, na co można spojrzeć tylko ukradkiem, nie mając do tego żadnego prawa.

W następnej chwili zauważył Sailadzę i już chciał się cofnąć, gdy wuj się odezwał:

— Proszę nie uciekać, Nalinaksza Babu; uważamy pana za swego. To moja córka, Saila, której córeczkę pan leczył, gdy była chora.

Sailadza skłoniła się Nalinakszy.

— Jak się ma mała? — zapytał, oddawszy jej ukłon.

— Jest już zupełnie zdrowa — odpowiedziała Saila.

— Nie dał mi pan nigdy sposobności nacieszyć się do syta swoim towarzystwem — mówił dalej

Czakrabartti. — Skoro pan tu już wszedł, niechże pan zostanie.

Wuj skłonił go, aby usiadł, lecz gdy się rozejrzył po pokoju, spostrzegł, że Kamala się wymknęła. Jej zdziwienie i radość z powodu spojrzenia Nalinakszy były tak wielkie, że musiała wyjść na chwilę, aby się uspokoić.

Teraz znów weszła Kszemankari.

— Proszę was, zechciejcie się potrudzić do jadalni! — rzekła do Czakrabartti'ego.

— Ślinka mi do ust ciekła na samą myśl o tym „trudzie“ od chwili, kiedyście, matko, poszli „do roboty“ — odpowiedział wuj.

Pożywiwszy się należycie, powrócił do salonu.

— Teraz zechciejcie poczekać tu chwilę! — oznajmił Nalinakszy i jego matce — Ja zaraz wrócę.

Wyszedł znowu i po chwili wrócił, prowadząc za rękę Kamalę; Saila szła za nimi.

— Nalinaksza Babu — zaczął Czakrabartti — niech pan nie traktuje naszej Haridasi jak obcej. Pozostawiam to biedne dziewczę w waszym domu i chciałbym, aby pan wraz z matką uważał ją istotnie za swoją. Wszystko, czego ona pragnie, jest — móc wam obojgu służyć. Świadomie nigdy nie zbłądzi, za to mogę panu ręczyć.

— Mój drogi panie! — odezwała się Kszemankari. — Nie ma pan najmniejszej podstawy do jakichś obaw. Już dziś uważam Haridasi jakby za własną córkę. Nie potrzebowaliśmy ani chwili myśleć o tem, czemu ją zająć. W kuchni i spiżarni, gdzie przez tyle lat rządziłam niepodzielnie, nic już nie znaczę. Służba nie uważa mnie już za swoją panią. To w ten, to znów w inny sposób spycha się mnie wciąż na drugi plan.

Kiedyś do mnie należały klucze, dziś Haridasi sprzątnęła mi je. Powiedzcież mi, czegoż jeszcze żądacie dla tego małego rabusia? Chcecie mi może grozić, że mi ją zabierzecie? Toby już był najgorszy rabunek, jakiego tylko możnaby się było dopuścić.

— Gdybym jej nawet kazał, nie ruszyłaby się stąd ani na krok, tego, matko, możecie być pewni! — odpowiedział Czakrabartti — Oczarowaliście ją do tego stopnia, że zapomniała nawet o istnieniu innych. Biedactwo, ciężkie miała życie, aż nareszcie tu znalazła spokój. Oby Bóg zachował ją w tym spokoju i oby zawsze łaskę znajdowała w oczach waszych; oto moje pożegnalne błogosławieństwo dla niej.

Przy tych słowach oczy jego zasły łzami.

Nalinaksza słuchał w pełnym skupienia milczeniu.

Kiedy goście odeszli, Nalinaksza powoli udał się do swego pokoju. Ponieważ słońce właśnie zachodziło, pokój zalany był falą karmazynowego światła, podobnego do rumieńca panny młodej. Krwawo-czerwony żar zdawał się wsiąkać w pory ciała Nalinakszy i ogarniać całą jego istotę.

Jeden z jego hindostańskich przyjaciół przysłał mu tego dnia w upominku kosz pełen róż i matka poleciła Kamali przybrać niemi jego pokój. Kamala postawiła je w wazie w pokoju Nalinakszy, a teraz woń ich powitała jego nozdrza. W ciszy, ten karmazynowy zachód słońca, połączony z zapachem róż, oszołomił go. Albowiem ostatnie lata jego życia były latami ascetyzmu i beznamiętnej surowości, a teraz zdawało mu się, że do uszu jego tłumnie cisną się dźwięki wielostrunnych instrumentów i że cały świat rozbrzmiewa tętentem kroków tanecznych i chrzęstem kastanietów niewidzialnych tancerzy.

Odwrócił się od okna i wzrok jego padł na pęk róż, umieszczony w głowach łóżka. Podobne były do mnóstwa wpatrzonych weń oczu i wyglądały, jak gdyby u wrót jego serca składały jakąś prośbę.

Wziął jedną różę — pączek jeszcze nierozwinięty, koloru niepolerowanego złota a wydzielający z siebie woń niepokalaną. Kiedy się go dotknął, miał wrażenie, jak gdyby nawzajem jego dotknął żywy palec i prąd dziwny wstrząsnął całym jego jestestwem. Przycisnął delikatny pączek do swych ust i serca.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca świeciły na wieczornem niebie.

Kiedy Nalinaksza chciał opuścić pokój, przystąpił do łóżka, podniósł derkę i położył pączek różany na poduszce. Wyprostowawszy się, ujrzał naraz za łóżkiem jakąś przykucniętą postać. Była to Kamala, z twarzą owiniętą woalem, gotowa ze wstydu zapaść się pod ziemię. Niestety, zapóźno już było na wstyd.

Stało się mianowicie tak, że, ustawivszy różę w niszy i przy łóżku Nalinakszy, już miała wyjść z pokoju, gdy nagle usłyszała jego kroki i czempredzej pobiegła schować się. Teraz, kiedy, ku jej niewypowiedzianemu przerażeniu, została w swem szczególnem ukryciu znaleziona, o ucieczce mowy już być nie mogło.

Chcąc ją jak najpredzej wyzwolic z przykraj sytuacji, Nalinaksza skierowal się ku drzwiom, ale gdy stanął w progu, naraz uderzyła go jakaś myśl i przez chwile stał niezdecydowany. A potem powoli wrócił i rzekł, spoglądając w dół ku Kamali:

— Proszę cię, wstań! Nie potrzebujesz się mnie lękać.

ROZDZIAŁ XXIV.

Następnego poranku Kamala stawiała się w domu wuja. Przy pierwszej nadarżającej się sposobności wzięła Sailadżę na bok i zaczęła ją serdecznie ścisnąć.

— Z czegoż jesteś dziś taka szczęśliwa, siostrze? — spytała Saila, pieszcząc ją.

— Nie wiem, didi; mam takie wrażenie, jak gdyby wszystkie moje nieszczęścia się skończyły.

Saila: Chodźże, musisz mi przecie wszystko powiedzieć. Byliśmy u was wczoraj do wieczora, cóż się takiego mogło stać?

Kamala: Właściwie nic, ale ja czuję, że on jest już naprawdę mój. Niebo się nademną zlitowało.

Saila: To doskonale, kochanie; ale chyba przedemną nie potrzebujesz nic ukrywać.

Kamala: Nie mam nic do ukrywania, didi, tylko poprostu słów mi brak, aby ci to móc opowiedzieć. Kiedy się dziś rano zbudziłam, miałam wrażenie, jak gdyby życie nabrało jakiejś nowej treści. Czułam się szczęśliwszą, niż ci to mogę opisać, a moja robota wydała mi się łatwą jak nigdy. Niczego więcej nie pragnę. Jednego tylko się boję: Żebym nie straciła tego, com zyskała. Wierzyć mi się nie chce, aby Opatrzność była tak łaskawa i pozwoliła, żeby całe moje życie było tak szczęśliwe.

Saila: Mnie się też zdaje, że Los zaczyna ci sprzyjać i że ci już twego szczęścia nie ukradnie. Całe szczęście, jakie ci Los pozostał winien, otrzymasz teraz z procentami.

Kamala: Nie mów tak, didi. Ja już zostałam dostatecznie wynagrodzona. Nie mam swemu Losowi nic do zarzucenia. Niczego więcej nie chcę.



W tej chwili wszedł wuj.

— Trzeba wyjść na chwilę, dziecko! — rzekł do Kamali — Ramesz Babu przyszedł.

Wuj odbył już z Rameszem przedwstępną konferencję.

— Ja wiem, jaki był w rzeczywistości pański stosunek do Kamali — mówił — i dlatego radzę panu rozpocząć nowe życie a ją zupełnie wykreślić ze swej rachuby. Jeśli pozostały jeszcze może jakie zawikłania, powstałe z tego waszego stosunku, niech je pan już pozostawi Opatrzności. Niech się pan tem nie zajmuje.

— Zanim ostatecznie wykreślę Kamalę ze swego życia — odpowiedział Ramesz — muszę całą historję opowiedzieć Nalinakszy, inaczej nie będę mógł z czystym sumieniem rozpocząć nowego życia. Czy omawianie w tem życiu całej sprawy Kamali jest potrzebne, czy nie — to pytanie, ale nawet gdyby nie było potrzebne, nie będę miał czystego sumienia dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia.

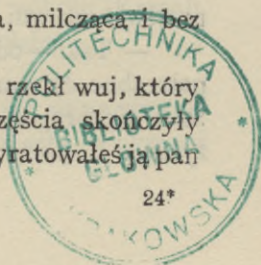
— A więc dobrze! — rzekł wuj — Niech pan tu chwilę poczeka. Zaraz wracam.

Ramesz podszedł do okna i z apatycznym wyrazem przyglądał się przez jakiś czas przechodniom. Usłyszawszy w pokoju czyjeś kroki, odwrócił się i ujrzał dziewczynę, składającą mu właśnie niski pokłon. Kiedy podniosła głowę, skoczył zdziwiony i krzyknął:

— Kamala!

Istotnie, przed nim stała Kamala, milcząca i bez ruchu.

— Dzięki Bogu, Ramesz Babu — rzekł wuj, który wszedł wraz z nią — Kamali nieszczęścia skończyły się i niebo przed nią jest już jasne. Wyratowałeś ją pan



z wielkiego niebezpieczeństwa a przez to sam pogrzyżyles się w odmetry nieszczęścia. Dziś, gdy dla was obojga nadeszła chwila rozstania, nie możemy zamilczeć o tem, co ona panu zawdzięcza. Przyszła do para pożegnać się i poprosić o błogosławieństwo.

Po krótkiem pasowaniu się ze sobą, Ramesz odzyskał głos.

— Niech ci Bóg błogosławi, Kamalo! — rzekł — Przebacz mi, jeśli wyrządziem ci kiedy krzywdę, świadomie czy nieświadomie.

Nie mogąc wyrzec ani słowa, Kamala oparła się o ścianę.

Po chwili Ramesz mówił dalej:

— Gdybyś chciała, żebym od ciebie zaniósł komu jakąś wiadomość, jeżeli jest jakieś nieporozumienie, które mógłbym wyjaśnić, proszę, rozkaż tylko.

Kamala złożyła ręce.

— Błagam pana, niech pan nic nikomu nie mówi.

— Przez długi czas nie powiedziałem o tobie nikomu ani słowa — odpowiedział Ramesz. — Milczałem nawet tam, gdzie milczenie było dla mnie zgubą. Dopiero przed kilku dniami, pewny, że ciebie już nie dosięgnie, opowiedziałem twoją historję i to tylko członkom jednej jedynej rodziny. Nie zaszkodzi to twojej sprawie, raczej przeciwnie, pomoże. Wuj prawdopodobnie wie wszystko. A zresztą Annada Babu, którego córka...

— Pan ma oczywiście na myśli Hemnalini? — przerwał mu wuj — Czy ona zna tę historję?

— Tak — odrzekł Ramesz — a gdyby się okazało potrzebne, żebym jeszcze coś powiedział, to i to zrobię. Sam nie pragnę już niczego. Straciłem spory szmat życia a i jeszcze coś oprócz tego. Nie żądam niczego

więcej, jak tylko być wreszcie wolnym. Chciałbym popłacić już wszystkie długi i zostać uniewinnionym.

Wuj czule ujął go za rękę.

— Nie, Ramesz Babu, nikt już niczego od pana nie żąda. Dużo pan wycierpiał i błagam Boga, aby od dziś życie pańskie było wolne, szczęśliwe, niczem niezmaćcone.

— Muszę już iść — rzekł Ramesz, zwracając się do Kamali.

Bez słowa złożyła mu niski pokłon.

Ramesz wyszedł na ulicę jak we śnie, mówiąc do siebie po drodze:

— Szczęśliwy jestem, że jeszcze raz zobaczyłem Kamalę. Spotkanie to stanowi dobre zakończenie epizodu. Mimo, że dotychczas nie wiem dobrze, co jej kazało opuścić wtedy dom w Ghazipur, jedno jest kompletnie jasne, a mianowicie, że jestem najzupełniej zbyteczny. Nikomu nie jestem potrzebny, tylko sobie samemu. Pójdę w świat i będę żył własnem życiem. Nie potrzebuję się oglądać za siebie.

## ROZDZIAŁ XXV.

Kiedy Kamala wróciła do domu, zastała Kszemankari siedzącą z Annadą Babu i Hemnalini.

— Oto nareszcie Haridasi! — rzekła Kszemankari, gdy tylko ją ujrziała — Może poprosisz przyjaciółkę do swego pokoju? Annada Babu pije tu herbatę.

Jak tylko Hemnalini weszła do pokoju Kamali, zarzuciła jej ramiona na szyję i zawołała:

— Kamalo!

— W jaki sposób dowiedziałas się, jak się nazywam? — spytała Kamala, nie okazując zresztą większego zdziwienia.

— Znalazł się ktoś, kto opowiedział mi całą twoją historję. Nie wiem, jak się to stało, ale gdy tylko ją usłyszałam, byłam pewna, że to jesteś ty.

— Nie chcę, żeby się ludzie dowiedzieli, jak ja się nazywam — rzekła Kamala — Moje prawdziwe imię przyniosło mi tylko wstyd.

— A mimo to dzięki niemu odzyskasz swoje prawa. Kamala potrząsnęła głową.

— Ja się inaczej zapatruję na tę sprawę. Nie mam żadnych praw i żadnych praw nie pragnę.

— Jakiż możesz mieć powód utrzymywania w nieświadomości swego męża? Czemu nie złożysz Losu swego zupełnie w jego ręce? Nie powinnaś nic przed nim ukrywać.

Kamala nagle zbladła. Przez chwilę patrzyła na Hemnalini bezradnie, napróżno szukając odpowiedzi, poczem osunęła się na łóżko.

— Bóg jeden wie, skąd ten wstyd, mimo iż nie zrobiłam nic złego! Za co mam być ukarana, skoro jestem zupełnie niewinna. Jakże mogę mu to wszystko powiedzieć!

Hemnalini wzięła ją za rękę.

— Tu niema mowy o karze, lecz o uniewinnieniu. Żyjesz wciąż jeszcze w więzach nieprawdy i nie będziesz wolna, dopóki będziesz cośkolwiek ukrywała przed swym mężem. Zaufaj Opatrzności i zerwij swe pęta.

— Lęk, abym nie straciła wszystkiego, pozbawia mnie sił, ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. Nie powinnam zważać na to, co się stać może, lecz powinnam powiedzieć mu wszystko. Nie wolno utrzymywać go w nieświadomości.

To mówiąc, mocno spłotła dłonie.

— Czegóż chcesz? — pytała jej łagodnie Hemnalini — Czy wolisz, żeby mu to kto inny powiedział?

Kamala energicznie potrząsnęła głową.

— Nie, nie, od nikogo innego nie powinien się o tem dowiedzieć. Ja sama mu powiem. Nie sądz, że nie potrafię.

— Tak będzie najlepiej — potwierdziła Hemnalini. — Nie wiem, czy jeszcze się zobaczymy. Przyszłam się z tobą pożegnać.

— Dokąd jedziesz?

— Do Kalkutty. No, ale nie powinnam ci dłużej przeszkadzać, ty masz tyle do roboty! Pójdę już. Nie zapomnij o swej siostrze.

— Ale ty napiszesz do mnie, nie prawda? — zawołała Kamala, chwytając ją za rękę.

Hemnalini przyrzekła.

— Musisz do mnie koniecznie pisać, radzić mi, co mam robić; ja wiem, że twoje listy dodadzą mi odwagi.

Kamala nie okazywała tego wprawdzie, ale nie była zupełnie spokojna o Hemnalini. Na zewnątrz była Hemnalini spokojna, lecz wyraz jej twarzy zdradzał tyle cierpienia, że Kamala miała dla niej głębokie współczucie. A mimo to było w niej coś, co czyniło ją tak niedostępną, że trudno było odezwać się do niej lub zadać jej jakie pytanie. Gdy Kamala tego poranku bez zastrzeżeń otworzyła jej serce swoje, Hemnalini odeszła, zamknięta w sobie, jak zwykle. Tyle było w niej smutku i rezygnacji zarazem, że twarz jej wyglądała, jakby na niej leżał zmierzch.

Przez cały dzień, w chwilach wolnych od zajęć, stawała Kamali przed oczami łagodna, smutna twarz Hemnalini, a w uszach brzmiały jej słowa. Nie wiedziała o Hemnalini nic więcej, prócz tego, że jej małżeństwo z Nalinakszą zostało zerwane.

Hemnalini przyniosła rano z ogrodu kosz kwiatów i Kamala zasiadła po południowej kąpieli do wicia wieńców. Kszemankari dotrzymywała jej towarzystwa.

— Och, moja droga! — mówiła do niej Kszemankari. — Nie wiesz nawet, jak przykro mi było, kiedy się Hemnalini dziś ze mną żegnała. Dałoby się niejedno powiedzieć, ale to naprawdę słodkie dziewczę. Myślałam, jak szczęśliwa mogłabym być, gdyby ona została moją synową. Byłoby może do tego nawet doszło, ale któż wie, czego właściwie chce mój syn? Tylko on jeden mógłby powiedzieć, dlaczego zmienił swój zamiar.

Kszemankari oczywiście nigdy nie byłaby się przyznała, że pod koniec ona sama przeciwna była temu małżeństwu. Usłyszawszy za drzwiami kroki, zawołała:

— Czy to ty, Nalin?

Kamala śpiesznie ukryła wieńce i kwiaty i zasłoniła twarz.

Nalinaksha wszedł a matka zapytała go:

— Hem i jej ojciec odeszli już. Czy widziałeś się może z nimi jeszcze?

— Tak jest, odwoziłem ich swoimi końmi do domu.

— Mów sobie co chcesz, chłopcze — mówiła dalej matka — ale mało jest takich dziewcząt, jak Hem.

Mówiła tak, jak gdyby Nalinaksha kiedykolwiek przeczył temu jej zdaniu; on jednak uśmiechnął się tylko i nic nie odpowiedział.

— Jeszcze się uśmiechasz! — zgałowała go. — Sama doprowadziłam do zaręczyn a nawet dałam już Hem swe błogosławieństwo, gdy naraz tobie strzeliło coś do głowy i przewróciłeś wszystko do góry nogami. Powiedz — nie żal ci?

Nalinaksza rzucił okiem na Kamalę i spostrzegł, że Kamala wpatruje się weń uważnie. Kiedy się ich spojrzenia spotkały, Kamala nie wiedziała, gdzie się podziać i natychmiast spuściła wzrok.

— Więc mama naprawdę myśli, — rzekł — że ja jestem tak pożądaną partją, iż tak łatwo dla mnie o małżeństwo? Nikt się znów tak prędko nie zakocha w takim sztywnym kiju, jak ja.

Przy tych słowach Kamala znowu popatrzyła na niego, a on rzucił jej spojrzenie tak wesole, że uciekła, aby nie stracić panowania nad sobą.

— Idź sobie i nie mów tak! — odezwała się Kszemankari do syna — Złóścisz mnie tylko!

Zostawszy sama, Kamala zrobiła z wszystkich kwiatów Hemnalini jeden wielki wieniec, włożyła go do kosza, zwilżyła wodą i postawiła w salonie Nalinakszy. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała, że to kwiaty, które na pożegnanie przyniosła Hemnalini.

Wróciwszy do swego pokoju, oddała się długim rozmyślaniom. Pytała się, co mogły oznaczać spojrzenia, rzucane jej przez Nalinakszę, co on o niej myślał. Jego oczy zdawały się czytać w jej najtajniejszych myślach. Łatwiej było jej dawniej, kiedy żyła w zamknięciu i nie pokazywała się, gdy on był w domu. Teraz co krok znachodziła się w kłopotliwej sytuacji; była to jakby kara za tajenie się przed nim.

Mówiła sobie:

— Nalinaksza myśli z pewnością: „Skąd matka wzięła to dziewczynisko Haridasi? Nie widziałem jeszcze tak nieskromnej osoby!“ Ani na chwilę nie mogę pozwolić, żeby w ten sposób myślał o mnie!

Położyła się tej nocy spać z postanowieniem, że na drugi dzień skorzysta z pierwszej nadarżającej się

sposobności i zwierzy mu się ze wszystkiego, bez względu na możliwe następstwa.

Wstała wczesnym rankiem i wykąpała się. Z Gangesu przyniosła dzban wody święconej z zamiarem umycia — jak to zwykle robiła — i posprzątania przedewszystkiem pokoju Nalinakszy; dziś jednak, wbrew dotychczasowemu jego zwyczajowi, zastała go już w pokoju.

Zmartwiona, że nie może spełnić swego obowiązku, odwróciła się i zwolna zabierała się do odejścia. A naraz błysnęła jej w głowie jakaś myśl. Zatrzymała się.

Zwolna zawróciła i jeszcze raz przeszła przez próg jego pokoju, gdzie tuż przy drzwiach stanęła. Co nią kierowało, nie wiedziała; cały świat rozplynął się w mgłę w jej oczach, zupełnie straciła poczucie czasu.

Nagle spostrzegła, iż Nalinaksza wynurzył się z głębi pokoju i stoi przed nią. Kamala w tej chwili poskoczyła, uklękła przed nim i pochyliła głowę tak, że dotknęła nią jego stóp a jej rozpuszczone, mokre jeszcze, włosy zupełnie je zakryły. A potem wstała i stała przed nim jak posąg; zapomniała, że zasłona zsunęła się jej z twarzy, nie zauważyła nawet, że Nalinaksza patrzy na nią, nie odrywając od niej wzroku. Nie wiedziała, co się koło niej dzieje, aż nagle coś jakby blask natchnienia błysnęło w jej głowie i bez drżenia w głosie rzekła:

— Ja jestem Kamala.

Skoro tylko te słowa wypowiedziała, dźwięk jej głosu złamał czar i cała siła jej woli zniknęła. Drżała na całym ciele, głowa opadła jej na piersi; nie mogła zrobić ani kroku, a czuła, że ucieczka jest jedynym jej ratunkiem. Wszystko zaryzykowała i całą swą siłę włożyła w wypowiedzenie tych trzech słów „Ja jestem Kamala“



i w pokłon, jaki oddała Nalinakszy. Nie pozostało jej nic, czemby mogła okryć swój wstyd. Zdała się zupełnie na łaskę Nalinakszy.

Zaś on podniósł powoli jej ręce do swych ust i szepnął:

— Ja wiedziałem o tem. Ty jesteś moja Kamala. Chodź ze mną.

Pociągnął ją do swego pokoju i włożył jej na szyję uwity przez nią wieniec.

— Chodźmy pokłonić się Jemu.

A gdy, ukląkwszy obok siebie, głowami dotknęli śnieżnej bieli marmuru, wdzierający się przez okno blask wschodzącego słońca padł na ich pochylone głowy.

Powstawszy, Kamala jeszcze raz padła Nalinakszy do nóg w głębokim pokłonie. A kiedy tym razem powstała, męcząca nieśmiałość opuściła ją. Nie było wybuchu w jej radości, ale cichy spokój wielkiej ulgi przenikał całą jej istotę, niby jasne światło poranne. Uczucie bezwarunkowego oddania wypełniło każdy kąt jej duszy i cały świat zdawał się być spowity w kadzidlany dym swej ofiary.

Bezustannie z jakiegoś ukrytego źródła woda napływała do jej oczu i wielkie krople bez przeszkody płynęły po jej policzkach — zmywając chmury trosk, wiszące nad jej wdowiem życiem.

Nalinaksza nie odzywał się już do niej. Jednym ruchem odgarnął jej z czoła mokre włosy, a potem wyszedł z pokoju.

Ale Kamala nie wyczerpała jeszcze całego swego uczucia; serce jej wciąż jeszcze było niem przepelnione, więc pragnęła dać mu upust. Weszła do sypialni Nalinakszy i tam, uwieńczywszy wieńcem zdjętym z własnej

szyi stare sandały, przycisnęła je do czoła i ze czcią postawiła na swoim miejscu.

A potem wzięła się do swej codziennej pracy i pracowała, jak gdyby odprawiała nabożeństwo. Każde wykonane przez nią zadanie było niby modlitwa, na skrzydłach radości wstępująca w niebiosy.

— Co ty dziś wyrabiasz, kochanie? — wykrzyknęła Kszemankari — Sądząc po tem, jak myjesz, zamiatasz, i sprzątasz, możnaby myśleć, że chcesz cały dom w jednym dniu odnowić!

Kiedy wszystko już było skończone, Kamala, nie tykając tego dnia igły, zamknęła się w swoim pokoju. Tam znalazł ją Nalinaksza, który przyszedł z koszem pełnym lilij „arum“.

— Kamalo! — rzekł. — Włóż te kwiaty do wody i uważaj, żeby były świeże. Wieczorem oboje pójdziemy poprosić matki o błogosławieństwo.

— Ależ ty nie słyszałeś jeszcze mojej historji! — odezwała się Kamala, spuszczać wzrok.

— Nie masz mi co opowiadać, ja wszystko wiem! — odparł Nalinaksza.

Kamala spuściła zasłonę na twarz.

— Ale matka... — zaczęła i nie mogła skończyć zdania.

Nalinaksza odsunął jej zasłonę.

— W ciągu swego życia matka odpuściła wiele grzechów. Z pewnością potrafi odpuścić to, co wogóle grzechem nie było.

K O N I E C.



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ  
LWÓW || POZNAŃ

ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15 || ULICA ZWIERZYNECKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ  
" II. RABINDRANATH TAGORE — NOC ZISZCZENIA  
" III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ  
" IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNOVE SOLBAKKEN —  
[MARSZ WESELNY  
" V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI  
" VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ  
" VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ  
" VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-  
[GNARDA  
" IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-  
[SZY — ZBLĄKANE PTAKI  
" X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS  
" XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA  
" XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ  
" XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW  
" XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS  
" XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

- RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA  
ROMAIN ROLLAND — ANETTA I SYLWIA — POWIEŚĆ  
PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA

KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ

GERHARD HAUPTMANN — KACERZ Z SOANY — POWIEŚĆ

MAURZYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach  
mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do  
25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie  
takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

*Sp. z ogr. por.*

*w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.*





S-96



36.370  
      
£

35101

20/11 .58

50 -

✓

POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. **29530**

524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000231568